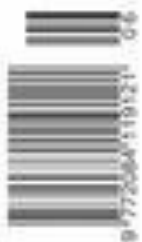




**PRAWDOPODOBIEŃSTWO**



**GWIAZDA  
PRAWDOPODOBIEŃSTWA**

**NANCY KRESS**

**GWIAZDA  
PRAWDOPODOBIENSTWA**

Probability Sun

Przełożył Robert J. Szmidt

Księga 2 cyklu Prawdopodobieństwo

PODZIĘKOWANIA

**N**iniejsza powieść być może nie powstałaby, gdyby nie fascynująca książka pt. „Piękno wszechświata”. Brian Greene przedstawił w niej teorię superstrun, dzieląc się z czytelnikiem zarówno faktami, jak i spekulacjami naukowymi, dzięki czemu mój bohater, doktor Thomas Capelo, może snuć jeszcze bardziej fantastyczne i ekscentryczne teorie.

Jestem również winna wdzięczność memu mężowi, Charlesowi Sheffieldowi, który z wielką uwagą zapoznał się z rękopisem i poczynił liczne i bardzo cenne komentarze w odniesieniu do faktów naukowych oraz fabuły.

## PROLOG

Gofkit Shamloe, Świat Pożegnalne całopalenie dobiegło końca. Stojąca na skraju kręgu żałobników odziana w czarną pelerynę Enla wstrzymała oddech. Nadchodziła jej ulubiona chwila, chwila radości.

Orszak opuścił Gofkit Shamloe o rozkwicie słońca. Na niebie wciąż widniały cztery księżycy: Lii, Kat, Ap i Obri. Wszyscy mieszkańcy osady, nawet stareńka Ayu Pek Marrifin, którą trzeba było podpierać, i malutkie bliźnięta Palofritów tuż po kwietnej ceremonii, postępowali za wozem ciągnionym przez dwóch najstarszych wnuków Tirila Pęka Bafora. Nieumyte ciało starca, który był naczelnym ogrodnikiem osady, odkąd Enla sięgała pamięcią, zostało ułożone na wozie i zasypane stertą kwiecica: dużymi jaskrawymi kwiatami dżelitiby, zgrabnymi kwiatostanami padźaliby oraz wspaniale pachnącymi, lekko woskowymi kwiatuszkami sadźiby.

Kiedy kapłanka wystąpiła naprzód, wszyscy unieśli wysoko ręce. Ścichły nagle tłum zwrócił się ku słudze Pierwszego Kwiatu. Za nią płonęło ognisko rozniecone minionego wieczoru, strzelając w górę ponad głowę kapłanki. Słyszeć było tylko trzask ognia. – Teraz – rzekła sługa Pierwszego Kwiatu, niska krępa kobieta w średnim wieku, której szyjowłosa przedwcześnie przerzedły.

Wnukowie Tirila Pęka Bafora pociągnęli wóz dalej pośród żałobników, aż na skraj ogniska. Tam przechylili go w przód. Drewno zostało uprzednio nawoskowane, dzięki czemu zwłoki zsunęły się gładko między płomienie, w dalszym ciągu w większej części zasłonięte przez kwiaty. Wówczas wszyscy zebrani, smutni i starzy, niemrawi i słabi, równocześnie zrzucili cienkie czarne peleryny i zakrzyknęli tak głośno, jakby chcieli obudzić zmarłych.

Był to okrzyk najczystszej radości. Tiril Pek Bafor wracał do swoich przodków.

Mieszkańcy nucili i śpiewali. Ponure peleryny skrywały jaskrawe krótkie tuniki przystrojone świeżym kwiecikiem tuż przed świtem. Każdy kwiat odzwierciedlał więź danej osoby z duszą obecnie tak uroczyście uwalnianą do wiecznie rozkwieconego świata duchowego.

Żałobnicy zaczęli tańczyć. Płomienie skakały i trzaskały. W powietrzu unosił się intensywny zapach olejków, którymi kapłani natarli ciało Tirila

Pęka Bafora, aby uczynić jego przejście słodko pachnącym. Wśród ogólnej radości rozkwitło słońce, ciepłe i czerwone.

Enla tańczyła z Kalinem Pekiem Lillifarem, wkoło i wkoło, aczkolwiek nie tylko od tańca kręciło się jej w głowie. Znała Kalina od dziecka, lecz to był jakiś nowy rodzaj znajomości, nowy rodzaj dzielenia...

Jej siostra Anu poklepała ją po ramieniu. – Enlo... chodź ze mną. – Nie teraz – odparła Enla.

Kalin był świetnym tancerzem, a i Enla, która wcześniej nie pożałowała sobie pelu z przekazywanego z rąk do rąk dzbana przyniesionego przez córki Pęka Bafora, czuła się zwiewna i powabna. Nie zdarzało się jej to często, gdyż była rosłą zwyczajną kobietą pozbawioną wrodzonego wdzięku, z czego doskonale zdawała sobie sprawę. Jednakże Kalinowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Wkoło i wkoło... – Musisz pójść ze mną teraz – powiedziała Anu stanowczo. – O co chodzi? – zapytała rozzłoszczona Enla, odchodząc za siostrą od ogniska. – Naprawdę nie mogłaś z tym poczekać? Chcę nacieszyć się pożegnalnym całowaniem! -- Zerknęła do tyłu na Kalina, który jeszcze nie znalazł sobie nowej partnerki.

Grzebień czaszkowy Anu zmarszczyły się ze zmartwienia. – Wiem. Ale przybył rządowy posłaniec. Czeka na ciebie w chacie. – Rządowy posłaniec? Do mnie?

Anu pokiwała głową. Przez chwilę obie siostry wpatrywały się w siebie z napięciem. Nie było żadnego powodu, by rządowy posłaniec miał szukać kontaktu z Enlą. Jej dawne kłopoty należały do przeszłości, zostały odkupione i zapomniane. Poza tym kto to widział, żeby przerywać pożegnalne całowanie! – Dziękuję. – Enla powiedziała to takim tonem, aby Anu przypadkiem nie poszła za nią.

Następnie wyminęła świętujących, coraz bardziej pijanych od lejącego się strumieniami pelu, i wróciła na ścieżkę prowadzącą do wyludnionej teraz osady. Wszędzie wokół otwierały się poranne kwiaty.

Posłaniec był wciąż na tyle młody, by rozkoszować się formalnościami. – Enla Pek Brimmidin? Oby twój ogród wiecznie rozkwitał. Przybywam ze stolicy, Rafkit Seloe. Przynoszę wiadomość.

Mężczyzna nie miał ze sobą listu. Enla poczuła, jak zasycha jej w gardle. – Oby twoje kwiaty rozkwitały w mnogości. Jaką wiadomość mi przynosisz? – Jesteś potrzebna w Rafkit Seloe, w gabinecie sług Pierwszego Kwiatu. Pragnie z tobą rozmawiać sam Kwiat Słońca. – W jakiej sprawie? – spytała Enla, doskonale wiedząc, że posłaniec musi znać na to pytanie odpowiedź. W końcu na Świecie wszyscy dzielili rzeczywistość.

Młodzieniec nie zdołał się opanować. Był młody, toteż podniecenie szybko wzięło górę nad urzędniczą godnością i formalnością. Potrząsając szyjowłosami, odparł: – W sprawie Ziemi!

Ziemianie... Przybyli na Świat przed trzema laty z jakiegoś niewyobrażalnie odległego miejsca, przemieszczając się w latającej metalowej łodzi. I narobili kłopotów. Ale potem odlecieli, pozostawiając trzy groby, a na Świecie zapanował znów błogi spokój. – Ziemianie wrócili do siebie! – wyrzuciła z siebie Enla.

Młodzieniec ponownie potrząsnął szyjowłosami, po czym z ekscytacji aż wspiął się na czubki palców. – Tak, ale... Pek Brimmidin, oni znów tu są!

Enłę dopadł ból głowy, ostry, świdrujący, umiejscowiony pomiędzy oczami. Nie, nie, to niemożliwe! W imię Pierwszego Kwiatu, niech to okaże się nieprawdą!

– Tak! – powtórzył rozochocony młodzieniec, gdy Enla w żaden sposób nie zareagowała. – I w dodatku wiadomo, że są rzeczywiści! Kapłani tak uznali poprzednim razem, pamiętasz? Będzie można z nimi handlować i... i w ogóle. Ziemianie powrócili z za gwiazd. Powrócili! Czyż to nie cudowne?

## 1. Lowell City, Mars

**G**enerał Tolliver Gordon podniósł wzrok znad kostki informacyjnej, którą trzymał w mięsistej dłoni. – Kto jeszcze to widział?

Stojący na baczność major Lyle Kaufman pozwolił sobie na oziębły uśmiech. – Praktycznie wszyscy, sir. Ten cywil, Dieter Gruber, przez dwa lata starał się zainteresować kogoś z dowództwa Sojuszu. Kogokolwiek, – Stefanaka też? – Nie, sir.

Uwagi majora Kaufmana nie uszedł fakt, że generał wyraził się o najwyższym zwierzchniku Rady Obrony Sojuszu Solamego bez użycia stosownego tytułu, i to w obecności młodszego stopniem oficera. Kaufman poczuł promyk nadziei. On sam nigdy nie dostałby się do generała Stefanaka. A Gordon owszem... – Generał Ling? – Tak, sir. – Ling to widział i zlekceważył?

Oświadczył, że brak wystarczająco solidnych dowodów, sir. – Trzeba się liczyć nie tylko z solidnymi dowodami – powiedział Gordon, wstając.

Był to potężny mężczyzna, przy którym malało każde pomieszczenie. A jednak doskonale sobie radził w grawitacji Marsa. Jakby się tutaj urodził, pomyślał Kaufman, który nie pochodził stąd. Promyk nadziei zamigotał mocniej. Teoretycznie w obrębie Rady Obrony Sojuszu Solarnego wszyscy członkowie byli równi – bez względu na pochodzenie oraz rodzaj służby. W praktyce jednak niektórzy okazywali się równiejsi od innych, zwłaszcza w czasie wojny.

Generał podszedł do półki wiszącej na jednej ze ścian jego podziemnego bunkra. Pod spodem stała siatkowa klatka wielkości około metra sześciennego wypełniona strużynami z tworzyw sztucznych. Generał zdjął z półki konewkę, wetknął ją przez specjalny otwór w siatce i napełnił wodą miskę stojącą na dole.

No dobrze, majorze. Zapoznałem się z zawartością kostki informacyjnej i przeczytałem raport. A teraz proszę własnymi słowami opowiedzieć mi, o co chodzi w tej wyprawie badawczej, dlaczego pańskim zdaniem jest ona taka ważna i na jakiej podstawie miałbym się z panem zgodzić.

Dostał swoją szansę. Wszyscy mu powtarzali, że jeśli dotrze tak wysoko, Gordon z pewnością go wysłucha. Kaufman odchrząknął, by przeczyścić gardło. – Sir, dwa lata temu podczas rutynowego rekonesansu pewien wojskowy przydzielony do misji naukowej wysłanej na nowo odkrytą planetę stwierdził, że jeden z jej księżyców jest sztucznym tworem noszącym podobne oznaczenia jak tunele czasoprzestrzenne. W tamtym czasie przegrywaliśmy wojnę... – Kaufman urwał nagle.

Wyraził się nieprawidłowo. Ludzkość nadal przegrywała wojnę z Faberami, i to nawet w większym stopniu niż kiedykolwiek, jednakże żaden oficer z naczelnego dowództwa nie lubił, aby mu o tym przypominać. Tymczasem Gordon jakby nigdy nic wziął do ręki torebkę z jakimiś nasionkami i zaczął nimi napełniać przezroczystą plastikową rurkę prowadzącą do wnętrza klatki. – No więc zorganizowaliśmy ekspedycję – ciągnął Kaufman – żeby sprawdzić, czy ten księżyc jest lub może być bronią. Wyprawa nie była otoczona tajemnicą: po prostu do bandy antropologów dołączyliśmy zespół naukowców wojskowych pod dowództwem emerytowanej pułkownik Syree Johnson. Wszyscy polecili na okręcie Zeus dowodzonym przez komandora Rafaela Peresa. Johnson odkryła, że księżyc faktycznie mógłby posłużyć za potężną broń. Uwalniał rozchodzącą się sferycznie falę, która destabilizowała wszystkie pierwiastki o masie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć. Podczas badań nad artefaktem pojawili się Faberowie, którzy zapragnęli go przejąć. Johnson i Peres spróbowali uciec ku jednemu tunelowi czasoprzestrzennemu w tamtym sektorze przestrzeni, noszącemu numer czterysta trzydzieści osiem, ciągnąc za sobą księżyc... – Ciągnąc księżyc? Jak duży był ten obiekt? – Prawie

dwadzieścia razy większy od Zeusa, sir. Jego masa wynosiła dziewięćset tysięcy ton. W niewielkiej odległości od tunelu Peres związał wroga walką. Następne wypadki nie są do końca jasne... Bądź Zeus, bądź artefakt, bądź okręt Faberów doprowadził do eksplozji, niszcząc wszystkie trzy obiekty. Wcześniejsze raporty pułkownik Johnson sugerują, że powodem eksplozji mógł być artefakt. Jego masa była zbyt duża, aby zmieścić się w tunelu, mimo to podjęto próbę przepchnięcia go do przestrzeni Sojuszu, żeby nie wpadł w ręce wroga. – A więc doszło do wybuchu. I to by było tyle. Przynajmniej z punktu widzenia naczelnego dowództwa. – Tak jest, sir. – Nadzieja rozgorzała w sercu Kaufmana. Ton głosu Gordona jasno wskazywał, jakie generał ma poglądy na temat poglądów naczelnego dowództwa. – Nie był to jednak koniec dla grupy badaczy pozostawionych na powierzchni planety. Wśród nich znajdował się geolog mający dość pojęcia o fizyce, aby zrozumieć, czym zajmowała się Johnson. Niejaki Dieter Gruber z Uniwersytetu Berlińskiego. Towarzyszący mu antropolodzy napotkali jakieś problemy w kontaktach z tubylcami... – Poziom przemysłu? – Nie, sir. W najlepszym razie manufaktury... Ze względów bezpie czeństwa Gruber powiódł swoich kolegów do porytego jaskiniami łańcucha górskiego, gdzie tubylcy nie zapuszczali się z powodów religijnych. Gruber dotąd utrzymuje, że znalazł tam drugi podobny artefakt o nieocenionym znaczeniu militarnym i naukowym. Wkrótce zespół ratunkowy wycofał z planety zarówno Grubera, jak i dwoje jego towarzyszy antropologów. Pozostała trójka zginęła na powierzchni planety. Od tamtej pory Gruber stara się przekonać naczelne dowództwo, że warto tam wrócić i odkopać drugi artefakt.

Gordon skończył napełniać rurkę nasionami i odłożył torebkę na półkę.

– No i?

Ta część była najtrudniejsza. Kaufman musiał ostrożnie dobierać słowa. – Gruber twierdzi, że dokładnie w chwili eksplozji księżyc ucierpiał artefakt zakopany pod łańcuchem górskim. Jego zdaniem doszło do splątania kwantowego na poziomie makro, co jak sądzimy, może też stać za technologią tuneli czasoprzestrzennych.

Tak naprawdę nikt nie miał pojęcia, jak działają tunele czasoprzestrzenne – tajemnicze pozostałości po obcej cywilizacji, która gdyby wciąż istniała, bez trudu przyćmiłaby ludzką. – Ale... – zaczął Gordon. – Ale nie ma na to żadnych dowodów – dokończył za niego major. – Mimo to pan mu wierzy. – Nie znam go zbyt dobrze – rzekł ciszej Kaufman. Jednakże służyłem pod rozkazami pułkownik Johnson w czasie akcji na Krawędzi. Nie było bardziej doświadczonego i zaangażowanego oficera naukowego, sir. A nie muszę panu mówić, jak trudno o choćby przyzwoitego naukowca w armii...



Gordon przebił go wzrokiem na wylot. – Tak, nie musi pan... Oni wszyscy są rozdarci między pragnieniem odkrycia obiektywnej prawdy a zadowoleniem swoich przełożonych, którzy domagają się namacalnych korzyści z odkryć, prawda? – Coś w tym stylu... W każdym razie Syree Johnson również uważała, że jest jakiś związek między dwoma artefaktami. Powiedziała to Gruberowi przed śmiercią. – Mamy to na taśmie? – Nie, sir. Niestety nie. – A więc nie ma żadnych dowodów? – Nie ma, sir. Ale z naukowego punktu widzenia... – Niech pan weźmie na wstrzymanie z naukowym punktem widzenia, majorze. Wysłucham go za chwilę. Na razie niech mi pan powie, czego będzie pan ode mnie oczekiwał, jeśli przekonają mnie pańskie naukowe argumenty, oraz co Sojusz Solarny będzie miał z tego, że pana posłucha.

Kaufman zaczerpnął głęboko powietrza. – Myślę, że trzeba wysłać ekspedycję, która odkopie i zbada zakopany w górach artefakt. To by oznaczało okręt wysłany z systemu Kaliguli przez wspomniany tunel czasoprzestrzenny, wojskową eskortę oraz dwa statki kurierskie umożliwiające komunikację w obie strony. Oczywiście na pokładzie przydaliby się sprawni politycy, żeby spacyfikować tubylców, aczkolwiek podstawa to właściwy naukowiec. Moim zdaniem tylko jeden człowiek nadaje się do tego zadania. Mamy przed sobą możliwość... podkreślam: wyłącznie możliwość... zdobycia nowej broni. Gruber utrzymuje, że oba artefakty są zbudowane z tego samego i że identyczny materiał można znaleźć w tunelach czasoprzestrzennych. Z raportu Syree Johnson wynika, że eksplodujący księżyc zmienił poziom promieniowania w kontrolowany sposób, co by sugerowało, że wpłynął na prawdopodobieństwo rozpadu atomowego. Wszystko, co wpływa na prawdopodobieństwo, musi mieć związek z polami rozpraszającymi Fallerów, dzięki którym atakują nas bezkarnie. I może stanowić broń przeciwko ich tarczom.

Kaufman umilkł. Właśnie wytoczył swoje najcięższe działo. Jeśli to nie przekona generała, nic go nie przekona. Tarcze pojawiły się na okrętach Fallerów całkiem niedawno. Nie miało znaczenia, czym się strzeliło – laserem albo inną wiązką promieniowania – wszystko zniknęło. Przepadało. Nie zostawał nawet ślad energetyczny.

Gordon zostawił w spokoju klatkę i wrócił za biurko. Zmrużył oczy w szparki. – Wiele pan obiecuje, majorze. – Obietnica to za duże słowo, sir. Jak powiedziałem, widzę co najwyżej możliwość. Prawdopodobieństwo. Ale nawet tym nie możemy pogardzić. W mojej ocenie, sir, gra jest warta świeczki. – Mimo że ten geolog... Gruber, tak?... nie ma żadnych dowodów?

Kaufman zachował kamienną twarz. – Nic nie zaczyna się od dowodów, sir. Zwłaszcza w nauce. To wynika z prawideł. – Pewnie ma pan rację. W porządku, przejdźmy do kosztów. Umiem słuchać, majorze, i usłyszałem, że

w pańskim jabłku grasują dwa robaki. Po pierwsze, dlaczego akurat „sprawni politycy”? Zwyczajni antropolodzy nie wystarczą?

O tak, Gordon umiał słuchać. Był w tym najlepszy. – Sojusz Solarny zabronił kontaktów z tą planetą, sir – odpowiedział Kaufman. – To nawet większy robak, niż sądziłem. Jaki powód podano? – Tubylcy nas nie chcą. Uznali, że nie mamy dusz. Wedle ich nomenklatury ludzie nie są „rzeczywiści”. – Ciekawe – skomentował generał. – Nie wymienił pan jeszcze nazwiska jedyne pańskim zdaniem naukowca, który nadaje się do tego zadania. Czyżby było aż takie trudne? – Owszem, sir. Syree Johnson była niezła, a też sobie nie poradziła. I w dodatku dała się wysadzić. W tym wypadku jest potrzebny ktoś obyty z praktyką, a zarazem genialny od strony teoretycznej. To rzadkie połączenie w świecie naukowym, sir. Dlatego proponuję doktora Thomasa Capelo.

Z reakcji Gordona zorientował się, że to nazwisko nic mu nie mówi. – To kandydat do Nobla, sir, chociaż jeszcze tego oficjalnie nie ogłoszono... Jest młody, ale większość fizyków dokonuje istotnych odkryć właśnie za młodu. Zdobył nagrodę Tabora Phillipsa. Zajmuje się głównie związkiem pomiędzy zjawiskami kwantowymi a prawdopodobieństwem. – Doprawdy? – Tak, sir. Wiadomo, że zaistnienie pewnych zjawisk kwantowych zależy od prawdopodobieństwa. Mogą one wystąpić albo nie. Wiadomo również, że w wypadku części zjawisk da się zmierzyć to prawdopodobieństwo i na przykład powiedzieć, że jest siedemnaście procent szans na to, że x się wydarzy. Albo trzydzieści cztery procent czy ileś tam. Nie potrafimy jeszcze wyjaśnić, dlaczego akurat siedemnaście czy trzydzieści cztery procent, istnieją równania opisujące funkcje prawdopodobieństwa kwantowo-mechanicznego, lecz brak całościowego opisu fenomenu prawdopodobieństwa. Capelo siedzi w tym po uszy. Wysunął teorię, że za wszystkim stoi cząstka bądź wirtualna cząstka.

Kaufman widząc, że wszystko to odbija się od generała, dodał szybko: – Żaden ze mnie naukowiec, sir. Po prostu interesuję się tymi rzeczami. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że jeśli nie wyśle pan tam doktora Capelo, równie dobrze może pan nie wysyłać nikogo. Szczególnie że zbierzemy tęgie razy za najechanie planety, z którą kontakty są zabronione.

Gordon poprawił się na krześle. – „Najechanie” to bardzo mocne słowo, majorze. – To prawda, sir. – Proszę wyjaśnić, dlaczego ten Capelo nie jest oczywistym wyborem? W czym rzecz? – Doktor Thomas Capelo nie jest wojskowym, sir – odparł Kaufman. – To pracownik Uniwersytetu Harvarda z siedzibą w Federacji Atlantyckiej. Do tego uważany za dużego... ekscentryka. Nie każdy lubi z nim współpracować. – Urwał, po czym posta wiwszy na szczerłość, dorzucił: – Właściwie prawie nikt nie lubi z nim współpracować. Capelo uwielbia sarkazm i myśli, że ma zawsze rację. – A ma ją? – Zazwyczaj tak, sir. – Rozumiem. Podrzucił mi pan zgniłe jajo,

majorze. – Tak jest, sir. – W porządku. Wstrzymuję powietrze. No, już może pan się wdać w techniczne szczególiki. Proszę mówić powoli i wyraźnie i wykazać mi czarno na białym, dlaczego ten artefakt miałby posłużyć nam za broń przeciwko Fal terom. I niech pan trzyma wyobraźnię na wodzy. Nawet jeśli nie wyłapię upiększeń od razu, prędzej czy później to zrobię. – Oczywiście, sir...

Lyle Kaufman milczał przez moment. W głowie czuł pustkę. Szczegóły techniczne nie były łatwe do wyjaśnienia, lecz nie na tym polegał jego problem. Nie chodziło też o to, czy zyska aprobatę Gordona. Wiedział, że generał – podobnie jak on – zna się na ludziach i że już postanowił zmontować ekspedycję na Świat. Nie denerwował się więc odmową Gordona. Przeraziła go zgoda przełożonego.

Oraz to, co właśnie osobiście wprawił w ruch.

## 2. Prowincja Tharsis,

**M**ars Gdy komunikator zabrzczał przeraźliwie w wygodnym salonie jego szwagra, Tom Capelo oznajmił:  
– Jeśli to do mnie, nie ma mnie w domu. – Wiadomość przychodząca, w czasie rzeczywistym. Ziemia, Federacja Atlantycka, do doktora Thomasa Capelo. Priorytet: pierwszy – poinformował sucho zintegrowany system domowy. – Nie ma mnie – powtórzył Tom Capelo. – Ani w domu, ani nigdzie. Zniknąłem z tej czasoprzestrzeni. – Tom... – przemówił Martin Blumberg głosem, z którego przebijało znużenie i wyuczona cierpliwość. – ZISYDO, proszę im powiedzieć, że połknął mnie tunel czasoprzestrzenny. – Nie licz na to – sprowadził szwagra na ziemię Martin. – Twój system może by to zrobił, ale mój jest zwyczajny, fabryczny. ZISYDO, proszę łączyć.

Młodsza córka Toma Capelo powiedziała: – Tatusiu, ty wcale nie jesteś w tunelu czasoprzestrzennym. – Po czym zapytała niepewnie: – Prawda? – Połknął mnie i nie chce puścić... Ro-o-o-zpadam się na atomy... – Jeju, nie widzisz, że znowu się wygłupia? – odezwała się starsza córka naukowca, patrząc na siostrę z nieskrywanym obrzydzeniem. – Straszny dzieciuch z

ciebie. – Właśnie że nie! – rozdarła się mała. – Mam skończone pięć lat! – I co z tego? Ja mam dziesięć lat, więc jestem od ciebie dwa razy starsza. – Łączę – poinformował zintegrowany system domowy.

Część ściany salonu, przez którą jeszcze przed momentem było widać zachód słońca na Marsie, zbladła i zaraz rozjaśniła się wizerunkiem mężczyzny o ostrych rysach na tle zaciemnionego pustego pomieszczenia. Wargi mężczyzny poruszyły się i rozległ się jego głos.

Tu doktor Raymond Pellier z Uniwersytetu Harvarda do doktora Thomasa Capelo. Proszę aktywować wizję i fonię. W przekazie wystąpią sześciominutowe przerwy. Proszę o potwierdzenie odbioru bez zbędnej zwłoki. Słyszac oficjalny komunikat, Capelo zaklął: – Dupek. – Tatuś powiedział brzydkie słowo! – zachłysnęła się pięcioletnia Sudie. – Duszek – dodał Capelo z udawanym ciężkim rosyjskim akcentem. – Przestań wariować, tato – rozkazała Amanda. – To żenujące. Jesteśmy obie zażenowane. – Ja nie! – wtrąciła stanowczo Sudie. – A co znaczy: zażenowany?

Martin podniósł się z fotela. – Dziewczynki... Wasz tata ma ważną rozmowę z szefem swojej katedry. Chyba powinien ją odbyć na osobności. Chodźcie, poszukamy cioci Kristen.

Dwoje dzieci popatrzyło w milczeniu na ojca. Capelo odpowiedział na pytanie w ich

oczach:

– Idźcie. Ja tylko powiem temu duszkowi, że się rozpadam na atomy. – Ale tatusiu... – Dobrze, już dobrze. Wiem. Wcale się nie rozpadam. Umiecie popsuć każdą zabawę.

ZISYDO, proszę aktywować wizję i fonię. Ray, potwierdzam odbiór. „Daj głos boleści!” – zacytował „Makbeta”.

Martin ujął bratanice za ręce i wyprowadził je z salonu, zamykając za sobą drzwi. Capelo musiał odczekać dwanaście minut, aż jego wiadomość dotrze na Ziemię i Ray mu odpowie. Czekając, krążył niespokojnie po pokoju, dotykając różnych przedmiotów. Półek z prawdziwymi książkami, wazonu z modyfikowanymi genetycznie kwiatami uprawianymi w ogrodzie w odległej części kopuły, surowego metalowego stołu z surowym blatem z czerwonego marsjańskiego kamienia... Czemu wszystkie meble Kristen są takie ascetyczne? Jego siostra przejawiała zdrowe zamiłowanie do zbytku, kiedy oboje byli dziećmi. A teraz, proszę: książki ustawione w równiutkich rzędkach, kwiatki tkwiące kamie w prostym wazonie. W jej wypadku zamiłowanie do zbytku nagle zniknęło, gdy poślubiła Martina, tego najrozsądniejszego z mężczyzn. Cierpliwego Martina, który znosił wybryki szwagra. Aczkolwiek najpewniej robił to przez wzgląd na dziewczynki. „Stwórzmy im choć pozory normalnego domu”, mówiła mu bez wątpienia Kristen. Nie było w tym nic złego, Capelo także był skłonny wiele poświęcić dla Amandy i Sudie, mógł nawet patrzeć na brzydkie meble siostry. Albo na

Marsa z jego zbyt bliskim horyzontem i obrzydliwie nieodpowiednią grawitacją. Albo z Raymondem Pellierem. Albo z... – Doktorze Capelo — odezwał się mężczyzna będący szefem katedry. – Właśnie otrzymałem wiadomość z Rady Obrony Sojuszu Solamego. Członkini Rady jest już w drodze, aby się z panem spotkać osobiście. Prawdopodobnie zjawi się na miejscu wkrótce po zakończeniu tej transmisji. Kontaktuję się z panem przede wszystkim po to, by uprzedzić pana o jej wizycie. Ponadto chcę pana poinformować, że udzielam panu bezterminowego urlopu, ażeby mógł pan podjąć się misji, którą proponuje panu członkini Rady... – Co takiego? – przerwał szefowi katedry Capelo, mimo że ten miał go usłyszeć dopiero za sześć minut. – Jakiej znowu misji? Nie jestem pieprzonym najemnikiem! – Zdaję sobie sprawę, że dba pan o swoje seminaria ze studentami, i mogę pana uspokoić, że doktor Gerdes przejmie pańskie obowiązki, również te w zakresie opieki nad doktorantami. – Gerdes?! Gerdes?! – pieklił się Capelo. – On by się nie potrafił zaopiekować nawet kimś, kto zgubił drogę w kampusie. – Proszę pozwolić, że dodam jeszcze, iż wszyscy pracownicy uniwersytetu gratulują panu wyboru do misji kluczowej dla losów wojny. Koniec transmisji. – ZISYDO, proszę rozłączyć – warknął Capelo.

I nalał sobie drinka. „Misja kluczowa dla losów wojny”. Co za pierdoły. Rada Obrony zapewne zmontowała z naukowców jeszcze jedną komisję, która wzorem poprzednich będzie miała snuć przypuszczenia na temat kolejnych ruchów Faberów oraz obmyślać najwłaściwszą reakcję ludzi... jak gdyby ktokolwiek był w stanie przewidzieć, co ci skurwiele zrobią. Bez wątpienia Rada zwróciła się do rektora o „topowego fizyka”, elegancką ozdóbkę dla celów public relations wedle zasady: znajđmy sobie jakiegoś noblistę albo przynajmniej kandydata do Nobla, żebyśmy mogli powiedzieć obywatelom Sojuszu Solarnego: „Widzicie, jak się staramy, by was chronić?”. A Ray, ten nadęty biurokrata, wykorzystał okazję, aby podrzucić gorącego ziemniaka – to jest doktora Thomasa Capelo – komu innemu i zapewnić nieco spokoju na wydziale fizyki. Nawet jeśli miało to oznaczać wysłanie go do innego sektora przestrzeni!

Zresztą nieważne. Capelo i tak nigdzie się nie wybierał. Niech kto inny zagra rolę w farsie pod tytułem „Jest szansa na zwycięstwo nad Faberami”. On, jako jeden z nielicznych, był świadom prawdy.

Drzwi się otwarły i w szparze pokazała się głowa Martina. – Tom... masz gościa z Rady Obrony Sojuszu Solarnego. Chcesz ją przyjąć tutaj czy... – W ogóle nie chcę jej przyjmować. – Obawiam się, że będzie pan musiał – rozległ się kobiecy głos. Członkini Rady Obrony zepchnęła Martina z drogi i wkroczyła do salonu: wysoka, najwyraźniej po sześćdziesiątce (choć w czasach powszechnych modyfikacji genetycznych trudno było ocenić czyjs wiek z całą pewnością), o krótkich siwych włosach i w odprasowanym na

kant mundurze. – Dziękuję, panie Blumberg. Może nas pan zostawić samych.

Martin oddalił się posłusznie, zamykając za sobą drzwi własnego salonu, z którego właśnie został wyrzucony przez niespodziewanego gościa.

Capelo odezwał się wreszcie: – Dzień dobry i do widzenia. Przybyła pani, aby mnie zaprosić do udziału w pracach komisji naukowej. Przed chwilą zakończyłem rozmowę z szefem mojej katedry. Przykro mi, ale nie jestem zainteresowany pani propozycją. – Właśnie że jest pan zainteresowany – odparła kobieta. – Nazywam się pułkownik Byars, doktorze Capelo. I zostałam tu przysłana bezpośrednio przez generała Stefanaka. – Fiu, fiu... – zagwizdał Capelo. – Co dotyczy pani mowy i pani samej, pułkownik Byars. Roztacza pani aurę władzy, własnej i generała Stefanaka, to trzeba przyznać. Kłopot w tym, że mnie władza nie imponuje. A gdy ostatnio to sprawdzałem, armia nie rekrutowała naukowców cywilów do swoich prac badawczych. – Mogę usiąść? – Skoro pani musi... – Zechce pan też spocząć? – Jasne. Mogę odmówić, stojąc albo siedząc. Żadna różnica. Rozumie pani, wrodzona cecha przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Po chwili oboje siedzieli. Pułkownik Byars przysunęła swoje krzesło za blisko jak na gust Toma Capelo i na jednym wydechu powiedziała: – W grę nie wchodzi udział w pracach komisji badawczej, doktorze Capelo, a pan nie jest zwykłym cywilem, jest pan niezastąpionym naukowcem o nieprzeciętnej wiedzy i zdolnościach wymaganych właśnie przy tym projekcie, który ma najwyższy priorytet i został oznakowany jako „kluczowy dla losów wojny”, a to oznacza, że może pan zostać powołany na jego potrzeby, co niniejszym się dzieje.

Na co Capelo rzekł: – Ma pani przy sobie przenośny zagłuszacz wywołujący pole Faradaya zdolne objąć nas oboje.

– Zgadza się. Papierki w pańskiej sprawie dopiero są przekładane, więc na razie nie mogę podać wszystkich szczegółów. Powiem tylko, że projekt jest wart pańskiego geniuszu, o którym wiele słyszałam. Rzecz jasna nie zmusimy pana do odkrywania praw wszechświata dla nas, ale nie taję, że z łatwością pana oskarżymy o celowe odmawianie pomocy Sojuszowi Solarnemu w potrzebie, i to w czasie wojny. – I wsadzicie mnie za kratki – dodał Capelo. – Mój Boże... – I wsadzimy pana za kratki – przyznała bez ogródek pułkownik Byars. – Ale do tego chyba nie dojdzie... Po pierwsze, nic w pańskim dossier nie wskazuje na to, aby był pan przeciwny wojnie z Faberami, co więcej, jest jedna rzecz, która może świadczyć, że ma pan bardzo konkretny powód osobisty, aby się z nimi rozprawić na dobre... – Proszę przestać – poprosił Capelo. – Proszę natychmiast przestać... Jak pan sobie życzy. Po drugie, projekt jest szalenie ciekawy i nowatorski i powinien pana zainteresować. Mówimy o prawdziwej fizyce, na styku teorii z

praktyką. – Pani nie jest fizykiem – rzucił Capelo odruchowo. – Nie ma pani nawet podstaw. Nie poznałaby się pani na fizyce teoretycznej, nawet gdyby ta przecięta panią w pół. – Racja. Przekazuję tylko słowa osób, które są fizykami jak pan. – I ma pani zamiar wsadzić mnie za kratki, jeśli odmówię. – Rzeczywiście w razie odmowy musielibyśmy tak postąpić. Ale nie sprawiłoby nam to przyjemności, doktorze Capelo. Niechętny sprawie naukowiec podczas misji wojskowej to obraz daleki od ideału, jak pan zapewne rozumie. Osobiście wolałabym wybrać kogoś chętniejszego do współpracy. – Zdobyła pani parę punktów za szczerść. Ale niezbyt wiele. Nie lubię, gdy się mną manipuluje. – A ja nie lubię manipulować innymi. Wygląda jednak na to, że nie ma nikogo innego, kto mógłby się podjąć tego zadania. – Sądząc po tym, jak pani mi się przygląda od dłuższej chwili, nie pojmuje pani, dlaczego tak jest.

Pułkownik Byars nie odpowiedziała. Capelo wstał i przechadzając się po rozsądnie urządzonym salonie siostry, walczył z chęcią, by czymś rzucić. A to skurwiele... Pierdolone władcze skurwiele... Bufonowate despotyczne skurwiele. Thomas Capelo usiadł nagle na krześle stojącym obok gościa. – Zdziwię panią, pani pułkownik. Zgadza się. – Miło mi to słyszeć. – Bynajmniej. Pani chciała, abym odmówił, dlatego przedstawiła pani wszystko tak zdecydowanie. Pani zasuszona wojskowa dusza naprawdę wolałaby widzieć kogoś innego na moim miejscu. Ale gdzieś nad panią jest fizyk wojskowy, który zna się na nauce lepiej od pani... nawiasem mówiąc, domyślałam się, kto to. Tej osoby warto słuchać. Dlatego się zgadzam, lecz pod dwoma warunkami.

Byars odparła lodowato: – Rada Obrony nie negocjuje warunków współpracy z cywilami, doktorze Capelo. – Tym razem będzie inaczej. Nasza rozmowa jest nagrywana, prawda? Oczywiście, że tak. Jak dotąd przyłapałam panią na próbie dywersji. Proszę nie dodawać do tego celowego odmawiania pomocy Sojuszowi Solarnemu w potrzebie, i to w czasie wojny.

Byars naprawdę była niezła. Nie zripostowała, nie poruszyła nawet szczęką. Jednakże Capelo ujrzał gniew płonący w jej oczach. – Mój pierwszy warunek jest następujący... Proszę potwierdzić, że fizykiem wojskowym, który mnie zarekomendował, jest Vladimir Cherkov. Takie potwierdzenie z pewnością nie pogwałca protokołu bezpieczeństwa. – Zgadza się. Zarekomendował pana doktor Cherkov na prośbę wyrażoną przez wyższych oficerów. – To mnie nie interesuje. Drugi warunek: gdziekolwiek w Galaktyce znajduje się baza tego projektu, moje dwie córki i ich opiekunka pojedą ze mną. – To niemożliwe. – W takim razie pójdę do więzienia.

Wyraz twarzy Byars zmienił się po raz pierwszy od początku rozmowy. – Wziąłby pan dwoje własnych dzieci do strefy działań wojennych?

Capelo odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

Jego śmiech – ostry, gorzki – sprawił, że pułkownik Byars zdawała się wytracona z równowagi. W milczeniu przypatrywała się naukowcowi. – Pyta pani, czybym naraził na niebezpieczeństwo dwójkę dzieci? Zabrał je tam, gdzie czai się wróg? Pozwoli pani, że wyartykułuję to, czego nie dałem pani dokończyć. Powiedziała pani, że mam bardzo konkretny powód osobisty, aby się rozprawić na dobre z Fallerami... Piła pani do śmierci mojej żony podczas ataku Fallerów na Nowy Londyn. Była tam pani może? Nie, zapewne nie. Nowy Londyn jest spokojną kolonią... to znaczy: był spokojną kolonią, bez żadnej armii. Mieścił się na idyllicznej planetce za Tunelem Czasoprzestrzennym Dwieście Sześćdziesiąt Cztery, gdzie moja żona badała obce formy ryb. Była ksenobiologiem... ale po co ja to pani mówię? Przecież wszystko stoi jak wół w moim dossier, nieprawdaż? Fallerowie zaatakowali i moja żona zginęła, podobnie jak niezliczeni ludzie, zarówno wojskowi, jak i cywile, przed nią i po niej. I nikt z Sojuszu Solarnego nawet nie pomyślał, aby nieść jej pomoc w potrzebie, i to w czasie wojny. – Tarcze Obcych... – Są niezawodne, wiem. Wszyscy to wiemy. Dlatego jeśli tylko zdołam rozgryźć, na jakiej zasadzie działają, zrobię to. Bo o to właśnie chodzi w tym projekcie, dobrze mówię? Tylko o to może chodzić. Zatem zgoda, wchodzę w to. Ale proszę mi nie mówić, że dla moich córek jedno miejsce jest bezpieczniejsze od drugiego. Bo ja znam prawdę. Zatem gdziekolwiek mnie wysyłacie, pojedą tam ze mną moje córki. Straciły matkę, nie pozwolę, aby odebrano im ojca. Prędzej dam się zamknąć w ciupie, skąd się upewnię, że mieszkają tuż za murem. Czy wyrażam się jasno, pani pułkownik? – Całkowicie – odrzekła Byars, po czym wstała. – Przekażę pańską odpowiedź. – Mając nadzieję, że przekreśla ona moje szanse, co? No to pani powiem, że nie przekreśli ich. Nic ich nie przekreśli, jeśli naprawdę zarekomendował mnie Vladimir Cherkov. Proszę zrobić rezerwację dla czterech osób. Stolik tuż przy wojnie. – Wyłączam zagłuszacz. – Proszę bardzo. Szerokiej drogi. I proszę się koniecznie odezwać.

Wyszła z salonu sztywna z oburzenia na niego. A może z poczucia wojskowej prawości. Albo... A kogo to, u licha, obchodzi?

Moment później do salonu wpadły Amanda i Sudie. – Twój gość już wyszedł! Możemy zbudować fort? – Pewnie. Poprzewracajcie meble do góry nogami, przekłujcie powłokę kopuły, co tylko chcecie. Ale najpierw chodźcie tutaj i dajcie swojemu tacie buziaka... Ojej, obie smakujecie krnąbrnością! Czyżbyście znowu pływały w podziemnym marsjańskim morzu?

Sudie zachichotała. Amanda skrzywiła się i odparła: – Znów zachowujesz się jak wariat, tato. – Znasz mnie. – Czemu nie możemy mieć normalnego ojca jak inne dzieci? – Bo jesteście szczęściami. Wiedziałem to, jak tylko usłyszałem niebiańskie śpiewy, gdyście przyszły na świat...



Ich rozmowę przerwało pojawienie się lekko zaniepokojonej Kristen. – Tom? Czego chciała ta kobieta? – Niczego, siostrzyczko. Być może jednak będziemy u was krócej, niż myślałem. – Obie dziewczynki głośno wyraziły swój protest. – Tak, to całkiem możliwe. Moja uczelnia zamierza nas wysłać na wspaniałe darmowe wakacje.

### 3. Luna City,

Luna Odziany w skafander kosmiczny major Kaufman przeszedł z wahadłowca do przezroczystej piezoelektrycznej plastikowej kopuły na Lunie. Ostatnimi czasy spędzał większość swoich dni pod zamglonym czerwonym niebem Marsa i już prawie zapomniał, jak wygląda niebo tam, gdzie nie ma atmosfery. Było czarne, zimne, poprzerywane ostrymi i błyszczącymi jak diamenty gwiazdami. Było cudowne.

Nie przyleciał tu jednak, aby podziwiać gwiazdy. Zjawił się służbowo, ażeby powołać do służby cywila. Miała to być – musiała to być – rekrutacja za pomocą perswazji. Z tego, co słyszał, doktora Thomasa Capelo nie tyle przekonano, ile zmuszono. Tymczasem w tym wypadku wymuszenie nie wchodziło w grę, nawet gdyby major był dobry w te klocki, co akurat nie było prawdą. Natomiast perswazja przychodziła mu niemal naturalnie, co często wywoływało zdziwienie, zwłaszcza gdy druga strona się dowiadywała, że ma do czynienia z wojskowym.

Lyle Kaufman nie chciał być żołnierzem. Jednakże major Rady Obrony Sojuszu Solamego, stacjonujący bezpośrednio przy naczelnym dowództwie, nie mógł powiedzieć czegoś takiego głośno. I nie zamierzał tego robić również w rozmowie z Marbet Grant.

W jego rodzinie byli sami wojskowi. Służący od pokoleń w armii Federacji Atlantyckiej. Gdy nadszedł czas, aby siedemnastoletni Lyle Kaufman udał się do college'u, nikt go nawet nie zapytał, czy wybiera się do West Point. To rozumiało się samo przez się i nie miało znaczenia, że obecny West Point nie umywa się do dawnej akademii i tak naprawdę jest tylko filią marsjańskiej uczelni wojskowej ROSS przeznaczoną do szkoleń w podwyższonej grawitacji. Lyle Kaufman, bystry i pracowity, lecz tylko nieznacznie udoskonalony genetycznie, nie mógł nawet myśleć o uczelni matce na Marsie. Również przyjęcie go do West Point nie było takie pewne,

ale z tego zdawał sobie sprawę tylko on – reszta rodziny: rodzice, wuj, siostry i brat wierzyli w niego bez zastrzeżeń, a Lyle nie wyprowadzał ich z błędu.

W głębi swojej poukładanej konwencjonalnej duszy wiedział, że idzie do West Point wyłącznie dlatego, że nie ciągnie go donikąd indziej: nie pragnął studiować żadnej konkretnej dziedziny ani nie marzył o żadnym konkretnym zawodzie. Wiedział też, nie jest to dostatecznie dobry powód, aby zostać oficerem armii. Jednakże zignorował tę wiedzę. Miał siedemnaście lat, był przyjazny i spokojny z natury, a wychowanie nie uczyniło zeń myśliciela. Z pewnością nie rozmyślał wiele o życiu i swoich wyborach. A dobry żołnierz robi to, czego się od niego oczekuje.

Zanim Lyle Kaufman zaczął się zastanawiać nad swoim życiem, był już w stopniu kapitana. Z niejakim zdziwieniem stwierdził, że awansował tak łatwo, ponieważ robił to, co mu kazano, najlepiej, jak potrafił, nie wykazując się ani specjalnym entuzjazmem, ani oporami. Był taki zarówno na polu walki, jak i poza nim. Do pewnego stopnia czuł się z tym źle; uważał, że powinien być bardziej zaangażowany zwłaszcza w wypadku decyzji, które przesądzały nie tylko o jego życiu, ale też o życiu innych ludzi. Wszelako nie potrafił się w pełni zaangażować. Wykonywał przydzielone mu zadania, starając się spisać jak najlepiej. Pozostali oficerowie zdawali się to szanować, aczkolwiek on sam miał wrażenie, jakby się poruszał na automatycznym pilocie, nie różniąc się wiele od skomplikowanego komputera. Po udziale w kolejnych walkach został majorem.

W pozostałych aspektach życia wykazywał się podobnym spokojem i kompetencją. Umawiał się z kobietami, sypiał z nimi, niektóre lubił bardziej niż inne, lecz z żadną się nie żenił. Z zainteresowaniem czytywał czasopisma naukowe, szczególnie z zakresu fizyki, nie myślał jednak o studiowaniu tej dziedziny nauki na poważnie, ponieważ brakowało mu odpowiednich wiadomości z matematyki. Uważał swoją funkcję doradcy przy Radzie Obrony Sojuszu Solamego za wystarczająco satysfakcjonującą. Zapoznawał się z różnymi materiałami i czynił rekomendacje z niezmienną solidnością a czasem wykazywał się dyplomacją gdy w komisji doradczej ścierały się różne interesy narodowe czy różne wizje militarne. Bawił się w politykę, ponieważ było to nieuniknione, lecz nie uprawiał partyzantki ani nie oddawał się zemście czy zdobywaniu wpływów. Spodziewał się, że w swoim czasie zostanie pułkownikiem.

Po raz pierwszy wykazał inicjatywę, wspierając doktora Dietera Grubera w jego namiętnych wysiłkach mających doprowadzić do powrotu na planetę, którą nazywał Światem, w celu odkopania artefaktu, na który mówił „wehikuł prawdopodobieństwa Obcych”.

Gruber nie potrafił w nim żadnej czulej struny. Właściwie niemiecki geolog zaliczał się do rodzaju ludzi, jakich Kaufman nie cierpiał: był

hałaśliwy, stronniczy, zacięty. Jego pasja również nie przemawiała do majora. Wojskowi często są pasjonatami, zwłaszcza w czasie wojny. Jedyne, co fascynowało Lyle'a Kaufmana, to historia, którą przywiózł ze sobą Gruber. I wiążąca się z nią niesamowita fizyka. No i możliwość odkrycia nowej broni. A także pragnienie, którego Kaufman dotąd nawet sobie nie uświadamiał — ażeby przyczynić się, choćby troszkę i zza kulis, do znaczącego odkrycia naukowego. Major Lyle Kaufman traktował naukę jak sport, który się ogląda, zamiast uprawiać, lecz w jego wypadku tylko ten sport go interesował.

A teraz na Lunie właśnie miał stanąć oko w oko z... nie, nie z gwiazdą tego sportu. Raczej z jego wynikiem. Chyba.

Marbet Grant czekała na niego przed kopułą, ale już za śluzą, całkiem sama. Kaufman zdjął hełm. – Witam, panno Grant. – Dzień dobry, majorze Kaufman.

Swoim rozmiarem pasowała do otoczenia. Wszystkie moduły mieszkalne i robocze na Lunie znajdowały się pod powierzchnią, gdzie nie groziło im ciągłe bombardowanie meteorytów. Kopuła służyła za drzwi windy, obserwatorium, recepcję dla gości oraz coś w rodzaju ogrodu wszystkim ośmiu tysiącom mieszkańcom Luny, populacji złożonej głównie z pracowników naukowych, techników, wojskowych i ich rodzin. Liczba mieszkańców była na tyle niska, że kopuła mogła być niewielka, a przy tym podzielona na części, w tym bunkry, place zabaw dla dzieci, tereny sportowe (ciekawe dla kogo?) oraz „ogród”, gdzie czekała na niego Marbet Grant.

Która też była niewielka i ulizana. W ogrodzie można było zobaczyć starannie zagrabiony piach, parę ozdobnych głązów i ławek oraz rozrzucone z rzadka grządki ze zmodyfikowanymi genetycznie kwiatami wyhodowanymi ze świetnie sobie radzących w ciemnościach grzybów. Na niziutkiej i szczupłutkiej Marbet Grant widać było białą tunikę i takie same spodnie bez żadnych upiększeń, jeśli nie liczyć zgrabnej budowy ciała wyzierającej spod materiału. Kobieta miała wysokie kości policzkowe ostre niczym nóż i rozdzielone szerokim przypłaszczonym noskiem. Jej skóra mieniła się czekoladowo, oczy szmaragdowo, a krótko ścięte włosy kasztanowo. Kaufman w życiu nie widział osoby, która miałaby więcej modyfikacji genetycznych. Ta kobieta była nie mniej sztuczna niż otaczający ją habitat, w którym brakowało wody i ziemi uprawnej.

Powiedział do niej: – Dziękuję, że zgodziła się pani na to spotkanie. – Woli pan zejść pod ziemię czy zostać tutaj? To, zdaje się, pańska pierwsza wizyta w Luna City?

Skąd ona to wie? Uznał, że to równie dobry początek rozmowy jak każdy inny. – Skąd pani to wie, jeśli wolno spytać? – Uśmiechnęła się tylko, co wystarczyło mu za odpowiedź. – Zostańmy tutaj. Ma pani rację, nigdy

wcześniej nie byłem w Luna City, ale nie planuję wycieczki. Wolę wyjawić pani cel mojej wizyty. Chyba że na ten temat również już pani wszystko wie?...

Choć umyślnie użył żartobliwego tonu, nie złapała przynęty. Podprowadziła go do ławki wykutej z księżycowej skały za pomocą lasera. Skafander Kaufmana zdążył się przystosować do wysokiej temperatury panującej pod kopułą, jednakże major nadal nie mógł się przyzwyczaić do panującego tu ciężenia, które wynosiło połowę marsjańskiego. Marbet Grant najwyraźniej ono nie przeszkadzało, o czym świadczyła zwinność, z jaką podwinęła nogi pod siebie, przysiadając na ławce i zamieniając się w zgrabną rzeźbę na tle kamienia. – Nie, majorze – odparła. – Nie wiem, co pan myśli. W żadnym razie nie jestem telepatką. Może się więc pan nie obawiać mentalnego podsłuchiwanie. – Z tego, co czytałem, to nie do końca prawda. Myśli znajdują odzwierciedlenie w mimice i tak dalej. Wyjątkiem są jedynie dobrzy aktorzy. A ja z kolei nie jestem aktorem. – Nie jest pan... – uśmiechnęła się ponownie.

Kaufmanowi podobała się jej szczerść. – Czy zatem moja obecność mówi pani, że czegoś od pani chcę? – O, tak. – Ale nie wie pani, co to jest? – Nie należy mieć wygórowanych oczekiwań w stosunku do mowy ciała.

Przez chwilę otwarcie się przyglądali sobie nawzajem. Kaufman zdawał sobie sprawę, że Marbet Grant dostrzega znacznie więcej niż on, i starał się to ignorować. Taką już miała naturę. Po to została stworzona.

W całej historii ludzkości zdarzały się osoby szczególnie wrażliwe na innych, zdolne odczytywać ich stany umysłu. Historycy utrzymywali, że umiejętność ta z czasem przerodziła się w cechę decydującą o być albo nie być jednostki, zwłaszcza wśród klas niższych. Życie niewolników, służących, kobiet, poddanych mogło zależeć od prawidłowego odczytania nastroju ich panów.

Zdaniem ewolucjonistów ładnie wpasowywało się to w teorię darwinizmu. Przeżywały jednostki najwrażliwsze, zdolne zaadaptować się do oczekiwań innych ludzi dzięki temu, że były w stanie przewidzieć te oczekiwania.

Psycholodzy i socjolodzy zajmowali się drobnymi nieświadomymi sygnałami świadczącymi o emocjach i zamiarach człowieka, takimi jak minimalne zmiany w mimice, gesty, intonacja głosu, temperatura ciała. Antropolodzy odnajdowali jednostki instynktownie wyczulone na te sygnały we wszystkich kulturach i społeczeństwach.

Wszelako dopiero genetycy przypisali ową wrażliwość określonym genom, a raczej niezwykle subtelnym, lecz dającym się zidentyfikować połączeniom między poszczególnymi genami. Potem niewielka grupa inżynierów genetycznych zamieniła teorię w praktykę, wykorzystując jedyne dostępne obiekty badań: własne dzieci. Naukowcy ci wierzyli, że

zwiększają szanse przeżycia swego potomstwa nie mniej niż w wypadku wzmocnionych mięśni, inteligencji czy urody cieszących się popularnością zwłaszcza wśród bogaczy. Nie do końca mieli rację. Instynktowne rozumienie sąsiada bywa przydatne, ale wywołuje niepokój tegoż sąsiada. Większość ludzi nie chce być rozumiana. Woli, by ich uczucia i zamiary pozostały tajemnicą.

Odkąd Wrażliwcy zaczęli się cieszyć złą sławą i stali się ofiarami zbrodni popełnianych z czystej nienawiści do nich, przestali się przyznawać do swych wyjątkowych zdolności i starali się uciekać w anonimowość. Marbet Grant, córka szukającego popularności doktora Erika Granta, przeniosła się na Księżyc. Teraz powiedziała do Kaufmana: – Majorze, skończmy z tą szermierką słowną. Czego pan ode mnie chce? – Chcę, żeby się pani udała na wyprawę naukową do odległego zakątka Galaktyki. W jej skład będą wchodzić uczeni i wojskowi. Odkryliśmy coś, co bardzo nas zainteresowało, i organizujemy ekspedycję, aby to zbadać. – Do czegoś takiego nie jest potrzebny Wrażliwiec – stwierdziła.

Kaufman zauważył, że użyła tego słowa – do niedawna neutralnego, lecz od pewnego czasu negatywnego za sprawą uprzedzeń – ironicznie. – To prawda – przyznał. – Istnieje jednak szansa, zaledwie szansa, że w ręce ekspedycji wpadnie pierwszy żywy Faller. Chcemy, aby w takim wypadku była pani na miejscu i zinterpretowała to, co zrobi i powie.

Udało mu się ją zadziwić. – W ciągu dwudziestu lat wojny nie złapano ani jednego żywego Fallera. – Zgadza się. Ani jednego żywego Fallera, ani jednego okrętu Fallerów. Gdy powstaje ryzyko pojmania, wysadzają siebie, swoje okręty, kolonie, cywilów. O ile są wśród nich jacyś cywile... – Nie było też żadnej skutecznej próby komunikacji z nimi, dobrze mówię? – Dobrze.

Ludzkość nie miała pojęcia, dlaczego znalazła się w stanie wojny. Fallerowie nie przedstawiali swoich warunków, nie prowadzili negocjacji, nie wysuwali ostrzeżeń ani się nie poddawali. Z punktu widzenia ludzi byli zdolni tylko do dwu czynności: zabijania i umierania. – W takim razie jak... – O tym nie mogę z panią rozmawiać. Istnieje plan, który zadziała albo nie. Gdyby zadziałał, pani obecność tam byłaby wskazana. W celu umożliwienia komunikacji. – Musi pan wiedzieć, majorze, że sygnały niewerbalne są ściśle powiązane z przynależnością gatunkową, a w wypadku ludzi również kulturową. Mnie dobrze wychodzi odczytywanie zachowań człowieka. A także, dzięki obserwacji oraz licznym próbom i błędom, zachowań niektórych Obcych. Tylko że ci Obcy mają DNA bardzo podobne do naszego. No wie pan, teoria galaktycznego siewu... Znacząca część naszych zachowań jest zdeterminowana genetycznie. Zwęglone szczątki poległych Fallerów powiedziały nam wyraźnie, że nasz wróg nie zalicza się do galaktycznej rodziny. Dlatego nie ma podstaw uważać, że poradzę sobie z jego rozszyfrowaniem lepiej niż pierwszy lepszy człowiek. Na przykład pan.

Kaufman się uśmiechnął. – Dziękuję za komplement. Plan, o którym wspomniałem, zakłada, że będzie pani mogła prowadzić obserwację oraz stosować metodę prób i błędów tak jak w wypadku zwyczajnych badań. Czy to nie będzie fascynujące doświadczenie, panno Grant? Zechce pani od razu się spakować i udać ze mną?

Marbet Grant zaśmiała się głośno i dźwięcznie, co było zaskakujące przy jej drobnej sylwetce, – Od początku wiedział pan, że się zgodzę. Jest pan swego rodzaju Wrażliwcem, majorze. – Nie, panno Grant. Nie przejawiam żadnych szczególnych zdolności.

Przyglądała mu się przez długą chwilę. – Pan naprawdę w to wierzy.

Kaufman nie odpowiedział. Mogła sobie być Wrażliwcem, lecz to on lepiej znał tajniki swego umysłu. Marbet Grant potrafiła odczytywać tylko zewnętrzne oznaki. A jednak w wypadku Fallerów być może to będzie musiało wystarczyć.

## **4.**

### **Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard**

– Kto jest już na Marsie? – zapytał generał Gordon.

Znowu karmił i poił to, co mieszkało w klatce z siatki stojącej w jego podziemnym bunkrze. Lyle Kaufman zastanawiał się, jakie zwierzę potrafi przeżyć pod ścinkami plastiku. Jak dotąd nigdy nie widział, aby strużyny choćby się poruszyły. – Przybył doktor Capelo z dziećmi i ich opiekunką. I Marbet Grant. Oraz Dieter Gruber z żoną, doktor Anną Sikorski, ksenobiologiem wyprawy. Ta ostatnia była uczestniczką pierwotnej ekspedycji i doskonale zna język Światan. Nawet lepiej niż jej mąż.

Gordon pokazał zęby w uśmiechu, nie wypuszczając z dłoni konewki. – Coś nie lubi pan tego Grubera, majorze... – To bez znaczenia, sir – odrzekł sucho Kaufman. – Pewnie tak... – Nagle jakby coś sobie uświadomił. – Skoro kontakty z tą planetą są zakazane, a ludzie są na niej niemile widzianymi gośćmi, cywilny ksenobiolog nie będzie tam miał wiele do roboty... – Uwadze Kaufmana nie umknęło subtelne rozróżnienie, którego właśnie dokonał generał. Gdyby sekretna misja się powiodła i w ręce wojskowych wpadłby żywy Faller, armia zapewniłaby własnego ksenobiologa. Tymczasem Gordon kontynuował: – Rozkazy... wydane bardzo niechętnie,

na co zwracam pańską uwagę, majorze... brzmią następująco: minimum kontaktów z tubylcami, którzy nas u siebie nie chcą. Trzymajcie się od nich z daleka i trzymajcie ich z dala od naszej misji.

Kaufman poczuł niemiły ucisk w żołądku. Postanowił go zignorować. – Sir, z tego, co wiem, trzeba będzie odszukać co najmniej jednego tubylca i nawiązać z nim kontakt. Ta Światanka była blisko z poprzednim zespołem antropologów, a zwłaszcza z Anną Sikorski, i... – Przedstawiłem tylko stanowisko dowództwa, majorze. Pan będzie podejmował decyzje na bieżąco w zależności od rozwoju wypadków. – Ale ja... – Kto jeszcze tu jest? – Drugi fizyk, zarekomendowany przez doktora Capelo. Niejaka Rosalin da Singli z Uniwersytetu Cambridge z siedzibą w Federacji Atlantyckiej. Nadal czekamy na fizyka wojskowego przydzielonego przez naczelne dowództwo, to jest na kapitana Harolda Albemarle'a, oraz na technika speleologii. Wahadłowiec właśnie przycumował. Dostaliśmy okręt Alan B. Shepard komandora Matthew Graftona. – To dobry dowódca. – Okręt jest gotowy do inspekcji. Komandor Grafton stawi się u pana o czternastej. Potem będzie mógł wyruszyć, kiedy tylko pan sobie zażyczy. – Chciał pan powiedzieć: kiedy pan sobie zażyczy, majorze. – Ja? – zdziwił się Kaufman. Ucisk w żołądku wzmógł się; tym razem nie sposób go było zignorować. – Tak, pan. Został pan wyznaczony na dowódcę ekspedycji.

Kaufman zareagował błyskawicznie. – Nie prosiłem o to. – Wiem, że pan nie prosił. I nie mogę pana za to winić. Będzie miał pan pod sobą bandę przeklętych nieudaczników i kowbojów, a jeśli doktor Capelo niczego nie odkryje albo robiąc wykopki, namiesza w tej preindustrialnej cywilizacji na Świącie, pańska kariera będzie skończona. Przykro mi, majorze. Paskudnie się z tym czuję. Ale nie mam lepszego człowieka do tej roboty. – Ale sir!... Z całym szacunkiem, jak pan mógł dojść do podobnego wniosku? Nie mam wystarczająco wysokiego stopnia. – Już pan ma. Awansowałem pana dzisiaj rano na pułkownika według procedur pola walki. W gruncie rzeczy ma pan kwalifikacje jak się patrzy. Po pierwsze, jako jedyny na całym Marsie wierzy pan w historyjkę Dietera Grubera mówiącą, że Świat skrywa pod swoją powierzchnią coś wartościowego. Po drugie, zna się pan na fizyce bardziej niż ktokolwiek inny, nie licząc fizyków, a z tego, co się nasłuchałem, oni wszyscy mają nierówno pod sufitem. Po trzecie wreszcie, umie pan spojrzeć na sprawę pod różnymi kątami. W oczach niektórych czyni to z pana chorągiewkę na wietrze. Podejrzewam, że pan sam uważa się za kogucika na dachu. Ja jednak widzę w panu człowieka, który zdoła zapanować nad tą bandą wariatów. Uchroni pan tę całą donkiszotowską ekspedycję przed pójściem za daleko w którymkolwiek kierunku.

Kaufman odparł kwaśno: – Jest pan pierwszym znanym mi generałem, który zna słowo „donkiszotowski”, sir.

Gordon odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. – A to dobre, majorze! Cha, cha! – Co pan trzyma w klatce, sir? – A co pańskim zdaniem tam jest, pułkowniku? – Moim? Nic. Sądzę, że karmi pan i poi pustą klatkę, żeby pańscy goście mieli o czym myśleć, a przy okazji czym się denerwować. Co też pan złapał i trzyma w niewoli... – Ponownie ma pan rację, pułkowniku. Nie pomyliłem się co do pana i dokonałem właściwego wyboru. No, lepiej niech się pan już zbiera, zespół czeka na pana. – Odwracającego się do wyjścia Kaufmana powstrzymały ostatnie słowa przełożonego. – Jeszcze jedno, pułkowniku... – Słucham, sir. – Nowo mianowany dowódca ekspedycji na Świat wyprężył się na baczność, robiąc nieszczęśliwą minę. – Powodzenia!

\* \* \*

W pierwszy dzień spędzony na pokładzie okrętu Kaufman zorganizował wieczorek zapoznawczy zespołu projektu specjalnego. Komandor Grafton zapewnił dostęp do kambuza oraz pokładu obserwacyjnego, skąd można było podziwiać zapierający dech w piersiach widok na Marsa podczas schodzenia okrętu z orbity. Alan B. Shepard z najwyższą prędkością kierował się ku wrotom Tunelu Czasoprzestrzennego #1 – owego tajemniczego obiektu, który krążył na obrzeżach Układu Słonecznego, aż za Neptunem.

System tuneli czasoprzestrzennych odkryto przed pięćdziesięcioma sześcioma laty. Dzięki niemu Galaktyka zaczęła przypominać spore miasto, którego dzielnice łączy sieć autobusowa z wrotami zamiast przystanków. Wystarczyło podjechać swoim autobusem do najbliższych wrót, przebyć tunel i voila! – człowiek wyłaniał się na dworcu położonym na skraju innego układu gwiazdowego. Wróciwszy do tego samego tunelu, przedostawał się do punktu wyjścia, chyba że ktoś inny zdążył skorzystać z tej drogi. Wówczas najczęściej trafiało się tam, gdzie bezpośredni poprzednik. Była to więc do pewnego stopnia inteligentna sieć autobusowa, która decydowała o kierunku jazdy pasażerów.

Niektóre układy gwiazdowe posiadały trzy, a nawet cztery tunele czasoprzestrzenne, lecz Układ Słoneczny mógł się poszczycić tylko jednym. Najwyraźniej obca rasa, która skonstruowała ten system, nie miała o naszym układzie planetarnym wysokiego mniemania.

Tymczasem Układ Słoneczny wyrósł na potęgę. Badając tunele, ludzkość dokonała dwóch zdumiewających odkryć. Pierwsze polegało na tym, że wszystkie rozumne rasy Galaktyki, jak również zdecydowana większość występującego w niej życia nosi to samo DNA co ludzie. Gdzieś



kiedyś doszło do „siewu” na nieopisaną skalę, aczkolwiek kto był siewcą, nadal pozostawało tajemnicą. Drugie dotyczyło wyższości technologicznej ludzkości nad resztą ras – to znaczy dopóki nie pojawili się Faberowie, którzy natychmiast przypuścili milczący atak.

Odkrycie Tunelu Czasoprzestrzennego #1 wstrząsnęło posadami borykającego się z licznymi problemami Układu Słonecznego. Zaczęto uprawiać nowe dyscypliny nauki, takie jak choćby ksenobiologia, organizować międzygwiazdne poszukiwania skarbów oraz kręcić holofilmy pod różowym czy żółtym niebem. Myśliciele ostrzegali, że ludzkość nie jest gotowa na kolonizację wszechświata, skoro nie uporała się z kłopotami na własnym podwórku. Oczywiście nikt ich nie słuchał. Zamożni bogacili się na nowych inwestycjach; biedakom nadal powodziło się tak samo źle; na Ziemi dochodziło do kolejnych tragedii ekologicznych. Wszystko było i zarazem nie było takie samo.

Pierwsze lata były pasmem sukcesów i porażek. Doświadczenia wykazały, że statek kosmiczny – bądź jakikolwiek inny przedmiot – umieszczony w tunelu czasoprzestrzennym po raz pierwszy, przenosił się tam, gdzie udał się jego bezpośredni poprzednik. Natomiast statek kosmiczny, który skorzystał z tunelu w jedną stronę i potem chciał wrócić, automatycznie przenosił się do punktu wyjścia bez względu na to, ile innych statków go poprzedzało. Jakimś sposobem – co było najczęściej używanym przez ludzi wyrażeniem, gdy przychodziło do opisywania technologii tuneli czasoprzestrzennych – każdy tunel „zapamiętywał” miejsce, w którym dany statek rozpoczął podróż. Była to kosmiczna wersja planszy do gry w węże i drabiny.

Mimo upływu ponad półwiecza ludzkość nadal nie wiedziała, na jakiej zasadzie działają tunele czasoprzestrzenne. Jak najbardziej fizyczne wrota unoszące się w pustce przestrzeni kosmicznej niczym gigantyczne pączki zdawały się nieprzeniknione dla nauki. Stojąca za nimi technologia była całkowicie obca. Najsensowniejsza teoria mówiła, że obiekty będące wrotami powodują splątanie w świecie makro, analogiczne do stanu splątania na poziomie kwantowym, które umożliwia oddziaływanie jednej cząstki na drugą bez względu na dzielącą je odległość, tym samym likwidując wymiary wszechświata i sprowadzając czasoprzestrzeń do jednego punktu. Ale była to tylko teoria. Osiągnięcie stanu splątania w wypadku przedmiotów wielkości statku kosmicznego – pozostawiając na boku kwestię kontroli tego procesu – pogwałcało tyle obowiązujących zasad fizyki, że utarczki na łamach czasopism naukowych przypominały raczej wojny gangów. Tylko jedno nie ulegało kwestii: tunele czasoprzestrzenne działały.

Alan B. Shepard miał lecieć do wrót kilka dni, po czym w niecałą dobę pokonać resztę drogi za pomocą tuneli czasoprzestrzennych, by w końcu

dotrzeć do układu gwiazdowego ze Światem. Naturalnie później zespołowi badaczy przyjdzie spędzić razem wiele tygodni. Kaufman liczył, że wieczorek zapoznawczy umożliwi dokonanie w przyjemnej rozluźnionej atmosferze wzajemnej oceny charakterów i zdolności.

Impreza zakończyła się spektakularną klapą.

Doktor Rosalinda Singh, fizyczka zarekomendowana przez Thomasa Capelo, pierwsza dołączyła do pułkownika na pokładzie obserwacyjnym. Była niską siwowłosą kobietą po sześćdziesiątce, dość krzepką, by mogło to sugerować ingerencję w jej genom, aczkolwiek bez żadnych widocznych oznak modyfikacji. Jako pracownik naukowy Uniwersytetu Cambridge z siedzibą w Federacji Atlantyckiej nigdy nie miała okazji podróżować poza Układ Słoneczny. Kaufmanowi wydała się niezwykle cywilizowana. Podobał mu się jej precyzyjny, melodyjny brytyjski akcent oraz powściągliwość, którą okazywała. Gawędzili o widoku, muzyce, warunkach życia na Świecie.

Drugi zjawił się Capelo, prowadząc za ręce obie córki. Kaufman nie spodziewał się obecności dzieci na przyjęciu; sądził, że zostaną w swoich kajutach pod okiem opiekunki. Nie pochwalał decyzji naukowca, by ciągnąć dwie dziewczynki w strefę działań wojennych, ale nie dał po sobie niczego poznać. Zachował dla siebie również to, że nie przepada za małymi dziećmi. – Pułkowniku, to moje córki: Amanda i Sudie. Dziewczynki, przywitajcie się z panem pułkownikiem. – Dzień dobry – odezwała się starsza. Wysoka chuda blondyneczka z długimi włosami. – Nie chcę się witać – zajęczała młodsza. Nie była ani trochę podobna do siostry i ojca. Tak jak Capelo miała ciemne włosy i śniadą cerę, o ile jednak on był szczupły, nie za wysoki i dość nerwowy, ona przypominała cielistą kulę świeżo wyrobionego ciasta. – Miło mi was obie poznać – rzekł nieszczerze pułkownik. – Pozwolicie, że przedstawię wam panią doktor Singh?

Starsza dziewczynka się uśmiechnęła i odwzajemniła uścisk dłoni. Kaufman pomyślał, że jak na dziecko jest całkiem znośna. Tymczasem jej młodsza siostra wyduła dolną wargę i zmarszczyła brwi. – Witaj, Tom... – powiedziała do ich ojca doktor Singh. – Dobrze cię znów widzieć. Cieszę się na naszą współpracę. – Ja również, Rosalindo – odparł Capelo i nic nie wskazywało na to, aby kłamał.

Kaufman poczuł ulgę. Może Rosalinda Singh będzie miała zbawienny wpływ na zapalczego fizyka.

W tym momencie podeszła do nich Marbet Grant. Jako jedyna – poza Kaufmanem, który włożył mundur galowy – była ubrana na wieczorowo. Miała suknię z cienkiego zielonego materiału pod kolor oczu, jakby falującą przy każdym jej ruchu. Dziewczynki zareagowały spontanicznie. – Och, jaka pani jest ładna! – wykrzyknęła Sudie. Zmarszczka na jej czole wygładziła się, gdy dotykała materiału sukni. – Sudie, tak nie wolno – upomniał córkę Capelo.

– Mnie to nie przeszkadza – rzekła wesołym tonem Marbet. – Pan to pewnie doktor Capelo. A to muszą być Amanda i Sudie... – Skąd pani zna nasze imiona? – zapytała Sudie i zaraz powiedziała do ojca: – Tatusiu, chcę taką suknię!

Kaufman wcielił się w rolę gospodarza i dokonał stosownych prezentacji, lecz oczywiście wszyscy już słyszeli o Marbet. Znał ją każdy mieszkaniec Układu Słonecznego. Pułkownik był szczególnie zainteresowany jej pierwszym spotkaniem z fizykiem. Na wszelki wypadek przedstawił pannę Grant jako „psychologa wyprawy”. – Nie wierzę w psychologię – obwieścił głucho Capelo.

Marbet nie sprawiała wrażenia urażonej. – Nawet w tę opartą na fizjologii? – Jeśli opiera się na chemii i można uzyskać powtarzalne wyniki w określonych warunkach, to tak, w taką psychologię wierzę. To prawdziwa nauka. Nie wierzę w opisowe teorie dotyczące umysłu. – Aha – stwierdziła tylko Marbet. – Ponieważ to wszystko bajki – kontynuował Capelo. – Począwszy od wujka Droselmeyera Freuda, a skończywszy na lady Godivie Jennings, którzy rozbierali umysł jakiegoś biedaka na czynniki pierwsze, analizując jego świadomość warstwa po warstwie. Naturalnie za niebagatelną opłatą.

Amanda zwróciła się do Marbet: – Proszę się nie przejmować moim tatą. On zawsze jest okropny wobec osób, które lubi. – Zostałem zdemaskowany przez własne dziecko. Amando, wiesz przecież, że to nieprawda. Jestem okropny wobec wszystkich, nieważne, czy ich lubię czy nie. Rosalinda może to potwierdzić. – A dla ciebie jest okropny? – zapytała Marbet. – Koszmarne! – odparła Amanda z szerokim uśmiechem. – Zatruiła mi życie. – Taaa – potwierdziła pięcioletnia Sudie, wciąż trzymając ojca za rękę. – Zostałem zdemaskowany przez oboje własnych dzieci – poskarżył się Tom Capelo. – No dobra, idziemy do słuzy. Widać nie powinienem być ojcem.

Dziewczynki go zignorowały. Amanda dalej rozmawiała z Marbet. – Pani jest sławna. Widziałam panią w Necie. – Dziewczęta, miejcie choć odrobinę godności – wtrącił Capelo. – Nie klękajcie na widok sławy. Pamiętajcie, że wywodzicie się z szacownej rodziny miernot.

Marbet się roześmiała. Nie odrywała spojrzenia od fizyka, a Kaufman zastanawiał się, co w nim widzi. On dostrzegał mężczyznę nie czującego się dobrze w towarzystwie i pokrywającego swoje zmieszanie kpina i szyderstwem. Aczkolwiek – jako że kpina i szyderstwo były jego drugą naturą – być może towarzystwo nie miało z nimi nic wspólnego.

Troje ostatnich gości zjawiało się równocześnie ze stewardami podającymi do stołu. Kaufman zaprowadził wszystkich do mesy, gdzie czekał na nich stół nakryty białym adamaszkiem i oficerskim serwisem. Rozległy się ochy i achy.

Doktor Anna Sikorski, ksenobiolog, zajęła miejsce pomiędzy Marbet i Kaufmanem. Jej mąż, doktor Dieter Gruber, inicjator całej tej ekspedycji, zasiadł naprzeciwko, obok córek fizyka. Geolog okazał się potężnie zbudowanym, walącym prosto z mostu mężczyzną, który zrzędzeniem losu dostał geny germańskiego wojownika: miał jasne włosy, niebieskie oczy i wspaniałą muskulaturę. Sudie Capelo tylko rzuciła na niego spojrzeniem i od razu się rozpłakała. – Nie chcę siedzieć obok tego Malora! – ryczała. – Jest marudna od rana – przeproszał za córkę Capelo. – Chodź tu, Sudie, usiądź mi na kolanach. – Nnnnnnnnnnie! – wyła dziewczynka.

Gruber wyglądał na zaskoczonego. – Co ja takiego zrobiłem? I co to w ogóle jest „Malor”?

Wargi Toma Capelo zadrgały. – Malorowie to panowie ciemności z jej ulubionego programu. Cóż, nie wszyscy mogą być piękni, Dieterze.

Sudie łkała, czepiając się ramienia ojca, jakby jej świat legł w gruzach. Z nosa ciekły jej smarki. Gruber – z wyrazem tyleż obrzydzenia co determinacji – pochylił się ku niej i rzekł z wymuszoną serdecznością: – Nie płacz, Liebchen. Widzisz, ja nie gryzę. Przynajmniej takich ładnych małych dziewczynek jak ty...

Sudie rozwrzeszczała się jeszcze bardziej. Capelo zwrócił się do Amandy: – Zawołaj Jane, niech zabierze małą. Po prostu jest zmęczona. Będzie znów sobą, jak się wyśpi.

– Zawsze byłem zdania – odezwał się nagle Harold Albemarle – że wiktoriańskie zasady miały sens. „Dzieci i ryby głosu nie mają”. Zwłaszcza na okręcie wojennym, gdzie właściwie w ogóle nie ma miejsca dla nieletnich.

Capelo zrobił dziwną minę. Zanim jednak coś powiedział, Marbet Grant go ubiegła. – Haroldzie, nie masz pojęcia, o czym mówisz. To, że sam miałeś nieszczęśliwe dzieciństwo, nie daje ci prawa do wyśmiewania się z biednej Sudie, która jest po prostu zmęczona. – Wszyscy wpatrzyli się w Marbet, która dalej jakby nigdy nic smarowała chleb masłem. Harold wybuchnął: Skąd u licha możesz wiedzieć, jakie miałem dzieciństwo?! A, już rozumiem... Uciekłaś się do swej słynnej wrażliwości, żeby zaimponować naszemu fizykowi! Otóż wiedz, że pomyliłaś się co do mnie... – Nie, nie pomyliłam się – rzekła spokojnie Marbet. – Lepiej nie próbuj mnie okłamywać.

Albemarle podniósł się z miejsca. – Zechce pan wybaczyć, pułkowniku. W kajucie czeka na mnie niedokończona praca. – To powiedziawszy, energicznie opuścił mesę.<sup>27</sup>

– Ojej, chyba nie powinnam była mu tego mówić — stwierdziła Marbet. — Może pójdę go przeprosić... Co ty na to, Lyle? – Daj mu najpierw chwilę, żeby zdążył ochłonąć – odparł Kaufman, zastanawiając się gorączkowo, co to właściwie było. Marbet Grant była nazbyt doświadczona, aby liczyć, że Albemarle przyjmie wszystko za dobrą monetę.

Tom Capelo również ją przejrzał. – No pięknie, Marbet. Skupiłaś całą uwagę Harolda na sobie, a w dodatku go stąd przepędziłaś, zanim doszło między nami do poważniejszej wymiany zdań. Zawsze się mieszasz w sprawy innych? Jesteś jedną z tych groźnych dla otoczenia osób, które za wszelką cenę starają się utrzymać spokój? – Nie – odpowiedziała Marbet, skubiąc zębami pieczywo.

Capelo wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem. – Nie pogrywaj ze mną, lady Wtrącaczko. – Tato – upomniała go Amanda – zostaw pannę Grant w spokoju. Lubię ją.

Capelo odwrócił się do swojej starszej córki. Amanda patrzyła mu prosto w twarz z zaciętą miną.

– Zdrajczynie we własnych szeregach – orzekł. – A niech to, znowu przegrałem z powodu solidarności kobiet. No dobrze, złotko, zostawię ją w spokoju. Panno Grant, żałuję, że wtrąciła się pani pomiędzy Harolda i mnie. – A ja nie żałuję – powiedziała Marbet, na co Capelo otworzył szerzej oczy, po czym znowu parsknął krótkim śmiechem. – No tak. Wyobrażam sobie. Pułkownik, nie zazdrozczę panu zadania. – Nie prosiłem się o nie – odrzekł zgodnie z prawdą Lyle Kaufman, wzbudzając swoim stwierdzeniem powszechną wesołość.

Atmosfera uległa rozluźnieniu. Rosalinda Singli wymknęła się po cichu i sprowadziła z powrotem Harolda, który sztywno skinął głową najpierw dowódcy wyprawy, a potem jej pierwszemu fizykowi. Przez resztę wieczoru zachowywał się jak ktoś, kto ze wszystkich sił stara się być miły, jednakże Kaufman wątpił, aby Albemarle dobrze się bawił. Nie miał też takiej pewności co do pozostałych – może z wyjątkiem Amandy, która wydawała się zafascynowana osobą Marbet Grant.

W każdym razie rozmowa toczyła się wartko, wszyscy przeszli na „ty” i jakiś świadek mógłby pomyśleć, że widzi grupę rozweselonych znajomych, może nawet starych przyjaciół.

Po kolacji, gdy w małych grupkach przyglądali się malejącej planecie, co rusz zmieniając konfigurację, Kaufman wziął Marbet na bok. – Ładny numer wykręciłaś przy stole. Twoim zdaniem Harold naprawdę miał nieszczęśliwe dzieciństwo? – Podobnie jak cała reszta. Tylko że on jeden uważa się za ofiarę.

Kaufman rozważył jej słowa. – Może sprawiać problemy w zespole, zgadza się?

– Sądzę, że w normalnych okolicznościach starałby się wpasować. Jednakże to nie są normalne okoliczności. Haroldowi brak pewności siebie, a do tego przyszło mu współpracować z kolegą, który znacznie go przerasta i nie kryje swej pogardy dla trzeciorzędnych naukowców. Po co ci on w ogóle był, Lyle? – Decyzja nie należała do mnie. Harold Albemarle został oddelegowany z ramienia armii. Sojusz Solarny odmierza swoje składniki

równie uważnie jak kucharz robiący suflet. Można by pomyśleć, że w czasie wojny nie powinno tak być, a jednak tak jest... Ale z tego, co słyszałem, Haroldowi nie można odmówić kompetencji. – Mimo wszystko nie jest drugim Thomasem Capelo. – To prawda. I raczej nie ma szans nim zostać – przyznał Kaufman. – Zamierzasz go przeprosić? – O tak. I to wylewnie. Zaniepokoiła go własna reakcja, której się po sobie nie spodziewał. Nie chcę, żeby mnie winił za utratę kontroli nad sobą. – Lepiej, żeby winił Toma? – Tak. Zresztą był wobec niego wrogo nastawiony jeszcze przed kolacją... – A co myślisz o Tomie? – podchwycił Kaufman, który od początku chciał zadać to pytanie.

Marbet udzieliła odpowiedzi nie wprost, przyglądając się, jak Rosalinda Singh rozmawia z fizykiem i Amandą. Kobieta powiedziała coś, co rozbawiło Toma, tak że jego smagłe szczupłe oblicze nagle się rozchmurzyło. – Cieszę się, że doktor Singh należy do zespołu. Nie będzie starała się z nim konkurować, a poza tym zdaje się rozumieć jego gorycz. – Postrzegasz go jako zgorzkniałego? – To najbardziej zgorzkniały człowiek, jakiego w życiu spotkałam.

Kaufman milczał przez moment. – Stracił żonę przed dwoma laty. W nagłym ataku Fallerów. – Musiał ją kochać do szaleństwa.

Co za dziwaczny dobór słów, pomyślał Kaufman. – Dieter i Tom chyba się dogadują. – Owszem. Dieter jest nieczuły na szyderstwa, niuanse, sarkazm i głębszą refleksję. Tom może zaznać przy nim wytchnienia. W każdym razie Tom nie wyprowadzi Dietera z równowagi. To potrafi tylko jego żona. Nawiasem mówiąc, podoba mi się Anna. Jest taka łagodna... – Tak – potwierdził Kaufman.

Rozmawiali dalej o reszcie członków zespołu. Pułkownik widział jednak, że Marbet Grant nie spuszcza z oczu Toma Capelo, który w końcu zaczął się wygłupiać z Amandą i Dieterem Gruberem na przeciwległym krańcu pokładu obserwacyjnego. Mimo że bardzo się starał, Kaufman nie potrafił rozszyfrować wyrazu twarzy Marbet.

\* \* \*

Nazajutrz Capelo dopadł Kaufmana jeszcze przed śniadaniem w korytarzu przylegającym do kwatery dowódcy. – Lyle, mógłbyś mi wyświadczyć przysługę? – Dzień dobry, Tom. Mam nadzieję, że odpowiada ci kajuta? – Z tym właśnie wiąże się przysługa, o którą chcę cię prosić. – Nie podobają ci się wasze kajuty? – zapytał zdumiony Kaufman. • Thomas Capelo otrzymał w przydziale dla dziewczynek i opiekunki kajutę VIP-owską – pomieszczenie wystarczająco duże, aby mogło służyć za sypialnię,

salę lekcyjną, pokój zabaw i co tam jeszcze jest potrzebne do szczęścia dzieciom. Kaufman nie chciał, aby szwendały się po okręcie, zawracając głowę komandorowi Grafionowi, który był zdania, że na okręcie wojennym nie ma miejsca dla cywilów i dzieci. Tom zajmował przyległą kajutę. – Nie, skądże. Kajuty są w porządku. Ale Sudie się nie podoba, że aby dostać się do mnie, musi wyjść na korytarz i przejść przez drugie drzwi. Dopóki tego nie zrobi, nie wie nawet, czy jestem w środku, i to ją przeraża. Stała się dosyć nerwowa, czemu nie można się dziwić...

Kaufman nie słyszał jeszcze, żeby Capelo w mniej zawołowany sposób wyrażał się o śmierci swojej żony. Powiedział ostrożnie: – Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz... Chcesz, żeby do kajuty VIP-owskiej wstawić dodatkową koję? – Nie. Pracuję nocami, a poza tym Amanda przechodzi właśnie okres super- wstydlivosti. Mój pomysł jest następujący: wytnijmy dodatkowe drzwi między moją kajutą a kajutą dziewczynynek.

Pułkownik Kaufman wgapił się w fizyka, który najwyraźniej nie był świadomy tego, że oficerom armii Sojuszu Solarnego nie wolno wycinać dodatkowych drzwi ot tak, dla własnego widzimisię. – Tom, to raczej nie będzie możliwe... – Mogą być naprawdę malutkie, będę się przeciskał skulony. Albo przeczołgiwał. Zróbmy je pod moją koją. Zastawi się ją od frontu innymi meblami i nic nie będzie widać. Sudie potrzebuje mieć pewność, że może mnie odwiedzić, kiedy tylko zechce, i niezwykle jej przypadła do gustu idea sekretnego przejścia.

Sudie ma tutaj najmniej do powiedzenia, pomyślał kwaśno Kaufman. Wiedział, że Grafton nigdy się nie zgodzi na coś takiego. Pułkownik nie skłamał, rozmawiając z Marbet. Mieszanina marynarzy, żołnierzy i cywilów była naprawdę wybuchowa. Kaufman – jako dowódca zespołu projektu specjalnego – miał pewną władzę, gdy w grę wchodził kierunek lotu Alana B. Shepada, ale poza tym okręt pozostawał pod rozkazami komandora Graftona. – Tom... – Lyle, błagam. Nie ma innego wyjścia.

Kaufman przyjrzał się fizykowi uważniej. Capelo być może stanowił zapłon wspomnianej mieszanki wybuchowej. Jego renoma bynajmniej nie była przesadzona, czego dowód stanowiło wczorajsze zachowanie Harolda i Marbet. Wyświadczenie mu przysługi mogło zaowocować większą chęcią współpracy z dowództwem wyprawy. Zwłaszcza że stał teraz przed Kaufmanem z rzadko spotykanym wyrazem na twarzy: pokornego wyczekiwania na werdykt. Takiej okazji nie wolno przepuścić, pomyślał pułkownik.

Po czym dokonał w głowie szybkich kalkulacji. Nie było szans na to, aby Grafton wyraził zgodę. Jednakże Kaufman wysłużył swoje w dyplomacji i dobrze wiedział, jak obchodzić przeszkody nie do obejścia. – W porządku,

Tom, zobaczę, co da się zrobić. Ale ani ty, ani twoje córki nie możecie pisać nikomu nawet słówka. – Wspaniale, Lyle! Jestem ci szczerze zobowiązany.

I o to właśnie chodziło.

W swojej kajucie Kaufman odszukał w systemie komputerowym właściwy formularz: „Zmiany w grodziach nie próżnioszczelnych”. Wypełnił go, wydrukował kopię i wezwał starszego mata Michaela Doolina, który figurował na harmonogramie dyżurów. – Doolin, macie tu formularz. Wykonajcie zlecenie i zwróćcie kopię prosto do mnie. Sam wprowadzę zmianę w systemie. – Tak jest, sir! Tylko że... ten formularz nie jest podpisany. – Ależ jest. Widzicie, o tutaj... „Pułkownik Lyle Kaufman, ROSS”. Powinien być podpis oficera marynarki, sir. Kapitana, pierwszego oficera albo oficera dyżurnego. – Doolin... – zaczął od nowa Kaufman, przybierając ton wyćwiczony w ciągu dwudziestu lat wydawania rozkazów. W dużej części przebijała z niego groźba. – Czy jesteście świadomi mojej pozycji na tym okręcie? – Tak jest, sir! – potwierdził starszy mat z nieszczęśliwą miną. – Czy jestem wyższy stopniem niż oficer dyżurny? – Tak jest, sir! – Oraz niż pierwszy oficer? – Tak jest, sir! – Na czym więc polega wasz problem z tym prostym zleceniem? – Na niczym, sir. Już się biorę do roboty, sir! – Doolin odebrał z rąk przełożonego formularz i odmaszerował, mową ciała wyrażając wszystko to, czego nie powiedział głośno.

Kaufman wykasował wypełniony formularz z pamięci systemu. Gdy Doolin zwróci mu papierową kopię, po prostu ją zniszczy. Oczywiście powstaną plotki o „tycim sekretnym przejściu”. Kaufman wątpił jednak, aby dotarły do uszu jakiegoś oficera. Będą bowiem dotyczyły drobiazgu. A na okręcie Graftona panowała dyscyplina. Załoga nie bratała się z kadrą oficerską. Ponadto ta załoga została specjalnie dobrana pod kątem nieskazitelnej służby. Nikt, kto znalazł się na pokładzie Alana B. Sheparda, nawet najbliższy majtek, nie mógł się pochwalić choćby reprimendą odnotowaną w archiwach marynarki Sojuszu Solarnego. Zatem Kaufman miał pewność, że dziura w ścianie między kabinami pozostanie tajemnicą do czasu powrotu na Marsa, kiedy to każe ją załatać.

Nie dało się jednak ukryć, iż Capelo w ciągu zaledwie doby od wejścia na pokład okrętu sprawił, że Kaufman złamał przepisy. Pułkownik był ciekaw, ile razy jeszcze to się powtórzy oraz jak dalece on, Lyle Kaufman, jest w stanie się posunąć, aby spełnić żądania genialnego fizyka.

## 5.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard



– Oto i on – rzekł Capelo. – Najbardziej przysmażony obiekt w promieniu tysiąca układów gwiazdnych. My, którzy umarliśmy, pozdrawiamy was, żywych. – Tam nigdy nie było życia – skontrował Harold Albemarle. – Czyżby? Wiesz to na pewno, Haroldzie? I trzymasz nas wszystkich w niewiedzy? Podziel się, podziel mądrością prawieczną...

Albemarle gromił go wzrokiem. Kaufman, stojący razem z resztą zespołu na pokładzie obserwacyjnym, siłą woli powściągnął niecierpliwość. Stosunki pomiędzy oboma fizykami nie polepszyły się ani na jotę od ich pierwszego spotkania. Żaden nie starał się nawet skrywać niechęci. Na szczęście wyłącznie Albemarle i komandor Grafion prowokowali kąśliwość Toma Capelo. Rosalinda Singh ją pacyfikowała; Anna Sikorski tolerowała; Dieter Gruber ignorował.

Tylko tego ostatniego brakowało podczas wstępnych oględzin Nemeter, szóstej planety w systemie gwiazdnym Świata. Geolog poczuł się źle w drugi dzień lotu. Lekarka pokładowa uznała, że Gruber złapał wirusa – jedną z tych paskudnych odmian znanych szeroko na Ziemi – oraz stwierdziła, że infekcja rozprzestrzenia się poziomo, to jest człowiek zaraża się od człowieka. Jako że nikt z załogi nie posiadał niezbędnej odporności, niezwłocznie poddała Grubera kwarantannie, która trwała dotąd pomimo jego ciągłych narzekań, że nie może brać osobistego udziału w dyskusjach członków zespołu.

Okręt pokonał drogę z Marsa do Tunelu Czasoprzestrzennego #1 z najwyższą możliwą prędkością a następnie korzystając z systemu tuneli, wyłonił się w tym odległym układzie gwiazdnym na skraju Galaktyki. Po wyjściu z Tunelu Czasoprzestrzennego #438 Alan B. Shepard przez trzy dni zbliżał się do Nemeter – nieciekawej, zimnej jak diabli, pozbawionej atmosfery planety leżącej najbliżej wrót. Na długo przed przybyciem tutaj komandor Grafion oddał pokład obserwacyjny we władanie członkom zespołu, którzy rozstawili tam swoje dataporty. Obecnie Capelo, Albemarle i Singh wpatrywali się w ekrany, które wyświetlały dane z przyrządów będących standardowym wyposażeniem okrętu marynarki Sojuszu Solarnego, jak również z aparatury dodanej specjalnie na cele wyprawy badawczej oraz z dwu sond wysłanych na powierzchnię globu. Rosalinda w pewnym momencie powiedziała: – Promieniowanie jest dwadzieścia siedem razy wyższe, niż można by się spodziewać. Spektrografia wskazuje na dużą koncentrację irydu, platyny, toru oraz stosunkowo wysoki poziom uranu... Haroldzie, zechciej poddać te dane testowi Auberjois... – Wygląda na to, że Syree Johnson miała rację! – wtrącił Capelo.

– Mówiłem przecież! – zapał Dieter Gruber śledzący dyskusję z izolatki.

Rosalinda ponagliła kolegę po fachu: – Haroldzie, no co tam? – Liczby się zgadzają – odparł wreszcie Albemarle. – Nagły skok tempa rozpadu wystąpił dwa koma jeden standardowych lat temu i od tamtej pory nie było żadnych zmian. – Co to dokładnie znaczy w języku normalnych ludzi? – spytała Marbet. – To znaczy – doktor Singh przemówiła tonem wykładowcy – że dane zawarte przez Syree Johnson w pierwotnym raporcie odpowiadają stanowi faktycznemu z chwili obecnej. Jest co najmniej prawdopodobne, że jej „fala” uderzyła w Nemeter, zwiększając promieniowanie poprzez destabilizację jąder atomowych wszystkich pierwiastków o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć. Mówiąc inaczej, niesłychanie wzrosło prawdopodobieństwo, że każdy atom wyemituje cząstkę promieniotwórczą. Co rzecz jasna nie wyjaśnia przyczyny samego zjawiska... – Przyczyną był księżyc, który podholowali do tunelu! – burknął z izolatki Gruber w tej samej chwili, gdy Capelo powiedział: – Za to cię uwielbiam, Rosalindo! Przedstawiasz fakty, suche fakty. Nie tryskasz przedwczesnymi wnioskami jak nieobecny herr Gruber. Aczkolwiek jestem się w stanie założyć o swoją nieistniejącą duszę, że nasz zakichany geolog ma rację. Fala staruszki Johnson była jak najbardziej rzeczywista, rąbnęła w Nemeter, po czym pomknęła dalej, w kierunku Świata. Nie miała innego wyjścia. – Ja! – potwierdził Dieter Gruber. – Ale już znacznie osłabiona, prawda? – drążył Kaufman. – Zgodnie z prawem odwrotnej proporcjonalności? – Nie będziemy tego pewni, dopóki nie zrobimy pomiarów w reszcie układu gwiazdnego i nie porównamy wyników z danymi otrzymanymi z Zeusa – orzekł Albemarle.

Kaufman pokiwał głową. Sam był zdziwiony siłą własnej ciekawości.

Marbet szepnęła do niego: – Fascynujące to wszystko, nieprawdaż? – Dla mnie tak. A dla ciebie? – Może nie kwestie naukowe – odparła. – Ale reakcje członków zespołu na pewno.

Pułkownik ponownie się zastanowił, co takiego widzi Marbet Grant, czego nie widzą inni. Nie drążył jednak tego tematu; Marbet Grant była tu z powodu Obcych, nie ludzi. – Lyle... – odezwała się znowu, podczas gdy pozostali zagłębili się w jakieś niuanse matematyczne, z czego nawet Kaufman nic nie rozumiał. – Dolecieliśmy do systemu gwiazdnego Świata. Nie sądzisz, że nadeszła pora. abyś opowiedział mi więcej o tym Fallerze, którego mam poznać? – Nie, jeszcze nie – pokręcił głową Kaufman. – Na razie nie ma nic do opowiadania. Ale obiecuję ci, Marbet, że jak tylko coś się pojawi, ty pierwsza o tym usłyszysz. – Umowa stoi – rzekła, wracając do obserwacji pograżonych w dyskusji naukowców.

Kaufman nie potrafił zdecydować, czy ma się czuć urażony czy mile połączony. Marbet Grant nie okazywała mu żadnego zainteresowania

ponad to, którego wymagała od niej misja. A może po prostu ufała mu i wierzyła, że przekaże jej wszystkie niezbędne informacje bez dodatkowych nacisków z jej strony?

Przyglądał się krzywiźnie jej brązowego gardła, idealnej i wyrazistej. Widziana z profilu zadziwiająco wysoka i ostra kość policzkowa zdawała się rozległą równiną pod szmaragdowym okiem. Miękkie kasztanowe loki zakrywały jej małe ucho, którego płatek zdobił jodełkowy kolczyk. Kobieta zdawała się precyzyjnie wyrzeźbiona niczym posąg, a jednak ciało na doskonałej, zmodyfikowanej genetycznie szyi poruszało się w rytm jej oddechu ciepłego życia.

Lyle Kaufman przyłapał się na tym, że się gapi, i szybko odwrócił wzrok, mając nadzieję, że Marbet tego nie zauważyła.

Tymczasem Albemarle mówił obrażonym tonem: – ...oczywiście skoro tak uważasz, nie ma sensu cię przekonywać, że jest inaczej. – Właśnie – odparł zapalczywie Capelo. — Moje opinie muszą być zgodne z prawdą. Przeleciałem osiemdziesiąt tysięcy lat świetlnych tylko po to, żeby ci udowodnić, że się mylisz. Żyję dla przyjemności, jaką daje obalanie głupawych matematycznych teorii, a ty dostarczasz mi paliwa. Dobrze mówię, Rosalindo? – Masz rację w odniesieniu do tej jednej matematycznej teorii – przyznała doktor Singh. – Ale czasami także się mylisz, Tom... No, daj już spokój Haroldowi, żeby mógł wykonać tę analizę, o którą go poprosiłam. – Przypominasz mi moją córkę – poskarżył się Thomas Capelo. – Obydwe tylko mi rozkazujecie. Otaczają mnie szarogęszące się kobiety. Lyle, powiedz im, kto tu dowodzi. – Cóż, ja tutaj dowodzę – rzekł Kaufman cichym głosem, za co spotkała go nagroda w postaci spojrzenia szmaragdowych oczu Marbet Grant oraz jej wesołego szerokiego uśmiechu. – Kolacja, sir – obwieścił steward, wkraczając z zastawioną pysznościami tacą.

Z posiłkami wiązał się kolejny problem. Nie licząc przerw na sen, wszyscy członkowie zespołu (oprócz Grubera) całość czasu spędzali na pokładzie obserwacyjnym – gdzie pracowali, dyskutowali i posilali się. Zaproponowano im spożywanie posiłków w mesie, jednakże to się nie sprawdziło. Oficerowie na Alanie B. Shepardzie stanowili zwyczajową mieszankę – począwszy od wyrafinowanych, jak przepadający za muzyką pierwszy oficer, a skończywszy na prostakach, jak łącznościowiec przejawiający najgorsze poczucie humoru, z jakim pułkownik zetknął się w czasie długiej kariery wojskowej. Wszakże pomimo dzielących ich różnic wszyscy byli wojskowymi. Thomasa Capelo mieli za dziwaka, a w obecności jego córek czuli skrępowanie. Marbet Grant wyprowadzała ich z równowagi. Każdy wiedział, kim ona jest. Kaufman widział, że oficerowie posyłają jej spojrzenia, sądząc, że kobieta tego nie dostrzeże, i zastanawiają

się, czy zobaczyła w nich to, co najbardziej chcieli ukryć. Większość nie ważyła się spojrzeć jej w oczy.

Z tych powodów już po paru dniach lotu zespół badawczy zaczął spożywać posiłki na pokładzie obserwacyjnym. Harold Albemarle czasami zaglądał do mesy najczęściej wtedy, gdy nie mógł dłużej znieść widoku Toma – lecz nigdy długo tam nie wytrzymał z obawy, że przegapi coś istotnego. Kaufman żywi! podobną obawę, ale skrupulatnie dzielił swój czas pomiędzy mesę oficerską i pokład obserwacyjny zaanektowany przez jego marudny zespół.

Dwa dni później weszli na orbitę kolejnej planety tego układu gwiazdnego, będącej również pozbawionym życia skalistym globem. W tym samym czasie zakończyła się kwarantanna Dietera Grubera. Kaufman ucieszył się na jego widok. Równą radość sprawił mu entuzjazm Niemca dla projektu, jak jego ignorancja w obliczu napięć towarzyskich między członkami zespołu badawczego.

\* \* \*

Piąta planeta tego układu także okazała się wysoce promieniotwórcza. Właściwie nie ustępowała pod tym względem Nemeter. – Sprawdź te dane jeszcze raz – poleciał głucho Tom Capelo. – Sprawdziłem je już dwukrotnie! – odwarknął Harold Albemarle. – Zatem sprawdź po raz trzeci.

Albemarle usłuchał. Ale wyniki się nie zmieniły.

Rosalinda Singh powiedziała zamyślona: – Czyli fala jednak nie zachowała się zgodnie z prawem odwrotnej proporcjonalności. To ciekawe... – Nawet więcej niż ciekawe! – wykrzyknął Dieter Gruber. Wielkolud był tak podekscytowany, że ledwie potrafił ustać w miejscu. Przemierzał pokład obserwacyjny niczym ogromny płowy kot, co parę kroków zatrzymując się, aby się przyjrzyć martwemu globowi wirującemu za ekranami. Skalisty i pozbawiony atmosfery, bardzo przypominał większą od niego Nemeter.

Kaufman chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał. Na pokładzie obserwacyjnym znajdowała się ich tylko piątka. Z czego Capelo, Singh, Gruber oraz Albemarle byli naukowcami. – Czy to oznacza, że kiedy artefakt holowany przez Zeusa eksplodował bądź został zestrzelony, fala, która powstała w wyniku tego zdarzenia, różniła się czymś od fali zaobserwowanej przez Syree Johnson, gdy obiekt znajdował się jeszcze na orbicie?

Rosalinda Singh wykazała się największą cierpliwością z grona naukowców. – Tak, Lyle. Aczkolwiek rezultat był każdorazowo taki sam.

Dane pokazują, że we wszystkich trzech przypadkach fala zdestabilizowała pierwiastki o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć. Tak było na orbicie, na Nemeter i tutaj. Jednakże doktor Johnson sprowokowała pierwszą falę przy najniższych ustawieniach. Moc oznaczono za pomocą rosnącego ciągu liczb pierwszych z dodatkiem liczby całkowitej Jeden”, no wiesz, zupełnie jak w wypadku tuneli czasoprzestrzennych. I ta fala zachowała się zgodnie z prawem odwrotnej proporcjonalności. Potwierdzają to dane z Zeusa, z wahadłowca i z licznych rozmieszczonych na orbicie czujników. Tymczasem przy okazji wybuchu została uwolniona znacznie silniejsza fala, zapewne przy wyższych ustawieniach artefaktu, i tym razem fala ta najwyraźniej zignorowała prawo odwrotnej proporcjonalności. Wywarła taki sam wpływ na tę planetę oraz na Nemeter, mimo że są oddalone o pięćdziesiąt sześć milionów kilometrów. – Czyli... – rzekł wolno Kaufman – uderzyła w Świat z równą siłą jak w Nemeter? – Właśnie! – zapiął Gruber. – A mimo to Świat nie stał się nagle promieniotwórczy! Bez wątpienia za sprawą zakopanego artefaktu! Który zareagował dokładnie w chwili wybuchu! Dokładnie, to jest bez opóźnienia spowodowanego prędkością światła! Ponieważ one są splątane! – Tego jeszcze nie wiemy, Dieterze – hamowała go łagodnie doktor Singh. – Nie? A mamy jakąś inną teorię? – Nie wysunę żadnej teorii, dopóki nie poznam wartości spadku. – A spadek w waszym rozumieniu to...? – wtrącił Kaufman. – Spadek opisuje tempo słabnięcia zjawiska do wartości niewykrywalnych przyrządami. Taka fala musi słabnąć, w przeciwnym razie wywarłaby wpływ na cały wszechświat. Jak może pamiętać, wysłaliśmy sondy w przeciwnych kierunkach i dzięki nim wiemy, że jakieś sześć miliardów kilometrów od gwiazdy poziom promieniowania drastycznie się obniżył. To bardzo dziwne. Żadne równania tego nie tłumaczą. Na razie – rzucił Dieter, wieczny optymista. Niebieskie oczy mu płonęły, W swoim czasie znajdą się i równania.

Kaufman odwrócił się do Thomasa Capelo, który przez całą rozmowę nic odezwał się ani razu. Przemierzał pokład obserwacyjny tam i z powrotem, zastanawiając się nad czymś w skupieniu. Pułkownika uderzyła nagła zmiana w wyglądzie fizyka – pogrążony w rozmyślaniach zdawał się zupełnie innym mężczyzną. Z jego oblicza zniknęła kpina i gorycz. Sprawiał wrażenie zarazem młodszego i dojrzałego. Nic nie było go w stanie wyrwać z tego stanu. Ruchliwa postać naukowca budziła taki respekt, że nawet Harold Albemarle siedział cicho.

Gruber zwrócił się do Kaufmana przyciszonym głosem: – Zobaczysz, Lyle. Jak już wydobędziemy spod powierzchni ten drugi artefakt, okaże się, że on też zmienia pole prawdopodobieństwa. Podobnie jak pierwszy wpływał na jądra atomowe, drugi oddziałuje na umysły. Bo zasada

działania mózgu także opiera się na polu prawdopodobieństwa. Wiem to, czuję... Przekonasz się sam...

Kaufman zapoznał się uważnie z tą częścią raportu Grubera. Właśnie przez nią naczelne dowództwo uznało niemieckiego geologa za nawiedzonego. Dieter Gruber twierdził bowiem, że zakopany artefakt miał wpływ na wydzielanie mózgowych neuroprzekaźników i że oddziałując na organizmy żywe przez całe epoki geologiczne, w efekcie pokierował ewolucją Świata. Co bardziej niepokojące, artefakt wywarł wpływ również na mózgi ludzi, którzy zagłębili się w góry Neury.

Łatwo by było wyśmiać teorię Grubera, gdyby nie to, że jego mózg faktycznie doświadczył pewnej zmiany. Jak przekonywali kolejni lekarze wojskowi, Dieter Gruber podczas pobytu na Świecie został bądź otumaniony jakimś halucynogenem, bądź przeszedł pranie mózgu z rąk tubylców, bądź najadł się psychotropów.

Kaufman wiele dni ślezczał nad kostkami informacyjnymi zawierającymi wiadomości na temat funkcjonowania ludzkiego mózgu, usiłując przejrzeć bluff Grubera. Dowiedział się, że przy wydzielaniu neuroprzekaźników rzeczywiście pewną rolę odgrywa prawdopodobieństwo. Z powodów jak dotąd niepojętych nawet dla naukowców nie zawsze dochodziło do uwolnienia neuroprzekaźników, gdy impuls elektryczny pobudził nerw. Prawdopodobieństwo, że to nastąpi, wahało się od siedemnastu do sześćdziesięciu dwóch procent, zależnie od rodzaju neuronu, a niezależnie od napięcia, które jest takie samo we wszystkich neuronach. Pojedynczy atom wywoływał lub hamował ten proces. Wszędzie, gdzie w grę wchodzi pojedyncze atomy, mamy oczywiście do czynienia z poziomem kwantowym... a więc zarazem z prawdopodobieństwem.

Gdy na teorię Grubera patrzyło się od tej strony, nabierała ona sensu.

Tyle że dotychczas nikt nie zdefiniował, nie zmierzył ani tym bardziej nie stworzył pola prawdopodobieństwa. Nadal pozostawało ono wyłącznie w sferze domysłów. Ale nawet zakładając, że pole prawdopodobieństwa istnieje, pomysł, aby można je kontrolować, pogwałcał praktycznie każdą zasadę fizyki. A przynajmniej każdą zasadę fizyki znaną Kaufmanowi. Z drugiej strony to samo dotyczyło tuneli i czasoprzestrzennych, a te niewątpliwie istniały. No i były jeszcze teorie Toma Capelo, nie mniej szalone niż te, które po powrocie ze Świata zaczął snuć Gruber, wysnuwane jednak przez poważnego naukowca.

Z tego, co rozumiał Kaufman, cząstki subatomowe (czy jak je tam zwać) nie są tak naprawdę cząstkami, tylko czymś w rodzaju drobnego sieńkich rozedrganych niteczek. Zostało to ostatecznie udowodnione przez Elisara Yeovila w dwa tysiące czterdziestym pierwszym roku w oparciu o badania prowadzone prawie przed stuleciem. Wszystkie właściwości

cząstek – ładunek, spin, masa – powstają w wyniku określonych wzorów drgań podstawowych niteczek. Czasoprzestrzeń jest niczym gruba tkanina złożona z nitek poskręcanych i rozedrganych w czterech powszechnie znanych wymiarach oraz w sześciu mniej powszechnie znanych, niezauważalnych dla człowieka, „zwiniętych” wymiarach towarzyszących długości, szerokości i wysokości w każdym punkcie wszechświata.

Wraz z odkryciem grawitonu w dwa tysiące pięćdziesiątym drugim roku grawitacja nareszcie została w pełni zintegrowana z resztą poznanych przez człowieka oddziaływań fizycznych. Pole grawitacyjne zostało wpasowane w materię czasoprzestrzeni jako ogromna – aczkolwiek nie nieskończona – liczba niteczek drgających wedle tego samego „wzoru grawitonowego”. Grawiton – pozbawiony masy i o spinie równym dwa – doskonale się znalazł w równaniach opisujących teorię zarówno względności, jak i mechaniki kwantowej, dołączając do cząstek wcześniej odkrytych: gluonów, fotonów i bozonów cechowania, jako kwant pola grawitacyjnego przenoszący oddziaływania słabe.

Tom Capelo zyskał w środowisku naukowym opinię szaleńca dlatego, że chciał zastosować tę samą teorię w odniesieniu do pola prawdopodobieństwa, wymyślając analogiczną cząstkę przenoszącą drgania, którą nazwał „prawdonem”. Przy czym istnienia prawdonu nie tylko nie potwierdził empirycznie, ale też nie był go w stanie udowodnić w teorii, za pomocą wzorów matematycznych, no chyba że w niebywale zawały i pokrętny sposób. Nie stworzył nawet żadnego spójnego modelu. Argumenty, które Capelo wysuwał na poparcie swojej teorii, przekraczały zdolność pojmowania pułkownika Kaufmana, ponieważ zasadzały się na równaniach powiązanych z sześcioma dodatkowymi wymiarami, których istnienie potwierdził wielki Yeovil. Najczęściej nazywano je przestrzeniami Calabiego-Yau, wykorzystując określenie na pewien rodzaj rozmaitości topologicznej. Capelo posłużył się wzorami transformacyjnymi, ażeby... — Pułkowniku. – Nagle wyrósł obok niego komandor Grafton.

Kaufman uśmiechnął się w duchu. Czyżby był zdolny do równie głębokiego skupienia jak Thomas Capelo i rozważając teorie naukowe, też zapominał o otaczałbym go świecie? Jeśli nawet, efekty na pewno nie były równie genialne. Podniósł spojrzenie na dowódcę okrętu i spostrzegł, że komandor marynarki nie posiada się ekscytacji. Oczywiście ekscytacja komandora marynarki nie przypominała analogicznego stanu u wylewnego geologa czy pogrążonego w myślach fizyka. Jednakże Kaufman z linii jego szczęki i błysku w oczach zorientował się, co się stało.

Na Boga, udało się, pomyślał.

Tymczasem Grafton powiedział tylko: – Pozwoli pan ze mną, pułkowniku? Nadeszła wiadomość ze statku kurierskiego. – Taaa, oczywiście. – Kaufman wstał i udał się za komandorem do wyjścia.

Capelo w dalszym ciągu przemierzał pokład obserwacyjny, poświęcając całą uwagę własnym myślom. Pozostała trójka prowadziła rozmowę przyciszonymi głosami.

Tuż za drzwiami Kaufman nie wytrzymał. Zwrócił się do komandora: – Złapali Fallera, tak? Udało się. Pojmali żywego wrąga. – Tak – potwierdził Grafton. – Żywego...

Coś w jego tonie przypomniało pułkownikowi fragment akt osobowych dowódcy Alana B. Sheparda, z którymi zapoznał się w ramach przygotowań do tej ekspedycji. Podczas bitwy z Fallerami w Quatorze zginął brat Graftona.

Podążył za komandorem do ekranowanej centrali łączności, gdzie odebrano zakodowaną wiadomość ze statku kurierskiego stacjonującego wewnątrz tunelu czasoprzestrzennego. Minie jeszcze wiele dni, zanim kurier dogoni wiadomość nadaną, prędkością światła. Ale inna jednostka musi być już w drodze na Świat, przewożąc na pokładzie pierwszego Obcego schwytanego podczas tej długiej i niezrozumiałej wojny.

A wtedy... – Proszę wezwać pannę Grant. – Już tu idzie – odparł Grafton. – W centralce czekają na nią kostki informacyjne. – Dobrze – rzekł Kaufman, mając szczerą nadzieję, że tak jest. Oddech mu przyśpieszył.

Być może ludzkość ma jednak szansę wygrać tę wojnę.

## 6.

### **Przestrzeń kontrolowana przez Fallerów, układ gwiazdny bez nazwy**

**P**lan nie był prosty. Tym bardziej więc zaskoczyło wszystkich, że się powiódł. Niektóre osoby dodatkowo czuły wstyd, albowiem sukces planu zależał od śmierci dziecka.

Zespół specjalny przygotował wszystko ze stosownym wyprzedzeniem. Po czym rozpoczęło się oczekiwanie do czasu, aż zostanie znalezione odpowiednie dziecko. Wybór padł na dwójkę kandydatów, lecz rodzice obojga odmówili zgody. Ba! – oni wzdrygnęli się z przerażenia, gdy wyjawiono im sedno planu. Jeden z ojców wyrznął szefa projektu, pułkownika Ethana McChesneya, prosto w twarz, wyładowując w ten sposób swój żal i gniew. McChesney był pełen zrozumienia.



Następnie, dwa i pół tygodnia po tym, jak Alan B. Shepard wleciał w Tunel Czasoprzestrzenny #1 i opuścił Układ Słoneczny, Katrina Van Rynn spadła z aeroskutera swego brata w kolonii De Kooy na Nowej Holandii. Katrina nie powinna była w ogóle wsiadać na aeroskuter. Jej trzynastoletni brat Michael nieraz słyszał, że czteroletnia Katrina jest za mała, aby jeździć razem z nim. Mogła w każdej chwili czegoś się przestraszyć, a on nie był wystarczająco doświadczonym kierowcą, aby brać odpowiedzialność za pasażera. Mimo to Michael zabrał ją na przejażdżkę, ponieważ wierciła mu dziurę w brzuchu i ponieważ lubił się popisywać, choćby przed młodszą siostrą. Przypiął ją dobrze pasami, po czym wyruszyli ponad niskie purpurowe wzgórza, gdzie holenderscy osadnicy próbowali odtworzyć życie we wspólnocie religijnej dawno zapomnianej na Ziemi.

Michael wzniósł się zbyt wysoko i Katrina faktycznie się przestraszyła. W panice wypięta się z pasów (Michael nie miał pojęcia, że jego siostra potrafi to zrobić) i skoczyła. Aeroskuter był w tym czasie trzydzieści stóp nad ziemią. Dziewczynka zmarła trzy godziny później w centrum medycznym kolonii.

McChesney znajdował się już wtedy na miejscu. Jego siatka informatorów była najlepsza w Galaktyce. Pomimo straszego bólu Van Rynnowie przystali na plan przedstawiony przez McChesneya. Uważali się za patriotów. Mieli również nadzieję, że to, w jaki sposób zostanie wykorzystane ciało Katriny, pomoże choć trochę Michaelowi. Chłopiec szalał z rozpaczy i poczucia winy. Ta rodzina potrzebowała odkupienia, jakiegokolwiek odkupienia, aby ocaleć.

Na pokładzie statku kurierskiego lecącego z maksymalną prędkością możliwą w takim wypadku przewieziono zwłoki Katriny do Tunelu Czasoprzestrzennego #86, jednego z kilku znajdujących się na orbicie Nowej Holandii. Zwłok nie zamrożono. Plan nie przewidywał żadnych zmian w stanie ciała dziecka.

Pokonawszy kolejne sześć tuneli czasoprzestrzennych, statek kurierski dotarł do bazy Mowbray, nowiuteńkiej wojskowej stacji kosmicznej tuż za Tunelem Czasoprzestrzennym #472. Na pobliskiej orbicie znajdował się inny tunel, #473, który prowadził do słabo poznanej kolonii Fallerów. Mapowanie tuneli czasoprzestrzennych było niesłychanie skomplikowanym zadaniem. Statek, który po raz pierwszy przeleciał dany tunel i do niego zawrócił, przedostawał się do punktu wyjścia pod warunkiem, że żaden inny nie zdążył go uprzedzić. Jeśli tak się stało, pierwszy statek trafiał tam gdzie drugi. Najbardziej uczęszczane tunele były wiecznie płynne i wymagały centralnej kontroli lotów, aby każdy doleciał, gdzie powinien.

Wszelako tunele od #470 do #473 nie były zbyt uczęszczane. Niedawno odkryte i położone na uboczu, jak dotąd zostały zbadane tylko przez jeden statek kurierski. Jego załoga, pokonawszy Tunel

Czasoprzestrzenny #473, stwierdziła, że po drugiej stronie znajduje się mała kolonia Fallerów zajmująca jedyną planetę tamtejszego układu gwiazdowego, po czym bezzwłocznie powróciła do przestrzeni Sojuszu Solarnego. Kolonia Fallerów była kolonią cywilną, toteż istniała nadzieja, że wróg nie zorientował się, iż został wykryty przez ludzi. Cały plan McChesneya zasadał się na tym założeniu.

Ciało Katriny umieszczono w małym dwuosobowym statku kurierskim wykorzystywanym przez bogaczy i odkrywców. Fotel pilota zajmował młody żołnierz zmarły tego samego dnia na śmiertelną chorobę mózgu wywoływaną przez wyjątkowo zjadliwy szczep wirusa, który potrafił zniszczyć cały ośrodkowy układ nerwowy w ciągu paru godzin. Ponadto jednostkę załadowano zapasami, w tym zabawkami i projekcjami holo odpowiednimi dla czteroletniej ludzkiej dziewczynki. Nie licząc lekkiej broni używanej przez cywilów, na pokładzie nie było żadnego uzbrojenia.

Komputer pokładowy skierował jednostkę do Tunelu Czasoprzestrzennego #473, a po opuszczeniu wrót z drugiej strony wyłączył silniki i pozwolił jej dryfować w przestrzeni kosmicznej.

McChesney z zespołem pozostał po przeciwnej stronie. Czuł się jak ślepiec, gdyż statek kurierski był pozbawiony czujników i sond – wiadano już, że Fallerowie potrafią wychwycić wszelkie fale elektromagnetyczne. Pod tym względem technologia wroga nie odbiegała poziomem od ludzkiej, tak samo zresztą jak w wypadku uzbrojenia. Natomiast co do obrony, nawet przewyższała ludzkie osiągnięcia, odkąd przeciwnicy wprowadzili do użytku działające na tajemniczej zasadzie tarcze. Wiązka protonów wystrzelona w kierunku ślizgu Fallerów, odpowiednika statku kurierskiego ludzi, zwyczajnie zniknęła. Żaden naukowiec nie potrafił powiedzieć, co się z nią działo ani jakim cudem nie dochodziło do naruszenia prawa zachowania masy i energii. McChesney nawet nie zaprzętał sobie głowy podobnymi problemami, wiedząc, że i tak niczego nie zrozumie z wyjaśnień fizyków.

Nie pojmował też nanotechnologii, ale lubił słuchać, jak eksperci go zapewniają że pod tym względem ludzkość znacznie prześcignęła Fallerów. Aczkolwiek nikt nie mógł mieć co do tego pewności. Nigdy bowiem nie pojmano żadnego Fallera żywcem, a ślizgi wroga wpadały w ręce ludzi w postaci kupy stopionego złomu nie nadającego się do odtworzenia metodą inżynierii wstecznej. Niemniej ani zwęglone zwłoki Fallerów, ani ich zniszczone jednostki zdaniem specjalistów nie nosiły nawet śladów manipulacji nanotechnologicznej. – Ile minęło? – zapytał McChesney po ludzkiej stronie Tunelu Czasoprzestrzennego #473, mimo że doskonale znał odpowiedź.

– Czterdzieści siedem standardowych godzin – odparła jego adiutantka. – Pierdolić to. Wchodzimy.

Adiutantka wgapiała się w niego. – Ale sir... mieliśmy odczekać jeszcze dwie godziny... – Wejdzimy teraz! – rzucił McChesney. Po czym w charakterze usprawiedliwienia dodał: – Mam przeczucie, że tak trzeba. Jazda! – Tak jest, sir - rzekła adiutantka głosem pełnym rezerwy, lecz wykonała rozkaz.

Przeszli na drugą stronę o dwie godziny za wcześnie i zgarnęli główną wygraną. Przyłapali drani na gorącym uczynku. Mówiąc ściśle, na pokładzie ludzkiego statku kurierskiego. „Oczekajcie czterdzieści dziewięć godzin”, radzili goście z wywiadu. Było wiadomo, że Faberowie często wstrzymują się dwadzieścia standardowych godzin od wykrycia obiektu do momentu podjęcia działań. Doba na ich rodzimej planecie wynosiła dwadzieścia godzin. Może więc przy podejmowaniu decyzji kierowali się rytmem dobowym, który z naturalnego, fizjologicznego przekształcił się w społeczny. A może nie. W każdym razie droga z kolonii do wrót tunelu miała im zająć dziewięć godzin, zważywszy na położenie planety w chwili wyłonienia się ludzkiego statku kurierskiego oraz na maksymalną prędkość cywilnych ślizgów. Ocena, ile potrwa, zanim zauważą obcą jednostkę, mogła być tylko przybliżona. Nie dało się jednak wykluczyć, że mają sondy w pobliżu swoich wrót tunelu czasoprzestrzennego, dzięki czemu by liby w stanie ją dostrzec w chwili jej wyłonienia się z wrót. „Skoro tak, dlaczego nie zauważyli przejścia naszego wojskowego statku kurierskiego?”, chciał wiedzieć McChesney. „Może zauważyli” – usłyszał w odpowiedzi. – „A może faktycznie nie ma żadnej sondy, bo to taka mała kolonia i w dodatku czysto cywilna. Działamy po omacku, pułkowniku. Po prostu niech pan odczeka czterdzieści dziewięć godzin. Dwadzieścia od momentu zauważenia naszego kuriera do podjęcia decyzji. Dziewięć godzin na podróż. Kolejne dwadzieścia na oględziny jednostki za pomocą sprzętu. Dopiero wtedy powinien pan wkroczyć do akcji”.

Ale McChesney posłuchał własnej intuicji i wkroczył do akcji dwie godziny wcześniej, przyłapując drani na gorącym uczynku.

Ślizg Fallerów zdążył zrównać swoją trajektorię z trajektorią ludzkiego statku kurierskiego, zachowując dystans pięciu kilometrów, gdy z wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #473 wystrzelił pierwszy kurier wojskowy McChesneya. Ślizg okazał się lepiej uzbrojony, niż przewidywali specjaliści. Natychmiast otworzył ogień i zniszczył jednostkę ROSS. Jednakże McChesney dysponował jeszcze czterema kurierami oraz okrętem wojennym. Rozwalił ślizg, zanim ten zdołał anihilować cokolwiek więcej. Ślizg, najwyraźniej pozbawiony nowinki technicznej w postaci pola rozpraszającego, które by unicestwiło wiązkę promieni, zwyczajnie eksplodował.

Okręt wojenny był wyposażony w najdoskonalsze czujniki, jakie znała ludzkość. Sensory wychwyciły dwa ślady termiczne wewnątrz dryfującego

statku kurierskiego, gdzie powinny się znajdować tylko dwa zimne martwe ludzkie ciała. Czujniki powiedziały McChesneyowi również, że oba są nieruchome.

McChesney zareagował szybciej, niż pozwalała procedura. W ciągu siedmiu minut wysłał na pokład statku komandosów ubranych w skafandry kosmiczne. Wyjątkowo nie było to konieczne. Choć raz jajogłowi zdołali się odnaleźć w warunkach bojowych.

Faberowie, zanim się dostali na pokład statku kurierskiego, bez wątpienia poddali go każdemu dostępnemu badaniu zdalnemu. Odczyty powiedziały im, że są tam ciała dwóch martwych ludzi: pilota i dziecka. Być może odkryli nawet, że mężczyzna zmarł nagle na chorobę mózgu, i założyli, że doszło do wypadku podczas wycieczki. A może nie. Być może zdołali stwierdzić, że ciało Katriny Van Rynn było połamane i poskładane z powrotem do kupy. A może nie. Z całą pewnością jednak nigdy nie poddali badaniu żadnego ludzkiego dziecka. Ich taktyka blitzkriegu nie zakładała brania jeńców. W ich ręce co najwyżej wpadali martwi żołnierze. A Faberowie musieli być ciekawi, jak rozwijają się przedstawiciele obcego gatunku, z którym walczyli. Istniały spore szanse, iż przyjmą, że statek kurierski nie jest jednostką militarną, skoro na pokładzie znajduje się dziecko. Jak dotąd, nie spotkali ludzkich dzieci na okrętach wojennych. Dlatego właśnie Katrina Van Rynn w pozbawionym uzbrojenia i całkowicie niegroźnym prywatnym statku kurierskim stanowiła przynętę doskonałą.

Na pokład przedostał się jeden Faller w towarzystwie robota sondy zdolnego wytropić każdą pułapkę znaną technologii Fallerów. Aż tyle i tylko tyle. Nie był bowiem zdolny do wykrycia nieznanego. Gdyby Faller przestał oddychać, robot zapewne wysadziłby jego, siebie i cały stateczek. Prawdopodobnie uczyniłby to samo na wyraźny rozkaz swego pana albo gdyby kombinezon Fallera ujawnił jakieś odstępstwa od normy bądź gdyby jakiegokolwiek urządzenie na pokładzie kuriera uległo aktywacji.

Nic takiego jednak się nie stało. Maciupęńkie nanoboty, których robot Fallerów nie był w stanie wyśledzić, przyczepiły się do kombinezonu Fallera, ledwie przekroczył śluzę. Nanoboty nie zniszczyły powłoki kombinezonu. One ją przeniknęły, molekularna warstwa po warstwie, bezmyślnie niszcząc cząsteczki i natychmiast z tych samych atomów odtwarzając je, ale już za sobą, do czego zostały precyzyjnie zaprojektowane. Ani robot sonda, ani Faller niczego nie zauważyli, ponieważ nie było nic do zauważenia. A gdy nanoboty dotarły do śladu termicznego żywej istoty, ich program uległ nagłej zmianie.

Wdarły się do organizmu Fallera i zaczęły go powolutku paraliżować. Ludzkim biologom wystarczyły zwęglone szczątki poległych Fallerów, aby przeanalizować genom wroga. Nie opierał się on na DNA. Zastosowanie materiału biologicznego mogłoby się okazać fatalne w skutkach, jednakże

nanoboty nie były żywymi organizmami, lecz maluteńkimi maszynami. Dzięki oprogramowaniu błyskawicznie ustaliły, jakim gazem oddycha Faller. Następnie zaczęły zużywać jego zapas, równocześnie gwałtownie się replikując. Faller, nie mając o niczym pojęcia, zapadł w odpowiednik stanu niedotlenienia u ludzi i stracił przytomność. Albo zasnął czy coś – cokolwiek robią Faberowie w wypadku wyłączenia świadomości. Wtedy nanoboty przestały się namnażać. Utrzymywały Fallera w stanie „nieprzytomności”, nie eliminując jednak całkiem energii mózgowej. Robot sonda nie zauważył niczego podejrzanego: każda istota o złożonej budowie „śpi”.

Zanim na pokład wkroczyli komandosi, robot sonda nie był już w stanie niczego zauważyć. Inne nanoboty, do których wykrywania nie został zaprojektowany, dezaktywowały go atom po atomie.

Żołnierze ostrożnie związali kończyny Fallera i – wciąż ubranego w kombinezon – przenieśli na pokład okrętu wojennego. McChesney bezzwłocznie zawrócił do Tunelu Czasoprzestrzennego #473, a następnie przebył dwanaście innych, z czego część była wysoce płynna. Nie bał się więc pościgu. Ksenobiolodzy tymczasem przystąpili do badania składu mieszanki gazowej, którą oddychał Faller, jak również wszystkiego innego, co przyszło im do głowy. Zanim wybudzili Fallera ze „snu”, posiadali na temat jego fizjologii wiedzę nieskończenie większą aniżeli przedtem – ponieważ wcześniej nie wiedzieli praktycznie nic. Obcy odzyskał przytomność w środowisku odpowiadającym jego potrzebom. Atmosfera, wilgotność, temperatura – wszystko zostało skopiowane w oparciu o warunki panujące wewnątrz jego kombinezonu. „Przebudził” się przywiązany do tylnej ściany pomieszczenia, skutecznie, choć nie nazbyt brutalnie. Z różnych miejsc jego ciała pousuwano coś w rodzaju kapsułek. Może były to odpowiedniki wypełnień w uzębieniu człowieka, a może nie. Przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, gdyż McChesney nie zamierzał pozwolić, aby pierwszy pojmany w niewolę Obcy popełnił samobójstwo.

Nikt nie zamierzał też pozwolić, aby umarł z głodu. Ksenobiolodzy nie byli zgodni co do tego, jaki płyn powinien przyjmować Faller, lecz po zbadaniu zawartości jego żołądków (w liczbie dwóch) opracowali skład zadowalającej mieszanki /syntetyzowanych zastępników. Mieszanka pokarmowa miała być mu podawana na siłę za pomocą specjalnej rurki. Tak więc gdy jeńiec w końcu doszedł do siebie w celi, miał następującą alternatywę: odpowiadać na pytania lub nie.

W tym czasie okręt wojenny znajdował się już w odległym systemie gwiazdnym Świata i był gotowy do przekazania celi z jeńcem oraz ksenobiologów na pokład Alana B. Sheparda. Po dokonanej transferze McChesney z powrotem przeleciał przez Tunel Czasoprzestrzenny #438 i zajął pozycję na orbicie, gdzie czekał na dalsze rozkazy. Nic, co by się przedostało przez te wrota, nie przeszłoby niezauważone, a przypomnieć

należy, że na pokładzie jednostki McChesneya znajdowała się każda dostępna ludzkości broń. Świat był więc bezpieczny.

Nawet jeśli Fallerowie już się zorientowali, że jeden z nich nie zginął wraz ze ślizgiem, lecz wpadł w ręce ludzi, nie mogli nic na to poradzić.

\* \* \*

– Opowiedz mi jeszcze raz – poprosiła Kau Imana panna Grant, gdy oboje czekali na posterunku kontrolnym w trzewiach Alana B. Sheparda, i przymknęła oczy.

Przyglądając się jej, Lyle Kaufman nagle pojął. Nie chodziło o to, że nie zrozumiała za pierwszym razem. Ona potrzebowała mantry, potoku znajomych słów, czegoś, co by ją uspokoiło. Za ostatnim posterunkiem czekało ją nieznanne.

Powiedział więc: – Istnieje teoria... ale jest to tylko teoria... że Fallerowie mają silny instynkt niszczenia wszelkich „obcych”, którzy mogliby stanowić dla nich zagrożenie. Byłaby to strategia ewolucyjna wykształcona i rozwinięta na rodzimej planecie, która jak wiadomo, jest narażona na ciągłe bombardowanie promieniowaniem kosmicznym, a co za tym idzie na nieskończone mutacje. Fallerowie po prostu eliminują wszystko, co jest inne, w tym własne nazbyt się odróżniające dzieci. Na najłżejszy przejaw odmienności Faller doznaje takiego uczucia jak człowiek, który instynktownie boi się wysokości, tyle że na przestrzeni trwającej eony ewolucji przerodziło się ono w ksenofobię na skalę nieznaną ludziom. Choć na razie nie zostało to potwierdzone, bardzo możliwe jest istnienie tylko jednej genetycznie zbliżonej grupy Fallerów. Nie ma wśród nich ras, dopuszczalne są nieliczne wariacje fenotypowe. Wszystko, co zdaje się inne, w tym nasz gatunek, budzi wrogość w Faberach... – Którzy wyglądają na idealnych sprawców zbrodni motywowanych nienawiścią... – wymamrotała Marbet. W dalszym ciągu miała zamknięte oczy. Po chwili dodała: – Nigdy nie widziałam żadnego Obcego.

Kaufman nie był tym specjalnie zdziwiony. Wiedział, że Marbet Grant nigdy nie była poza Układem Słonecznym, a jak dotąd w Galaktyce żaden znany gatunek poza Faberami nie opanował podróży tunelami czasoprzestrzennymi. Ani nawet technologii maszyny parowej. – No dobrze – powiedziała wreszcie panna Grant, rozwierając powieki. – Jestem gotowa.

Kaufman przyłożył kciuk do płytki otwierającej drzwi.

Cela – czy też klatka – Fabera była szeroka na dziesięć metrów i na dwadzieścia metrów długa. Od ludzkiej strefy oddzielała ją niewidoczna, gruba na dwie cząsteczki bariera umożliwiająca rozgraniczenie dwu różnych atmosfer przy jednoczesnym bezproblemowym przenikaniu dźwięków. Pojmany osobnik tkwił przywiązany do odległej ściany – nagi.

Ściana była wyłożona miękkim materiałem, aby Obcy, cokolwiek by robił, nie mógł uczynić sobie krzywdy.

Kaufman musiał sobie przypomnieć w duchu, że powinien myśleć o Obcym w rodzaju męskim. Ksenobiolodzy, z których żaden nie był obecny na wyraźną prośbę Marbet, zdecydowali, że Faber jest płci męskiej, mimo że oko laika nie wychwytywało na to żadnych dowodów. Osobnik miał około półtora metra wzrostu i ciemnobrązową grubą, pozbawioną owłosienia skórę. Mocne krótkie nogi. Równie mocny ogon, który służył za dodatkowe podparcie w chwilach spoczynku. Baryłkowaty korpus z trzema nieproporcjonalnie chudymi „ramionami”, które przypominały raczej wiotkie macki, aczkolwiek każda była zakończona dłonią z trzema palcami i przeciwstawnym kciukiem. Nie było widać ani paznokci, ani pazurów. Głowa, wielkości przeciętnej ludzkiej głowy, wydawała się wydłużona, jakby cylindryczna. Do tego dwoje oczu, żadnych widocznych nozdrzy (które były umiejscowione pod brodą) oraz duże usta.

Gdy tylko weszli, Faber obnażył długie ostre zęby.

Marbet nie zareagowała. Podeszła do bariery i usiadła po turecku na ziemi, zadzierając głowę, by patrzeć prosto na Obcego. Kaufman pomyślał, że celowo przyjęła poddańczą pozycję, i zastanowił się, czy to na pewno dobry pomysł w obliczu przedstawiciela gatunku, który niszczy wszystko, co mu się nie podoba. – Możesz mnie zostawić samą, Lyle, jeśli chcesz – powiedziała do niego przez ramię. – Spędzę tu parę dni, w czasie których nie wydarzy się wiele ciekawego.

Parę dni?... – Zamierzasz tu jeść i spać? – Tak. Będzie mi też potrzebny nocnik. – Marbet Grant, nie wstając, zaczęła się rozbierać. – Czy mam... mam zabrać twoje ubranie? – Nie. Ma zostać, podobnie jak wszystko, co mi przyniesiecie. Jedzenie, naczynia, pościel. A także magiczna tabliczka do pisania z rysikiem. W żadnym razie nie komputer ani ekran holo, ani nawet sprzęt grający. – Dobrze – odparł Kaufman.

Marbet właśnie zdejmowała bieliznę. Widok jej nagiego, perfekcyjnie zmodyfikowanego ciała przyprawił pułkownika o godną pożałowania erekcję. Faller w dalszym ciągu szczyrzył zęby. Kaufman wyszedł, aby zorganizować rzeczy, o które prosiła Marbet.

Gdy wrócił, już nad sobą panował. Ułożył przyniesione przedmioty obok niej, po czym zasiadł po turecku pod ścianą przy wejściu.

Marbet zaczęła rysować na tabliczce małe kwadraty, a kiedy skończyła, odłożyła tabliczkę na podłogę, tak aby Faller mógł ją dobrze widzieć. Obcy nijak nie zareagował. Chociaż... niby po czym Kaufman miałby to poznać? Może Faller był jedną wielką reakcją?

Pułkownik wyciągnął szyję, aby przyjrzeć się tabliczce.

□□ □□□ □□□□□ □□□□□□□ □□□□□□□□□□□ □□□□□□□□□□□□

Liczby pierwsze. Tak, to miało sens. Jedyne, co łączyło ludzi i Fallerów, to tunele czasoprzestrzenne, które nosiły oznaczenia z liczb pierwszych. Aczkolwiek z niewyjaśnionych przyczyn znalazła się wśród nich także jedynka. Kaufman zakonotował sobie, że musi o tym przypomnieć Marbet.

Marbet uniosła obie dłonie, rozczapierzając palce. Pokazała jeden palec i czekała. Dwa palce i czekała. Trzy palce i czekała. Pięć. Siedem.

Obcy nie reagował.

Marbet powtórzyła tę pantomimę parokrotnie – każdorazowo z takim samym skutkiem, w końcu się więc poddała, już tylko siedziała, obserwując.

Minęła godzina. W którymś momencie Obcy przestał szczerzyć zęby, pewnie dlatego, że rozbolały go mięśnie twarzy. Poza tym nie wykonał żadnego gestu, zupełnie jak Marbet. Obserwowali się wzajemnie.

Ostatecznie, ku niemałemu zdziwieniu Kaufmana, Marbet Grant zwinęła się w kłębek na podłodze i zasnęła.

Przyglądał się jej przez jakiś czas. Była taka urocza. Jednakże nawet piękna naga kobieta i nieporuszający się Obcy nie byli w stanie przykuć jego uwagi na dłużej. Kaufman opuścił pomieszczenie. Wszystko i tak było nagrywane, a program miał go zawiadomić, gdyby wydarzyło się coś interesującego.

Pułkownik był pełen pesymizmu, gdy szedł do centrali, by złożyć raport McChesneyowi, który właśnie zmierzał ku tunelowi czasoprzestrzennemu. Brak reakcji na taką oczywistość jak liczby pierwsze. Niby jak mają wyciągnąć z tej rasy skomplikowane informacje, na przykład dane fizyczne opisujące działanie tarczy?! Zadanie wydawało się beznadziejne.

Może pomocny okaże się zagrzebany pod powierzchnią artefakt Grubera. Już jutro mieli wlecieć na orbitę Świata.

## 7. Świat

– Nie chcę schodzić na tę głupią planetę – marudziła Sudie. Z wydetą dolną wargą patrzyła wyzywająco na ojca. – Chcę zostać na statku z Marbet.  
– Gdzie ona w ogóle jest? – zainteresowała się nagle Amanda. – Nie widziałam jej od dwóch dni, a miała mi pomóc z matematyką. – Tak to już jest na tym łez padole – odrzekł Thomas Capelo. – Czemu nie poprosisz o pomoc mnie? Jestem światowej sławy fizykiem i mogę udzielać ci



korepetycji ze zniżką. – Ty nie tłumaczysz przystępnie – skrzywiła się Amanda. – Taaa – poparła siostrę Sudie. – Wolimy Marbet.

Capelo powściągnął irytację. Nie mógł sobie pozwolić na rozdrażnienie – nie dziś. Musiał się całkowicie skupić na pracy, która go czekała. Obrzucił spojrzeniem córki. Boże, ależ były śliczne... Amanda, opanowana blondaska przypominająca mu żonę. I Sudie, mniejsza wersja jego samego, właśnie przymierzająca się do awantury godnej Thomasa Capelo, o ile nie stłamsi jej w zarodku. Spróbował ponownie. – Sudie, jedzie z nami Jane... – Właśnie, gdzie jest Jane?! Miała przygotować dziewczynki do drogi! Włosy Sudie nadal były skołtunione, a torba Amandy leżała otwarta, lecz wciąż pusta. Teraz mógł dać upust swemu gniewowi. – Jane!!! – Nie drzyj się, tato – upomniała go Amanda. – Jane jest w łazience. – Nie zejść na tę głupią starą planetę! – zaczęła znowu Sudie. – Nie zejść! Chcę do Marbet. – Jane!!

Jane Shaw wyłoniła się z łazienki. Capelo jeszcze bardziej się zdenerwował, widząc, że jej krótkie szare włosy są schludnie uczesane, a spodnium leży na niej jak ulał. Podczas gdy jego młodsza córka siedziała zgarbiona, zapłakana i zaniedbana. Stłumił gniew. Jane była prawdziwym skarbem, opiekunką i nauczycielką w jednym, a w dodatku nie rzuciła pracy po miesiącu. Capelo zbyt jej potrzebował, by ją besztać. – Jane, mamy tu małe powstanie. Bunt, można by rzec. Pomięta piżama to nie strój wyjściowy, a ja muszę być w wahadłowcu za pięć minut. Za czterdzieści pięć wszyscy odlatujemy. Nie martw się, Tom – powiedziała Jane. – Małe będą gotowe na czas. Możesz już iść.

– Oby twój ogród wiecznie rozkwitał – rzekł Capelo.

Amanda się uśmiechnęła. Od pewnego czasu wszyscy przeglądali kostki informacyjne z informacjami na temat Świata, lecz tylko ona była szczerze zainteresowana. Sudie miała to w nosie. Teraz też. – Głupia planeta! Nie chcę na nią schodzić! Chcę do Marbet! – Isaac Newton nie miał podobnych problemów – rzucił Tom i dziękując Jane wzrokiem, wymknął się z ulgą.

Dwa korytarze dalej zawrócił. Idący za nim marynarz musiał rozpląszczyć się na ścianie, ale Capelo nawet tego nie zauważył. Szarpnął za klamkę drzwi do kajuty dziewczynek. Biedna Sudie, jego biedna mała córeczka, tyle ostatnio przeszła, tyle przepłakała...

Sudie siedziała na podłodze i oglądała holoprojekcję, zaśmiewając się z przygód zielonego hipopotama i wpychając swoje zabawki do plastikowego pojemnika. Jej włoski podskakiwały w dwóch zgrabnie upiętych kucykach. Jane, która pomagała Amandzie pakować torbę, posłała mu uśmiech i spojrzeniem poradziła, aby nie wchodził dalej.

Capelo potulnie zamknął drzwi i ruszył w stronę wahadłowca.

\* \* \*

Sierżant Karim Safir stał obok Dietera Grubera, oglądając obrazy gór Neury. Capelo nie miał wiele do czynienia z tym technikiem, który dotychczas mieszkał i spożywał posiłki razem z załogą i dopiero niedawno dowiedział się o swojej roli w projekcie. Wyglądało na to, że Safir jest przyzwyczajony do podobnego traktowania. Bez dwóch zdań był najlepszym speleologiem, jakiego miała armia Sojuszu Solamego.

Był drobny i szczupły, ale wydawał się silny. Na głowie miał szopę czarnych kręconych włosów i nosił wytworny staromodny wąsik. Przy zwalistym blondwłosym Gruberze stanowił komiczny kontrast. – No więc? – zagał Capelo. – Od czego zaczniemy tam, w dole?

Gruber wręczył mu mapkę. – Wahadłowiec dostarczy nas w to miejsce... o t utaj, widzisz?... po czym zamieni się w naszą bazę. My bezzwłocznie zagłębimy się w góry. Tym razem mam świetne mapy sonarowe, więc wiem, dokąd iść. Nie to co poprzednio, no ale wtedy nie wiedziałem, czego się spodziewać... Przejdziemy tędy, tymi korytarzami, do... – A nie moglibyśmy wylądować w tej dolince w górach, o której opowiadałeś? Tej tuż ponad artefaktem? – Nie, wahadłowiec jest na to za duży. Ale koparka jest przy okazji poduszkowcem, więc jak już wylądujemy, Karim podleci nią do dolinki z resztą ciężkiego sprzętu. My pójdziemy pieszo. A co, Tom? Nie przepadasz za jaskiniami?

– Po śmierci spędzę dużo czasu pod ziemią. Wolałbym nie zaczynać za wcześnie.

Gruber się zaśmiał. – Nie martw się. Te korytarze to łatwizna, są wysokie na tyle, że można się w nich poruszać w pozycji wyprostowanej, mało w nich wilgoci. Kiedy nanoboty je obrobiją, spacerek będzie równie miły jak po korytarzach na statku, tyle że widoki na ścianach będą ciekawsze. To fascynujące miejsce, wiesz? Ma swoją historię. Pierwotnie było aktywne wulkanicznie, potem uderzył w nie artefakt, doszło do ruchów płyty tektonicznej, do tego punkt gorąca... Mówię ci, cudo! Niekończący się ciąg jaskiń z podziemnymi źródłami, kominami, tunelami, którymi płynie lava... no i jeszcze z wugiem! – Aha, z wugiem – powtórzył Capelo, który nie zamierzał się przyznać, że nie ma pojęcia, co to takiego ten wug. – Nie będę ci psuł niespodzianki. Sam zobaczysz! Zapragniesz wziąć tam też dzieci. – No tak... A właśnie: co z Marbet? – Ona na razie nie schodzi na dół – odparł Gruber. – Dlaczego? Sądziłem, że ma ułatwić nam kontakty z tubylcami? Co będzie, jeśli pokażą się jacyś tubylcy? – Nie pokażą się – rzekł stanowczo Gruber. Nagle opuściła go jowialność. – Zabezpieczymy się perymetrem elektronicznym. – W ich oczach jesteśmy „nierzeczywiści”, tak? – zapytał Capelo.

Tubylcy niespecjalnie go interesowali, lecz oczywiście orientował się w sytuacji. Część planu Dietera Grubera – ta najbardziej szalona część – zakładała odnalezienie pewnego tubylca. A raczej tubylki. Entli czy Pętli, czy jakoś tak. Ta kobieta była głównym kontaktem poprzedniej wyprawy. Zdaniem Grubera jej umysł w jakiś sposób ucierpiał w momencie, gdy eksplodował pierwszy artefakt, ten ciągniony przez Syree Johnson do tunelu czasoprzestrzennego.

Capelo uważał tę teorię za niezmiernie niemądrą. Jeżeli te dwa obiekty były taktycznie splątane na nieznanym poziomie, to było coś! W dodatku coś, co dało się zmierzyć: wzrostem promieniowania na powierzchni zewnętrznych planet czy danymi uzyskanymi podczas badań zakopanego artefaktu. Jednakże nieudokumentowana i subiektywna „zmiana w umyśle” Światanki, do której rzekomo doszło przed dwoma standardowymi laty, była niemierzalna – ani fizycznie, ani matematycznie. To szarlataneria, nie nauka. – Panna Grant może dołączy za drugim kursem wahadłowca – wtrącił Safir.

Mówił charakterystycznie, oddzielając poszczególne słowa i ciężko je akcentując. Szacunek fizyka dla technika jeszcze wzrósł. Radzie Obrony Sojuszu Solamego musiało bardzo zależeć na jego udziale w ekspedycji, skoro wysłała zwykłego szeregowca na kurs języka angielskiego wspomagany farmaceutykami. Safir musiał być naprawdę wyjątkowy!

Pierwszym rejsiem na dół polecieeli: Capelo, Singh, Albemarle, Safir, Kaufman. Ilekarka pokładowa. Gruber i paru specjalistów targających masę sprzętu. Sama koparka zajęła ponad połowę ładowni wahadłowca, przez co ludzie musieli się tłoczyć. Personel pomocniczy miał dolecieć później, a wraz z nim Jane z dziewczynkami.

Capelo spoglądał na okręt, oddalając się od niego wahadłowcem. Nie podobało mu się, że musi zostawić Amandę i Sudie same choćby na kilka godzin. I nieważne, co mówili psycholodzy po śmierci Karen... – Niepotrzebnie pan przesadza, doktorze Capelo. Niespuszczanie dzieci z oka nie pomoże im przeboleć straty matki. – Nie pozwolę, żeby straciły także ojca. Polecą tam, gdzie ja. – Nawet jeśli pan będzie leciał prosto w niebezpieczeństwo? – Ich matka zginęła, wykonując pokojowe zajęcie na pokojowo nastawionej planecie. Chętnie usłyszę, gdzie waszym zdaniem jest bezpiecznie. – Opowiada pan bzdury, doktorze Capelo. – Zachowuję się racjonalnie, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Za to wy baj - durzycie i wygadujecie mętne psychologiczne dyrdymały. – Potrafimy rozpoznać irracjonalną postawę, gdy stoimy z nią oko w oko. – W takim razie lustra muszą was doprowadzać do szału.

Wahadłowiec wylądował na płaskiej równinie nieopodal gór Neury. Capelo, nie mający wykształcenia geologicznego, był zdumiony, że równina tak raptownie przechodzi we wzgórze, a one w niskie góry. Pozbawione

ośnieżonych szczytów. A także sadyb, mimo że z powietrza wyraźnie widział wioski. Z powierzchni musiano dostrzec wahadłowiec, wielką błyszczącą bryłę metalu przecinającą atmosferę pozbawioną choćby samolotów śmigłowych. No ale to nie był jego problem. Niech inni się martwią. Thomas Capelo nie miał nawet szans zobaczyć tubylca.

Jak tylko były gotowe odczyty z czujników, technicy zabrali się do ustalania perymetru elektronicznego. Pracowali pod okiem kompetentnej ponurej kapitan Thekli Heller odpowiedzialnej za bezpieczeństwo ekspedycji. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby robiła to już tysiąc razy wcześniej. Kto wie, może faktycznie tak było?

Capelo trzymał się na uboczu, unikając zamieszania i próbując zebrać myśli. Gruber i Safir rozładowali koparkę i resztę sprzętu, sprawdzali zabezpieczenia. Gdy skończą, Safir poderwie poduszkowiec do góry i wyląduje w miejscu, które Gruber opisał jako „dolinkę w górach, tuż ponad artefaktem”. Następnie wszyscy, naukowcy i personel pomocniczy, pokonają łatwiznę w postaci korytarzy Dietera Grubera, „wysokich na tyle, że można się w nich poruszać w pozycji wyprostowanej”.

Thomas Capelo miał nadzieję, że geolog wie, o czym mówi.

\* \* \*

Lyle Kaufman truchtał kolejnymi korytarzami za ekipą naukowców. Musiał zejść na powierzchnię planety razem z zespołem – nie było innego wyjścia. Niemniej bardzo mu się nie podobało, że zostawiał Marbet Grant i Fallera samych w tajnym pomieszczeniu na pokładzie Alana B. Shepada. Między innymi dlatego, że obserwowanie ich okazało się dla niego fascynujące.

Chociaż nie było wiele do obserwowania. Marbet przez większość czasu przyglądała się Obcemu, który odpowiadał tylko spojrzeniem. Poza chwilami przymusowego karmienia Fallera właściwie było nudno. Marbet co jakiś czas ponawiała prezentację liczb pierwszych, posługując się i tabliczką, i palcami. Poza tym trochę nuciła, trochę śpiewała, trochę tańczyła. Z tego, co widział Kaufman, Obcy nie reagował w żaden sposób.

Co jednak widziała Marbet? Kaufman wolał jej nie przerywać pytaniami.

Ostatnio poprosiła, aby do przedśionka wniesiono duże lustro. Potem stała przed nim i robiła miny. Naśladując miny i gesty Obcego, które zauważyła, jak przypuszczał Kaufman, choć on niczego nie spostrzegł. Przywykł już do jej nagości, aczkolwiek nie potrafił tej sytuacji traktować z

taką swobodą jak ona. Marbet Grant była w pracy. Lyle Kaufman był zakochany.

Zakochanie mu minie, gdy na horyzoncie pojawi się nowa kobieta. Zawsze tak było. Najważniejsze, by nie pozwolił, aby to uczucie przeszkodziło mu w pełnieniu obowiązków.

Korytarze oświetlone latarkami Grubera nie były strome. Wszyscy członkowie wyprawy mieli na sobie pełne kombinezony – łącznie z hełmami – ponieważ w górach Neury miejscami występowało podwyższone promieniowanie, gdzie indziej znów praktycznie żadne. Z tego, co twierdził Gruber, wynikało, że częściowo jest ono całkowicie naturalne, a częściowo powoduje je zagrzebany artefakt. Kombinezon Kaufmana informował go co jakiś czas, że wchodzi w strefę podwyższonego promieniowania, gdzie jest tyle to a tyle radów. Ignorował te komunikaty. W kombinezonie był zupełnie bezpieczny. – Jesteśmy już prawie na miejscu rzekł optymistycznym tonem Gruber, gdy długi szereg członków wyprawy przecisnął się przez wąski, najeżony ostrymi kantami kręty korytarz wypełniony wodą sięgającą do uda i mającą podejrzany brązowy kolor. Dokoła pływały przypominające węże stworzenia, z których wiele wyglądało na zdeformowane. – Najgorsze za nami. Odtąd mamy już tylko z górki! A do jutra nanoboty zrobią tu taki porządek, że nie poznacie tego miejsca!

Jeden z techników gdzieś z tyłu parsknął krótkim drwiącym śmiechem.

Wszakże geolog nie kłamał. Rychło jeden po drugim wyłonili się na czworakach na otwartą przestrzeń dolinki. Była niewielka, na pewno nie większa od boiska sportowego, a otaczały ją wysokie skały z nawisami, wylotami korytarzy i płytkimi wnękami. Strumyk płynął jej środkiem, niknąc w pewnym momencie pod ziemią. Kwiaty pstrzyły poszycie, niektóre o wyjątkowo pięknych kolorach. Kaufman przyłapał się na zastanawianiu, czy spodobałyby się Marbet.

Kazał sobie wyrzucić pannę Grant z myśli.

Koparka była już na miejscu. Harold Albemarle zabrał się do rozmieszczania czujników w całej dolince. Technicy sprawdzali sprzęt. Gruber i Safir, nadal w uprząży grotolazów, rozwinęli mapę i pokazali ją Kaufmanowi. – Tu – dźgnął palcem wskazującym Dieter Gruber – jest komin, w który wszedłem poprzednim razem. Jako jedyny daje bezpośredni dostęp do artefaktu. Pójdę z Karimem upewnić się, że nic się nie zmieniło przez te dwa lata. Zejście nie należy do łatwych, więc wy zaczekacie tutaj. – Ja idę z wami! – rzucił Capelo.

Gruber popatrzył na niego. – Lepiej nie, Tom. My dwaj jesteśmy doświadczonymi grotolazami. To zejście jest zbyt niebezpieczne dla amatora. – Nie zrozumiałeś mnie – odparł Capelo tonem, w którym

Kaufman wyczytał tajoną niecierpliwość. – Muszę zobaczyć artefakt, zanim zaczniecie przy nim majstrować. Potem może już nie być taki sam. Muszę mieć materiał porównawczy. Pomiary, które zrobimy tu, na górze, nie wystarczą. Poza tym z tego, co nam wiadomo, obiekt może równie dobrze wyparować w chwili, gdy ktoś go dotknie. Bo na przykład został zaprojektowany do działania wyłącznie pod grubą warstwą ziemi i skał. – Przez ostatnie trzy miliony lat – rzekł sucho Gruber – nie brakowało mu atrakcji. Ruchy tektoniczne zapoczątkowały destabilizację atomów, która wywołała podwyższone promieniowanie. – Ruchy tektoniczne, zgoda. One są częścią tej masy ziemi i skał – pokiwał głową Capelo. – Idę z wami i już. – Nie dasz rady – burknął Gruber. – Nie wiesz, co robić. – Jestem pojętnym uczniem. – To nie kwestia zdolności intelektualnych, jak w wypadku matematyki – przekonywał go dalej Gruber. – To kwestia sprawności fizycznej. W tym momencie do rozmowy włączył się Kaufman. – Dieterze, obawiam się, że Tom ma rację. Musi zobaczyć artefakt, zanim ruszycie go czy cokolwiek obok niego.

Gruber umiał się wycofać, nie okazując obrazy. – Dobra. Ja. Jak mus, to mus. Będzie, jak mówicie. Karim, doktor Capelo idzie z nami. – Ostatnie zdanie powiedział głośno i wyraźnie.

Safir skinął głową nieporuszony. Kaufman zastanowił się, czy tego człowieka cokolwiek potrafi wyprowadzić z równowagi. Drobnny szeregowy wyglądał na kogoś, komu brak układu nerwowego.

Wkrótce cała trójka wyruszyła w drogę. Kaufman potem przez chwilę przyglądał się sapiącym i klnącym technikom rozpakowującym ciężki sprzęt, po czym udał się na poszukiwanie Harolda. – Mamy już podstawowe odczyty – zaraportował Albemarle. – Sonar, radar, strumień neutrin. Wszystko pokrywa się z wynikami odnotowanymi przed dwoma laty przez podręczny komputer Grubera. Na marginesie, to niesamowite, że zebrał wtedy tyle danych. Z tego, co widać, w ciągu minionych dwóch lat standardowych nic nie naruszyło spokoju tego czegoś, co spoczywa pod powierzchnią. – Gruber wspominał o dziwnym polu – napomknął Kaufman. – Miało przypominać spłaszczony pączek... – Tak, toroid. Spójrz... – Albemarle pomajstrował przy swoim komputerze i nagle zawisła nad nim holoprojekcja. Ukazywała pączek zbudowany z kropek gdzieś gęstych, a gdzieś rzadszych. – To tutaj to oko... coś jak oko cyklonu. Zupełnie brak w nim promieniowania poza naturalnym, które wynika z ciśnienia i rozpadu. Dalej mamy toroidalne pole promieniowania otaczające artefakt. Ono nie ma nic wspólnego z naturalnością. I nie pasuje do tego, co Syree Johnson mówiła o tym drugim obiekcie, który eksplodował i zabił ją. – Nie pasuje w jakim sensie? – zapytał Kaufman.

Właściwie znał odpowiedź. Z natężeniem studiował wszystkie dostępne dane, zanim opuścił Marsa. Uważał jednak, że Haroldowi należy

dać zabłysnąć, póki w pobliżu nie ma Thomasa Capelo, który potrafił każdego zgasić spojrzeniem i mocą swego geniuszu.

Trzeba sobie powiedzieć jasno, czym jest promieniowanie, pułkowniku – zaczął wykład Albemarle. – Energia wiążąca nukleony w jądrze atomowym sprawia, że jądro trzyma się kupy w granicach bariery energetycznej. Nikt jednak nie potrafi stwierdzić, gdzie dokładnie znajdują się cząstki subatomowe... o tym mówi zasada nieoznaczoności Heisenberga. Można co najwyżej stwierdzić, gdzie prawdopodobnie się znajdują. Część tego pola prawdopodobieństwa leży poza atomem. A zatem, biorąc poprawkę na teorię kwantową, może się zdarzyć, że atom emituje promieniowanie pomimo oddziaływania silnego w jądrze. Nadaża pan, pułkowniku? – Tak – odrzekł Kaufman. To była wiedza z zakresu kursu fizyki na poziomie szkoły średniej. Mimo to pozwalał, aby naukowiec traktował go z góry. – Jeśli spojrzeć na promieniotwórczość z jednej strony, można powiedzieć, że jądro czasowo się destabilizuje i następuje emisja cząstki alfa. Ten wielki artefakt, który znalazła Syree Johnson, uważany przez tubylców za księżyc, wyemitował jakiś rodzaj fali prawdopodobieństwa, która zdestabilizowała jądra atomowe zawierające ponad siedemdziesiąt pięć protonów i neutronów. A w każdym razie tyle wynosiła ta liczba przy pierwszej okazji, gdy obiekt znajdował się jeszcze na orbicie i fala zabiła pilota wahadłowca, który zmarł na chorobę popromienną. – Rozumiem – skinął głową Kaufman z miną świadcząca o natężonej uwadze. – Nikt nie wie, co uległo destabilizacji, gdy księżyc na koniec wybuchnął z pełną mocą, zabijając wszystkich na pokładzie Zeusa. Nas interesuje jednak to, pułkowniku, że w obu tych wypadkach fala rozeszła się sferycznie, we wszystkich kierunkach jednakowo. Przynajmniej z tego, co nam wiadomo. Natomiast obiekt znajdujący się pod powierzchnią tej planety jest przyczyną fali toroidalnej i nierównomiernie destabilizuje atomy, zwiększając prawdopodobieństwo tego, że wyemitują one cząstkę alfa. Wedle wzoru, nazwijmy to, pączka. – A co decyduje o wzorze promieniowania? – Nic – odparł głucho Albemarle. – Nooo, coś musi. Nawet w tej projekcji widać jakiś wzór. – Taaa – przyznał Albemarle. – Tylko że to wciąż pozostaje tajemnicą.

Pod nieobecność Thomasa Capelo naukowiec dawał się lubić, mimo że traktował innych z góry. Kaufman widział, że Haroldowi naprawdę zależy na rozwikłaniu tej tajemnicy. – Zatem zakładasz, Haroldzie, że przez tysiąclecia podobna fala powstawała, ilekroć ruchy tektoniczne zakłóciły spokój artefaktu spoczywającego pod ziemią. – Tak. Aczkolwiek być może wyłącznie „przy niskich ustawieniach”. Gdyby doszło do aktywacji przy pełnej mocy... o ile ten obiekt w ogóle ma różne ustawienia mocy... te góry wyleciałyby w powietrze tak samo jak Zeus. A przynajmniej stałyby się równie napromieniowane jak Nemeter. – Tymczasem eksplozja tamtego

artefaktu wysadziła Zeusa i usmażyła dwie najdalsze planety, lecz nie uczyniła żadnej krzywdy Światu. – Tak – potwierdził Albemarle. – Co nie ma najmniejszego sensu. – Zapatrzył się w holograficzny pączek. – Dziękuję za interesujący wykład z fizyki – rzekł Kaufman tonem na tyle pozbawionym ironii, na ile było go stać. Bardzo proszę – odparł wspaniałomyślnie naukowiec. Nie przejmuj się, I tyle, z czasem załapiesz podstawy. – Tak, z pewnością... – westchnął Kaufman.

Z jego komunikatora rozległ się głos Grubera. – Pułkowniku? Jesteśmy przy pierwszym kominie. Zaraz schodzimy. – Bądź ostrożny, Dieterze. I raportuj na bieżąco. – Ja – potwierdził Gruber wesołym tonem. – Nic się nie bój, Lyle... nie stracimy naszego bezcennego fizyka... Tom, uważaj...! – Przecież widzę – burknął z irytacją Capelo.

Kaufman znalazł w miarę wygodny głąz z dala od łoskotu wydawanego przez koparkę i stamtąd śledził poczynania Dietera Grubera. Jednakże zaledwie parę minut od rozpoczęcia kolejnego połączenia jego komunikator zaskrzeczał, przerywając raport geologa. – Sir, wiadomość z bazy. Priorytet drugi. – Kapitan Heller? – otworzył połączenie Kaufman. – Sir – odezwała się przerażająca szefowa ochrony – perymetr elektroniczny ustanowiony. Ale już mamy gości. Cała delegacja tubylców. Jeden mówi po angielsku. Domagają się rozmowy z „głową domostwa”. – To niemożliwe – zareagował idiotycznie Kaufman. – Tubylcy nie chcą z nami rozmawiać. Uznali nas za „nierzeczywistych”. – Nic mi o tym nie wiadomo, sir. Wiem tylko tyle, że są tutaj i domagają się rozmowy z „głową domostwa”, a wahadłowiec jeszcze nie przywiózł doktor Sikorski ani ksenobiologów. – W porządku – rzekł Kaufman. – Już tam jadę. Proszę przekazać delegacji tubylców, że „głowa domostwa” niebawem się pojawi.

Równie dobrze może śledzić poczynania geologów z bazy.

Ale czego chcą tubylcy? zastanawiał się w duchu Kaufman. Gdy ostatnio widzieli ludzi, chcieli nas wszystkich pozabijać, jeśli wierzyć Gruberowi.

Do Heller powiedział jeszcze: – Pół godziny, kapitanie. Coś jeszcze? – Mają ze sobą mnóstwo kwiatów. – W jakich kolorach? – Słucham? – W jakich kolorach są te kwiaty? – Eee, pomarańczowe i żółte, sir.

Barwy gościnności. Z czego by wynikało, że ludzie przestali być niemile widziani na Świecie. Przestali być nierzeczywiści... Czyli polityczne wygibasy, które musiał uprawiać generał Gordon, aby dostać pozwolenie na przylot tutaj, były niepotrzebne. Ciekawe, co sprawiło, że w ciągu dwóch lat standardowych – prawie trzech lat światańskich – tubylcy diametralnie zmienili zdanie w tak ważnej sprawie. Jakim cudem doszli do wniosku, że ludzie jednak są rzeczywiści, skoro przez cały ten czas nie mieli do czynienia z żadnym człowiekiem?



Kaufman trzymał kciuki, by odpowiedź na to pytanie nie uczyniła ich zadania na Świecie jeszcze trudniejszym, niż się zapowiadało.

## 8.

### Góry Neury

Perymetr elektroniczny otaczał bazę w promieniu ćwierć kilometra od lądowiska, z którego wahadłowiec właśnie wystartował w dragi kurs na Alana B. Shepada. Grapa tubylców kręciła się tuż poza terenem obozowiska wyprawy. Jeden Światanin leżał na ziemi. Lyle Kaufman zrozumiał, co się stało, jak tylko się pojawił. – Proszę wyłączyć perymetr elektroniczny – rzucił do kapitan Heller. – Sir, ale to... – Wykonać. – Tak jest, sir. – Kobieta potwierdziła przyjęcie rozkazu, aczkolwiek uczyniła to nieszczęśliwą miną.

Zastosowane pole elektryczne nie mogło zrobić krzywdy człowiekowi. Jednakże Światanie nie byli ludźmi, o czym Kaufman musiał sobie przypomnieć. Ich fizjologia, choć wynikająca z DNA takiego samego jak ludzkie, subtelnie się różniła od fizjologii człowieka. Poza tym natknięcie się na niewidoczne źródło bólu było szokiem samym w sobie dla istot, które jeszcze nie wynalazły elektryczności. Nie mówiąc o tym, że Ziemianie teoretycznie przybywali w pokoju.

– Oby wasze kwiaty rozkwiwały w mnogości – zwrócił się-po angielsku do całej grupy. – Twój ogród sprawia mi radość – odparł jeden ze Światan.

On (ona?) był duży w porównaniu z resztą. Obok niego (niej?), wysunięty nieco przed resztę, stał jeszcze większy Światanin, którego skóra błyszcząca od jakiegoś olejku. Obie istoty krzywiły się z cierpienia. – Bardzo mi przykro, że nie przynoszę kwiecica gościnności... – zaczął Kaufman, mając nadzieję, że choć jeden ze Światan zna angielski wystarczająco dobrze, by go zrozumieć.

Plany nie zakładały konieczności poznania światańskiego przez szefa wyprawy. Odnalezieniem Pek Brimmidin mieli się zająć Anna Sikorski i Dieter Gruber, którzy także nie powinni mieć potrzeby wdawania się w rozmowy z tubylcami, jako że ci definitywnie uznali ludzi za „nierzeczywistych”. Tymczasem Światanie przemówili do nich, a Anna Sikorski wciąż była daleko. Mniejszy z dwóch roślących Światan zwrócił się do większego i wyrzucił z siebie kaskadę słów, najwyraźniej tłumacząc powitanie Kaufmana. Grzebień czaszkowy obu istot marszczyły się przy tym straszliwie. W końcu tłumacz popatrzył na Kaufmana i rzekł: – Witajcie na Świecie. Ja jestem Enla Pek Brimmidin. A to jest Hadził Pek Voratur, głowa domostwa Voraturów...

Potężny tubylec gwałtownie wyciągnął do Kaufmana rękę, w której trzymał bukiet kwiatów.

A zatem to jest Enla Brimmidin, tubylka współpracująca z Anną Sikorski, ta sama, która poprzedniej ekipie pomogła opuścić domostwo Pęka Voratura po tym, jak lokalni kapłani okrzyknęli ludzi nierzeczywistymi. Wróc... Nie: lokalni, gdyż nic na Świecie nie było lokalne, nawet ból głowy Pęka Voratura. Światanie bowiem „dzielili rzeczywistość”. Zdaniem Anny Sikorski mechanizm miał podłoże czysto fizjologiczne. Kiedy postrzeganie rzeczywistości przez dwóch Światan nie było identyczne, obaj dostawali potwornego bólu głowy. Z tego wynikała monolityczność cywilizacji Światan nie mającej odpowiednika nigdzie w znanym wszechświecie.

Z wyjątkiem może Fallerów. – A ja jestem Lyle Pek Kaufman, głowa domostwa Ziemiaków przebywających na Świecie. Bardzo mi przykro, że jeden z was ucierpiał z powodu naszego urządzenia, które pomaga sprowadzić latającą łódź z nieba. – Na Boga, oby to przełknęli... dodał w myślach Kaufman. Nie miał pojęcia, jak się zachować w tej sytuacji.

Na szczęście jego słowa okazały się chyba właściwe. Enla przetłumaczyła je Pękowi Voraturowi i pozostałym. Oblicza i grzebienie Światan wygładziły się stopniowo. Nawet u porażonego przez pole elektryczne mężczyzny (porażonej kobiety?). Co, za ulga: to było tylko jeszcze jedno urządzenie Ziemiaków! Poprzednio dość się naoglądali dziwnych urządzeń i nasłuchali o nich, aby nie czuć przed nimi strachu.

Pek Voratur odezwał się, promieniejąc, a Enla przetłumaczyła jego słowa: – Światanie witają ziemskich kupców, którzy powrócili. Oby wasze ogrody wiecznie cieszyły dusze waszych przodków. – Oby wasze kwiaty rozkwitały w mnogości – zrewanżował się Kaufman. – Czy Pek Sikorski, Pek Bazargan i Pek Gruber znaleźli się w twoim domostwie, Pęku Kaufmanie? – zapytała Enla. – Pek Gruber jest z nami. Pek Sikorski przybędzie niebawem. Pęka Bazargana nie ma z nami.

Doktor Ahmed Bazargan, szef zespołu antropologów poprzedniej ekspedycji, nie wyraził chęci powrotu na Świat. „Jesteśmy tam nierzeczywiści, nikt nie będzie chciał z nami rozmawiać. Zresztą nie czuję się na siłach, by pracować znów w terenie”. – Oby ogrody Pęka Grubera i Pek Sikorski wiecznie zachwycaly swym zapachem dusze ich przodków. – Oby wasze kwiaty rozkwitały w mnogości – rzekł znowu Kaufman, wiedząc, że się powtarza. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć. Dlaczego tubylcy nie zaczęli z pojawieniem się do przylotu Anny Sikorski? – Domostwo Pęka Voratura zaprasza Pęka Kaufmana, Pek Sikorski i Pęka Grubera na wspólny wieczorny posiłek o zachodzie słońca jutro – rzekła Enla. – Z miłą chęcią – odparł Kaufman. – Pek Sikorski i Pek Gruber z radością zobaczą znów ciebie i Pęka Voratura. – No, przynajmniej zdołał

umówić spotkanie Enli z Anną Sikorski. – Może tak być, że Pek Voratur i Ziemianie zasadzą targu.

Kaufman poczuł się pewniej. Na handlu się znał. Natomiast Anna i Dieter uporają się z kwestiami rzeczywistości, nierzeczywistości i nieoczekiwanej zmiany kategorii w wypadku ludzi.

– Dobrze, możemy pohandlować. – Oby twoje kwiaty rozkwitły w duszy Pierwszego Kwiatu – powiedziała Enla, nagle powracając do oficjalnych formułek. – Oby wasze kwiaty rozkwitały... ehm... w mnogości. – Zdawał sobie sprawę, jak błado wypadają jego słowa w porównaniu z kwiecistymi sformułowaniami Enli.

Światanie znów wręczyli kwiaty dowódcy wyprawy oraz kapitan Heller, która przyjęła je dopiero na wyraźny rozkaz Kaufmana. Przez cały czas mierzyła z karabinu laserowego do Obcych – ci jednak nie zorientowali się, że urządzenie w jej rękach jest bronią. I dobrze. Światanin, który przedtem kolejno leżał i siedział, podniósł się teraz i cała delegacja odeszła. – Pani kapitan... – odezwał się Kaufman. – Zmiana rozkazów. Proszę pilnować perymetru, lecz nie uzbrajać go. – Sir, nie... – Nie uzbrajać, zrozumiano? Proszę podwoić patrole, żeby uchronić nas przed kradzieżami.

Światanie mieli swoje za uszami, Kaufman to wiedział z kostek informacyjnych. Najwyraźniej zabieranie własności innych nie pogwałcało dzielonej rzeczywistości. – Tak jest, sir. Czy coś jeszcze, sir? – Owszem. Cały personel ma wziąć udział w szkoleniu, które poprowadzi doktor Sikorski zaraz po wylądowaniu. Cały personel. Czy to jasne, pani kapitan? – Tak jest, sir. – Ton jej głosu był znaczący. – Na jaki temat będzie to szkolenie, sir? – Kontaktów z tubylcami – odparł Kaufman. Po chwili namysłu dodał: – I używania kwietnego języka. – Kwietnego, sir?

– Tak, pani kapitan. Właśnie tak.

Usłyszawszy coś w głosie swego przełożonego, kapitan Heller zmilczała.

\* \* \*

Thomas Capelo zgrzytał zębami, przeciskając się w dół przez ciasny komin. Karim Safir, idący przed nim, wykorzystał nanoboty do wbicia haków wspinaczkowych w twardą skałę. Nanoboty byłyby w stanie poszerzyć komin, jednakże zamykający stawkę Dieter Gruber nazbyt się śpieszył, aby dać im na to czas. Geolog trzymał koniec liny, którą Capelo był przewiązany w pasie, w drugiej ręce zaś dzierżył silną latarkę, oświetlając nią każdą zmarszczkę w skalnej ścianie. Fizyk wiedział, że w razie czego grotolaz zamortyzuje jego upadek, jednakże i tak nie był zadowolony. – Czy

Isaac Newton musiał łązić po jaskiniach, żeby popchnąć naukę do przodu? – zawołał do Grubera. – Albo Einstein? Albo Yeovil? – Oni nie mieli tyle szczęścia co ty! – odkrzyknął Dieter Gruber. – Uważaj, nie wleź na głowę Karimowi...

Capelo pomyślał, że Safirowi by to nie przeszkadzało. Zupełnie nic nie ruszało młodego speleologa, a Grubera – prawie nic. Dzięki temu byli łatwiejsi w kontaktach niż na przykład ten idiota Albemarle, ale też Capelo czuł się przy nich nadmiernie spięty.

Komin był tak wąski, że ześlizgując się, Tom zdierał sobie skórę z łokci. Jak masywny Niemiec zamierza się tędy przecisnąć? Capelo wzruszył ramionami – to nie jego problem – i wymacał stopą następny hak. Po chwili stał już na równym podłożu. Wreszcie... Z wdzięcznością rozejrzał się za Safirem. Technik właśnie zniknął w odchodzącym korytarzu, jedną ręką machając na Toma, by za nim podążył. – W głąb króliczej nory. Ach, na me uszy i wąsy – rzucił Capelo cytatem z „Przygód Alicji w Krainie Czarów”, lecz nikt go nie usłyszał. Wcisnął się więc za Safirem, kalecząc sobie twarz, co odnotował w języku nieznanym Lewisowi Carrollowi.

Zapomniał jednak o wszystkich niewygodach, gdy w końcu dotarli do zagrzebanego artefaktu.

Było widać tylko jego mały odsłonięty fragment: krzywizną gładkiego metalu wystającą z podłoża niewielkiej jaskini o nieregularnym kształcie. Szacując na podstawie widocznego fragmentu, Capelo ocenił wielkość całego artefaktu na kulę o średnicy dwudziestu pięciu metrów albo coś koło tego. Najpierw z nabożeństwem dotknął metalowej powierzchni, a dopiero potem odpiął pas ze swymi przyrządami pomiarowymi. Safir przyglądał mu się z lekkim uśmiechem, lecz Thomas Capelo był tego nieświadomy. Nie zauważył nawet, że Gruber, niezdolny przecisnąć się do środka, przykucnął u wylotu korytarza. – Powierzchnia wygląda na wykonaną z jakiejś alotropowej odmiany węgla przypominającej znane nam fulereny – rzekł do mikrofonu Capelo. – Brak widocznych oznaczeń, nie ma też żadnych śladów nadpalenia czy odbarwienia. W obecnej chwili obiekt nie emituje promieniowania. Otaczające skały również nie są źródłem promieniotwórczości...

– Wszystko to przedstawiłem w swoim raporcie! – rzucił oburzony Gruber.

Fizyk go nie usłyszał. Dalej prowadził pomiary i rejestrował każdą uwagę, jaka przyszła mu do głowy. Dopiero gdy skończył, podniósł spojrzenie na wpatrzonych w niego dwóch mężczyzn umorusanych skalnym pyłem – nie mniej niż on, jak się domyślał. – No dobra – rzucił. – Wypuśćmy tego dzinna z butelki.

\* \* \*

Przez resztę dnia ogromna koparka niszczyła dolinkę. Strumyk przekierowano do wykopanej przez nanoboty dziury, którą woda znikła w głębi ziemi. Roślinność i kwiaty wykarczowano. Warstwa po warstwie odcinano laserami kolejne płyty podłoża, zbijano je za pomocą nanogwoździ i unoszono warczącą niezmordowaną koparką. Jediną trudnością był brak miejsca na składowanie bloków zdjętej ziemi.

Otwór, który zaplanował Gruber, miał mieć czterdzieści metrów średnicy i prawie ćwierć kilometra głębokości. Ściany wzmacniano tą samą metodą, dzięki której wydobyta ziemia i odłamki skał trzymały się w kupie, dając pole do popisu nanobotom. Dzięki temu nie istniało ryzyko zawału ani zasypania powstającego otworu przez sterty ziemi i kamieni, gdyby przyszedł deszcz. Niestety czterdzieści metrów to była prawie cała długość dolinki, tak więc trzeba było mozolnie, jeden po drugim, unosić kolejne scalone bloki ponad górami i odstawiać tam, gdzie akurat było wolne miejsce. – To zajmie dłużej, niż myśleliśmy – powiedział Kaufman, który przyglądał się procesowi kopania.

– Ja – potwierdził Gruber ze spokojem. – Ale w końcu się dokopujemy. Możemy pracować w nocy, kein problem. Spójrz tylko, Lyle, na to porysowanie... Dziesięć tysięcy lat na przekroju jednej małej kostki!

Kaufman nie zachwycił się stratyfikacją skał aż tak jak Gruber. – Jak sądzisz, Dieterze, kiedy tubylcy się zorientują, że kroimy im planetę na plasterki?

Grubera z kolei nie interesowała reakcja Światan.

Kaufman westchnął. Mógł mieć tylko nadzieję, że skoro do dewastacji dochodzi na terenie gór Neury, gdzie tubylcy się nie zapuszczają, nikt się w ogóle nie dowie o tej rabunkowej ekskawacji.

Powstał jeszcze jeden problem. Pułkownik musiał wrócić korytarzami. Ekipa techniczna rozpoczęła poszerzanie najwęższych i osuszanie najmokrzejszych za pomocą nanobotów i laserów pod okiem doświadczonego technika górnictwa. Mimo to praca była daleka od ukończenia.

Ku zdumieniu Kaufmana fizyk zapragnął mu towarzyszyć. – Sądziłem raczej, że będziesz warował przy otworze – rzekł lekkim tonem Lyle. Wprawdzie kąśliwe komentarze Toma nie irytowały go aż tak jak Harolda, lecz nie mógłby powiedzieć, że polubił młodego naukowca. – Moje córki przylecą drugim kursem – odparł Capelo. – Na nic się tu nie przydam, dopóki nie zjem z nimi kolacji i nie położę ich spać. – Rozumiem – powiedział Kaufman, który ani nie miał, ani nie chciał mieć dzieci. – A tak przy okazji... – zagaił Capelo zniechęca, gdy mijali zakręt gładkiego

korytarza wyłobionego przez lawę. – Gdzie podziewa się Marbet Grant? – Marbet? – Tak, Marbet. No wiesz: nasz drobniutki rudowłosy zmanipulowany Wrażliwiec. Zdaje się, że nie ma ich więcej na pokładzie. Słyszałem, że miała pomagać Annie Sikorski w nawiązywaniu kontaktów z tubylcami. – Zgadza się — skłamał gładko Kaufman. – Obie powinny przylecieć razem. Ale parę godzin temu odebrałem połączenie z Alana B. Sheparda. Okazuje się, że Marbet złapała jakiegoś wirusa i musi przejść kwarantannę, dopóki się nie wyjaśni, co jej dolega.

Capelo zerknął na niego. – Ciekawe. Można by pomyśleć, że każde choróbsko, które byśmy złapali na Marsie, powinno ujawnić się wcześniej, tak jak w wypadku Grubera... – Jest mnóstwo zmutowanych wirusów, których procesu replikacji jeszcze nie rozgryźliśmy – rzucił Kaufman, nie wiedząc, czy to prawda. Biologia nigdy nie była jego silną stroną. – A czemu nagle o nią pytasz? – Dziewczynki chciały wiedzieć. Tęsknią za nią, zwłaszcza Sudie, z którą się bawiła. – Tutaj nie powinny się nudzić – stwierdził Kaufman. – No tak... Mimo wszystko cieszę się, że mamy ustanowiony perymetr elektroniczny. To są ci sami Światanie, którzy zabili dwoje dzieci z poprzedniej ekspedycji, jak wiesz. Poderżnęli im gardła. Dranie zdecydowali, że te dzieci nie są „rzeczywiste”. – Tak, wiem – odparł Kaufman wymijająco. Gorączkowo się zastanawiał, co jest lepsze: stawić czoło wściekłości Thomasa Capelo czy stracić jego zaufanie. Z powodu niedomówień? – Prawdę mówiąc, Tom... musieliśmy wyłączyć perymetr elektroniczny. Ale podwoiliśmy patroli i...

Capelo zatrzymał się i gwałtownie obrócił do niego. Wśród cieni korytarza rozświetlonego tylko latarką twarz fizyka zdawała się groteskowo wykrzywiona. – Wyłączyliście perymetr elektroniczny? – Światanie zmienili zdanie i jednak uznali nas za rzeczywistych. Jeden z nich ucierpiał przy kontakcie z ogrodzeniem. Taka bariera pogwałca ich rozumienie dzielonej rzeczywistości, Tom. Nie możemy sobie na coś takiego pozwolić. – Ponieważ to jest ich planeta – skwitował gorzko Capelo. – Tak, ponieważ to ich planeta – potwierdził Kaufman, spodziewając się wybuchu gniewu.

Tymczasem fizyk jakby nigdy nic podjął wędrówkę, omijając kupki kamieni, które osypały się ze ścian korytarza. – W takim razie dziewczynki zamieszkają ze mną, nie w bazie. – Nie w bazie? Ale... – Tubylcy za nic nie wejdą do gór Neury. Zabrania im tego religia. Co to, pułkowniku, nie odrobiliśmy zadania domowego?

Kaufman nie pozwolił sobie na okazanie złości. – A jeśli artefakt emituje falę albo wybuchnie czy... – Jeżeli wybuchnie tak jak ten pierwszy, szlag trafi całą planetę. Natomiast szanse, że wzbudzi ot tak falę, są moim zdaniem mniejsze niż na to, że banda tutejszych rozszalałych fanatyków religijnych zaatakuje moje dzieci. Pierwsza ekspedycja doprowadziła do

wzbudzenia fali celowo, jak zapewne wiesz. Na pewno jednak nie miała zamiaru pozwolić na zamordowanie tamtych dzieci. – Tom, to nie jest... – Posłuchaj mnie, Lyle – przerwał mu Capelo, ponownie się zatrzymując. – Powiem ci coś, choć nie sądzę, abyś to zrozumiał. Nie spodziewam się, że ty czy nawet cała armia Sojuszu Solarnego, którą reprezentujesz, może ochronić mnie i moje córki. Właściwie daliście już pokaz swojej niemocy. Dlatego robię wszystko po swojemu. Dzisiejszego wieczora Amanda i Sudie zostaną na wahadłowcu, pod kluczem, ale jutro z samego rana przeniosę je do obozu. – Zgoda – powiedział Kaufman, czując, że dalszy sprzeciw na nic by się nie zdał. – Myślisz, że uda nam się wydobyć artefakt już jutro? – Pewnie. Działamy zgodnie z planem ustalonym przez naczelne dowództwo. Nie ma mowy o opóźnieniu. – Naprawdę w to wierzysz? – Nie – odparł Capelo ze znużeniem w głosie. – Sądziłem jednak, że właśnie coś takiego powinien powiedzieć naukowiec biorący udział w projekcie wojskowym.

Resztę drogi pokonali w milczeniu.

W bazie wahadłowiec dopiero co wylądował. Anna Sikorski wysiadła pierwsza prosto w czerwoną poświatę zachodzącego słońca. Minę miała zarazem pełną nadziei i niepokoju. Wkrótce się dowiedziała, że Gruber wolał zostać na miejscu robót. Kaufman podszedł do niej, aby ją poinformować, że ludzkość jakimś cudem dostała zaszczytu włączenia do światłańskiej rzeczywistości i że ona sama jest zaproszona na jutrzejszy wieczór na kolację z gospodarzami.

## 9.

### **Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard**

– Lyle... – Nazajutrz po południu na wyświetlaczu wahadłowca pokazała się twarz podekscytowanej Marbet. – Chyba powinieneś tu przylecieć, jeśli możesz.

W piersi Kaufmana coś drgnęło. Chodziło o wiadomość czy o nadawcę? Tyle dobrego, że teraz – nadając z centralki okrętu – Marbet Grant miała na sobie ubranie. Zanim odpowiedział, wziął się w garść, by nadać głosowi normalne brzmienie. – Nieco później będziemy wydobywać artefakt na powierzchnię, Marbet. I zostal ismy zaproszeni na kolację z tubylcami, w tym z Enlą Pek Brimmidin. Znaleźliśmy ją bez trudu.

Mogłabyś zrelacjonować wszystko ustnie, a potem mi przesłać nagrania? – Oczywiście – odparła Marbet. – Chociaż wolałabym to zrobić w odwrotnej kolejności. Najpierw obejrzyj nagrania, a porozmawiamy potem.

– Rozumiem z tego, że poczyniłaś postępy? – O, tak... – Wypytują o ciebie córki Toma. Musiałem mu powiedzieć, że złapałaś wirusa i zostałaś poddana kwarantannie. – Przekaż im moje pozdrowienia. – Po chwili dodała: – Lyle, jest coś, o czym mi nie mówisz...

Kaufman uświadomił sobie, że wyświetlacz działa w obie strony i że Marbet ma okazję obserwować jego mimikę i mowę ciała, w których odczytywaniu jest lepsza niż ktokolwiek, kogo znał wcześniej. W okamgnieniu pojął, skąd wzięła się niechęć ludzi do Wrażliwców. Zmusił się jednak do uśmiechu. – A co? Wypatrzyłaś coś we mnie? Co to takiego? – Frustracja. I niepokój.

Zaśmiał się. Nawet w jego uszach wypadło to nieprzekonująco. – No nie... Czemu miałbym czuć frustrację i niepokój? Przecież sytuacja jest tylko potrójnie trudna. Mam na głowie niebezpieczny artefakt, miejscowych, którzy chcą ze mną handlować, i uwięzionego Obcego. W dodatku we wszystkich trzech dziedzinach otaczają mnie szaleńcy. W twoim wypadku chodzi mi o Fallera, nie o ciebie... – Capelo sprawia kłopoty?

Wczoraj wieczorem praktycznie skoczyli sobie do gardeł z Haroldem. Gdyby byli moimi podwładnymi, wysłałbym ich obu do brygu. Gdyby mieli stopień oficerski, oddałbym ich pod sąd wojenny. Tak się jednak składa, że są cywilnymi specjalistami, którzy powinni współpracować ze sobą i z którymi ja muszę współpracować, co pęta mi ręce. – Jak zareagowałaś? – zapytała Marbet z typowym dla niej delikatnym współczuciem.

Kaufman nie rozumiał sam siebie. Nigdy nikomu nie zwierzał się z problemów. Między innymi dlatego zrobił taką karierę w armii. – Chwyciłem Toma... ten chuderlawy skurczybyk ma niemało siły!... a Dieter złapał Harolda. Odciągnęliśmy ich od siebie, tak że się stracili z oczu. Potem Rosalinda rozmawiała o fizyce z Tomem, a doktor Sikorski analizowała dane z Haroldem. A może nie. Nie słuchałem... – No tak, my, kobiety, mamy balsamiczną moc – pokiwała głową Marbet, on zaś wychwycił w jej tonie kpinę, ale też coś więcej... – Niektóre na pewno. Raczej bym nie wysłał jako rozjemczyni kapitan Heller. Która nawiasem mówiąc, wścieka się na mnie.

Marbet się roześmiała. – Wyłączyłeś perymetr elektroniczny. – Jak się domyśliłaś? – Skoro jecie razem kolację, znaczy, że Światanie uznali ludzi za rzeczywistych. A skoro tak się stało, nie możesz ryzykować pogwałcenia dzielonej rzeczywistości, fundując im bolesne zetknięcie z polem ochronnym. Przyprawiłbyś o ból głowy całą planetę lub sprawiłbyś, że ludzie znów zostaliby uznani za nierzeczywistych, a najpewniej efektem byłoby jedno i drugie. – To prawda – potaknął Kaufman. I pomyślał, że jego praca byłaby znacznie przyjemniejsza, gdyby wszyscy widzieli sprawy tak jasno jak Marbet Grant. – Nie dziwi mnie, że kapitan Heller jest wściekła. Biedny Lyle... Obejrzyj sobie moje nagrania, poprawią ci humor. – Marbet... – zagadnął cicho Kaufman. – Czy Faller odezwał się do ciebie? – W pewnym



sensie. Oczywiście nie za pomocą mowy. Nawet gdyby chciał coś powiedzieć, jego struny głosowe nie są w stanie naśladować dźwięków wydawanych przeze mnie. Mimo to doszło między nami do komunikacji. Przy okazji, Lyle... ostrzegam, że niedługo będę do ciebie miała wielką prośbę. – Jaką? – Dowiesz się po obejrzeniu nagrań. – Zgoda. – To na razie. – Ekran zgasł.

Pułkownik nie ruszał się z miejsca przez parę chwil. Rozmyślał. Doszło do komunikacji między człowiekiem i Fallerem! Przez dwadzieścia lat ludzie nie otrzymali żadnego komunikatu od tych morderczych drani. Dostawali tylko śmierć i cierpienie. Lała się krew, głównie ludzi, nie Obcych. Trudno było uwierzyć, że jeniec nagle zapragnął dopomóc w położeniu kresu temu niekończącemu się rozlewowi krwi. Marbet może i była najlepszym we wszechświecie łącznościowcem, ale nie była żołnierzem. Nigdy nie brała udziału w walce. Nie znała się na wojskowych podstępach.

Wybiła trzynasta zero zero. Korzystając z podręcznego komunikatora, Kaufman połączył się z Thomasem Capelo. – Tom, tu Lyle. Mam do podjęcia decyzję w sprawie harmonogramu i muszę wiedzieć, czy artefakt zostanie wydobyty na powierzchnię wczesnym czy późnym popołudniem. – W ogóle nie zostanie dzisiaj wydobyty. – -Nie? Jak to? – Z powodu ostrożności. Popierasz ostrożność, prawda, Lyle? Odsłoniliśmy go już trochę i znaleźliśmy oznaczenia niemal identyczne jak te, które odkryła Syree Johnson. – Mów dalej. – Kaufman czuł, jak buzuje w nim podniecenie. – Są na nim również wypukłości podobne do tych, które opisała w raporcie doktor Johnson. Włączniki i wyłączniki, przynajmniej w wypadku tego pierwszego obiektu, gdzie aktywacja odbyła się przy równoczesnym wciśnięciu dwóch punktów. Tutaj mamy na oko to samo. Dlatego wolelibyśmy z Gruberem nie namotać niechcący. To by mogło narobić bałaganu. – Prawda. – No więc zapędziliśmy na dół każdego członka personelu, jaki się nawiąnął, i teraz wszyscy odgarniają pędzelkami grudkę po grudce i pyłek po pyłku, jakby to było bezcenne naczynie z epoki wczesnego paleolitu. Coś takiego musi potrwać, rozumiesz sam. Wydobędziemy go jutro. Koparka już szykuje dla niego miejsce... Sudie, nie teraz! – Tatusiu! – rozległ się podekscytowany dziecięcy głosik. – Chodź popatrzeć!

Kaufman zareagował ostrzej, niż zamierzał. – Tom, czy ty dozorujesz priorytetowy projekt wojskowy i jednocześnie zajmujesz się dzieckiem? – Nie, nie, skądże, jest tu opiekunka... Sudie po prostu wymknęła się jej na chwilę. Jane! Zabierz małą, proszę... A zatem, Lyle... jutro. Z samego rana. A potem nareszcie będę mógł wykonać pełen zestaw pomiarów. – W porządku – odrzekł Kaufman i przerwał połączenie, żeby nie wymsknęł o mu się coś, czego by potem żałował.

Thomas Capelo był szaleńcem, tak jak powiedział Marbet. Żeby trzymać dzieci w pobliżu śmiertelnie niebezpiecznej broni! Arogancki indywidualista, któremu się wydaje, że wszystko, co robi, jest słuszne dlatego, że on to robi.

Arogancki genialny indywidualista.

Kaufman połączył się z pilotem wahadłowca, który zszedł ze służby i najprawdopodobniej spał.

– Kapitanie DeVolites, tu pułkownik Kaufman. Jak szybko może mnie pan zabrać na pokład Alana B. Sheparda?

Pilot natychmiast otrząsnął się ze snu. – Czy to sytuacja alarmowa, sir? – zapytał czujnie. ~ Nie, nie zostaliśmy zaatakowani. – Kaufman nie wdawał się w dalsze wyjaśnienia. – Ale chciałbym odbyć kurs jak najprędzej.

DeVolites był zaintrygowany, co dawało się poznać po jego głosie. – Trzeba liczyć dwie godziny na kurs w jedną stronę, sir. Wliczając dokowanie. Z powrotem może trochę mniej.

Alan B. Shepard znajdował się na orbicie geostacjonarnej ponad górami Neury, monitorując całość działań za pomocą czujników zapewniających rozdzielczość do paru centymetrów. – Proszę być gotowym za kwadrans – rzekł Kaufman, po czym poszedł poinformować kapitan Heller o nieplanowanym starcie wahadłowca.

\* \* \*

Komandor Grafton, który przywitał Kaufmana w doku wahadłowca, nie wyglądał na zachwyconego. – Pułkowniku, można na słówko w cztery oczy? – Oczywiście.

Grafton poprowadził go do ekranowanej centrali łączności w pobliżu doku.

– Pułkowniku, proszę o wyjaśnienie prerogatyw panny Grant w odniesieniu do jej kontaktów z jeńcem.

Komandor był bardzo sztywny, bardzo – rzecz by można – marynarski. Kaufman się odprężył. Nieraz w przeszłości miał do czynienia z nadętymi oficjelami kręcącymi nosem na łamanie protokołu. – A co ona takiego zrobiła, komandorze? – zapytał celowo współczującym głosem. – Aktywowała holobibliotekę, w czym naturalnie nie ma niczego złego. Zażądała... – Kaufman zwrócił uwagę na użyte słowo – ogromnej mocy obliczeniowej, co też nie wykracza poza jej uprawnienia, chociaż zdaje się, że wykorzystuje przydzielone komputery w niewłaściwy sposób... Ale do tego wtrąca się w sprawy żywienia jeńca i inne związane z warunkami jego przetrzymywania, co już zahacza o moje kompetencje. A ostatnio domaga się uwolnienia jednej z... nazwijmy to... ręk Fallera. Nie muszę panu mówić, pułkowniku, że jedna ręka może Obcemu wystarczyć do popełnienia

samobójstwa. To ich standardowa reakcja na niewolę, jak panu wiadomo. Nie możemy dopuścić, aby się zabił. – Nie, oczywiście, że nie – zgodził się z nim Kaufman.

Hierarchia i układy na pokładzie Alana B. Shepada były skomplikowane. Grafion reprezentował marynarkę, Kaufman armię. Grafton miał decydujące słowo we wszystkich sprawach, które wiązały się z bezpieczeństwem okrętu, za to Kaufman decydował o wszystkim, co się łączyło z „projektem specjalnym” dotyczącym Obcego. Obydwaj jednak wiedzieli, że gdyby pierwszy w historii Faller, który został pojmany żywcem, odebrał sobie życie na pokładzie okrętu pod dowództwem Grafiona, oznaczałoby to kres jego kariery.

Grafton wolał się upewnić. – Zatem przyznaje pan, że należy odmówić prośbie panny Grant? – Chciałbym najpierw z nią porozmawiać – oświadczył Kaufman. – Aczkolwiek przyznaję, że uwolnienie jednej ręki jeńca mogłoby przynieść fatalne konsekwencje.

Była to wymijająca odpowiedź.

Grafton nie był głupcem. Domyślił się, że na tym etapie nie osiągnie nic więcej. Wstając, zaproponował sucho: – Zaprowadzę pana do panny Grant.

Marbet czekała na niego w przedsionku wiodącym do celi z klatką jeńca. W pomieszczeniu tym panował nieopisany bałagan. Na podłodze wały się wydruki komputerowe, blaty i krzesła zaścielały dokumenty i fotografie. Na jednej ścianie tłoczyły się trzy – trzy! – holoekrany rozdzielone przez lustra od ziemi do sufitu. Po kątach spoczywały wszelakie mundury, rzucone byle jak i leżące w najdziwniejszych kształtach, oraz coś, co Kaufman w pierwszej chwili wziął za martwe zwierzęta. Wzdrygnął się. Bliższe oględziny wykazały, że to tylko kawałki futra. Skąd ta kobieta wytrzasnęła futro na pokładzie okrętu wojennego? – Cześć, Lyle – przywitała go, kiedy Grafton zostawił ich samych. – Widzę, że komandor zdążył ci na mnie naskarżyć. – Tylko mi nie mów, po czym się tego domyśliłaś – poprosił ją z uśmiechem. Marbet Grant wyglądała wspaniale. Jej śniada twarz i zielone oczy błyszczały podnieceniem. Nawet krótkie kasztanowe loki zdawały się bardziej sprężyste. – Opowiedz, czego dokonałaś.

Potrafiła zwięźle przekazywać informacje. – Podzieliłam projekt na cztery fazy. W fazie pierwszej obserwowałam Fallera, szczególnie podczas karmienia, oraz próbowałam nawiązać komunikację za pomocą liczb pierwszych. Bez reakcji. Jednakże moje obserwacje oraz analiza komputerowa nagrań z każdej sesji pozwoliły mi stwierdzić, że mimika i mowa ciała Obcego wyrażają połowę ludzkiej gamy emocji. – Połowę? – zdziwił się Kaufman. Zauważył, że Marbet nadal określa Fallera jako Obcego, nie używając żadnej nazwy własnej. – Gniew, strach i wstręt. Druga połowa to zadowolenie, zaskoczenie i pożądanie.

Pożądanie?! – Postanowiłaś więc sprawdzić, czy przejawia także te trzy – rzekł Kaufman domyślnie, starając się zapanować nad własnym głosem. – Tak. Żeby sprowokować zaskoczenie, wykorzystałam hologramy. Głównie zwierząt. Nie mam pojęcia, czy Faberowie są obeznani z techniką holo czy też nasz jeniec myślał, że króliki, które wyciągam dla niego z kapelusza, są prawdziwe, ale tak czy inaczej udało mi się go zaskoczyć. – Nie wątpię. – Z zadowoleniem nie poszło mi już tak łatwo. Wróć do tego za momencik. I do pożądania też.

– Nie mogę się doczekać – wtrącił Kaufman całkowicie poważnie. – Faza druga polegała na naśladowaniu mimiki i mowy ciała Obcego. – Ty go naśladowałaś? – zdumiał się Kaufman. – Cóż, tak... Nasz jeniec nie przejawia chęci do uczenia się ludzkich gestów. – To prawda. – Nie trzeba było znać ludzkich gestów, by zabijać. – No więc naśladowałam jego ruchy – kontynuowała Marbet – a on w reakcji okazywał zaskoczenie i wstręt, nie próbując nawet odwzajemnić się choć namiastką komunikatu. Przez cały czas czułam, że dzieje się coś jeszcze, lecz długo nie potrafiłam tego sprecyzować. Nawet z pomocą komputera. Dlaczego się uśmiechasz? – Rozbawiła mnie myśl o komputerze, który coś doprecyzowuje za człowieka.

Posłała mu uśmiech, praktycznie nie przerywając potoku słów. – Faza trzecia polegała na przedstawianiu mu symulacji innych Faberów przy wykorzystaniu gestów, które rozszyfrowałam do tej pory. To było fascynujące! Obcy natychmiast zrozumiał, że hologramy nie pokazują jego prawdziwych pobratymców, lecz nad mową ciała nie sposób zapanować, Lyle. Reagował odruchowo. A reakcja była diametralnie różna w zależności od tego, czy holograficzny Faber był nagi, ubrany w mundur taki, w jakim go pojmałiśmy, czy w nasz. – Wyświetlałaś mu hologramy Faberów ubranych w nasze mundury? – Teraz Kaufman rozumiał, co komandor miał na myśli, mówiąc o niewłaściwym wykorzystaniu mocy obliczeniowej przydzielonych jej komputerów. – Tak. Ale w wymyślone, to znaczy zerżnięte z jego munduru i tylko z ozdóbkami podobnymi do naszych. Przynajmniej na początku... I tu nastąpił pierwszy przełom. Reakcja Fabera różniła się w zależności od stopnia, i to także w wypadku ludzkich mundurów. Wygląda na to, że wiedzą o nas więcej niż my o nich. – W to akurat jestem w stanie uwierzyć. – Kaufman pokiwał głową z ponurą miną. Na tej podstawie uważam, że społeczeństwo Fallerów jest silnie zhierarchizowane. To ma sens, zważywszy, że niszczą wszystko, co uznają za zagrożenie. Musiał wykształcić się mechanizm, który powstrzymywałby ich przed wzajemnym wybiciem się do nogi. Moim zdaniem mechanizm ten zasada się na sztywnej, niezmiennej hierarchii obowiązującej przez całe życie. Co więcej, wydaje mi się, że w przeciwieństwie do ludzkiego społeczeństwa u Fallerów ten mechanizm ma podłoże biologiczne. Jest zakodowany w genach albo zaimplantowany do mózgu, jak zwał, tak zwał.

Kaufman powiedział z namysłem: – Podobnie jak wypadku mechanizmu dzielonej rzeczywistości u Swiatan? – Tak! Właśnie! – Wszechświat nagle stał się bardzo dziwnym miejscem...

Marbet się zaśmiała. Jej śmiech był tak pełen życia i tak radosny, że aż zaskoczyło to Kaufmana. Zupełnie jakby miała do czynienia nie z naukową i wojskową zagadką, którą trzeba było rozwiązać, tylko z czymś naprawdę zajmującym i fascynującym. Marbet Grant zachwycała ta dziwność wszechświata, którą jego, pułkownika ROSS, przyprawiała o gęsią skórę.

No tak, ale nie wolno zapominać, że Marbet Grant przez całe życie była traktowana jak dziw nad dziwami. – Przyszedł mi do głowy pomysł, aby sprawdzić, jak Obcy zareaguje na różne osoby. Do tej pory widywał tylko personel pomocniczy, który karmił go siłą: trzech pracujących na zmiany techników, którzy na dodatek są wszyscy płci męskiej, oraz ksenobiologów będących niższymi oficerami. Tymczasem nasz jeniec jest niesłychanie wyczulony na przejawy władzy. Jego i nasza wrażliwość na władzę ma się do siebie tak jak psi i ludzki węch. Musiałam sprawdzić, jak się zachowa w obliczu kogoś, kto ma prawdziwą władzę.

Kaufmana przeszedł dreszcz. – Sprawdziłaś, jak się zachowuje w obliczu komandora Graftona, najwyższego stopniem oficera na pokładzie? – Tak. Ale to była całkowita kłapa. Obcy okazał strach i gniew, a nie zwiększoną gotowość do komunikacji. Było nie było jesteśmy wrogami.

Kaufman nie zdołał się powstrzymać. – A jak zareagował Grafton?

Marbet ponownie się zaśmiała. – Strachem i gniewem. Oczywiście żaden z nich o tym nie wie. Jeśli kiedykolwiek powtórzysz moje słowa, wyprę się ich, niemniej w tamtej chwili człowiek i Obcy byli bardzo podobni do siebie. – Założę się, że tak, pomyślał Kaufman, przypominając sobie sztywność Graftona i tłumioną wściekłość na to, co wyprawia Marbet. Na głos jednak powiedział tylko: Na czym więc polegał przełom? – Poszłam w przeciwnym kierunku. Obcy nie chciał się komunikować z władzą. Pogardzał osobami o niższym statusie. Jego zdaniem żaden człowiek mu nie dorównuje. To pozostawiało tylko jedno wyjście.

Kaufman w okamgnieniu zrozumiał, do czego zmierza Marbet. I poczuł ucisk w żołądku.

Marbet Grant powiedziała: – Nie apróbujesz tego, jak widzę. W dodatku o samicach Fallerów nie wiemy zupełnie nic, równie dobrze mogą być nieinteligentną formą życia. Mimo to stworzyłam z pomocą komputera holograficzne wizerunki osobników płci żeńskiej w oparciu o najczęściej występujące we wszechświecie różnice między płciami, nie przejmując się tym, że mogą one nie być uniwersalne. Drobniejsza sylwetka. Miększa wszędzie tam, gdzie Obcy wydaje się kanciasty. Tego typu zmiany. Pozostawiłam te wizerunki nagie, aby uniknąć zamieszania z hierarchią, i nieco rozmazane, ponieważ nie mam bladego pojęcia, jak mogą wyglądać

ich organy płciowe. No i to okazało się strzałem w dziesiątkę. Obcy po raz pierwszy zareagował uczuciem zadowolenia. Było ono oczywiście mimowolne i tylko przelotne... nasz jeniec doskonale wie, że to obrazki, a nie rzeczywiste postacie. Tyle jednak wystarczyło, abym rozbudowała swój słownik o uczucie zadowolenia i pożądania oraz przekonała się, co dokładnie w wizerunku samicy je wywołuje. – Po czym znowu zaczęłaś naśladować... – Tak.

Kaufman nie aprobował tego. Marbet udająca samicę Fallerów – czy też jej nieporadną podróbkę – do tego zapewne naga... Bardzo chciał ukryć swoją reakcję, lecz wiedział, że nie podoła.

Marbet przyglądała mu się z napięciem. W końcu powiedziała: – Grafton nie ma o niczym pojęcia. – Ach tak? – Zareagowałby tak samo jak ty, tylko silniej. Znacznie silniej. Lyle, posłuchaj... Ja nie udaję samicy Fallerów. Nasz jeniec nie jest głupi. Po prostu staram się mu pokazać od takiej strony, aby maksymalnie zmniejszyć jego instynktowną wrogość do mnie i stworzyć warunki zachęcające go do nawiązania komunikacji. Treserzy dzikich zwierząt na Ziemi robią to samo, wiesz? Właściwie... – zawahała się, po czym jednak wypaliła: – Ty robisz to samo, uprawiając dyplomację.

Nie dało się tego ukryć. Kaufman niechętnie skinął głową. – I co? Zdziałało? Nagle zaczął z tobą rozmawiać? – Tak. Oczywiście pozostałam w jego oczach wrogiem, niemniej takim, co wywołuje u niego pozytywną fizjologiczną reakcję zamiast negatywnej. Pozwól, że coś ci powiem, Lyle. W wypadku Fallerów fizjologiczny składnik tego mechanizmu ma o wiele większą moc niż u ludzi. Dlatego Fallerowie są znacznie mniej elastyczni. Można powiedzieć, że są więźniami własnej fizjologii. – I z tego powodu mordują nas bez dania racji?... – Westchnął. – No dobrze, Marbet. Co takiego ci powiedział? – Na razie nic mi nie „powiedział”. – Ogarnęło ją podenerwowanie. – Sądziłam, że rozumiesz, Lyle. To niewerbalna komunikacja, do tego niezwykle krucha. To ja „mówię” mu różne rzeczy. – Na przykład co? – Próbuję mu przekazać, że ludzie chcą rozmawiać, chcą przestać zabijać. Wykorzystuję w tym celu hologramy, pantomimę, wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy. Za parę minut sam zobaczysz. – Marbet... – Zbulwersowany Kaufman nie potrafił się wysłowić. – Marbet... Ty... Ja... Żadne z nas nie ma prawa negocjować pokoju z Fallerami! – Wiem – odrzekła z zadziwiającą godnością. – Wiem, że moim zadaniem jest dowiedzieć się jak najwięcej o cywilizacji Fallerów oraz... jeśli to tylko możliwe... o ich technologii. W tym najlepiej o zasadzie działania tarczy. Och, i byłoby miło, gdybym jeszcze potrafiła chodzić po wodzie!

Kaufman usiłował sobie wyobrazić, jak wyglądały rozmowy między Marbet i Grafionem.

Po chwili milczenia dodała: – Przepraszam. Przemęczenie i niewyspanie zrobiły swoje, jak widać. – Nie, to ja przepraszam – rzekł

Kaufman. – Odwaliłaś kawał świetnej roboty, masz wyniki i całkowitą rację, gdy twierdzisz, że nigdy nie wiadomo, do czego mogą one doprowadzić. To zdumiewające osiągnięcie zarówno na niwie nauki, jak i sztuki wojennej. – Jesteś naprawdę dobry w tym, co robisz – stwierdziła Marbet sucho. – Nie chciałem... – Owszem, chciałeś. Wolę, kiedy jesteś bardziej bezpośredni... Zamierzam teraz do niego wejść. Jeśli chcesz, możesz oglądać na tym ekranie. – Dobrze – odparł, lecz Marbet zdążyła już zniknąć za bocznymi drzwiami. Kaufman zbliżył się do wskazanego ekranu.

Faller wyglądał tak, jak zapamiętał go pułkownik. Nadal przypominał zdeformowanego beczułkowatego człowieka wyposażonego w trzy podobne do macek ramiona przywiązane do ściany. Choć Kaufman wpatrywał się w pozbawioną widocznych nozdrzy twarz, nie potrafił się dopatrzeć żadnej zmiany w jej wyrazie. Nagle otworzyły się drzwi i do celi z jeńcem weszła Marbet.

Przez moment Kaufman nie miał pewności, czy to na pewno ona. Ani czy to w ogóle przedstawiciel gatunku ludzkiego. Oczywiście była to Marbet, tyle że trzymająca ręce pod dziwnym kątem, a palce rozczapierzone, i poruszająca się inaczej, z jakimś obcym wdziękiem. 68

Na zgiętych kolanach, jakby grubsza... Nie, nie mogła nagle zgrubieć. To musiało być złudzenie. Była naga, nie licząc żółtego pasa materiału zamotanego na biodrach i ukrywającego drugorzędowe cechy płciowe. Może ta tkanina była wielowarstwowa i stąd wrażenie, że Marbet przytyła? Ale nie... raczej chodziło o jej postawę i sposób poruszania się... W końcu dotarło do niego, że to, co wziął za przepaskę biodrową jest tylko holoprojekcją zmieniającą się płynnie bez sugerowania konkretnego kształtu, faktury i udrapowania.

Marbet podeszła bardzo blisko do Fallera. Musiała znaleźć się tuż przy barierze oddzielającej ludzką atmosferę od tej, do której przywykł Obcy. Holokamery były tak ustawione, że Kaufman otrzymywał na ekranie wyraźny profil Marbet. Jej twarz zdawała się jeszcze dziwniejsza od reszty ciała. Kobieta poruszała mięśniami mimicznymi, wykrzywiając się groteskowo – tak przynajmniej odbierał to Kaufman.

Faller również się skrzywił, aczkolwiek nie tak strasznie jak Marbet. Mimo to Kaufman wstrzymał oddech. Był świadkiem pierwszej rozmowy Obcego z człowiekiem w trakcie trwającej już dwadzieścia lat wojny.

Nie, nie rozmowy, poprawił się w duchu. Nie dochodziło do żadnej werbalnej wymiany informacji, choćby absolutnie podstawowej, typu: „Ja Tarzan, ty Jane”.

I nagle na oczach Kaufmana oblicze Fallera znów się wygładziło. Chociaż nie, chyba nie do końca... Pozostały jakieś drobne skurcze, których znaczenia jednak pułkownik nawet się nie domyślał.

Wtedy Marbet uniosła rękę i zaczęła gestykulować.

Przez Kaufmana jakby przeszedł prąd. Kąt, pod jakim Marbet trzymała ramię, sposób, w jaki rozczapierzała palce, to, że jeden palec trzymała skulony (Faberowie mieli tylko cztery palce) – wszystko zdawało się Kaufmanowi dziwaczne i groteskowe. Ale rozpoznał te gesty. Przy wysoko rozwiniętej modyfikacji genetycznej oraz zastosowaniu nanomedów w leczeniu na Marsie nie było osób cierpiących na głuchotę. Lecz Mars to jeszcze nie cały Układ Słoneczny. W ziemskich slumsach oraz w koloniach religijnych, gdzie przywódcy zakazywali bioinżynierii genetycznej i nanotechnologii, Kaufman widywał głuche dzieci wykonujące dokładnie takie gesty jak Marbet w tej chwili. Panna Grant uczyła Obcego języka migowego.

Albo przynajmniej jakiejś jego wersji. Ja-nie-chcę-skrzywdzić-ciebie.

Oblicze Fallera drgnęło lekko. Kaufman nie był w stanie rozszyfrować jego mimiki. Pytanie, czy potrafiła to zrobić Marbet.

Migała jeszcze przez parę minut, po czym złożyła coś w rodzaju głębokiego ukłonu. I wtedy coś się stało. Na karku Fallera podniósł się grzebień: cienka warstwa skóry nastroszyła się na parę cali w górę, po czym raptownie sflaczała. Jednakże Kaufman zdążył to dojrzeć – i rozpoznać. Coś podobnego zdarzało się u innych gatunków, w tym ziemskich. Pułkownik Lyle Kaufman był przed chwilą świadkiem mimowolnego, acz prędko stłumionego tokowania.

Pożądanie...

Jeniec tęsknił do samic własnego gatunku.

Kaufman przymknął powieki. Gdy ściągał tu Marbet Grant, coś takiego nawet nie powstało mu w głowie. Wprawdzie nie miał żadnych konkretnych oczekiwań, ale... Opis zachowań godowych Obcych raczej nie nadawał się do zamieszczenia w raporcie projektu wojskowego o nadrzędnym priorytecie. Czekala ich jeszcze długa droga, zanim choćby zaczną rozmawiać o polach rozpraszających i polach prawdopodobieństwa.

Marbet stanęła obok niego. – Sam widzisz, Lyle... – powiedziała cicho. – Nie zdoła mi odpowiedzieć, mając związane ręce.

Kaufman milczał. – Musisz przekonać Graftona i jego ksenobiologów, żeby uwolnili jedną rękę Obcego.

Nie dało się tego ująć dyplomatycznie. Nie było mowy o owijaniu w bawełnę. Marbet Grant i tak by go przejrzała. Kaufman zebrał się w sobie. – Nie, Marbet. To niemożliwe. – Ale... – Nie.

## 10. Gojkit



Jemloe Enla Pek Brimmidin przyglądała się, jak Ziemianie zmierzają ku bramom domostwa Voratura, i czuła, że dopada ją ból głowy za oczami. Jeszcze nawet nie znaleźli się w zasięgu słuchu, a ją już bolała głowa. Do tego właśnie byli zdolni Ziemianie.

Oczywiście nikt poza nią nie miał bólu głowy. Pek Voratur i jego żona Alu Pek Voratur, ich dorośli synowie, kapłan domostwa – wszyscy stali spokojnie, uśmiechając się sponad naręczy kwiatów gościnności. Słudzy Pierwszego Kwiatu okrzyknęli Ziemian rzeczywistymi, a zatem posiadający dusze goście nie mogli powodować bólu głowy. Panowała idealna harmonia, dzielona rzeczywistość wspólna dla wszystkich.

Z wyjątkiem Enli.

Mimo że właśnie Enla spędziła najwięcej czasu z uczestnikami poprzedniej ziemskiej ekspedycji, nauczyła się niełatwego języka ziemskiego i poznała Ziemian zarówno z najlepszej, jak i z najgorszej strony. Ziemianie byli tacy przerażający! Odmawiali sobie wzajemnie dzielonej rzeczywistości, walczyli ze sobą, kochali tych, których nie powinni kochać... i wszystko to najwyraźniej bez wywoływania bólu głowy. Wszakże to wiedziała tylko Enla, na której oczach jeden z Ziemian umarł, aby ocalić pozostałych oraz cały Świat. Właśnie dlatego słudzy Pierwszego Kwiatu uznali, że Ziemianie są rzeczywisci. A skoro tak uznali. Ziemianie stali się rzeczywisci. I nie pogwałcili dzielonej rzeczywistości dla nikogo z wyjątkiem Enli, która miała szczerą nadzieję, iż już nigdy nie ujrzy żadnego Ziemianina.

Mimo to – kolejny przykład tego, do czego są zdolni Ziemianie! – serce podskoczyło jej z radości na widok Anny Pek Sikorski będącej jedną z osób zaproszonych na wieczorny posiłek do domostwa Pęka Voratura. To była ta sama łagodna Pek Sikorski, miła i cicha, z tymi samymi jasnymi włosami wyrastającymi z głowy i ułożonymi w lśniące fale. Enla zawsze podziwiała w sekrecie włosy Ziemian, mimo że były takie inne. Ktoś – prawdopodobnie była to Pek Sikorski – poradził reszcie Ziemian, aby ukrywali brak szyjowłósów, i odtąd wysokie kołnierze, całkiem ładne, skromnie zasłaniały ich nagie karki. – Witajcie w domostwie Vo rat u rów! – rzekł z promiennym uśmiechem gospodarz, a Enla przetłumaczyła jego słowa. Wymieniono masę kwiatów gościnności, pomarańczowych i żółtych.

Gości była czwórka: Pek Sikorski, Lyle Pek Kaufman (jakież dziwne mieli imiona!), głowa domostwa Ziemian na Świecie, który rozmawiał z Enlą minionego dnia, oraz dwoje sług, w tym ta sama kobieta o zaciętej twarzy, która wczoraj wymierzyła broń w Pęka Voratura. Oczywiście tylko Enla znała to słowo i wiążącą się z nim rzeczywistość; była jedyną osobą na

Świecie, która widziała ziemską broń. Pek Voratur nawet się nie domyślał jej groźnego przeznaczenia.

Ból głowy Enli jeszcze się wzmógł.

Był jednak do wytrzymania. Enla obawiała się, że będzie inaczej, lecz coś się z nią stało podczas poprzedniej wizyty Ziemian. Zmienili ją jakoś. Pokazali jej inne rzeczywistości poza tą istniejącą na Świecie (któż by pomyślał, że coś takiego jest w ogóle możliwe!), a nawet sprawili, że przez pewien czas żyła w jednej z nich, po czym pozostawili ją z przekonaniem, że zdoła wytrzymać te inne rzeczywistości, jeśli będzie trzeba. Nikt inny ze Światan nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Wiedziała tylko Enla Pek Brimmidin, rzeczywista, choć nie do końca dzieląca rzeczywistość z powodu Ziemian.

Możliwe, że nigdy im tego nie wybaczy.

\* \* \*

– Dobrze cię znów widzieć, Enlo – rzekła Anna Pek Sikorski, gdy szły we dwie obok siebie kawałek za resztą. – Czy twoja gleba jest dziś dobra? – Dziękuję, Pek Sikorski. Gleba jest dobra. – Prosiłam już, abyś mówiła do mnie po imieniu.

Enla uparcie nie chciała się zwracać do Ziemianki, używając jej dziecięcego imienia. Mimo to Pek Sikorski ponawiała swoją prośbę, zwiększając tylko ból głowy Światanki. Do tego właśnie zdolni są Ziemianie! – Nie widziałyśmy się trzy lata – rzekła Pek Sikorski, dzieląc z Enlą rzeczywistość. Zawsze wykazywała się najlepszymi manierami spośród wszystkich Ziemian. – Tak, trzy lata – potwierdziła Enla. – Na pewno chcesz zobaczyć grób Davida Pęka Allena.

Czyżby Pek Sikorski była zaskoczona? Ale dlaczego? Przecież wiedziała, że David Pek Allen umarł na Świecie. Aczkolwiek pozostali Ziemianie tak nagle odplynęli swoją latającą łodzią...

– Pokażesz mi jutro jego grób? – zapytała Pek Sikorski. – Jeśli Pek Voratur pozwoli. Obecnie jestem członkiem jego domostwa.

O tak. Była członkiem jego domostwa. I wcale jej się to nie podobało. Tęskniła za Gofkit Shamloe. Tęskniła za siostrą Anu i jej dziećmi. Tęskniła za Kalinem, za tańcami z Kalinem i za tym, co mogłoby się wydarzyć pomiędzy nimi, gdyby została w Gofkit Shamloe parę dni dłużej... Niestety słudzy Pierwszego Kwiatu zdecydowali, że dzielona rzeczywistość będzie wyglądać inaczej. – Czy na grobie Davida jest kwietny ołtarz? – zapytała ją Pek Sikorski. – Przepiękny kwietny ołtarz – odparła Enla – jakiego godzien jest ktoś, kto umarł za innych. – Bardzo bym chciała w pełni dzielić z tobą rzeczywistość na ten temat przy jego grobie,

Enlo...

– Będziemy dzielić ogród naszych serc – odparła oficjalnie Enla.

Przeszły łukowatym wejściem do jednej z dziesiątek komnat domostwa Pęka Voratura. Na gest gospodarza wszyscy obecni usiedli. Tylko Enla i Pek Sikorski mówili zarówno po światańsku i ziemsku, aczkolwiek w obcym języku nie najskładniej, Enla była więc przygotowana do tego, że będzie tłumaczyć. – Bardzo ładna komnata – odezwał się Pek Kaufman. – Jesteś mile widziany wśród najbujniejszych kwiatów mego domostwa – odparł Pek

Voratur.

Faktycznie, znajdowali się w najładniejszym pomieszczeniu, jakie Enla kiedykolwiek miała okazję widzieć. Na zaokrąglonych ścianach wisiał kwiat rękodzieła ściennych artystów: tysiące zasuszonych pączków o barwach zblakłych do najdelikatniejszych pastelów. Niski drewniany stół miał miłe dla oka zaoblenia, poduszki, na których siedzieli, były bogato zdobione (z pewnością pochodziły z wyspy Seuril), a ciężkie cynowe naczynia wyszły bez wątpienia spod ręki najlepszych mistrzów. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać linii prostej ani kłującego w oczy kąta prostego. Za otwartymi oknami, również wykończonymi łukowato, rozciągał się wspaniały ogród Voraturów, słynny w promieniu pięćdziesięciu osad, a nawet w samej stolicy.

Wniesiono smakowite potrawy, dania, jakie Enla nieczęsto jadła w rodzinnej wiosce. Ależby smakowały Anu! Anu była łakomczuchem, jadła i jadła, lecz nigdy nie tyła. Zresztą nawet otyła miałaby mnóstwo uroku. Enla próbowała zmusić się do jedzenia, nie zdołała jednak. Bliskość Ziemiań sprawiła, że żołądek zwinął jej się w supeł.

Na szczęście zachowywali się uprzejmie i posiłek upłynął wśród gładkiej wymiany utartych formułek i miłych pogawędek. Pek Sikorski, jako jedyna spośród Ziemiań posługująca się światańskim, wzięła na siebie trud prowadzenia rozmowy. Pek Kaufman przyglądał się wszystkiemu z zainteresowaniem i często się uśmiechał. Enla uznała, że Pek Kaufman jest albo bardzo szczęśliwym człowiekiem, albo bardzo dobrym kupcem. Przy stole siedziało tylko pięć osób. Pek Voratur odprawił wszystkich oprócz swego najstarszego syna, Soshafa Pęka Voratura. Albowiem było to – lub miało być z chwilą zakończenia posiłku – spotkanie w interesach. Dwoje sług Ziemiań siedziało osobno. Pek Voratur był zdziwiony, że Pek Kaufman ich nie odprawił, lecz zamiast tego poprosił o drugi stół, który pośpiesznie wniesiono. Enla cieszyła się, że siedzi do niego plecami. Ta kobieta, Pek Heller, za pazuchą swego niewygodnego sztywnego stroju trzymała broń!

Gdy z głównego stołu sprzątnięto ostatnie naczynia, zaległa krótka cisza. Pek Voratur czekał. Właśnie kiedy zaczynało się uczucie niedzielnej rzeczywistości, Pek Kaufman przejechał dłonią po lśniącym blacie. – Piękne

drewno – powiedział po światańsku. Słysząc było, że dopiero niedawno nauczył się tych słów, bo zabawnie je akcentował.

Pek Voratur się odprężył. Zaczęły się interesy. Wytarł usta serwetką, beknął i powiedział: – Mój ogród rozkwita na nowo, gdy zachwycasz się tym stołem. Wykonał go Holit Pek Marrabilor, który być może zechce sprzedać Ziemianom swoje inne stoły.

Tłumaczyła Pek Sikorski, której znajomość światańskiego była lepsza niż znajomość ziemskiego Enli. – Możliwe, że Ziemianie zechcą zakupić takie stoły – odparł Pek Kaufman po ziemsku. Pek Sikorski przetłumaczyła jego słowa. – Być może w zamian sprzedając Światanom rowery? – podsunął Pek Voratur.

Rowery Ziemian sprawiają, że rozkwitają kwiaty mego serca. – Mamy dwadzieścia rowerów na sprzedaż – rzekła Pek Sikorski z własnej inicjatywy. Ziemianie tacy już byli. Znaczniejsi członkowie domostwa mogli się wypowiadać w imieniu głowy domostwa, a nawet mieć inne zdanie! Czyż to nie dziwne?...

Oczy Pęka Voratura rozbłysły w jego natartej olejkiem twarzy. – Dwadzieścia to dobra liczba do handlu. Może w zamian za dwadzieścia stołów Holita Pęka Marrabilora albo jakiegoś innego nie ustępującego mu talentem rzemieślnika?

Pek Sikorski przetłumaczyła wszystko Pękowi Kaufmanowi, który zadziwił wszystkich, odpowiadając po światańsku: – Tak. Handel. Oby twoje kwiaty rozkwitały w mnogości.

Proste słowa i wyrażenia, no i wciąż ten zabawny akcent... A jeszcze wczoraj Pek Kaufman praktycznie nie mówił po światańsku. Czy wszyscy Ziemianie mają (jakie zdolności? To by znaczyło, że są nie tylko groźni, ale też genialni. – Możliwe, że w tym ogrodzie wyrośnie nawet większy handel – oznajmiła nagle Pek

Sikorski.

Coś w tonie jej głosu oraz w mowie ciała powiedziało Enli, że oto zbliża się kolejna inna rzeczywistość Ziemian. Światanka stężała. – Opowiedz mi o kwiatkach, które pachną w tym ogrodzie – poprosił Pek Voratur. – W przeszłości zasadziliśmy nietypowego targu z tobą, Pęku Voraturze. Sprzedaliśmy ci antyhistaminę, która potrafi uleczyć kwiatozę. Antyhistaminę, tak - użył ziemskiego słowa. – To był dobry handel, Pek Sikorski.

O tak, pomyślała Enli. Ziemiska antyhistamina uczyniła Pęka Voratura jedną z najbogatszych osób na Świecie.

– W zamian za antyhistaminę – kontynuowała Pek Sikorski – sprzedałeś nam zdjęcie swojego mózgu.

Skan Lagerfelda... Te dwa słowa nie pojawiły się w umyśle Enli ani razu przez trzy ostatnie lata. Pamiętała jednak, że Ziemianie założyli Pękowi Voraturowi na głowę metalowy kapelusz i zadali mu mnóstwo pytań. Ponoć

umożliwiło to zrobienie zdjęć jego mózgu podczas pracy, ale że Enla nigdy nie zobaczyła tamtych zdjęć, nie była pewna, czy naprawdę powstały. Wszyscy Ziemianie jednak zdawali się niezwykle podnieceni tym całym skanem Lagerfelda. Może więc zdjęcia faktycznie istniały. W końcu Ziemianie naprawdę mieli antyhistaminę, latającą łódź, broń, czyniące krzywdę niewidzialne ściany i inne dziwaczne i w większości niepotrzebne urządzenia. – Pamiętam zdjęcie mojego mózgu... – rzekł ostrożnie Pek Voratur.

Enla doskonale rozumiała jego ostrożność. Skan Lagerfelda nie należał do dzielonej rzeczywistości i choć nie była to bardzo poważna sprawa, Pek Voratur nabawił się przez nią nielicznego bólu głowy.

Pek Sikorski powiedziała coś do Pęka Kaufmana po ziemsku, jednakże nazbyt szybko, aby Enla mogła to zrozumieć. Wychwyciła tylko słowa „dane porównawcze”. Co też Ziemianie chcieli porównywać?

Poczuła zimne ciarki biegnące jej wzdłuż kręgosłupa. Chwilę później zjeżyły się jej szyjowłosa.

Pek Sikorski zwróciła się do gospodarza: – Pragniemy zasadzić z tobą targu, Pęku Voraturze, dzięki któremu rozkwitnie wasz i nasz ogród. Sprzedamy ci to... – Zerknęła na Pęka Kaufmana, który wydobyl z kieszeni kawałek papieru i rozłożył go.

Co za marnotrawstwo, pomyślała Enla. Papier był na Świecie niezwykle cennym materiałem. Ten pognieciony kawałek, w większości czysty, zawierał pośrodku niewielki rysunek czegoś, co wyglądało na skomplikowane urządzenie. Gdy Pek Kaufman podał papier gospodarzowi, Enla straciła rysunek z oczu.

To maszyna parowa – odezwała się znów Pek Sikorski. – Możemy pokazać ci, jak ją wytworzyć. Potem będziesz w stanie budować różne rodzaje maszyn parowych, dzięki którym można robić wiele rzeczy. Na przykład przewozić pnie drzew, zamiast ciągnąć je. Albo tłoczyć wodę z rzek na pola i ogrody, zamiast nosić ją samemu. Lub pływać łodziami bez pomocy wiosł ani żagli. Oczywiście sporo czasu zajmie nauczenie się tego wszystkiego, ale wartość takiego urządzenia jest ogromna. Pek Voratur wpatrywał się w rysunek. – Maszyna parowa?... – Rozgrzana para. Sprawia, że inne rzeczy się poruszają. Pozwól, że ci wyjaśnię... – Pek Sikorski mówiła dalej, jednakże Enla nawet nie starała się za nią nadążyć. Przyglądała się Pękowi Voraturowi, wiedząc, co ten zaraz powie. – Tak, tak, rozumiem – pokiwał głową bez entuzjazmu. – Ale po co nam taka maszyna parowa?

Pek Sikorski i Pek Kaufman wymienili spojrzenia.

Soshaf Pek Voratur sprecyzował zapytanie: – Co mielibyśmy z nią robić? – Przecież mówiłam – rzekła Pek Sikorski. – Przewozić pnie, tłoczyć wodę, pływać łodziami, które... – Gdyby ta maszyna przenosiła pnie, co by robili nasi drwale? – zapytał rozsądnie Soshaf. – Dlaczego mielibyśmy

podlewać nasze pola, skoro Pierwszy Kwiat zsyła nam całą wodę, której potrzebujemy? – Albo napędzać łodzie? – odezwał się znów Soshaf. – Przecież łodzie płyną w dół rzeki same z siebie, a w górę rzeki dzięki sile mięśni naszych wioślarzy albo dzięki żaglom i sile wiatru. Chcielibyście, żeby wioślarze stracili pracę? Jak by wtedy wyżywili swoje dzieci? – A gdyby oni nie musieli sprzedawać swej pracy, komu ja bym sprzedawał towary, które przewożą moje łodzie? – Pek Voratur zdawał się bezkrotnie zdumiony.

Nie, nie tylko zdumiony... Enla widziała, że zarówno gospodarza, jak i jego syna zaczyna dopadać ból głowy. Ziemianie z pewnością rozumieli ich obiekcje, przecież należały do dzielonej rzeczywistości, ale jakby nie zwracali na to uwagi. A może jednak nie dzielili rzeczywistości?...

Pek Sikorski powiedziała szybko: – Tak, oczywiście. Twój handel by ucierpiał. Wybacz nam, nasza gleba nie jest dzisiaj dobra. Zaczęliśmy śnić złe sny. – Oby wasza gleba się poprawiła, a ogrody rozkwitły – rzekł oschle Pek Vora- lur. – Złe sny przeszkadzają w interesach. Chyba jednak nie zasadzimy targu, Pęku Kaufmanie.

Pek Sikorski przemówiła po światańsku: – Pęku Voraturze, jestem pewna, że możemy zasadzić niezwykle kwitnącego targu!

W uszach Enli zabrzmiało to dość rozpaczliwie. Czemu Pek Sikorski była taka zdesperowana? – Co on powiedział? – zapytał po ziemsku Pek Kaufman. Chce się wycofać – odparła Pek Sikorski, nie zważając, że Enla może ich zrozumieć. – Źle to wykombinowaliśmy. Maszyna parowa zamiast usprawnić tutejszą produkcję, zniszczyłaby panującą równowagę gospodarczą. – Cholera – zaklął Pek Kaufman. – Powiedz mu, że mamy coś innego. – Lyle, nie! – Powiedz mu to, Anno. – Stanowczy ton głosu nie pozostawiał złudzeń, kto jest głową domostwa Ziemian na Świecie.

Pek Voratur przysłuchiwał się wymianie zdań, której ani trochę nie rozumiał. Enla widziała, jak ogarnia go zdenerwowanie. Nie dość, że goście śnili złe sny, to jeszcze okazywali taki brak szacunku! Jemu, Hadziłowi Pękowi Voraturowi, najznacniejszemu kupcowi na całym Świecie!

– Powiedz Pękowi Kaufmanowi – zwrócił się do Enli – że kwiaty naszego handlu nie rozkwitną. Oby Pierwszy Kwiat zechciał dla niego zakwitnąć gdzie indziej.

– Pek Voratur wstał. – Pęku Voraturze! – odezwał się Pek Kaufman, także wstając. – Patrz! Handel!

Mówił teraz z jeszcze cięższym akcentem, przez co słowa były trudne do zrozumienia, mimo że zaliczały się do najprostszych. Niemniej przedmiot, który wyciągnął zza pazuchy, był łatwy do rozpoznania. Enla wiedziała, co to jest, i Pek Voratur także. Co wcale nie dziwiło, jako że podczas poprzedniej wizyty Ziemian kupiec niczego nie przegapił. – Enlo, tłumacz, proszę – zwrócił się do niej po ziemsku Pek Kaufman. – Pęku

Voraturze, ten komunikator służy do przekazywania wiadomości na znaczne odległości. Kiedy twój... – On wie, co to jest komunikator – rzekła do Kaufmana Enla, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy w życiu przerwała Ziemianninowi. Nie musiała nawet patrzeć na Pęka Voraturę, żeby wiedzieć, co ów myśli.

Pek Voratur, podobnie jak wszyscy kupcy, do wysyłania i odbierania wiadomości używał wieży luster. Rozmieszczone w starannie wymierzonych odległościach wieże oraz osoby umiejętnie obsługujące lustra umożliwiały przekazywanie dzielonej rzeczywistości na odległość. Informacja – handlowa lub jakakolwiek inna – była w stanie obieć Świat w zaledwie dobę. Pod warunkiem, że świeciło słońce. Mając kilka ziemskich komunikatorów, Pek Voratur mógłby się kontaktować ze swymi łodziami, karawanami i faktorami w stolicy o dowolnej porze dnia i roku, nie przejmując się pogodą. – Usiądźmy – powiedział gospodarz. – Pęku Kaufmanie, jeszcze pelu? – Lyle... – odezwała się Pek Sikorski cicho naglejącym tonem po ziemsku – nie możesz tego zrobić. Maszyna parowa to tak czy inaczej kolejny stopień rozwoju technicznego. Ale komunikator...

Pek Kufra odparł miło, nawet nie zniżając głosu: – Nie zdołają rozszyfrować jego budowy. Zresztą nie jestem antropologiem, tylko wojskowym negocjującym z ramienia armii, która prowadzi wojnę. Proszę nie przeszkadzać, doktor Sikorski.

Nawet Pek Voratur, nie rozumiejący ani w ząb mowy Pęka Kaufmana, domyślił się wiele z tonu jego głosu. Pek Sikorski oklapła na poduszce, jakby ktoś ją uderzył.

Tymczasem Pek Voratur rzekł dziarsko: – Sześć komunikatorów, Pęku Kaufmanie, w zamian za zdjęcie mózgu mojego i Enli Pek Brimmidin. Enlo, za każdy rok, w którym komunikatory będą działały, otrzymasz jedną trzecią mojego przychodu wykraczającego poza przychód z minionego roku. Pragniesz zasadzić ze mną tego targu, Enlo?

Enla nie patrzyła na Pek Sikorski. Nie rozumiała, dlaczego Pek Sikorski nie chce, by Pek Voratur dostał komunikatory, lecz i tak jej się to nie podobało. Jakim prawem Pek Sikorski ma decydować, co Światanie mogą dostać w ramach handlu? Czyżby Pek Sikorski chciała zatrzymać wartościowsze przedmioty dla Ziemiannin, ponieważ uważa ich za lepszych od Światan? Dobrze, że Pek Voratur chce kupić te komunikatory. Taka jest dzielona rzeczywistość, do której należy Pek Voratur, a nie Pek Sikorski, ponieważ znajdują się na Świecie, a nie na Ziemi.

Taka jest dzielona rzeczywistość, do której należy także Enla.

Powiedziała: – Tak, Pęku Voraturze. – Oby nasze kwiaty rozkwitały bez końca. A teraz powiedz Pękowi Kaufmanowi po ziemsku, że się zgadzam. – Przekaż Pękowi Voraturowi – odrzekł szybko Pek Kaufman – że bardzo

mnie cieszy nasz handel. Przyjdziecie jutro do naszego domostwa odebrać komunikatory i dać sobie zrobić zdjęcie mózgu?

Enla przetłumaczyła jego słowa. – Przyjdziemy – odparł Pek Voratur.

Odbierając szklanę ceremonialnego pelu z rąk Soshafa Pęka Voratura, który uśmiechał się zwycięsko, Enla poczuła, jak opuszczają ją siły, a kolana zaczynają jej drżeć niczym powierzchnia wody na wietrze.

## 11.

### Góry Neury

– Będę się przy tym upierał – powiedział Dieter Gruber, patrząc zimno niebieskimi oczami. – Tom idzie z nami. To kluczowe dla sprawy. – To bez znaczenia dla sprawy – rzekł doktor Capelo, przedrzeźniając minę i sposób mówienia Grubera w sposób tyleż udatny, co okrutny. – Ot, wymykające się pomiarom subiektywne trele-morele.

Lyle Kaufman powiódł spojrzeniem od jednego mężczyzny do drugiego. Gruber, potężny i nieprzejednany: germański wojownik wydający rozkazy na polu bitwy. I Capelo, drobny i rozczochrany, niepozorny żołnierz, który jakimś cudem ma decydujące słowo. Obydwaj spoglądali na siebie roziskrzonym wzrokiem osób balansujących na krawędzi z niewyspania. – Jeśli uważasz się za naukowca, to pójdiesz. – Jako naukowiec nie wysuwam hipotez, gdy coś załaskocze mnie w mózg. A tym bardziej gdy załaskocze ciebie. – Spokój – przerwał im Kaufman. – Spokój!

Stali na skraju wielkiego otworu, który pojawił się w dnie dolinki. Ćwierć mili poniżej Harold Albemarle nadzorował pracę techników odnotowujących skrzętnie położenie każdej wypukłości na powierzchni artefaktu. Jutro obiekt miał zostać wydobyty na wierzch. Kaufman czuł się nieswojo, patrząc w przepaść, idealnie równą i zabezpieczoną dzięki nanobotom. Wysokość nie robiła wszakże wrażenia ani na geologu, ani na fizyku. Dieter i Tom dalej się sprzeczali na temat pieszej wyprawy Grubera w głąb gór.

W pewnym momencie Gruber powiedział:

– Lyle może zwyczajnie kazać ci iść. – Nie zrobię tego – wtrącił szybko Kaufman. Bezceremonialne polecenia były najgorsze w wypadku ludzi takich jak Thomas Capelo. Gruber w ogóle nie znał się na dyplomacji. – Tom, wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego nie chcesz iść z Dieterem.

Capelo odpowiedział z przesadną cierpliwością podszytą sarkazmem: Dlatego, że już teraz mam cztery pełne zestawy danych. Po pierwsze, mapę gór Neury z naniesioną detekcją neutrin. Po drugie, nasze odczyty z tego



miejsca. Po trzecie, raport Syree Johnson na temat pierwszego artefaktu, który eksplodował.

I po czwarte, wszystko... czyli nie tak znów wiele... co wiemy o tarczy Fallerów. Cztery zestawy twardych danych. Nie zamierzam się od nich odrywać, żeby pełzać po radioaktywnych korytarzach w celu dotarcia do miejsca, gdzie rzekomo mam dostać łaskotek mózgu. – On się boi promieniotwórczości i ciasnych korytarzy – stwierdził Gruber. – Jesteś zwykłym tchórzem, Capelo.

W oczach fizyka błysnęło coś tak paskudnego, że Kaufman omal nie odskoczył w tył. Jednakże zanim Capelo zdążył coś powiedzieć, przestrzegł go: – Uważaj na słowa, Tom. Są tu twoje dzieci.

Capelo okręcił się na pięcie tak gwałtownie, aż Kaufman się przeraził, że fizyk wpadnie do dziury w ziemi. Dwie małe dziewczynki pod okiem swojej opiekunki bawiły się pod nawisem skalnym – tak daleko od dziury, jak pozwalały rozmiar y dolinki. W tej samej chwili Sudie popatrzyła w stronę ojca. Pomachała mu uszczęśliwiona. – Cześć, tatusiu! Jestem pieskiem skałkowym! – Hau, hau, skarbie! – odkrzyknął do niej Capelo.

Zanim ponownie odwrócił się do Grubera, najgorsze minęło. Kaufman po raz pierwszy w życiu ucieszył się z istnienia dzieci. Na wszelki wypadek jednak ubiegł fizyka, nim ten się odezwał, i osobiście skarcił Grubera.

Dieterze, to bezpodstawna potwarz, o czym doskonale wiesz. Jeśli sam uważasz się za naukowca, trzymaj się faktów w rozmowie z Tomem. – Ja – rzucił geolog. – Wybacz, Tom. Nie jesteś tchórzem. Ale i tak musisz na własne oczy zobaczyć miejsce, o którym mówię. – Ja pójdę z Dieterem – zaproponował Kaufman. – Przecież odkrycia naukowe często poprzedzają niezwykle zjawiska, których w żaden sposób nie opomiarowano, ponieważ nikt nie wie, jak to zrobić. Zdaje się, że to ty raz powiedziałaś: „Dzisiejsze prawdy są wczorajszymi herezjami”.

Capelo przejechał dłonią po brudnych rozczochranych włosach. Obrzucił Grubera nieprzychylnym spojrzeniem – w przeciwieństwie do flegmatycznego geologa długo chował urazę. Był najpamiętliwszą istotą we wszechświecie, o czym świadczyła choćby jego zapiekła, wciąż żywa nienawiść do Fallerów, którzy zabili mu żonę przed trzema laty. Kaufman jako wojskowy wiedział, że nie sensu nienawidzić wroga. Znacznie lepiej jest go pokonać. Jednakże fizykowi brakowało praktycyzmu i bezstronności.

Na szczęście potrafił się przyznać do błędu. – No dobrze, co mi tam! Pójdę z wami! W imię doprowadzenia tego do końca, bo przecież nie z rozsądku... Kiedy jednak będziemy ginąć przywaleni ścianą nie – wzmocnionego przez nanoboty tunelu, umierając, wspomnij moje słowa: „A nie mówiłem?!”. – W porządku – przystał bez oporów Kaufman, po czym zaraz dodał: – Ale dla twojej informacji: nanoboty będą nas poprzedzały, więc taki rozwój wypadków jest raczej mało prawdopodobny. – Tam nie ma

żadnych kominów ani ostrych podejść – zapewnił Gruber. – Bułka z masłem nawet dla niedoświadczonego grotolaza. Spacererek... – Piotr Curie podczas spacerku zginął pod kołami konnego wozu ciężarowego z piwem – przypomniał Capelo. – Tylko dlatego, że był nieuważny – zripostował Kaufman. – A był nieuważny, ponieważ zaprzętało go fascynujące zagadnienie naukowe – wypalił Capelo.

Kaufman znał się na ludziach wystarczająco, aby pozwolić fizykowi mieć ostatnie słowo.

\* \* \*

Ubrani w kombinezony, ale bez hełmów, trzech mężczyźni zagłębiali się w góry Neury, poruszając się podziemnymi korytarzami. Szli, pełzli, przeciskali się i brodzili w wodzie... Capelo miał dość. Dobrze chociaż, że dzięki kombinezonowi było mu ciepło i sucho, pozostawał w jednym kawałku i miał na bieżąco podawane informacje o poziomie promieniowania. Gruber to kretyn, ale on okazał się jeszcze głupszy, godząc się na tę eskapadę.

Prowadził ich Gruber wyposażony w latarkę oraz mapy sonarowe z naniesionymi punktami podwyższonego promieniowania, sporządzone na podstawie informacji dostarczonych przez satelity. Mapy wydawały się zadziwiająco dokładne. Z nimi nie sposób było się zgubić – co najwyżej można było utknąć w jakimś zapyziałym skalnym grobowcu. Co za kretyni! Najgorsza ze wszystkiego była lina wspinaczkowa, do której wszyscy trzej musieli się przypiąć: powleczona warstwą nanobotów przypominających niewidoczne łożyska, dzięki czemu praktycznie nie powodowała tarcia. Jeden jej koniec zakończony rączką dzierżył uśmiechnięty od ucha do ucha Karim Safir. Gruber umieścił Safira w starannie wybranej jaskini, która według Toma niczym się nie różniła od wszystkich pozostałych, lecz najwyraźniej miała jakieś specjalne znaczenie dla geologa. – U was wszystko dobrze? – zawołał do nich Gruber, obracając się przez ramię z radosną miną. Czemu nie miałyby czuć radości? Był równie wrażliwy jak wiadro na wodę, no i udało mu się postawić na swoim w sprawie tej głupiej eskapady. – Tu dalej uważajcie, robi się trochę mokro!

Brnąc po kolana w mętnej wodzie i czepiając się ściany, żeby nie stracić równowagi, Capelo zapytał: – Trochę mokro?

– Żargonowe niedopowiedzenie – wyjaśnił Kaufman. – Gruber nie wymaga zbyt wiele od skał.

– On... Lyle! Czy to był wąż?! – Nie wydaje mi się, żeby na Świecie żyły węże – odparł niepewnym tonem Kaufman. – W takim razie światłański odpowiednik węża? – Nie zwracajcie uwagi na tych małych pływaków – rzucił zadowolony z siebie Gruber. – Anna mówi, że są nieszkodliwe.

W takim razie niech ona tędy łązi, pomyślał wściekły Capelo. Ale nie, oczywiście pani biolog została oddelegowana do jakiegoś zadania wiążącego się z tubylcami, podczas gdy on, główny fizyk wyprawy, musiał się bratać z przedstawicielami miejscowej fauny. Kretyństwo, wariactwo...

Nerwy miał napięte jak postronki. Żaden naukowiec nigdy do niczego nie doszedł w takim stanie. Musisz się uspokoić, powtarzał sobie. Ignoruj te przymusowe ćwiczenia fizyczne wykazujące bezsens geologii. Skoncentruj się na czystych pięknych danych...

Cztery zestawy danych, powiedział Kaufmanowi i nie minął się z prawdą. O ile faktycznie były kompletne na tyle, na ile było stać członków zespołu, o tyle do jego zadań należało połączenie poszczególnych wyników ze sobą, wykrycie związków i wysunięcie hipotez, które na poziomie matematycznej abstrakcji zaprowadzą porządek w tym, co wedle wszelkich znaków zachodziło na poziomie kwantowym.

Po pierwsze, mapa gór Neury z naniesioną detekcją neutrin. Łatwe, znane i zrozumiałe. Detektory umieszczone na pokładzie Alana B. Sheparda oraz na satelitach wiszących na orbicie geostacjonarnej wychwyciły silną koncentrację neutrin w tej okolicy. W rezultacie pomiarów powstała mapa radioaktywności wykazująca, że promieniowanie koncentruje się na zagrzebanym pod powierzchnią artefakcie. Widniała na niej dziura o średnicy mniej więcej pięćdziesięciu metrów tuż ponad artefaktem – tam nie występowała żadna podejrzana promieniotwórczość. Ta dziura stanowiła centrum toroidu. Dzięki niej w dolince ludzie mogli pracować bez kombinezonów ochronnych.

Poza tą oazą spokoju promieniowanie rosło gwałtownie i nieregularnie, po czym znowu słabło. W pobliżu artefaktu destabilizacji uległo mnóstwo atomów. Co można było ująć na poziomie kwantowym tak: w wypadku znacznej części materii zwiększyło się prawdopodobieństwo wyemitowania cząstki alfa. Cząstki budujące jądro atomowe oraz cieniuteńkie rozedrgane niteczki, które je tworzyły, podobnie jak całą materię, otaczało pole prawdopodobieństwa, suma funkcji falowych, gdzie można je było znaleźć. Część tego pola znajdowała się poza granicą bariery energetycznej. Determinizm kwantowy decyduje o tym, że prawdopodobieństwo wystąpienia danego zdarzenia w danym czasie w przyszłości jest w pełni uzależnione od funkcji falowych w przeszłości. W górach Neury obie strony równania nie pasowały do siebie.

Czy to czas jest czynnikiem zaburzającym równanie? Żaden element fizyki kwantowej nie dopuszcza stosowania pojęć takich, jak przyszłość i przeszłość. Thomasowi Capelo też jak dotąd na pewno nie udało się ich uwzględnić. – Jesteśmy już prawie na miejscu! – wykrzyknął Gruber do swych zziębniętych powiązanych liną towarzyszy. – Uważajcie na to, co myślicie!

Po drugie, odczyty, które wraz z Rosalindą i tym spaślakiem Haroldem poczynili na miejscu. Te dane nie były jednoznaczne. Artefakt wyglądał na jakimś cudem zrobiony z tego samego materiału, z którego były zbudowane tunele czasoprzestrzenne. Jego wnętrze, na ile się zorientowali, tworzyły jakieś cieniste pozwijane struktury nie posiadające masy, co oczywiście było niemożliwością. Zagrzebany obiekt nosił takie same oznaczenia jak znacznie od niego większy obiekt okrążający w przestrzeni Świat, zanim odkryła go Syree Johnson. Co jeszcze bardziej istotne, ozdobiły go identyczne wypukłości będące zapisem liczb pierwszych. W chwili gdy Capelo mozolił się w tych kretyńskich korytarzach, Singh i Albemarle korelowali programy komputerowe, które porównują rozmieszczenie wypukłości z wahaniami promieniowania w górach Neury z uwzględnieniem możliwych zmian w natężeniu radioaktywności w różnych epokach geologicznych.

Informacje uzyskane przez Syree Johnson na temat tego pierwszego artefaktu, większego z dwóch, tego, który próbowała przepchnąć przez tunel czasoprzestrzenny, wskazywałyby, że... wskazywałyby, że...

Syree...

Sudie...

Sudie i... i... było jeszcze jedno dziecko...

Karen, pomóż mi...

Upadał, stojąc prosto. Upadał w pustkę z bieli. Wkrótce nie było nawet bieli – nie było niczego, nawet czasu.

\* \* \*

– Tom.

Biel. – Tom.

Pustka. – Tom.

Biel. – Tom!

Ktoś powtarza moje imię bez końca, pomyślał oszołomiony. Ale kto? Kto to jest? Kim ja jestem? – Tom. – Tak – odpowiedział wreszcie i słowo to zabrzmiało w jego uszach dziwnie, jakby pochodziło z innego języka albo od kogoś innego. – Nie stawaj. Poruszaj nogami.

Nie miał wyboru; lina szarpnęła go do przodu. Po kolejnych paru krokach oszołomienie zaczęło z lekka ustępować. – Ruszaj się! – Ten głos... należy do Kaufmana. Tak. A on nazywa się Tom. Thomas

Capelo. – No, tak lepiej. Już prawie wyszedłeś.

Po jeszcze paru krokach oszołomienie całkowicie się rozproszyło. – Jezu Chryste! Co mi się stało?

Zamiast odpowiedzieć, Kaufman znowu szarpnął za linę, której jeden kraniec trzymał uśmiechnięty od ucha do ucha Safir. Idący na końcu Gruber zataczał się niczym lunatyk. Capelo klapnął raptownie na podłogę. Czuł się...

pusty. Ślepy psychicznie. Niezdolny do myślenia albo myślący tak wolno, że praktycznie na jedno wychodziło. Przyglądał się, jak szarpnięcia liny przybliżają Grubera, jak do jego zamglonych niebieskich oczu wraca świadomość.

Safir powiedział coś po arabsku, lecz nie przestał ciągnąć liny. W końcu cała trójka pokonała korytarz do reszty i znalazła się w przestronniejszej i stosunkowo suchej jaskini. Wszyscy padli na ziemię, podczas gdy latarka Grubera rzucała przerażające cienie.

Kaufman odezwał się pierwszy. Głos miał schrypnięty. – W porządku, Dieterze... Przedstaw mi jeszcze raz swoją teorię. Co to niby było? – Najgęstsza część pola toroidalnego – odrzekł Gruber. – Szkoda, że nie ma z nami Anny. Ona potrafiłaby to lepiej wyjaśnić... – Postaraj się ją godnie zastąpić – sapnął Capelo. Słyszał panikę we własnym głosie. Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło. Żeby stracić panowanie nad umysłem, jedyną rzeczą, która tłumaczy jego istnienie, usprawiedliwia je, stanowi o tym, kim jest... Wzdrygnął się mimowolnie, po czym zerknął zawstydzony na Grubera.

Gruber oczywiście niczego nie zauważył. Mówił właśnie: – ...natknęliśmy się na nie podczas poprzedniej wyprawy. Wtedy nie mieliśmy liny, ale była z nami Enla... tubylka... Światanie najwyraźniej nie odbierają tego tak jak my. To ona nas stąd wyciągnęła. I... – Zapomnij na razie o Enli – przerwał mu Kaufman nerwowo. Zazwyczaj wyważony i złotousty nagle się zmienił nie do poznania. – Co się z nami stało? – Anna potrafiłaby to lepiej wyjaśnić – powtórzył Gruber – ale skoro muszę, to spróbuję. Artefakt Syree Johnson sprawiał, że wszystkie atomy o masie atomowej większej niż siedemdziesiąt pięć ulegały destabilizacji i emitowały promieniowanie, ja! Artefakt oddziaływał na ich pole prawdopodobieństwa. Sądzymy, że zagrzebany artefakt robi to samo. Chyba. Tyle że mózg także funkcjonuje dzięki polu prawdopodobieństwa na poziomie kwantowym. – Naprawdę? – zapytał Kaufman. – Tak. Impulsy elektryczne docierają do zakończeń nerwów ośrodkowego układu nerwowego, a te wtedy uwalniają neuroprzekaźniki do synaps. Ale nie zawsze. Prawdopodobieństwo, że to samo napięcie spowoduje uwolnienie neuroprzekaźnika, waha się od siedemnastu do sześćdziesięciu dwóch procent. Uwolnienie neuroprzekaźnika jest powodowane przez pojedynczy atom, a więc zachodzi na poziomie kwantowym. Właściwie wygląda na to, że w ten sposób rodzi się świadomość. Dzięki zmianie prawdopodobieństwa. Nie da się inaczej wytłumaczyć tego, że zdarzenie, które zaszło wyłącznie w umyśle, na przykład decyzja o wstaniu, owocuje rezultatem w świecie materialnym. – Dobrze – powiedział wolno Kaufman. – A zatem mózg funkcjonuje dzięki polu prawdopodobieństwa. W takim razie... – Częściowo – poprawił go Gruber. – Częściowo – powtórzył za nim Kaufman. – Dlaczego jednak

artefakt, który destabilizuje atomy, wywołując promieniowanie, miały także pozbawiać mnie zdolności myślenia?... Tom, jesteś jakiś milczący. Dobrze się czujesz? – Tak – odparł Capelo, który nie zamierzał się przyznawać do tego, jak bardzo nim wstrząsnęło ostatnie przeżycie. To, co się właśnie stało, nie miało prawa się stać zgodnie ze znanymi mu prawami fizyki.

Kaufman zwrócił się znów do Grubera. – Dieterze? Dlaczego artefakt, który destabilizuje atomy, wywołując promieniowanie, miały mnie pozbawiać zdolności myślenia? – Nie wiem – odparł Gruber. – Ale mam pewną teorię... – Jaką? – zapytał Capelo ostrzej, niż zamierzał. – Moim zdaniem artefakt generuje także innego rodzaju pole prawdopodobieństwa. To, które wpływa na zdarzenia na poziomie kwantowym rozgrywające się w ludzkim mózgu. – Masz na to jakieś dowody? – Tylko to, co się nam przytrafiło. Oraz to, że Enla, będąca Światanką, nie zareagowała tak jak my. Uważam, że ten obiekt wytwarza pole o zmiennej sile, które otacza całą planetę. Anna wierzy, że właśnie ono odpowiada za wykształcenie mechanizmu dzielonej rzeczywistości na Świecie.

Capelo nie wytrzymał. – To nie żadna teoria! To czyste brednie! – Czyżbyś był w stanie wymyślić coś lepszego? – zapytał jadowniczo geolog. – Nie w tym rzecz. Brak ci danych oraz metody ich analizy, gdybyś je miał. – Owszem, mam – rzekł Gruber. – I to aż dwie metody. Po pierwsze, Anna wykona skan Lagerfelda dwóm Światanom, żeby mieć materiał porównawczy w stosunku do skanu, który zrobiliśmy poprzednim razem. I żeby się przekonać, czy w mózgach tubylców wystąpiły jakieś zmiany po tym, jak zagrzebany artefakt uratował Świat przed działaniem fali, która usmażyła Nemeter.

Capelo podniósł się na nogi. Opanowywało go znajome uczucie wściekłości; z tego, że było mu znane, czerpał niemałą otuchę w tej sytuacji. Był wściekły na debili, którzy profanowali naukę. Którzy pojawiali się na uczelniach z żalonymi „teoriami” stworzonymi na tanich komputerach osobistych przewidzianych do użytku domowego. Którzy wystawiali na sprzedaż artykuły, oczywiście słono sobie za nie licząc, rzekomo „wyjaśniające” początki wszechświata, posługując się terminologią astrologiczną czy kabalistyczną albo powołując się na bieg wyschniętych starożytnych rzek. Którzy twierdzili, że istnienia aniołów da się dowieść na gruncie matematyki. – Zatem ten zagrzebany artefakt robi wszystko – rzucił w stronę Grubera, nie kryjąc pogardy. Szkoda zachodu. – Destabilizuje atomy o liczbie atomowej większej niż siedemdziesiąt pięć. Powstrzymuje inne destabilizujące fale jak za dotknięciem falistej czarodziejskiej różdżki. I do tego generuje drugie pole prawdopodobieństwa, które wpływa na funkcjonowanie mózgu. Może jeszcze potrafi dyrygować orkiestrą i wynosić śmieci? – Gruber także wstał. Zanim zdążył powiedzieć coś głupiego,

Kaufman odezwał się cicho z poziomu podłoża jaskini: – Tom... Destabilizacja atomów, zatrzymanie fali i gilganie umysłu, jak to nazywasz, wszystkie te kwantowe zdarzenia faktycznie miały miejsce.

Capelo spojrział w dół, na twarz łagodnego, praktycznego, skutecznego w działaniu Kaufmana. Ten człowiek nigdy się nie wściekał ani nawet nie złościł. Ba, nigdy się nie dziwił. A teraz odpowiadał spokojnym spojrzeniem błyszczących brązowych oczu. – Masz rację, Lyle – przyznał wreszcie Capelo. – Wszystkie te kwantowe zdarzenia faktycznie miały miejsce. – Wracajmy – zarządził Kaufman.

Albemarle, Singh i technicy nadal sprawdzali w dziurze, jak dokładnie ma się położenie najbardziej napromieniowanych partii gór Neury do umiejscowienia wypukłości na artefakcie. Zadanie to wymagało od komputerów analizy symulacji z okresu geologicznego obejmującego minione pięćdziesiąt tysięcy lat oraz obrazów satelitarnych obecnego rozkładu promieniotwórczości. Capelo tymczasowo nie był w stanie stanąć oko w oko z żadnym z nich, a szczególnie z Haroldem.

Nie chciał również widzieć Amandy ani Sudie. Obie dziewczynki zaczynały mieć powoli dosyć obozowania pod nawisem skalnym. Jane Shaw czyniła cuda, wymyślając zabawy, i przechodziła samą siebie, przekazując podopiecznym wiedzę nawet w takich warunkach, jednakże dzieci to tylko dzieci. Nie lubią, gdy się je ściąga na plac budowy i nie pozwala im zaglądać w najciekawsze miejsca – w tym wypadku do wykopanego dołu. Capelo nie winił za to córek, lecz po prostu nie miał siły znosić ich narzekań.

Najbardziej ze wszystkiego chciał pomyśleć w spokoju.

A właśnie o spokój było najtrudniej w dolince. Kręciło się tam zbyt wiele osób robiących zbyt wiele rzeczy. W bazie było jeszcze gorzej, a system korytarzy, który łączył oba miejsca, zdawał się bardziej zatłoczony niż marsjańska kolejka elektromagnetyczna. Jeśli zależało mu na spokoju, musiał wyprawić się poza dolinkę.

Nie przekraczało to jego możliwości. Góry Neury były raczej niskie, z tylko paroma szczytami i mnóstwem kotlin i przełęczy. Tom Capelo wzał buty do wspinaczki i wybrał na oko najłatwiejsze wzniesienie, mając nadzieję, że córki nie wypatrzą go i nie podniosą rabanu.

Po półgodzinie wspinaczki ledwo dyszał. Słońce zaczęło przypiekać, więc usiadł na pierwszym wyglądającym na wygodny głazie, ściągnął koszulę i sapiąc, wodził wzrokiem po bałaganie, jakiego ludzie narobili w górach Neury.

Potężna masa ziemi i skał wydobytych przy odsłanianiu artefaktu musiała gdzieś trafić. Koparka zrobiła dziurę na ćwierć kilometra głęboką, wywozła to, co wykopała, i zrzuciła gdzie popadło. Okoliczne zbocza, wąwozy i polany zostały zasypane kamieniami. Wyglądało to okropnie przygnębiająco, ale Kaufman miał na swoją obronę teorię, że tubylcy nigdy

nie ujrzą tego widoku, ponieważ tabu religijne zabrania im zapuszczać się w te góry. Prawda była taka, że to miejsce zaczęło przypominać strefę wojny.

Jednakże prawdziwa wojna toczyła się we wnętrzu Toma Capelo.

Cztery zestawy danych. Nie, teraz już właściwie pięć... Tego, co przeżył dzięki Gruberowi, nie dało się nazwać danymi, ale też trudno to było zignorować. Zatem pięć zestawów danych nie mających żadnych punktów stycznych. A być może losy wojny ludzkości z Fallerami zależały od tego, czy Tomowi Capelo uda się znaleźć między nimi jakiś związek...

Usiłował błądzić myślami. Była to sztuczka, do jakiej czasami się uciekał: skupiał się na czymś nieistotnym albo wręcz oczyszczał umysł ze wszystkiego, licząc, że do powstałej pustki zawita genialna myśl. Robił tak Henri Poincare i Roger Penrose, a także wielki Salah Majoub.

Thomas Capelo skoncentrował wzrok na czerwonym kwiatku rosnącym w miejscu, które jakimś cudem uniknęło zasypania odłamkami skalnymi. Pozwolił, by kwiatek wypełnił mu cały umysł, po czym oderwał się od niego myślami i zaczął nimi błądzić w przestworzach.

Słońce wędrowało po niebie.

Czas mijał niepostrzeżenie.

Tom Capelo nic nie wymyślił. – Tom?

Capelo podskoczył. Od tyłu zaszedł go Kaufman. – Nie rób tak! – Przepraszam. Mam odejść? – zapytał pułkownik, niezmiennie wrażliwy, niezmiennie ułożony. – Nie musisz. Nie robię nic ważnego. A co tam się dzieje? – Rosalinda i Harold cię szukają. Analizy komputerowe dobiegły końca. Wypukłość oznaczona jedynką zdaje się pasować do symulacji. Nasz artefakt jest destabilizatorem kierunkowym, tak jak przypuszczałeś.

Jest związek między dwoma zestawami danych, pomyślał Tom, lecz z jakiegoś powodu wcale go to nie ucieszyło. – Domyślam się, że w takim razie artefakt okaże się bezcenną bronią – rzekł. – Słusznie się domyślasz. – Bronią, dla której warto było organizować tę ekspedycję. – Owszem. – Miło mi to słyszeć.

– Nie wyglądasz na ucieszonego, Tom – stwierdził Kaufman. – To efekt, Lyle, nie przyczyna. Zasada jest w dalszym ciągu nieznana.

Kaufman nieproszony przysiadł na głazie obok fizyka. – Wyjaśnij mi w prostych słowach, do czego sprowadza się ta kwestia.

Capelo obrzucił go sfrustrowanym spojrzeniem. Laicy wiecznie się domagali prostych wyjaśnień złożonych zjawisk, nie dbając o to, że znaczną część wyjaśnienia stanowią wzory matematyczne, których nie są w stanie ogarnąć. Z tego samego powodu Capelo nie cierpiał nauczania. I połowy swoich kolegów po fachu. – Wiem, że wiele od ciebie wymagam – dodał Kaufman takim tonem, że Capelo poczuł się złapany w pułapkę. – No dobrze – powiedział. – Mamy cztery... nie, wróć... mamy pięć zestawów danych. Po pierwsze, wzór opisujący podwyższone promieniowanie w tych górach,



które jak już nam wiadomo, zostało spowodowane przez artefakt. Obiekt zmienia pole prawdopodobieństwa, które decyduje o tym, czy określone atomy ulegną destabilizacji. Wszystkie zdarzenia kwantowe można przedstawić jako zmianę w topologii powierzchni utworzonych przez rozedrgane niteczki, które tworzą czasoprzestrzeń. Artefakt oddziałuje na amplitudy pola prawdopodobieństwa, które są wynikiem zsumowania wszystkich możliwych powierzchni. Innymi słowy, nasza ubabrana błotem piłka drastycznie podnosi szanse na to, że wyemitowana cząstka zostanie znaleziona w tej części pola prawdopodobieństwa, to jest na zewnątrz bariery energetycznej. – Czy przez „amplitudę prawdopodobieństwa” rozumiemy obszar, w którym można znaleźć cząstkę, zgodnie z zasadą nieoznaczoności Heisenberga? – zapytał Kaufman.

Było to znacznie bardziej skomplikowane, ale Capelo postanowił odpuścić pułkownikowi. – Mniej więcej... Z raportu Syree Johnson jasno wynika, że pierwszy artefakt, ten większy, robił to samo co nasz mniejszy, z tą różnicą, że generowana przez niego fala rozchodziła się sferycznie, a nie kierunkowo. A kiedy obiekt eksplodował, zdestabilizował znacznie więcej niż tylko atomy o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć. Rozwalił okręt, na którym była Johnson, statek Obcych i kilka pechowych statków kurierskich. A w dodatku wyemitował falę destabilizującą obejmującą cały ten układ gwiazdny. Była to swego rodzaju fala uderzeniowa, która niszczyła ustalone prawdopodobieństwo. – Rozumiem – wtrącił Kaufman. – Nie rozumiesz, gdyż nawet ja tego nie rozumiem. Przynajmniej w oparciu o znaną fizykę. Nauka nie dopuszcza istnienia fali prawdopodobieństwa ani tym bardziej kontrolowania jej, gdyby jednak istniała. – Cóż, tunele czasoprzestrzenne też nie mieszczą się w zakresie znanej fizyki. – Racja – przyznał Capelo. – W każdym razie fala, o której mówiłem, rąbnęła w Nemeter i w tę drugą planetę, robiąc tam swoje, a następnie pomknęła w stronę Świata. I... nic więcej się nie stało. Zabójcza fala nie spowodowała żadnego dającego się zmierzyć przyrządami skutku na powierzchni tego globu.

– Przyczyną była odległość? – podsunął Kaufman. – Nie. Nie zgrywaj głupka, Lyle. Przecież wiesz, że fala nie osłabła pomiędzy uderzeniem w Nemeter i w tę drugą planetę a dotarciem do Świata. – Jakże się nazywała ta druga planeta?... Zresztą nieważne. – Świat powinien zostać usmażony jak tamte dwie przed nim. Ale nie został. – Twoja robocza hipoteza jest więc taka, że artefakt zagrzebany pod powierzchnią Świata wygenerował własne pole prawdopodobieństwa, obejmujące cały glob, tym samym zneutralizował działania fali uderzeniowej? Właśnie dlatego Capelo nienawidził rozmawiać z laikami. Teraz usiłował powściągnąć zniecierpliwienie. – To nie hipoteza, Lyle. To czyste gdybanie, do tego wyrażone w bełkotliwy sposób. Z tego nic nie wynika. Jakie siły były zaangażowane? Co się

wydarzyło na poziomie rozedrganych niteczek? Na czym polegał mechanizm i jakimi wzorami matematycznymi można go opisać? Co, u diabła, w ogóle się stało? No i jak to, co zaszło, cokolwiek to było, ma się do tarczy Fallerów, która najwyraźniej również zmienia prawdopodobieństwo? – Mógłbyś rozwinąć temat? – poprosił Kaufman.

Jezu Chryste, co za tępak! Ale czy Capelo miał coś lepszego do roboty? Z całą pewnością nie zbliżył się do rozwiązania tak zwanego „zagadnienia”.

Odpowiedział więc: – Pole rozpraszające Fallerów też robi coś, co uważamy za niemożliwe. Strzelamy wiązką protonów w okręt wroga. Wiązka składa się z cząstek, ale oczywiście zarazem jest falą. Okręt jest wyposażony w tarczę. Syree Johnson sądziła, że zanim wiązka protonów doleci do okrętu wroga, tarcza komplikuje jej fazę tuż przed uderzeniem. – Komplikuje jej fazę tuż przed uderzeniem? – powtórzył głupawo Kaufman. – Wiązka ogniowa powinna się zamienić w strumień protonów w chwili zderzenia z wrogim obiektem, w tym wypadku okrętem. Niszczycielskie protony powinny rozwalić okręt na strzępy. Tymczasem pole rozpraszające w jakiś sposób zamienia strumień cząstek w falę, tak przynajmniej uważała Johnson. A dodatkowo komplikuje fazę do tego stopnia, że fala nie oddziałuje ze zwykłą materią. Jak, Lyle? Gdzie się podziewają cząstki? – Nie wiem – odparł z pokorą Kaufman. – Ani ja. Nie wiem także, jak ten wszechstronny artefakt, który bawi się z nami w ciuciubabkę, zmienił amplitudy prawdopodobieństwa, oddziałując na wydzielanie neuroprzekazników w moim mózgu. O ile to właśnie się stało dzisiaj rano. Nie mam bladego pojęcia... – To znaczy, że nie masz też bladego pojęcia, jak zareaguje artefakt, kiedy go przeniesiemy ze Świata w inne miejsce?

Capelo odwrócił się, by spojrzeć Kaufmanowi prosto w oczy. – Nie. I to cię martwi, prawda? Zrozumiałeś to, co dotąd ci wyjaśniłem. Jesteś za bystry, aby nie zrozumieć. Celowo nakierowujesz mnie na myślenie o twoim priorytecie, którym jest pytanie, jak z artefaktu zrobić broń masowego rażenia.

Kaufman odrzekł cicho:

– Sądziłem, że mamy takie same priorytety, Tom. W twoim wypadku wynikałyby one z pobudek osobistych.

Capelo z przerażeniem stwierdził, że zaczyna go szczytać pod powiekami. Boże, czy żal po utracie Karen nigdy nie zelżeje? O tyle tylko prosił: żeby ból zelżał; nie żeby zniknął całkowicie, gdyż tego – co było zrozumiałe – nie dało się zrobić. Odwrócił się, aby Kaufman nie widział, jak szaleńczo mruga powiekami. – Tak, to jest również mój priorytet. Jeżeli ten artefakt jest w stanie zdmuchnąć Fallerów z mapy wszechświata, chcę, aby to się stało. Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Ale chcę się też dowiedzieć, jak do tego dojdzie. Z powodów naukowych, lecz także czysto praktycznych. Broni nie da się kontrolować, Lyle, jeżeli nie rozumie się

zasady jej działania. Na razie nie masz pojęcia, co to cholerstwo zrobi na polu walki. Nie wiesz nawet, co się stanie, jeśli spróbujesz toto przepchnąć przez tunel czasoprzestrzenny. – Nie wiem jeszcze, co się stanie z mózgami Światan, którzy ewoluowali, znajdując się pod ciągłym wpływem pola generowanego przez ten artefakt. – O tym nie pomyślałem... – mruknął Capelo. – A ja tak. – W obliczu wojny, od której wyniku zależy przetrwanie ludzkości, nie sądzę, aby to miało większe znaczenie – powiedział po chwili milczenia Capelo. – Mówimy o być albo nie być naszego gatunku, Lyle! Toczy się wojna, a ty, zdaje się, jesteś żołnierzem... – Jestem żołnierzem – potwierdził Kaufman.

Fizyk nie zrozumiał – nie był w stanie zrozumieć – co naprawdę chciał przez to powiedzieć pułkownik Lyle Kaufman.

## 12. Baza, Świat

Kaufman pojawił się w bazie o tej samej porze co Anna Sikorski, Enla i czwórka żołnierzy. Wyłonił się z górskich korytarzy; tamci nadeszli trawiastą żyzną równiną, która leżała odłogiem tylko dlatego, że Światanie na razie nie potrzebowali aż tyle ziemi ornej. Na czele żołnierzy kroczyła kapitan Heller, która minę miała jeszcze chmurniejszą niż zwykle.

A może nie? Nawet jak na szefową ochrony Heller była wyjątkową pesymistką. Nie chciała pozwolić, by Anna Sikorski odwiedziła grób Davida Campbella Allena, co z kolei Światanie uważali za obowiązkowy punkt programu. Kaufman nie wyraził sprzeciwu, gdyż nie zamierzał niczym sugerować Voraturowi ani depczącemu mu po piętach słudze Pierwszego Kwiatu, że ludzie nie są tego samego zdania co Światanie. W końcu na tej planecie obowiązywała dzielona rzeczywistość.

Natomiast kapitan Heller protestowała, i to żywiołowo, przeciwko pomysłowi, by jeden z kluczowych członków zespołu badawczego opuścił teren bazy i zagłębił się w nierozpoznaną okolicę. Poinformowała Kaufmana, że ma w czarnej dziurze dzieloną rzeczywistość.

Po tym jak Kaufman zmusił ją łagodnie do tego, by pogodziła się z wyjściem Anny Sikorski poza bazę, Heller zażądała kilkunastoosobowej obstawy złożonej z jawnie uzbrojonych po zęby żołnierzy. Staęto na czwórce, wliczając Heller, która tak jak pozostali miała przy sobie, aczkolwiek dobrze ukryte: pistolet laserowy, nanosieć i nerwer. Kaufmanowi nie udało się jej przekonać, że tubylcy nie używają broni, są nastawieni pokojowo i nie mają nic do ludzi, odkąd ludzie zostali uznani za

rzeczywistych. – Nic do nas nie mają? – zapytała Heller podejrzliwie. – Widzimy wszechświat nie takim, jakim jest, lecz takim, jakim chcemy go widzieć – zacytował Kaufman, ale jego subtelność umknęła kapitan Heller.

Obecnie zbliżała się z najwyraźniej całą i zdrową Anną, która truchtała za nią zmęczona. Kaufman zdecydował, że użycie pojazdów byłoby niewskazane, skoro technologia jest obca Światanom, Heller zaś odmówiła wykorzystania rowerów, ponieważ jej podwładni byliby bezbroni w razie niespodziewanego ataku. Kaufman podejrzewał, że pani kapitan nie potrafi jeździć na rowerze – pojeździe archaicznym nawet na Ziemi. Heller bowiem przyszła na świat i wychowała się w Pasie.

Z przeciwnej strony nadciągali obaj Voraturowie, pedałując na rowerach, które najwyraźniej otrzymali od poprzedniej ziemskiej ekspedycji. Obie grupy przybyły punktualnie. – Pęku Voraturze! – zawołała Anna. – Oby twoje kwiaty pławiły się w słońcu! – Oby twój ogród ucieszył Pierwszy Kwiat – odpowiedział Voratur. – I twój, Pęku Kaufmanie. – Oby twoje kwiaty rozkwiły w mnogości – zrewanżował się Kaufman, powtarzając wyuczoną na pamięć formułkę.

Zdawało mu się, że Voratur jest nieco podenerwowany, chociaż gwoli prawdy nie poznał Światan dość dobrze, aby poprawnie odczytywać ich mimikę i gesty.

Ciekawe, jak Marbet radzi sobie z Fallerem? pomyślał. Od czasu jego pobytu na pokładzie Alana B. Sheparda otrzymywał od niej tylko krótkie suche raporty. Nie znalazł niestety czasu, aby zapoznać się z nagraniami z jej sesji odbytych z jeńcem.

Wymieniono kwiaty gościnności: padżaliby i allabeniriby. Kaufman powoli uczył się dziwacznych, lecz bardzo ważnych nazw. Następnie Anna poprowadziła wszystkich do nanonamiotu, gdzie czekał już przygotowany sprzęt do skanu Lagerfelda.

Voratur powiedział coś i Kaufman popatrzył na Annę. Ta przetłu maczyła: – Mówi, że pamięta metalowy kapelusz. Jest podenerwowany, ale nie zamierza się wycofać. Enlo, nie ma się czego bać – zwróciła się do tubylki.

Światanka nie odpowiedziała.

Wtedy Anna przeszła na światański i Kaufman stracił wątek. Voratur usiadł na poduszce plecami do urządzenia. Anna ostrożnie włożyła mu na głowę hełm, który samoistnie dopasował się do sklepienia czaszki, czoła i karku, pozostawiając twarz odkrytą. Anna zaczęła zadawać Voraturowi pytania swym niskim łagodnym głosem. W każdym razie brzmiał on łagodnie w uszach Kaufmana; pułkownik nie miał pojęcia, jak Światanin odbiera głos doktor Sikorski.

Orientował się za to w zarysach, na czym polega skan Lagerfelda. Setki miniaturowych elektrod wślizgiwały się właśnie na swoje miejsce na łysej

głowie Voratura i na jego szyi pod szyjowłosami. Maleńkie igły z kropelką środka znieczulającego pobiorą przy okazji próbki krwi, płynu mózgowo-rdzeniowego, nawet potu. Jednakże najbardziej użyteczne dane będą pochodzić z głównej części skanera Lagerfelda, który umożliwił zobrazowanie niemal neuron po neuronie budowy żywego mózgu. Ostateczny rezultat pokaże, które komórki były aktywne, jakie neuroprzekazniki zostały uwolnione, gdzie pojawiły się nowe wzorce neuronalne. Regulacja dokowania receptorów, wychwyt zwrotny transmitterów, kaskada enzymów, metabolizm i produkty uboczne... wszystko to rejestrowały czujniki skanera, urządzenie poddawało dane wielopłaszczyznowej analizie, po czym wyprowadzało tłumaczące je równania i wzory. Praktycznie robiło wszystko z wyjątkiem syntetyzowania leków i przyklejania etykiet. Rezultatem badania był swoisty, bo neuronalny odcisk palca ukazujący konkretny mózg reagujący na różnorakie bodźce.

Bodźcami były pytania zadawane przez Annę. Pomyśl o pięknym ogrodzie, o smacznym posiłku, o strasznym wypadku... spadasz z roweru i łamiesz kark...

I tak dalej, i tak dalej. W dodatku Anna dysponowała wynikiem wcześniejszego badania, który zamierzała wykorzystać w celach porównawczych.

Soshaf i Enla zawzięcie zawodzili jakąś pieśń, której słów Kaufman nie rozumiał ni w ząb. Na ekranie skanera migały jakieś wykresy, których znaczenia pułkownik również nie pojmował. Na twarz Voratura wystąpił pot. Najwyraźniej było to dla niego nieprzyjemne przeżycie, być może nawet czuł strach. Mimo wszystko jednak Światanin wykazywał się dzielnością.

Później Anna pokazywała mu przedmioty, na które miał reagować: kwiaty, narzędzia, żywność. W trakcie badania opadło z niej całe zmęczenie. Po kolejnych piętnastu minutach uśmiechnęła się promiennie i zdjęła Voraturowi hełm z głowy. Światanin zerwał się na nogi sprężyście.

Jego miejsce zajęła Enla. Kaufmana po raz pierwszy zastanowiło, dlaczego doktor Sikorski upiera się przy zbadaniu także jej, skoro nie ma materiału porównawczego. Czego może szukać?

Teraz zawodzili obaj Voraturowie, kołysząc się do rytmu na poduszkach. Kaufman przestał słuchać, co mówi Anna, i zaczął sobie wyobrażać, co powie potem. Podejrzewał, że nie usłyszy od niej nic miłego. Na razie nie poinformował jej o odkryciu poczynionym w dolince. Anna Sikorski nie wiedziała, że zagrzebany artefakt jest najprawdopodobniej destabilizatorem kierunkowym. Ani że zapewne zostanie zabrany ze Świata.

Co będzie, jeśli ona i Gruber mają rację i artefakt rzeczywiście generuje jakieś dodatkowe pole prawdopodobieństwa, które przed tysiącletkami zaczęło kształtować umysły Światan?

Nie, to tylko teoria. Nie poparta żadnymi danymi naukowymi...

Na Boga, zaczynam myśleć jak Capelo...

Ciekawe, co robi Marbet na pokładzie Alana B. Sheparda... – To już wszystko – powiedziała Anna i zdjęła hełm z głowy Światanki.

W przeciwieństwie do Voratura Enla nie zerwała się z ulgą, tylko wstała powoli, ociężale, marszcząc skórę pomiędzy oczami. Jej grzebień czaszkowy się uniósł. Gdy Kaufman wyrwał się z zamyślenia, zobaczył, że natarte olejkami gładkie oblicze Voratura również jest zmarszczone.

Ból głowy. Skan Lagerfelda jako przejaw niedzielonej rzeczywistości przyprawił tych dwoje – nie, troje: Soshaf też się marszczył i straszyl grzebień czaszkowy – o potężny ból głowy. Zapewne cała trójka spodziewała się tego, a mimo to zgodziła się poddać badaniu. To zaiste dowód ich dzielności.

Albo chciwości.

Voratur powiedział coś do Anny, po czym przyłożył sobie dłonie do głowy. Anna zwróciła się do Kaufmana: – Daj im te sześć komunikatorów, Lyle. Chcą już pójść. Bardzo cierpią.

Pomimo rozdzierającego bólu oczy Voratura lśniły, gdy Kaufman wręczał mu sześć czarnych pudełeczek. Zakładał, że Światanin będzie chciał się nauczyć je obsługiwać, jednakże nie padła prośba o instruktaż. Starszy Światanin rzekł coś do młodszego, po czym Soshaf wziął jedno z pudełek i wyszedł przed nanonamiot. Voratur otworzył swoje pudełko, jakby robił to całe życie, i powiedział coś po światkańsku. W odpowiedzi rozległ się głos jego syna. Voratur uśmiechnął się szeroko i zrozumiałe dla wszystkich.

Po pół sekundy i zdawkowej wymianie kwiatów pożegnania trzej Światanie odjechali na rowerach. – No – podsumował Kaufman – to się nazywa błyskawiczna dyplomacja.

Anna powtórzyła z uporem: – Nie powinieneś był im dawać tych komunikatorów. – Wtedy ty nie zrobiłabyś swoich skanów. Poza tym komunikatory nie wpłyną znacząco na całość społeczeństwa Światan. Naprawdę. Nawet jeśli rozłożą je na czynniki pierwsze, nie znajdą niczego, z czego mogliby zrobić użytek. Od epoki chipów Świat dzielą stulecia. – Pomyślał chwilę, rozważył, czy to aby na pewno prawda, po czym zmienił temat: – Opowiedz o wizycie na grobie Davida Allena.

Anna wyraźnie chciała już zacząć opracowywać dane ze skanu Lagerfelda. Jednakże usiadła na poduszce, którą niedawno zajmowała Enla. – Co wiesz na temat Davida Allena, Lyle? – Był stażystą poprzedniej ekspedycji. Załapał się dzięki znajomościom wpływowego ojca. Kiedy wyście ukrywali się w górach Neury, on wykradł pistolet Grubera i porwał

Enłę, po czym wszelki słuch o nich zaginął. Parę dni później przyleciał statek kurierski i zabrał was z powierzchni planety. – Tak. Dlatego byliśmy przekonani, że ludzie wciąż są uważani za nierzeczywistych – podsumowała Anna. – Tymczasem najwyraźniej Światanie zmienili zdanie w tej sprawie. Z powodu tego, co zrobił David. – A co takiego zrobił?

Odgarnęła kilka kosmyków włosów, które wymknęły się z uwięzi. Nie była urodziwa – miała pociągłą bezbarwną twarz – a jednak zaliczała się do najatrakcyjniejszych osób, jakie spotkał Kaufman. Zapewne z powodu swej delikatności i konsekwencji, która wyczierała nawet z jej oczu. I z którą dosłownie za parę minut będzie musiał się zmierzyć.

Anna odpowiedziała na jego pytanie: – Gdy David porywał Enłę i zostawiał nas samych w środku nocy, wszyscy już wiedzieliśmy, że Tas... to znaczy artefakt, który Syree Johnson zepchnęła z orbity... wybuchnie przy próbie przepchnięcia przez tunel czasoprzestrzenny. Jego masa była za duża. Gruber sam do tego doszedł, bo Johnson przekazywała nam, naukowcom na powierzchni planety, tylko niezbędne minimum informacji. Zwyczajem wojskowych.

Kaufman nie zareagował na zaczepkę, jednakże nie uszła ona jego uwagi. Coś takiego nie było podobne do Anny. Musiała naprawdę się zdenerwować tymi komunikatorami. – David był... podekscytowany – kontynuowała doktor Sikorski. Kaufman ponownie nie zareagował. Szef poprzedniego zespołu, doktor Bazargan, odnotował w swoim raporcie, że u Allena rozwinęła się schizofrenia paranoidalna. – Zabrał Enłę do najbliższej osady i tam oboje ostrzegli mieszkańców przed „niebożą”. Taką nazwę nadał fali destabilizującej. Twierdził, że dowiedział się o niebozie od Pierwszego Kwiatu podczas swego pobytu w górach Neury. – I Światanie mu uwierzyli?

Uśmiechnęła się słabo. Kaufman domyślił się z tego uśmiechu, że jakikolwiek był naprawdę David Allan, Anna Sikorski darzyła go sympatią. – To swego rodzaju paradoks. Światanie uwierzyli Davidowi, ponieważ była z nim Enla, która pozostała zdrowa, chociaż przebywała w górach Neury. To musiał być cud zesłany przez Pierwszy Kwiat. A także dlatego, że David miał wszelkie objawy choroby popromiennej i w końcu umarł, poświęciwszy się, aby przestrzec innych. Każdy, kto oddaje życie za drugą osobę, jest rzeczywisty. Znalazło to przełożenie na resztę ludzkości. – Rozumiem. – Światanie go posłuchali. Przekazali wieść o niebozie do każdego zakątka planety za pomocą wieży luster, dzięki czemu w ciągu doby wszyscy mogli się schować pod powierzchnię. W końcu wyszli z ukrycia, stwierdzili, że nie doznali żadnego uszczerbku, okrzyknęli Enłę na powrót rzeczywistą, a Davida bohaterem. Widziałam kwietny ołtarz, który mu postawili.

To miało sens, zważywszy na wierzenia Światan. Tubylcy nie mogli wiedzieć o kombinezonie, który ochronił Enłę przed promieniowaniem w górach Neury, ani o kondycji psychicznej Davida Allena, ani o braku jakiegokolwiek wpływu fali destabilizującej na Świat – czy to nad powierzchnią, czy pod nią. – W każdym razie – stwierdził Kaufman – wynik okazał się pozytywny dla naszej ekspedycji. Światanie pozwolili nam wrócić w pokoju. Tak – kiwnęła głową Anna. – A ty w zamian chcesz doprowadzić do zniszczenia ich cywilizacji.

No i mleko się rozlało. Kaufman miał nadzieję na przesunięcie tej rozmowy w czasie, ale w tej chwili zrozumiał, jaką naiwnością było to z jego strony. – Rozmawiałaś z Dieterem. – Oczywiście, że rozmawiałam z Dieterem. Szaleje z radości, odkąd przejrzał ostatnie wyniki. Ten obiekt to destabilizator kierunkowy, prawda? Albo przynajmniej może być użyty jako taki? – Tak – potwierdził Kaufman. – W związku z czym zamierzasz przenieść go do strefy walk z Faberami? – Możliwe.

Anna zmarszczyła czoło. – Najpierw pewnie zechcesz go wynieść w przestrzeń kosmiczną i tam przetestować...

Kaufman udzielił wymijającej odpowiedzi: – Decyzja jeszcze nie zapadła. Być może wykonamy pierwsze testy na powierzchni planety. Nie da się wykluczyć, że się mylimy... – Mylicie się! – rzekła z goryczą Anna. – Mylicie się, sądząc, że wolno wam ruszać coś, co stanowi o unikalności społeczeństwa Światan! – Tego nie wiemy... – Właśnie że wiemy! – Zerwała się z poduszki, zmuszając Kaufmana, by także się podniósł na nogi. Teraz stali naprzeciwko siebie w odległości zaledwie paru cali. – Mechanizm dzielonej rzeczywistości rozwinął się tutaj i nigdzie indziej w całej Galaktyce! Gdy Enla znalazła się w „oku” pola prawdopodobieństwa, nie doznawała bólu głowy bez względu na to, ile nienależących do dzielonej rzeczywistości konceptów omawiano przy niej! Gdy wszedłeś w najgęstsze pole prawdopodobieństwa, twój mózg się wyłączył... tak, to też wiem od Dietera! Zagrzebany pod powierzchnią Świata artefakt wpływa na ludzkie myśli, Lyle. A Światanie ewoluowali w jego cieniu... czy też polu... przez całe milenia. Co będzie, jeśli go usuniesz, pozbawiając ich wrodzonej dzielonej rzeczywistości?

Będzie ich rzadziej bolała głowa, pomyślał Kaufman, lecz nie powiedział tego głośno. Annę Sikorski przepełniała szczerą empatia. Ta kobieta naprawdę przejmowała się losem Światan.

Kaufman nagle się zastanowił, jakie zdanie o mieszkańcach planety miałyby Marbet. – Anno, pozwól, że zwrócę twoją uwagę na dwie kwestie – rzekł cicho. – Na początek założmy, że masz rację i że Światanie faktycznie ewoluowali pod wpływem obejmującego całą planetę pola generowanego przez artefakt i powodującego mechanizm dzielonej rzeczywistości. Otóż jeśli to prawda, mechanizm ten został już dawno zakodowany w ich genach



i będzie działał dalej nawet po usunięciu artefaktu. To po pierwsze... – Nie! To mechanizm ewolucyjny zaprojektowany tak, by działać wyłącznie w obecności tego pola! W przeciwnym razie Enla nadal cierpiałyby ból głowy, znalazłszy się w „oku” pola prawdopodobieństwa! – A po drugie – ciągnął niezrażony jej wybuchem Kaufman – nawet jeśli obecność pola jest niezbędna, jak twierdzisz, jego zniknięcie wyrzeze na Światanach nie większe wrażenie niż na Enli w jego „oku”. A ją tylko przestała boleć głowa. Nie zachorowała, nie zdziwaczała i potrafiła jasno myśleć. Nie stała jej się żadna krzywda i tak samo będzie z resztą Światan.

Błada twarz Anny zapłonęła gniewem. – Umyślnie udajesz głupszego, niż jesteś, Lyle. Ja się nie boję, że ucierpią jednostki, aczkolwiek wcale nie mam pewności, czy reszta Światan okaże się równie odporna jak Enla. Ja się boję, że ucierpi całe społeczeństwo. Ich zachowania społeczne wynikają z mechanizmu dzielonej rzeczywistości. Wszystkie co do jednego. Jeśli zabierzesz im dzieloną rzeczywistość, zniszczysz więzi społeczne wszelakiego rodzaju. Rodzinne, handlowe, gospodarcze, polityczne... Zapanuje przemoc, gdyż znikną hamulce, które dotychczas trzymały ją w ryzach. Zdajesz sobie sprawę, czym to grozi? – Voratur pozostał sobą po przejściu pierwszej fali, tej, która zniszczyła Nemeter i pomknęła w kierunku Świata. Przed paroma chwilami sama mi powiedziałaś, że na pierwszy rzut oka jego skan Lagerfelda sprzed eksplozji pokrywa się z tym, który zrobiłaś dzisiaj. – To, że się pokrywają, zawdzięczamy artefaktowi. Artefakt uchronił Światan przed szkodliwym działaniem fali destabilizacyjnej. – No, to tylko hipoteza. Spekulacja. Nie ma żadnych dowodów na to, że zagrzebany artefakt zapobiegł zmianom w mózgach Światan.

Anna milczała. Wiedziała, że w tym jednym Kaufman ma rację. Pułkownik postanowił wykorzystać swoją przewagę. – Rozmawiałaś o tym z Dieterem?

Odpowiedziała tak gorzkim tonem, że Kaufman natychmiast się domyślił, iż małżonkowie kłócili się w tej sprawie. – Dieter nie jest biologiem ani antropologiem. Jest geologiem.

A ja jestem żołnierzem, pomyślał pułkownik. – Anno, ludzkość jest w stanie wojny. I przegrywa. – Czy to usprawiedliwia unicestwienie innej rasy? – Tak – odparł Kaufman.

Wierzył w to, co mówi, lecz nienawidził się za to i zaczynał nienawidzić Anny – dlatego, że zmusiła go do przypomnienia sobie o tym fakcie. Posłał jej spojrzenie pełne niesmaku. – Nareszcie przejawiasz jakieś emocje, Lyle. Przyjrzyj się sobie. Też nie uważasz ruszania artefaktu za słuszne. – Uważam je za konieczne. – Ale on nie należy do nas, tylko do nich!

Na takie dictum nie było poprawnej odpowiedzi. Ta dyskusja zmierzała w stronę osobistych docinków. Kaufman odwrócił się do wyjścia. – Zaczekaj – zaskoczyła go Anna. – Mam do ciebie prośbę.

Obrócił się, aby na nią spojrzeć. – O co chodzi?

– Zanim wydobędziesz artefakt, pozwól mi zabrać Enłę, Voratura i sześcioro innych Światan poza pole prawdopodobieństwa, żebym mogła sprawdzić, jak zareagują. Na co najmniej dobę, w czasie której będę obserwować ich interakcje w sytuacji braku dzielonej rzeczywistości. Pozwól mi ich zabrać na pokład Alana B. Sheparda.

Kaufman się zdumiał. – To wbrew wszelkim regułom. Coś takiego na dobre skazi ich społeczeństwo. A ty protestowałaś przeciwko przekazaniu im zwyczajnych komunikatorów. – Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zamierzasz narobić znacznie większych szkód, zabierając artefakt.

Kaufman zastanawiał się gorączkowo. Grafton dostanie szału. Jednakże decyzja leżała po stronie szefa projektu specjalnego. Jeżeli Światanie dobrze zniosą zniknięcie pola i nie pozabijają się wzajemnie, być może Anna go poprze. Z drugiej strony, jeśli jednak się pozabijają, on będzie na straconej pozycji. Jak by to rozegrało naczelne dowództwo? Z pewnością zachęcałoby do zebrania wszystkich możliwych danych przed podjęciem decyzji, co w gruncie rzeczy nie powinno zaszkodzić.

Grając na zwłokę, powiedział: – Spodziewałaś się tego, Anno. Dlatego tak ci zależało na skanie Lagerfelda przeprowadzonym zarówno na Enli, jak i na Voraturze. Chciałaś mieć więcej materiału porównawczego. – To prawda. – Żeby namówić... ilu to?... ośmiu, dziesięciu Światan do udania się na orbitę, musielibyśmy obiecać Voraturowi... sam nie wiem co. Mnóstwo towarów. A mnie się zdawało, że wolisz nie kazić ich cywilizacji wyrobami ludzkich rąk? – Lepiej ją skazić, niż unicestwić – odburknęła.

Na Boga, ależ ona była uparta. Przypominała mu kogoś, kto traci całą swoją słodycz i łagodność, gdy ubzdura sobie, że działa z upoważnienia aniołów. – Poza tym, Lyle – dodała po chwili z miną świadczącą nie o gniewie, lecz o podstępności – czy nie chciałbyś się dowiedzieć, jak zareagują Światanie? W imię nauki? Ty, wielki miłośnik nauki... – Jej podstępność przeszła w sarkazm.

Jednakże Anna się nie myliła. Kaufman chciał się dowiedzieć. Gdyby zabrali artefakt, nie pozostawiając na powierzchni planety żadnego obserwatora, ta wiedza zostałaby utracona na zawsze.

– No dobrze – rzekł w końcu. – Jeśli uda ci się namówić tubylców, możesz zabrać na pokład Alana B. Sheparda maksymalnie dziesięciu na obserwację trwającą góra trzydzieści sześć godzin i prowadzoną w wydzielonej części okrętu, pozbawionej przedmiotów zaawansowanych technologicznie. – Dziękuję – odparła Anna z uśmiechem.

Kaufman nagle zrozumiał, że popełnił wielki błąd. Doktor Sikorski była przekonana, że jeśli Światanie źle zareagują na oderwanie od pola generowanego przez artefakt, Kaufman zmieni zdanie i zostawi go na powierzchni planety. Bardzo się myliła. Kaufman nie zamierzał zmieniać zdania.

Ale tego jej nie powiedział. Wyznawał zasadę, że nie należy rozwścieczać sojusznika – nawet przypadkowego – jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Zamiast się odezwać, poszedł nadać wiadomość do działającego zawsze według regulaminu Graftona, że niebawem na jego okręt zawita jeszcze więcej Obcych.

### 13. Góry Neury

Capelo nie miał pojęcia, gdzie wysłać Amandę i Sudie w czasie, gdy będzie wydobywany artefakt.

Nawet on jednak zdawał sobie sprawę, że nie jest to wystarczający powód, aby wstrzymać być może najważniejszą operację w historii ludzkości. Mimo to problem pozostawał problemem. Nie mógł zatrzymać córek przy sobie w dolince – nikt nie miał pojęcia, jaki numer wytnie ten krągły skurczybyk wyciągany z ziemi. Baza także znajdowała się za blisko, a poza tym bez elektronicznego perymetru nie zapewniała dostatecznej ochrony. Capelo miał tylko jedno wyjście: odesłać dziewczynki na pokład Alana B. Sheparda. (Uzgodniono, że okręt – dla dodatkowego bezpieczeństwa – znajdzie się w kluczowym momencie po drugiej stronie planety). Niemniej głupio mu było prosić pułkownika Kaufmana o zorganizowanie lotu wahadłowca tylko dla Sudie i Amandy. Doskonale wiedział, że Kaufman nie ma dzieci, nie lubi dzieci i na samym początku próbował mu wybić z głowy ściąganie córek na powierzchnię.

Nie widząc innego rozwiązania, Capelo skontaktował się z Kaufmanem za pomocą komunikatora. – Lyle? Mam prośbę. Nie chcę, by moje córki były tu jutro, gdy będziemy wydobywać artefakt. Przez „tutaj” mam na myśli obóz w dolince i bazę. Czy mogłyby polecieć wahadłowcem? – Prośba wypadła oschlej, niż to sobie zamierzył. No ale cóż: genialny fizyk nie cierpiał o nic prosić.

Ku jego zaskoczeniu Kaufman odparł od razu: – Jasne, Tom. Waha dłowiec i tak miał odlecieć za parę godzin.

Naprawdę? Nic mu o tym nie było wiadomo. Ale czuł się zbyt zmęczony, aby drążyć temat. Od wielu dni notorycznie się nie wysypiał. Zamierzał to nadrobić tej nocy, po czym dokończyć dzieła, wydobywając artefakt na powierzchnię. Bez wątpienia lepiej się wyśpi, jeżeli nie będzie musiał się martwić o Amandę i Sudie. Jednakże coś nadal nie dawało mu spokoju... Kaufman, ten wytrawny dyplomata, nigdy nie godził się na nic ot tak, nie próbując wynegocjować czegoś w zamian.

Dzięki, Lyle. Będziemy czekać na lądowisku. Pozostało mu tylko nie zasnąć na stojąco i przeprowadzić dziewczynki systemem korytarzy do lądowiska. Poczłapał do płytkiej jaskini, która służyła im za tymczasową kwaterę. Amanda siedziała u wylotu jaskini, pracując na swym wyświetlaczu. Za nią kładł się długi cień, gdyż pora była już późnawa i słońce stało nisko. Sudie, znajdująca się nieco głębiej pod nawisem, bawiła się z Jane w jakąś grę, używając do tego błyszczących kamyków. Capelo wiedział, co to jest. Znaleziska dziewczynek walały się wszędzie dokoła. – Chodź, Amando. Zwijamy obóz. Spakuj swoją torbę.

Amanda podniosła wzrok znad wyświetlacza. – Przeprowadzamy się? Dokąd, tato? – Z powrotem do bazy. – Czemu? – spytała go.

Zawsze wykazywała się analitycznym umysłem. Capelo przyjrzał się ze znużoną miłością jej schludnym jasnym warkoczykom. Im była starsza, tym bardziej przypominała Karen. – Z powrotem do bazy — powtórzył. – A potem wahadłowcem na pokład okrętu.

Dosłyszała to Jane Shaw. Popatrzyła na Toma bacznie. – Ze względów bezpieczeństwa? – Tak.

Opiekunka natychmiast zaczęła zbierać ubrania i zabawki. Co on by począł bez niej?... Tymczasem Amanda wypaliła: – Nie chcę nigdzie lecieć, tato. Chcę być przy wyciąganiu artefaktu z ziemi. – To zbyt niebezpieczne, złotko. Na pokładzie okrętu nic wam nie będzie groziło. – Bezpieczeństwo nie jest priorytetem w nauce.

Coś podobnego kiedyś przy niej powiedział... Ojcowska duma walczyła w nim o lepsze z irytacją. – Ale ty nie jesteś naukowcem. – Kiedyś będę! – To wtedy o tym porozmawiamy. A teraz się pakuj.

Sudie zaczęła płakać. – Ja chcę zostać z tatusiem! – Sudie... na miłość boską! – Ty nie wierzysz w Boga – przypomniała mu Amanda rzeczowo. – Chcę zostać z tatusiem! – Sudie wyprysnęła do przodu i z impetem przykleiła się do niego, obejmując go za nogi na wysokości kolan, omal przy tym nie przewracając na ziemię.

Capelo wpatrzył się w czubek jej głowy, który był cały zapiaszczony. Życie w dziczy przypadło jego młodszej córce do gustu, czuła się tu jak ryba w wodzie.

Wyglądała niczym prawdziwy Robinson Crusoe. W promieniach gasnącego słońca jej przetłuszczone włosy, sterczące na wszystkie strony, wyglądały jak rozrzucone grafitowe rysiki.

Amanda dołożyła do pieca: – Już wiem! Mogłybyśmy się przenieść do wugu!

– Do wugu! Do wugu! – Podchwyciła Sudie. – Ja chcę do wugu! – Nie możecie zamieszkać w wugu – oznajmił stanowczo Capelo. Wug sprawił im już wystarczająco dużo kłopotów.

Gruber odkrył go podczas pierwszej ekspedycji. Zaproponował im wycieczkę, obiecując w miarę łatwą trasę przystosowanymi przez nanoboty korytarzami oraz wspinał się niespodziankę u celu. Capelo przystał na propozycję tylko dlatego, że dziewczynki się nudziły, praktycznie uwięzione w swojej jaskini na skraju dolinki. Nie spodziewał się jednak cudów.

Gruber niósł latarkę nastawioną na najśłabszą moc nisko, dopóki nie weszli do średniej wielkości jaskini. Tam zatrzymał się raptownie i zwiększył moc latarki, omiatając jej promieniem sklepienie. – Patrzcie!

Capelo sapnął z wrażenia. Dziewczynki zapiszczały z zachwytem. Klejnoty połyskiwały na sklepieniu, na ścianach, w stertach na podłożu. Gdy wzrok mu się przyzwyczaił do rażącego światła, Capelo stwierdził, że klejnotami są miriady grudek złota. Pomiedzy nimi rozsiane były płatki czystego kruszcu wielkością dorównujące paznokciowi męskiego kciuka. Złote samородki lśniły pod ich stopami. Sterty białego piasku kwarcowego błyszczały jak przędza szklana.

– To właśnie jest wug! – oświadczył uszczęśliwiony Dieter. – Największy, o jakim słyszałem! – Ale co... Ale jak... – wyjąkał Capelo. – Wnętrze geody. Kiedyś musiała się tu znajdować kaldera wulkanu. Złoto wytrąca się z krążącej wody podgrzewanej przez magmę...

Capelo dotknął ściany. Na opuszkach zostały mu złote płatki przypominające słoneczny pył.

– Niewiarygodne. – Prawda? – Gruber, czując się ich gospodarzem, omiatał promieniem światła wszystkie ściany po kolei.

Amanda i Sudie podbiegły do ściany. Gruber był tak zachwycony wrażeniem, jakie na nich zrobił, że pozwolił dziewczynkom napychać sobie kieszenie malutkich kombinezonów złotem i kryształami.

Capelo zapytał: – Od jak dawna to tutaj jest? Jak dawno temu powstało? – Setki tysięcy lat temu. – I Światanie nie pokusili się o przyjsie, zbadanie i wydobywanie tego całego złota? – Nie wolno im wchodzić w te góry. Są uświęcone. Poza tym bardzo dawno temu przekonali się, że kto tu wejdzie, choruje. My nazywamy to chorobą popromienną. Świetny przykład religijnego tabu chroniącego zdrowie wyznawców! – zaśmiał się Gruber. – Dość tego, dziewczynki – rzekł nagle Capelo. – Nie bądźcie takie zachłanne.

Jednakże i on sięgnął po rozmigotany kryształ. Byłby wiele wart na Marsie, aczkolwiek nie tyle, ile błyszczące kamyczki okazały się warte tu, na Świecie. Amanda i Sudie miały z nimi wiele uciechy: wymyślały niekończące się zabawy, dzięki którym się nie nudziły i Jane Shaw mogła pozostać przy zdrowych zmysłach.

Kłopot polegał na tym, że od tamtej wycieczki dziewczynki bezustannie prosiły go, żeby wrócili do wugu. Kaufman protestował z zaciśniętymi wargami: – Tom, w ogóle nie powinniście byli tam chodzić. Staramy się wywrzeć na otoczenie możliwie najmniejszy wpływ. A już na pewno nie było w planach grabieży. – Dopiero co urządziliśmy kopalnię odkrywczą w tutejszych świętych górach! – Wiem – przyznał ze znużeniem Kaufman. – Ale to była konieczność. Wywożenie stąd ich bogactw nie jest konieczne. Twoje córki mogą zatrzymać kamyczki, ale nie będzie żadnych więcej wycieczek do wugu. Już to zapowiedziałem Dieterowi.

Świątoszkowaty hipokryta! Toma korciło, by zabrać tam dziewczynki na własną rękę, ale był zbyt zajęty, poza tym nie pamiętał dobrze drogi w labiryncie korytarzy. Na szczęście niezawodna Jane Shaw przyjęła na siebie większość marudzenia i zawodzenia Sudie.

Teraz też rzekła dziarskim tonem: – No, dziewczynki. Słyszaliście, co powiedział tata? Mamy wahać się do złapania. Sudie, czyżbyś zapomniała, że na pokładzie okrętu czeka na nas Marbet? Jest tam przez cały czas. Ciekawe, co porabiała...

Sudie od razu puściła kolana ojca. – Marbet? – Jak myślisz, zaprogramowała już tego hololewka, którego ci obiecała? – Chcę zobaczyć lewka! – krzyknęła Sudie i zaczęła podnosić z ziemi swoje rzeczy, po czym upychać je w torbie. Wzór posłuszeństwa. – Polecę – oznajmiła Amanda. – Ale nie podoba mi się to. – Rozumiem – odrzekł Capelo głosem balansującym na granicy wdzięczności i rozpacz.

Droga upłynęła im bez większych wrażeń. Trasa pomiędzy obozem a bazą była tak często uczęszczana, że pojawiły się na niej śmieci oraz graffiti – jedno i drugie pomimo wyraźnych zakazów. Capelo idąc, przeczytał napis, który mówił: FIZYKA NIE JEST DLA MNIE DOŚĆ FIZYCZNA. Wyszczrzył się; nic dziwnego, że techników lubił bardziej niż kadre. Nabazgrane niewyraźnie narzekanie nieoczekiwanie poprawiło mu humor.

Dobry nastrój opuścił go zaraz po wyjściu z ostatniego korytarza. Na lądowisku stali doktor Sikorski i pułkownik Kaufman w otoczeniu dziewięciu Światan. Skąd tutaj Światanie? I to aż tyłu?...

– Zaczekajcie tutaj – rzucił do Jane. – Kaufman, chwila!

Wojskowy obrócił się, dostrzegł go i szybko oddalił się od grupki Światan. – Co tu się do cholery dzieje? – Ci Światanie – odparł Kaufman – lecą na pokład Alana B. Sheparda w ramach badań prowadzonych przez

doktor Sikorski. – Badania na pokładzie okrętu wojennego? Jakiego rodzaju badania?

– Jak powiedziałem, badania doktor Sikorski. Tom, przestań krzyczeć. – Tym wahadłowcem miały lecieć moje dzieci! – I polecą. Razem ze Światanami, Anną i mną oraz oddziałem ochrony, a nawet z tobą, jeśli sobie życzysz. Wahadłowiec wróci na planetę na długo przed planowanym na jutro wydobyciem artefaktu. – Na pewno nie życzę sobie, żeby moje córki podróżowały w towarzystwie gromady Obcych, o których nikt nic nie wie. – W takim razie nie wysyłaj ich na pokład okrętu, tylko zostaw tutaj – rzekł Kaufman. – A dla twojej informacji: o Światanach wiadomo całkiem sporo, w tym to, że są nastawieni pokojowo. Podczas lotu wahadłowcem będą w uprzęży. Na pokładzie statku znajdą się w odosobnieniu, pod okiem Anny i ochrony. Jeśli coś ci się nie podoba, Tom, zatrzymaj córki przy sobie. Tak czy owak, milcz. Dość mam na głowie bez twoich pretensji. A Światanie są wystarczająco podenerwowani.

Capelo zatrzęsł się z gniewu. Starał się opanować i mówić spokojnym głosem. – Po co tam lecą? – Chcemy sprawdzić, jak zareagują z dala od pola prawdopodobieństwa generowanego przez artefakt. Jak się będą zachowywać. – Na Boga, tylko nie to... Nie serwuj mi bredni o nie dającym się wykryć żadnymi przyrządami polu oddziałującym na mózgi Światan!

Kaufman nie odpowiedział. Capelo kontynuował więc: – Skąd wiecie, czy zniknięcie tego całego pola nie spowoduje, że wszyscy wpadną w szal? Na Boga, co ja wygaduję? Przecież nie ma żadnego związku pomiędzy polem prawdopodobieństwa a ich mózgami... To kompletne wariactwo. – W takim razie daj temu spokój, Tom. Nie przeleciałem tysięcy lat świetlnych, żeby się z tobą kłócić. – A ja tak. Zrobiłem sobie wycieczkę na to zadupie Galaktyki wyłącznie po to, żeby się wykłócać!... No dobra, Kaufman, jesteś górą. Ale przypilnuj, żeby wszyscy byli na uwięzi – celowo przekreślił użyte przez pułkownika sformułowanie – zanim wprowadzę na pokład moje córki.

Thomas Capelo nie potrafił zapomnieć, że ci sami Światanie dwa lata temu poderżnęli gardła dwojgu ludzkim dzieciom. – Oczywiście – zgodził się Kaufman.

Potrafi wygrywać z klasą, pomyślał Capelo. Szlag by go...

Capelo zawrócił do dziewczynek. – Wahadłowcem polecą z wami Ob... tubylcy. – Naprawdę? – zapytała Amanda. – Ale fajnie! Będę mogła z nimi porozmawiać? – Tubylcy nie znają naszego języka, Amando. – Czy aby na pewno wszyscy go nie znają? – Tatusiu, pośpieszmy się!

Capelo przy pomocy Jane Shaw zdołał utrzymać je w ryzach do czasu, aż Kaufman dał mu znak z trapu wahadłowca. Na pokładzie Światanie zajmowali prawie cały przedział pasażerski. Krzywili się przeraźliwie, marszczyli łyse czaszki i śpiewali! Nie, nie śpiewali, raczej zawodzili. Capelo musiał mocno trzymać Sudie, która rwała się do zawierania przyjaźni.

Amanda przyglądała się Światanom z uwagą. Capelo pozwolił, aby Jane pozapinała dziewczynki w uprząż. Czuł się taki zmęczony... – To rytualna pieśń, dzięki której mają znaleźć siły, żeby stawić czoło niebezpiecznemu zadaniu – wyjaśniła Anna Sikorski. – Sądziłem, że w świecie pokojowo nastawionych Światan nie ma żadnych zagrożeń – rzucił sarkastycznie Capelo. – Są, takie jak na przykład łązenie po stromych zboczach w poszukiwaniu ptasich jaj.

Capelo umościł się w fotelu i zapiął uprząż. Ptasie jaja... Artefakt był ogromnym jajem, które ludzie zamierzali podnieść ze zbocza, o czym Światanie oczywiście nie mieli pojęcia. Obiekt oznaczony liczbami pierwszymi, z wypukłościami opisanymi liczbami pierwszymi, amplitudami prawdopodobieństwa, które...

Zasnął.

Znużony ponad ludzkie wyobrażenie przespał całą podróż, od startu do dokowania, pomimo nieustannego zawodzenia tubylców. Spał, gdy pasażerowie zaczęli odpinać pasy i wysiadać; spał również, gdy Amanda i Sudie składały na jego twarzy delikatne pocałunki. Przespał też prawie całą podróż powrotną, a obudził się, dopiero gdy wahadłowiec z wizgotem wszedł w atmosferę i przymierzał się do lądowania. Był już ranek następnego dnia. Słoneczny rześki ranek dnia, gdy miało nastąpić wydobycie artefaktu na powierzchnię, wyciągnięcie go z mrocznego leża, w którym spędził minione pięćdziesiąt tysięcy lat.

\* \* \*

Kaufman miał napięte nerwy, odkąd Grafton się z nim skontaktował na godzinę przed startem wahadłowca. Pułkownik wiedział, że jest na krawędzi, lecz długoletnie doświadczenie nauczyło go, jak to sobie kompensować. Chyba jednak niepotrzebnie naskoczył tak na Toma Capelo.

Na szczęście fizyk, który sam zawsze naskakiwał na wszystkich dokoła, nawet tego nie zauważył.

Kiedy Kaufman odebrał połączenie, Grafton odpuścił sobie powitania. – Pułkowniku, zapraszam na pokład. – Prowadzimy działania wojenne? – zapytał, co miało być nie tak znów subtelnym przypomnieniem, że tylko w warunkach wojny Grafton może przejąć dowodzenie nad wszystkimi członkami załogi. – Nie. Ale pańska „badaczka”, panna Grant, zignorowała rozkazy. Ponieważ jest cywilem, a mnie nie wolno wtrącać cywilów do brygu, chyba że okażą się zdrajcami, muszę pana prosić, aby udzielił jej pan ustnego upomnienia. – Co takiego zrobiła?

– Uwolniła jedną z rąk Fallera. Jak rozumiem, wbrew pańskim wyraźnym rozkazom.



Kaufman zaniemówił. Nie spodziewał się tego po Marbet, nie przewidział, że to zrobi. – Nic jej się nie stało? – Nic. – A innym? – Nikomu nic się nie stało. – Czy Faller podjął próbę samobójczą? – Nie. – Jak obecnie przedstawia się położenie Fallera? – Ma związane wszystkie trzy ręce. Pomimo gróźb panny Grant, która chciała zaatakować technika wykonującego moje polecenie. Fizycznie. Przez co musiała zostać poskromiona przez żandarmerię.

O Boże...

Na głos Kaufman powiedział: – Dziękuję, komandorze. Proszę nie podejmować żadnych działań, dopóki nie przylecę. – Skoro pan nalega... Głos Graftona byłby zdolny zmrozić lodowiec.

Kaufman uznał, że to nie najlepszy moment na poinformowanie komandora, że wkrótce na pokładzie jego okrętu znajdzie się dziewięciu Światan.

Ledwie wahadłowiec zakończył dokowanie, Kaufman przeszedł przez służbę. Grafton nie czekał w komitecie powitalnym. Pułkownik wydał rozkaz oficerowi dyżurnemu gapiącemu się z rozdziawionymi ustami na wysiadających Obcych: zapewnić pasażerom kwatery zgodnie z wytycznymi doktor Sikorski. Następnie ruszył prosto do odciętej części okrętu, gdzie był przetrzymywany Faller, ponieważ tam spodziewał się znaleźć Marbet Grant.

## 14.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

Do obozowiska Ziemiań wyruszyli o zmroku, pedałowując na najlepszych rowerach, jakie Enla w życiu widziała. Na czystym niebie rozkwitły już dwa księżyce, Kat i Obri, a słońce właśnie wędło. Wzdłuż drogi rosły kwiaty. Najpierw, w Gofkit Jemloe, były to kwiaty ogrodowe zasadzone kochającą ręką: okazała czerwona dżelitiba, koronkowa trifalitiba, pomarańczowa allabeniriba będąca kwiatem gościnności. Dalej, na polach, pojawiły się dzikie kwiaty: wszechobecna mittiba oraz lubiąca cień wekifiriba we wszystkich kolorach Świata. Enla widziała, jak pozostali chłoną widok kwiatów. I wiedziała, co myślą: że to może być ostatnia okazja w życiu, by napatrzeć się na kwiaty.

Mogła ich wyprowadzić z błędu.

Ziemianie dzielili w pełni rzeczywistość – albo nie. (Ból głowy – nie myśl o tym!). Potrafili kłamać, czyli robić coś niezwykle trudnego, na co w języku światańskim nawet nie było słowa.

Potrafili niszczyć: zabijali i dawali się zabić. Ale ich urzędnicy były niezawodne. Skoro twierdzili, że metalowa łódź zabierze ich do nieba, a potem przywiezie całych z powrotem, bez wątplenia tak będzie.

Wcześniej tego samego dnia Pek Voratur zwołał wszystkich domowników do dużego centralnego ogrodu. Ogrodnik, utyłany dobrą glebą i pachnący rosibą, zapytał Enłę: – Wiesz, o co chodzi? – Nie. – Znowu pojawili się jacyś wielcy Ziemianie? Jacy oni dziwni z tymi gołymi szyjami! I dziwnie pachną. Gdy przychodzą, wolę sadzić w innym ogrodzie. – Nie było dziś żadnych Ziemian – odparła Enla. – To dobrze. Ale trzeba przyznać, że sadzą piękne kwiaty... Spójrz na tę rosibę, którą sprzedali Pękowi Voraturowi! – Przyjrzał się rozmarzonym wzrokiem czerwonym, różowym i białym kwiatom na długich ciernistych łodygach, które zapewne wyhodował od sadzonek. – Domownicy – zaczął Pek Voratur, gdy wszyscy się zebrali. Stał na odwróconej do góry dnem skrzynce po warzywach, mając u swego boku Soshafa. – Zwołałem was tutaj, ponieważ pragnę się z wami podzielić wiadomością o targu z zasadzonym z Ziemianami.

Śludzy wymienili spojrzenia między sobą. Na Świecie nie było w zwyczaju, aby gospodarz opowiadał im się ze swych interesów. – Głowa domostwa Ziemian na Świecie, Lyle Pek Kaufman, odezwał się do mnie przez komunikator – rzekł Pek Voratur z ważną miną. – Chce, aby dziesięć osób udało się dziś metalową łodzią do nieba, do większej łodzi, pobytu tam przez dwa dni, po czym wróciło do domu.

W tłumie rozległy się podniecone okrzyki: – Do nieba! – Na Pierwszy Kwiat, co też ci Ziemianie jeszcze wymyślą? – No, mnie tam na pewno nie zobaczą! – Dziesięć osób! Dlaczego akurat tyle?

Pek Voratur zamachał rękami, aby uciszyć domowników. – Jednym z dziesięciu będę ja. Drugie miejsce też jest już zajęte. So shaf Pek Voratur zostanie tutaj. – Na wypadek gdybym nie wrócił, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno, choć oczywiście wszyscy i tak usłyszeli jego słowa. – Reszta musi się zgłosić. – Co dostaniemy za to, że polecimy? – zawołał ktoś.

Pek Voratur się uśmiechnął. – To jest najlepsza część. Powiedziałem im, że nie zasadzę targu, dopóki nie zobaczę, co mają na tej swojej większej łodzi. Tam będziemy robili interesy. Cokolwiek mi sprzedadzą Ziemianie, ci z was, którzy polecą ze mną, będą mieli udział w moich przyszłych zyskach. Połowa dla Voraturów, połowa do podziału dla tych, którzy udadzą się ze mną w podróż.

W tłumie zaszumiąło. Połowa dochodu do podziału dla tych, którzy udadzą się w podróż! Pek Voratur był najlepszym kupcem na Świecie: jedna

osiemnasta tego, co utarguje, może znacznie przekraczać cały dotychczasowy majątek podróżnika i jego matki przed nim. Chociaż z drugiej strony, kto to widział, lecieć do nieba... – Ja polecę! – zakrzyknęła jakaś kobieta z tylnego rzędu. – I ja! — wyrwał się Telif Pek Forbin, naczelnym ogrodnik Voraturów. Jego pomocnik, stojący obok Enli, spojrzał na starego z niedowierzaniem. – Ja też chcę polecieć! – krzyknęło jakieś dziecko, wywołując nerwowy śmiech dorosłych.

Ostatecznie znalazło się siedmiu ochotników, nie ośmiu. Ziemiom będzie to musiało wystarczyć. Enla czekała spokojnie, aż Pek Voratur zwróci się do niej. Gdy pozostali się rozeszli, aby przygotować się do podróży, Pek Voratur powiedział do Enli: – Pek Kaufman rzekł, że jedno miejsce na łodzi musi należeć do ciebie... jako tłumaczki. – Wiem – odparła Enla.

Pek Voratur tylko skinął głową. Nie było potrzeby o tym rozmawiać; taka była dzielona rzeczywistość. Ten stan rzeczy zadowalał Pęka Voratura. Enla była jednak ciekawa, jak długo rzeczywistość pozostanie dzielona w obecności Ziemi.

Ból głowy.

Odwróciła się i poszła poszukać odpowiedniego roweru, który zawiezie ją do obozowiska Ziemi.

\* \* \*

– Dobrze – odezwała się po światańsku Anna Pek Sikorski. – Teraz chodźcie ze mną, proszę...

Dziewięcioro Światan zbiło się w ciasną grupkę i zaintonowało pieśń zanoszącą do Pierwszego Kwiatu prośbę o opiekę. Cudna melodia trochę uspokoiła Enlę. Jeszcze nigdy nie widziała latającej łodzi z tak bliska. Z tej odległości okazała się mniejsza od rodzinnego skrzydła domostwa Voraturów. Trap, podobny do tych, których używa się na śliskich zboczach, gdy trzeba wepchnąć wóz, prowadził do mrocznego wnętrza.

W pewnym oddaleniu od latającej łodzi stał Pek Kaufman, na którego krzyczał Ziemiak Enli z widzenia. Był niższy od Pęka Kaufmana, niemilosierdzie brudny i bardzo, ale to bardzo zły. Obok niego stała kobieta i dwoje ziemskich dzieci płci żeńskiej – wszyscy przyglądali się chciwie Światanom. Enla przerwała śpiewanie na moment wystarczająco długi, by zaryzykować postanie w ich stronę uśmiechu, który starsze dziecko odwzajemniło.

Pek Kaufman zakończył kłótnię i podszedł do Anny. – W porządku, możesz ich wprowadzić na pokład. – Co on powiedział? – Pek Voratur zwrócił się z tym pytaniem do Enli. – Zaraz wejdziemy na pokład latającej łodzi.

Śpiewy przybrały na sile. Trzymający się za ręce Światanie, z nastroszonymi grzebieniami czaszkowymi i zjeżonymi szyjowłosami, wstąpili ostrożnie po trapie wiodącym do wnętrza obcej maszyny. Enla czuła, jak żołądek zwija się jej w supeł.

W środku nie było wiele miejsca; zapewne większość przestrzeni znajdowała się za licznymi drzwiami. Panowała tam jasność, mimo że Enla nie widziała nigdzie żadnych lamp. Siedzenia ustawiono w brzydkich równych rzędach. W pierwszym rzędzie, centralnie, siedział mężczyzna otoczony sprzętem przypominającym skaner Lagerfelda – to pewnie on sterował łodzią. Ale jak to robił? Nie miał wiosł ani żagli, nic, czym można by zapanować nad prądami wiatru. W dodatku latająca łód/ ważyła za dużo, żeby pozełgować w powietrzu. – To Nick Pek DeVolites – powiedziała Pek Sikorski ciężko akcentowanym światańskim.

Ci Ziemianie mieli takie dziwne imiona! Pek DeVolites wyciągnął w ich stronę żółty kwiat gościnności. Okropnie niezręcznie. W odpowiedzi Pek Voratur wręczył mu przyniesione przez siebie kwiaty darczynności. Jego świeżo nasmarowane olejkami dłonie wyraźnie się trzęsły. – Siadajcie tutaj... – wskazywała Pek Sikorski. – I tutaj... i tutaj... Doskonale. Wygodnie wam? Teraz pozapinam te pasy dla waszego bezpieczeństwa...

Ogrodnik zapytał, bezskutecznie starając się ukryć strach: – Czy prądy powietrza będą silne? – Mamy nadzieję, że nie – odparła Pek Sikorski. – No już... Wszystkim jest wygodnie?

Enlo?... – Moja gleba jest dobra – odrzekła Enla.

Kiedy już wszyscy siedzieli związani, do łodzi wszedł tamten pokrzykujący mężczyzna, prowadząc za sobą starszą kobietę i dwie dziewczynki. Z bliska wyglądał na jeszcze brudniejszego i bardziej zmęczonego. Dziewczynki zdawały się chętne do rozmowy, lecz najwyraźniej ktoś zakazał im się odzywać. Mniejsza musiała być bardzo młoda i była niemal tak brudna jak mężczyzna. Starsza miała jasne włosy, takie jak Pek Sikorski – może więc była jej siostrzenicą? Pek Sikorski nie przedstawiła przybyłych, co było przejawem braku manier, jakiego Enla jeszcze u niej nie widziała. Starsza kobieta przywiązała dzieci do siedzeń, po czym zajęła swoje miejsce. Widząc to, Światanie nieco się odprężyli; wiązanie nie było chyba takie złe, skoro Ziemianie robili to też swoim dzieciom. Pek Sikorski i Pek Kaufman zasiedli po obu stronach Peka De Volitesa, który powiedział: – Startujemy

Drzwi zamknęły się z odgłosem przypominającym skrzywienie kół setki rowerów, po czym łódź drgnęła i zaczęła się poruszać coraz szybciej, aż w końcu uniosła się w powietrze.

Światanie zamilkli, zbyt wystraszeni, aby dalej śpiewać.

Za oknem naprzeciwko Peka DeVolitesa rozciągało się niebo. Metalowa łódź zaczęła jęczeć... Bez wątplenia zaraz się rozpadnie, pomyślała Enla.

Wtem zostawili chmury daleko pod sobą-pomyśleć tylko: znajdowali się nad chmurami! Enla zacisnęła powieki. Kiedy je znowu otworzyła, zamiast zwykłego nieba zobaczyła niebo nocne: czarne, usiane gwiazdami, z dwoma ogromnymi księżycami jaśniejącymi jeszcze bardziej niż normalnie. Wpatrywała się w Obriego, dom Pierwszego Kwiatu, który rozwinął swe płatki, tworząc Świat. Enlę zalała fala wzruszenia. Zaczęła nucić pieśń stworzenia, najświętszą ze wszystkich.

Pek Voratur nucił pieśń podziwu.

Pek Forbin powrócił do nucenia pieśni mającej zapewnić ochronę Pierwszego Kwiatu.

Astu Pek Valifin, pomocnica kucharza, nuciła pieśń pracy.

Nagle wszyscy umilkli. Zaczęli się wiercić pomimo więzów, aby spojrzeć na siebie wzajemnie. Mieli oczy rozszerzone ze zdziwienia. Szyjowłosa im sterczały. To niemożliwe. Pieśni zawsze zaczynały się równocześnie, najwyżej parę nut jedna po drugiej, i zawsze były takie same. Odpowiednie do okazji. Właściwe. Wynikające z dzielonej rzeczywistości.

Pek Valifin zanuciła jeszcze kilka niepewnych nut. Nikt nie podjął melodii. Enla sprężyła się mocno.

Nie czuła żadnego bólu głowy.

Zauważyła, że Pek Sikorski przygląda się jej z napięciem. A więc to dlatego Ziemianie przywlekli ich tutaj, do nieba? Żeby przełamać dzieloną rzeczywistość? Dzielona rzeczywistość zawsze fascynowała Ziemian, zwłaszcza Pek Sikorski. Jednakże z dziewiątki Światan na pokładzie tylko Enla zdawała sobie z tego sprawę. Brak dzielonej rzeczywistości powinien ją przyprawić o potężny ból głowy.

Tymczasem nie czuła nic.

Mierzyła się z własnymi myślami, widząc, że pozostali robią to samo. Na twarzach wszystkich malował się strach. To niemożliwe... Nikt jednak nie odezwał się głośno.

W pewnym momencie rozległ się cienki głosik: – Cześć. Nazywam się Sudie Capelo. Mam pięć lat. – Sudie, tata powiedział.. – Tatuś i Jane śpią – rzekło dziecko i wszyscy Światanie obejrżeli się na nie jak jeden mąż.

Wpatrywali się w uśmiechnięte umorusane ziemskie dziecko, podskakujące na siedzeniu na tyle, na ile pozwalała uwięź. Dziewczynka wydawała im się jedynym pewnikiem w świecie, który nagle stał się równie niepewny jak istnienie powietrza.

\* \* \*

– Umarliśmy – orzekł ogrodnik – i trafiliśmy do świata przodków. – Nie – zaprzeczyła łagodnie Pek Sikorski. – Nie umarliście. Możecie mi wierzyć. – Gdzie się podziała dzielona rzeczywistość? Jestem nierzeczywisty! – załkał

mężczyzna. Nikt się do niego nie przyłączył, co tylko jeszcze bardziej wzmogło ich strach.

Latająca łódź przestała się poruszać. Przyczepiła się do większej latającej łodzi, wielkiej jak cała osada – aczkolwiek wyłącznie Enla to spostrzegła. Pozostali Światanie byli nazbyt przerażeni tym, co się z nimi działo.

Pek Sikorski mówiła: – Nie jesteś nierzeczywisty. Nikt z was nie jest nierzeczywisty. Po powrocie na Świat dzielona rzeczywistość znowu zapanuje między wami. Obiecuję. – Dzielona rzeczywistość po prostu jest! – rzekł Pek Voratur. – Ona nie znika i nie pojawia się z powrotem ot tak! Panuje zawsze albo w ogóle jej nie ma! – Krople potu wystąpiły na jego lśniące od olejków czoło. – Dlaczego pomimo nierzeczywistości nie boli mnie głowa?

Pek Sikorski odpowiedziała tym samym łagodnym głosem: 106

– Dzielona rzeczywistość, nie wyłączając bólu głowy, powróci do was na Świecie. Obiecuję. – Następnie zwróciła się do pilota po ziemsku. – Nick, przełącz widok na planetę.

Pek DeVolites zrobił coś z oknem, które nagle zaczęło pokazywać coś zupełnie innego. Kolejna niemożliwość. – Popatrz, Pęku Voraturze – rzekła Pek Sikorski. – Popatrz na swój Świat.

Glob jak gdyby znajdował się tuż za oknem, wypełniając je całe. Nieopisane piękno: chmury, morza, monotonnie purpurowe lądy... najłodszy pąk Pierwszego Kwiatu widziany z perspektywy wcześniej nieznanego żadnemu Świataninowi. Nawet rozhisteryzowany ogrodnik zamarł, z zachwytem otwierając usta. – Dlaczego nic nie mówią? – zapytało młodsze dziecko.

Starsze odpowiedziało: – Nigdy przedtem nie widzieli swojej planety z przestrzeni kosmicznej. – Przecież to tylko planeta – wzruszyła ramionami mała dziewczynka. – Chce mi się jeść... – Przymknij się, Sudie. – Nie każ mi się przymykać! Tatusiu, Amanda kazała mi się przymknąć!...

Światanie nie przestawali się wpatrywać w swój dom, gdzie pozostała dzielona rzeczywistość, podczas gdy Ziemianie robili niestworzone rzeczy z obiema latającymi łodziami.

W końcu Światanie mogli przejść wąskim metalowym korytarzem na pokład większej łodzi, gdzie zostali zaprowadzeni prosto do dużego pomieszczenia bez okien i z dziewięcioma posłaniami na podłodze. Nie były to posłania z prawdziwego zdarzenia, zaledwie sterty ziemskich koców, ale musieli się tym zadowolić. Pek Sikorski została z nimi, w dalszym ciągu przemawiając łagodnie po światkańsku i powściągając ich strach. Reszta Ziemian zniknęła. Przyniesiono pożywienie, dobre, znane ze Świata potrawy, co Enla odnotowała z dużą ulgą. Najadła się razem z innymi do syta, po czym tak jak pozostali uciekła od przerażającej dziwności w sen.

Było już późno, aczkolwiek noc panowała tam, w dole, w utraconej dla nich dzielonej rzeczywistości.

Nie spała jednak długo. Leżała na swoim pościeliu pośród słabego światła – nadal nie potrafiła stwierdzić, skąd ono się bierze: zewsząd i znikąd, zupełnie jak jej myśli. A zatem tak przedstawia się prawda. Dzielona rzeczywistość jest tylko jedną z rzeczywistości. Ziemianie żyją w innej. Wiedziała to już wcześniej – jako jedyna ze Światan – aczkolwiek nie z tą niezachwianą pewnością, którą czuła teraz.

Nagle zrozumiała, dlaczego oboje, ona i Pek Voratur, mają jutro dać sobie zrobić kolejne zdjęcie mózgu. Taka była umowa. Pek Sikorski chciał mieć zdjęcia ich mózgow zrobione z dala od Świata. Chciała sprawdzić, czy będą się czymś różniły od zdjęć zrobionych w dzielonej rzeczywistości.

Ci Ziemianie – Pek Sikorski i Pek Kaufman, i ten brudny mężczyzna z dziećmi – przenosili się pomiędzy rzeczywistościami, jakby to były szopy na rowery. „To tylko planeta”, powiedziała umorusana mała dziewczynka wcześniej po ziemsku, tak że tylko Enla to rozumiała. Istnieje wiele, wiele rzeczywistości – i oto Enla po raz pierwszy jest w stanie o tym pomyśleć, nie odczuwając bólu głowy.

Zaczęła się bać. Nie tych wielu, wielu rzeczywistości, co najprawdopodobniej było dowodem na to, że zwariowała. Nie, bała się czegoś innego. Uczucia, które jak w głębi ducha wiedziała, zakradało się do niej już od dawna. Uczucia, które nigdy by jej nie ogarnęło, gdyby nie to, że poznała Ziemian, odbyła z nimi podróż do gór Neury i nauczyła się ich języka. Uczucia, które na Świecie nie istniało, a jeśli nawet by się pojawiło, byłoby powodem potężnego bólu głowy.

Tym uczuciem była ciekawość. Ciekawie było rozmyślać o wielu, wielu rzeczywistościach. Zastanawiać się, jakie one są. Strasznie, ale zarazem ciekawie... To było najdziwniejsze.

Leżała bezsennie przez długi czas na pokładzie obcego statku mknącego przez niebo usiane gwiazdami.

\* \* \*

Kaufman spotkał się z Marbet w jej kajucie. Otworzyła drzwi zaspana, w białej koszuli nocnej i z kasztanowymi lokami w nieładzie. Nie pozwolił, aby to odwróciło jego uwagę. Wepchnął się do ciasnego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. – Lyle! Co ty wyprawiasz? – Raczej co ty wyprawiasz? Grafton powiedział mi, że uwolniłaś jedną rękę Fallera. Wbrew moim wyraźnym rozkazom.

Rozespanie ją opuściło. – Nie złość się, Lyle. – Nie złość się. Jestem wściekły. – Nie masz prawa wściekać się na mnie. Kazałeś mi wykonać zadanie, więc się staram. – Właśnie że mam prawo się wściekać. Kazałem ci

wykonać zadanie w ramach konkretnych wytycznych, które zignorowałaś. Gdybyś była członkiem armii, oddałbym cię pod sąd wojenny. Naraziłaś siebie, techników i cały projekt!

Oczy Marbet się rozszerzyły. – Nie tak to widziałam... – A jak? – Wciągnęłam się do tego stopnia, że... Och, Lyle! Nie chciałam narażać projektu. Ani twojej kariery. Przepraszam. – Rozłożyła ręce w geście poddania. Przygarbiła ramiona. Lyle poczuł, jak gniew go opuszcza. – Tyle dobrego, że nikomu nie stała się krzywda... – To prawda. I też mnie to cieszy. Ale rzeczywiście nie pomyślałam o twojej karierze. Podczas gdy ty wiele ryzykujesz...

Jej skrucha rozprawiła się z resztkami gniewu Kaufmana. Marbet Grant była cywilem. – No, nic wielkiego się nie stało. Udobrucham jakoś Graftona. – Dziękuję. – Posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności, co skłoniło go do dodania: – Może nawet uda mi się go przekonać, że skoro nie było negatywnych konsekwencji, należy powtórzyć eksperyment, aczkolwiek w bardziej kontrolowanych warunkach. Opowiedz o swoich postępach. Dowiedziałaś się czegoś nowego?

Marbet zmieniła się w okamgnieniu. Wyprostowała ramiona, z jej oczu zniknął przeproszający wyraz. Patrząc mu twardo w twarz, powiedziała: – Raczej: czego ty się właśnie dowiedziałeś? – Słucham? – Nie udawaj. Byłeś do mnie wrogo nastawiony, a ja okazując uległość... nawiasem mówiąc, typowe zachowanie dla zwierząt żyjących w watachach i do tego dwakroć skuteczniejsze w wykonaniu samicy... rozproszyłam twoją wrogość. Ba, nawet wywołałam w tobie chęć współpracy. Tego samego próbuję dokonać z Obcym. I byłam na dobrej drodze, zanim twoi żołnierze mi przeszkodzili.

Kaufmana zalała fala gniewu innego rodzaju. – Pogrywasz ze mną. – Nie, staram ci się coś wytłumaczyć. A to duża różnica. – Bezwstydnie wykorzystujesz swoją kobiecość, aby mną manipulować. Takie coś ma swoją nazwę, Marbet. – Ku jego gniewnemu zdumieniu roześmiała się. Uważasz, że w pracy powinnam się wypierać swojej kobiecości? Albo cokolwiek komuś udowadniać? Jeśli tak myślisz, jesteś w wielkim błędzie. Urodziłam się kobietą. Czasem działa to na moją niekorzyść, a czasem na korzyść... podobnie jak bycie niską osobą, posiadanie śniadej skóry albo pochodzenie z Marsa. Żadna z tych cech nie przeważa tego, że jestem Wrażliwcem. To stanowi o tym, kim jestem, a całej reszty mogę dowolnie używać. – Na przykład aby mną manipulować. – Posłuchaj, Lyle... Nie manipulowałam tobą, tylko starałam ci się coś wytłumaczyć. Nie powiesz mi, że coś takiego różni się od sztuczek, które ty stosujesz w dyplomacji...

Nie. Tego nie mógł powiedzieć. Marbet Grant była dobra w tym, co robiła, i właśnie dlatego ją zatrudnił. Kwestie osobiste nie grały roli. Aż dziwne, że musiał sobie o tym przypominać. – Wybacz – wydusił z trudem. – Opowiedz, czego się dowiedziałaś. – Nie popadaj w drugą skrajność, Lyle.



Nie musisz być przy mnie taki oficjalny. Chętnie ci wszystko opowiem. Siadaj.

Stoliczek był wciśnięty między koję i ścianę. Lyle usiadł na jednym z krzeseł. Marbet zajęła drugie, wyglądając przy tym znacznie swobodniej niż jej gość. – To, co naopowiadał ci Grafion, zapewne z grubsza jest prawdą. Włożyłam hełm z zapasem tlenu, weszłam do strefy jeńca przez służbę techniczną i odwiązałam jedną jego rękę. Obcy nie próbował zabić ani mnie, ani siebie. Ale nie odpowiedział na moje miganie, mimo że z jego mowy ciała wiem, iż rozumie moje przekazy. Migam do niego z pozycji podwładnego. Co innego jest jednak ważne, Lyle... Chociaż mi nie odpowiedział, coś wyraźnie się między nami zmieniło. Powstała... nie, nie wiem, to byłoby za dużo powiedziane. Z całą pewnością rozumiemy się lepiej.

– Twoim zdaniem w końcu odpowie? – Tak. Nie mam jednak żadnego dowodu na poparcie tego przeczucia.

Kaufman uśmiechnął się blado. – Twoja praca polega wyłącznie na przeczuciach. – Być może. Jednakże fakt pozostaje faktem. Czyniłam postępy, dopóki nie wtrącił się Grafion. Który ponownie spętał jeńca i zabronił mi kontaktów z nim do czasu twojej decyzji.

Kaufman milczał.

Marbet patrzyła wprost na niego – tym razem bez fałszywej skromności czy uległości, była wcieleniem profesjonalizmu. – Lyle, muszę mieć dostęp do jeńca. Obcy musi mieć jedną rękę wolną. A Graf – ton nie może mi narzucać swojej marynarskiej dyscypliny. W przeciwnym razie nigdy mi się nie uda dojsć do tego, dlaczego Fallerowie chcą wymordować ludzkość. Zgoda – powiedział nieoczekiwanie Kaufman. – Załatwione. – Naprawdę? Wszystkie trzy rzeczy? – Tak. – Dziękuję, Lyle. – Wstała, zmuszając go, aby również się podniósł. – Podejmę pracę z Obcym jutro rano. Jeśli będziesz chciał, mogę ci też wtedy pokazać nagrania z wcześniejszych sesji...

– Przykro mi – przerwał jej Kaufman – ale muszę wracać na powierzchnię. Prześlij mi nagrania, tak jak ostatnim razem. Jutro z samego rana rozpoczynamy wydobywanie artefaktu.

Zainteresowanie wyostrzyło jej wzrok. – Co udało się wam osiągnąć?

Kaufman opowiedział jej o wszystkim, nie wyłączając eksperymentu Anny ze Światanami.

Marbet zakrzyknęła: – Dziewięć Szwiatan jest teraz na okręcie?! – Tak. Muszę to wyjaśnić Graftonowi, podobnie jak zielone światło dla ciebie.

Wyszczrzyła się do niego w uśmiechu. – Tego akurat ci nie zazdroszczę. Ale poradysz sobie. Zawsze sobie radzisz... – Nie zawsze – zaprotestował, choć poczuł się mile połączony jej pochwałą. Równocześnie z tego samego powodu nabrał podejrzeń. Panna Grant od samego początku

wprawiała go w pomieszanie. – Do widzenia, Marbet. Informuj mnie na bieżąco o postępach. – Oczywiście. – Otworzyła przed nim drzwi, zaczekała, aż wyjdzie na korytarz, po czym rzekła cicho: – Lyle? – Słucham. – Pocałowałabym cię, gdybym się nie bała, że pomyślisz, iż to o manipulacja z mojej strony. Co nie byłoby prawdą. – I prędko zamknęła drzwi.

Lyle Kaufman przez długą chwilę stał w korytarzu o przyćmionym na noc oświetleniu, po czym poszedł obudzić komandora.

## 15. Góry Neury

Capelo, stojąc na krawędzi otworu w ziemi, powiedział: – Tutaj, galaktyczni śmieciarze. Mamy kupę obcych śmieci do recyclingu.

Rosalinda Singh spojrzała na niego z rozbawieniem, Harold Albemarle – z niechęcią. Pułkownik Kaufman ogarniał wzrokiem całą scenę, która z jakichś powodów wydawała mu się bardzo niepokojąca.

Koparka, zrekonfigurowana przez techników z myślą o nowym zadaniu, wisiała nad dziurą w dolince. Praktycznie przesłaniała niebo widoczne pomiędzy górskimi zboczami i na pewno przytłaczała ludzi stojących poniżej. Silne pole elektromagnetyczne, które ją utrzymywało w miejscu, nie docierało do dołu. Wprawdzie wcześniej eksperymentalnie dowiedziono, że takie pole nie oddziałuje na artefakt, jednakże doświadczenie wykonano w dziurze, a nie dało się przewidzieć, jak zachowa się obiekt po wyciągnięciu na powierzchnię. Capelo wolał nie ryzykować niepotrzebnie. W obecnej chwili artefakt spoczywał w sieci z nanowłókien wystarczająco silnej, by ruszyć z posad mały księżyc.

Tom Capelo powiedział przez komunikator do obsady koparki: – No dobra... podnosimy.

Koparka wolno uniosła się w górę, a wraz z nią artefakt, poruszony po raz pierwszy od pięćdziesięciu tysięcy lat.

Kaufman przyglądał się powierzchni obiektu, gdy ten unosząc się, mijał go w niewielkiej odległości; kolejno patrzył na górną krzywiznę, dolną krzywiznę, wreszcie na spód. Wznosząc się, obiekt sypał kamieniami i ziemią, toteż ludzie rozbiegli się do okolicznych wnęk skalnych w poszukiwaniu schronienia. Z czegokolwiek artefakt był zrobiony, materiał ten nie stopił się z otaczającymi go skałami nawet w panującej pod powierzchnią wysokiej temperaturze. Można to było uznać za łut szczęścia.

Oczywiście trzeba go będzie oczyścić, ale przynajmniej ekipie zostanie oszczędzone mozolne – i zapewne niszczące – odkuwanie kawałków skał.

Koparka uniosła artefakt nie tylko ponad dno dolinki, lecz także ponad wierzchołki okolicznych szczytów. Przedtem odbyła się długa dyskusja, gdzie należy go złożyć, i ostatecznie wybrano polanę oddaloną o jakieś pół kilometra. Technicy wyrównali ją przy użyciu nanobotów i laserów, po czym zbudowali cienki, lecz silny pierścień mający utrzymać obiekt około trzech stóp nad ziemią. Odstawiony na miejsce artefakt o średnicy mniej więcej dwudziestu pięciu metrów będzie przypominał ogromny globus z biblioteki giganta.

Hic sunt dracones... pomyślał Kaufman.

Dwaj technicy wsiedli do windy, która powiozła ich w dół dziury, na wypadek gdyby po artefakcie zostało coś interesującego. Capelo powiedział mu, żeby lepiej nie robił sobie nadziei. Ot, dmuchanie na zimne.

Jak tylko artefakt zniknął znad dolinki, naukowcy wysypali się ze swoich naturalnych kryjówek i pognali do sztucznej jaskini będącej dziełem nanobotów. Technicy stworzyli całkowicie nowy korytarz prowadzący z dolinki na polanę. Trasa wiodła lekko pod górę.

Kaufman odwrócił się, by zaczekać na Rosalindę, która nie chciała przyznać, że z powodu wieku porusza się wolniej, lecz mimo to z wdzięcznością przyjmowała jego opiekuńczość. – Dziękuję, Lyle. Czyż nie wyglądamy zabawnie? Wiesz, co powiedział Isidor Isaac Rabi o fizykach? – Nie – odparł Kaufman, choć znał odpowiedź. Sporo się naczytał o fizykach.

Rosalinda wydyszała: – Powiedział, że fizycy są Piotrusiami Panami ludzkości. Nigdy nie dorastają. – Drugi korytarz na prawo, i prosto, aż do poranka – odrzekł Kaufman, parafrazując słowa z „Piotrusia Pana”, na co Rosalinda mimo zadyszki się roześmiała.

Dwadzieścia minut później jako ostatni wyłonili się znów na powierzchnię, prosto w rażące światło słoneczne. Albemarle, Gruber i Capelo tłoczyli się przy artefakcie. Od paru chwil czyścili jego powierzchnię z resztek brudu za pomocą pędzelków o sztywnym włosiu. Kaufman, biorąc przykład z naukowców, zanurkował pod spód, żałując, że nie wie, czego szuka.

– Nie tak ostro, Haroldzie – burknął Capelo do kolegi po fachu. – Temu materiałowi nie zagraża rdza, wiesz...

Albemarle go zignorował. Prawdopodobnie nawet nie usłyszał uwagi. Z tego, co widział Kaufman, Harolda przepełniała naukowa ekscytacja.

Kaufman przyglądał się krzywiźnie zabrudzonego metalu... nie, nie metalu – to był jakiś rodzaj fulerenów. Wszystko wskazywało na to, że wypukłości, które Capelo mu pokazał na szczycie i bokach artefaktu, były także rozmieszczone wzdłuż „równika” – w analogicznych odstępach – na dolnej krzywiźnie i spodzie obiektu. W sumie naliczył ich siedem. Każdą

opisywały oznaczenia złożone z grup kropek: jedna kropka, dwie kropki, trzy, pięć kropek, siedem oraz – zapewne – jedenaście i trzynaście pod warstwą nie zdrapanego jeszcze brudu. Wszystko liczby pierwsze, wyłączając jedynekę, aczkolwiek tajemniczy budowniczy zawsze zamieszczali jedynekę wśród liczb pierwszych. Czyżby z powodu odmiennego podejścia do matematyki? Na cele projektu specjalnego ludzie przyjęli sposób myślenia Obcych. Na Świecie jedyńska uchodziła więc za liczbę pierwszą.

Z dala od artefaktu Rosalinda Singh ponownie wykonywała testy, które przeprowadzili już kilkakrotnie. Po to, aby sprawdzić, czy przeniesienie artefaktu nie spowodowało jakichś wyraźnych zmian dających się wychwycić za pomocą urządzeń pomiarowych. – O, bogowie... – jęknął w pewnym momencie Capelo. Nie odrywał spojrzenia od miejsca, które właśnie skończył czyścić.

Kaufman natychmiast znalazł się obok niego. – Co jest, Tom? – Ta wypukłość... Rosalindo! Chodź tu szybko i popatrz na to!

Rosalinda, Harold i Dieter zgromadzili się przy nim. Capelo pokazał palcem. Wszyscy chłonęli wzrokiem to miejsce, po czym obrzucili się wzajemnie spojrzeniem rozszerzonych

oczu. – Mein Gott! – sapnął Gruber. – Co? – zapytał Kaufman. Czuł się, jakby utarto mu nosa. Jedynekę wśród specj alistów światowej sławy. – Co?!

Rosalinda wreszcie się nad nim zlitowała. – Lyle, widzisz tę wypukłość? Ma dwa głębokie dołki, prawda? W odległości jakichś sześciu centymetrów od siebie, z czymś w rodzaju guziczków. Naszym zdaniem właśnie one uruchamiają to, do czego zaprojektowano wypukłości. Z tym że trzeba nacisnąć oba guziczki jednocześnie. To przynajmniej sprawdzało się w wypadku większego obiektu Syree Johnson, aczkolwiek w jego wypadku guziczki znajdowały się po przeciwnych stronach obwodu i były znacznie większe. W jednej z wypukłości, które zdążyliśmy już odsłonić, znaleźliśmy odłamek skalny wciśnięty w dołek. Jeden z guziczków był bardziej płaski od drugiego. Nic się nie stało, kiedyśmy wyjęli kamyczek. Ale w tej wypukłości tutaj... – zachłysnęła się z wrażenia. – Tu oba guziczki są płaskie! Spójrz, ledwie je widać...

Kaufman spytał z przejęciem: – Dlaczego? Co je wcisnęło...? – Nie wiadomo – odparł Gruber. – Może przyczyną było zetknięcie z powierzchnią planety. Albo artefakt tak już został skonstruowany. Skąd mamy wiedzieć? – Podsumujmy... – odezwał się Capelo jak zwykle skupiony. – Oto, co wiemy. Na podstawie mapowania wysunęliśmy hipotezę, że wypukłość oznaczona jedyneką aktywuje kierunkową falę destabilizacyjną, do czego doszło parokrotnie na przestrzeni mileniów za sprawą aktywności sejsmicznej. Na podstawie tych samych danych możemy wysunąć hipotezę,

że wypukłość oznaczona trójką uaktywnia sferyczną falę destabilizacyjną, taką samą, jak tamta, którą uwolnił artefakt Syree Johnson przy najniższym ustawieniu. Zakładamy, że sferyczna fala destabilizacyjna podlegałaby prawu odwrotnej proporcjonalności. I to na razie wszystko, co mamy. Wyłącznie spekulacje.

Gruber odezwał się zamyślony: – Mogę zaproponować jeszcze jedną hipotezę.

Wszyscy zwrócili na niego spojrzenia, a Kaufman nagle się zastanowił, jaki widok stanowią z góry albo z pewnej odległości. Zbita ciasno gromadka ludzi deliberujących nad olbrzymią kulą będącą dziełem Obcych i leżącą na polanie obcej planety.

Tymczasem Gruber mówił dalej: – Skoro wypukłość oznaczona piątką została uaktywniona, bo o tym świadczą dwa wciśnięte guziczki, ja?... – Przejdź do sedna – rzucił Capelo. – W takim razie wypukłość oznaczona piątką generuje pole prawdopodobieństwa, które oddziałuje na mózgi. Na nas w tamtym tunelu, na wszystkich Światan w ramach mechanizmu dzielonej rzeczywistości, skoro trwa nieprzerwanie od pięćdziesięciu tysięcy lat, kiedy to doszło do zderzenia z planetą. Może reakcja nasza i Światan jest tylko skutkiem ubocznym tego, do czego naprawdę została zaprojektowana ta wypukłość, niemniej wynika właśnie z tego powodu.

– Gdy Tas, artefakt Syree Johnson, eksplodował – rzekł ostro Capelo – fala uderzeniowa, która zniszczyła Nemeter, powinna była dotrzeć do Świata. A jednak tak się nie stało. To twarde dane, nie spekulacje na temat zdarzeń kwantowych zachodzących w neuronach. Może więc wypukłość oznaczona piątką została zaprojektowana do ochrony Świata przed obejmującą całą planetę falą destabilizacyjną... – Tak – sapnęła Rosalinda Singh. – Tak!

Jej pospolita twarz nagle zapłonęła podnieceniem. – Ja! – dołączył do niej Gruber. – To by się zgadzało! – Ale to tylko hipoteza – wtrącił Albemarle. – Gdzie dane? Sam wiecznie domagasz się

danych! – O, dojdziemy i do danych – odparł Capelo.

Kaufman wykazał zainteresowanie: – Jak? – Empirycznie – rzucił fizyk. – Uruchomimy to cholerstwo.

Takiej odpowiedzi Kaufman się spodziewał. Wiedział, że ją usłyszy, i bał się tego. Ale było to jedyne sensowne wyjście. Powierzono mu misję zbadania obiektu pod kątem jego przydatności w celach wojskowych. Badania doświadczalne to podstawa w wypadku każdej broni. Aczkolwiek w ich sytuacji nic nie było pewne: ani to, jak gmeranie przy artefakcie wpłynie na niego samego, ani na gmerających przy nim badaczy i na tubylców, ani na glob. Tyle że przynajmniej w okolicy nie było protestujących, którzy mogliby zorganizować demonstrację przeciwko przeprowadzeniu ryzykownych testów.

Pułkownik Lyle Kaufman ucieszył się, że doktor Sikorski przebywa bezpiecznie na pokładzie Alana B. Sheparda, czterdzieści osiem tysięcy kilometrów od powierzchni planety.

\* \* \*

Dalsze badania mogli rozpocząć dopiero nazajutrz. Rosalinda Singh pragnęła przeprowadzić znacznie bardziej skomplikowane analizy niż te, które mogła zrobić, gdy artefakt był zagrzebany pod powierzchnią. Do tego potrzebny był sprzęt z Alana B. Sheparda. Kaufman wykorzystał tę zwłokę, aby wrócić do bazy i przejrzeć nagrania przesyłane na bieżąco przez Annę Sikorski oraz Marbet Grant. Z różnych powodów unikał bezpośredniego kontaktu z obiema kobietami, mimo że Anna starała się z nim skontaktować od wielu godzin.

Na nagrania Marbet Grant nie musiał odpowiadać, głównie dlatego, że okazały się niezrozumiałe. Oglądał wybrane na chybił trafił sesje, także prowadzone w czasie rzeczywistym. Jeniec znów miał wolną jedną rękę – dwie pozostały przypięte do obitej miękko ściany. Marbet robiła do niego miny i wykonywała różne gesty, od czasu do czasu migając dłońmi. W odpowiedzi Obcy nawet nie ruszył uwolnioną dłonią, za to kilka razy się skrzywił i mimowolnie zmienił pozycję ciała. To znaczy Kaufman zakładał, że uczynił to mimowolnie. Nie potrafił dopatrzeć się w tych ruchach żadnego sensu.

Zachowanie dziewięciorga Światan zakwaterowanych w pomieszczeniu odseparowanym od reszty okrętu również było monitorowane przez kamery. Kaufman sumiennie obejrzał pierwszą godzinę nagrania, następną godzinę przewinął, obejrzał kwadrans, znów przewinął i powtarzał tę procedurę, dopóki nie dotarł do chwili obecnej. Później zapoznał się z nagrajami komentarzami Anny, obserwując, jak jej twarz z sesji na sesję staje się coraz bardziej wymizerowana. Na koniec aktywował rezultaty symulacji komputerowych przeprowadzonych przez wyspecjalizowaną sztuczną inteligencję okrętu.

Wszystko to zajęło mu prawie cały dzień. Gdy wreszcie skończył, wyszedł na zewnątrz. Słońce właśnie zachodziło. Zanim dotarł do perymetru, było już szaro. Na niebie świeciły trzy księżycy: jeden z nich, mały i bliski, którego nazwy Kaufman nie pamiętał, poruszał się tak szybko, że retrogradował. Niebo było czyste, bezchmurne. Powietrze miało intensywny słodkawy zapach charakterystyczny dla Świata – być może brał się od obfitości kwiatów. Kaufman przypomniał sobie wspaniałe zadbane ogrody Voratura. Pomyślał o jego domostwie, gdzie każdy akceptuje swoje miejsce i nie stara się zaburzyć ustalonego porządku. Rozważył radość, z jaką Światanie oddają się w pełni dzielonym rytuałom, podczas których

kapłani i bogaci kupcy tańczą obok ogrodników i służących opróżniających nocniki. Dzielona rzeczywistość...

Pułkownik Lyle Kaufman bardzo długo patrzył w gęstniejący, pachnący słodczą mrok.

\* \* \*

Kiedy zjawił się znów na polanie, gdzie naukowcy i technicy spędzili noc, wszystko było już gotowe do pierwszego z zaplanowanych testów. Jeszcze chwila, a by się spóźnił. – Jak to się stało, że jesteście do przodu w stosunku do planu? I dlaczego nikt mnie o tym nie zawiadomił? – oburzył się. – Próbowaliśmy się z tobą skontaktować, ale byłeś w korytarzach, gdzie nie ma zasięgu – odparła Rosalinda. – Decyzję podjęliśmy spontanicznie z powodu straty sondy orbitalnej. Załatwił ją meteor... Musieliśmy więc przeprogramować inną sondę, która znajdzie się we właściwej pozycji wcześniej niż tamta. – Ach tak – skinął głową Kaufman, nie mając pojęcia, na co im sonda orbitalna. – Włóż kombinezon – poleciała.

Tyle dobrego, że rozumiał, na czym polega pierwszy test. Kompu terowe symulacje geologiczne wykazały – albo tak im się wydawało – że jedynka równa się kierunkowej fali destabilizacyjnej, która zaczyna działać poza „okiem cyklonu” bezpośrednio otaczającym artefakt. Członkowie zespołu zmierzili dokładnie poziom promieniowania zbocza po drugiej stronie polany z artefaktem, a więc poza „okiem cyklonu”. Następnie zakręcili obiektem tak, by wypukłość oznaczona jedynką celowała prosto w stok. Specjalnie zaprogramowane roboty miały wcisnąć guziczki w dołku z siłą wystarczającą, by wywołać efekt. – A co będzie, jeśli to zbocze znajduje się za daleko? – spytał w pewnej chwili Kaufman.

Capelo posłał mu niecierpliwe spojrzenie. W kombinezonie i w hełmie przypominał Kaufmanowi chudego owada. – Wtedy wycelujemy kolejno w bliższe cele, co nawiasem mówiąc, i tak mamy zamiar zrobić, aby sprawdzić zastosowanie prawa odwrotnej proporcjonalności. – No tak, oczywiście – mruknął Kaufman.

Rosalinda dodała tytułem wyjaśnienia: – Wysokość oraz zakrzywienie linii horyzontu zapewniają nam to, że nawet przy bardzo dalekim zasięgu i głębokiej penetracji fala po pokonaniu zbocza napotka tylko pustą przestrzeń. Nic poza zboczem nie dozna uszczerbku. – Rozumiem. – Co więcej, wszystko zgrał się w czasie tak, by w razie poruszania się fali z prędkością światła, przy powyższych warunkach, trafiła ona prosto w sondę orbitalną, która prześle nam rezultaty pomiaru poziomu promieniowania. Aczkolwiek nie robimy sobie specjalnych nadziei, gdyż naszym zdaniem ta fala będzie miała bliski zasięg. – Dobra – przerwał jej Capelo. – Trzy, dwa, jeden... już!

Kaufman nie zobaczył niczego – żaden promień światła nie wystrzelił z artefaktu, nie doszło do żadnej eksplozji na zboczu. Jednakże czujniki i ekrany, naprzeciwko których siedzieli naukowcy, dosłownie oszalały. – Mamy go! – ryknął Harold Albemarle. – A niech mnie, mamy tego skurczybyka! Na Boga!...

Capelo darował sobie sarkazm. Cała czwórka naukowców zaczęła się przekrzykiwać. Większość padających sformułowań była niezrozumiała dla Kaufmana. Capelo w pośpiechu rozwiązywał jakieś równania na swoim podręcznym komputerze. Rosalinda znęcała się nad ściągniętym z orbity sprzętem, powtarzając analizy. Kaufman czekał cierpliwie.

Tym razem Gruber przypomniał sobie o obecności pułkownika. – Lyle, to jest kierunkowy destabilizator, tak jak myśleliśmy. Generuje wąski stożkowy promień zachowujący się w zgodzie z prawem odwrotnej proporcjonalności. Wierzchnie skały zostały usmażone. Czujniki umieszczone w zboczu pokazują, że fala sięgnęła aż tutaj, aczkolwiek z małym impetem i bez utraty mocy pomimo przejścia przez grabą warstwę skał. Metr dalej urządzenia nic nie odnotowały, podobnie jak czujniki sondy orbitalnej. – A zatem – odezwał się Kaufman – byłaby to broń o bardzo ograniczonym zasięgu.

Najwyraźniej Gruber nie pamiętał, że fala miała zostać zastosowana w czasie działań wojennych. Dał się porwać rodzącemu się odkryciu naukowemu. – Ja, ja, ograniczonego zasięgu. I o opóźnionym działaniu. Ekrany pokazują... widzisz?... że do wzrostu promieniowania nie doszło od razu. Jest pewna zwłoka, potem nagły wzrost i jeszcze naglejszy spadek.116

Kaufman nic podobnego nie widział w gmatwaniu danych przebiegających przez ekran. Zaczął na spokojnie rozważać implikacje wynikające z tych faktów, podczas gdy geolog rzucił się do wymiany argumentów z pozostałymi naukowcami.

Rosalindę łatwiej było odciągnąć od jej danych. Stała z otaczającym ją personelem pomocniczym przed jeszcze mniej zrozumiałymi liczbami i wykresami. Nawet podniosła wzrok na podchodzącego Kaufmana, który zapytał: – Czy zaobserwowałaś jakąś zmianę? – Nie, żadnej. – Przyjrzała mu się podstępnie. – A czy któryś z tych drani w ogóle powiedział ci, co ja takiego mierzę?

Uśmiechnął się, słysząc nietypowe dla niej słownictwo. Podniecenie ogarnęło i ją. – Nie. – W takim razie ja powiem. Wiemy, że wewnątrz artefaktu jest puste, choć są w nim zawieszane niezidentyfikowane struktury. Nie mamy pojęcia, jak są zawieszane ani na czym, z wyjątkiem tego, że brak im styczności ze sobą, a ich rozmieszczenie jest niezwykle skomplikowane. Struktury te zdają się stabilnymi tworami. W dodatku wszystko wskazuje na to, że są pozbawione masy, co już zakrawa na fizyczną niemożliwość. Analizujące ten fenomen komputery podsuwają wizję subtelnej sieci, w



której każdy łuk zagina się wielokrotnie, tworząc coś w rodzaju wielowymiarowego fraktala. Analiza komputerowa wykazała również istnienie dziwnego atraktora... Wiesz, co to atraktor, Lyle? – Nie. – Zbiór, do którego zbiegają trajektorie rozpoczynające się w różnych obszarach, lecz w którym pozornie bliskie sobie punkty z czasem stają się wykładniczo oddalone. – Rosalinda miała minę mówiącą, że zdaje sobie sprawę, że to wyjaśnienie nie tłumaczy niczego, jednakże nie spróbowała innego podejścia. – Przestrzeń Hausdorffa sugerowanego fraktala została wyliczona na jeden koma dwa, czyli tyle samo, ile w wypadku Galaktyki w stosunku do całego wszechświata. – Co to wszystko oznacza? – zapytał Kaufman. – Nie mamy bladego pojęcia. – Nic a nic nie przychodzi wam do głowy? – Nic a nic. To technologia tak odmienna od naszej, że możemy w najlepszym razie błądzić po omacku. Jesteśmy niczym pies, który w słynnym powiedzeniu Darwina zastanawia się nad geniuszem Newtona. Mogę z całą pewnością powiedzieć tylko tyle, że wyniki dzisiejszych testów są takie same jak wczorajszych i pokrywają się z danymi, które uzyskała Syree Johnson, badając pierwszy artefakt. Z zachowaniem proporcji, rzecz jasna. – Sądzisz, że przeniesienie artefaktu w przestrzeń kosmiczną zmieni te wyniki? – Pierwszy artefakt został znaleziony w przestrzeni kosmicznej. Tubylcy uważali go za księżyc.

Czyli nawet Rosalinda nie potrafiła udzielić konkretniejszej odpowiedzi, pomyślał sfrustrowany Kaufman. Mimo wszystko poczuł ukłucie zazdrości.

Cały zespół spędził resztę dnia na potwierdzaniu wyników uzyskanych w wyniku uaktywnienia artefaktu przy ustawieniu na najniższą moc. Tom zapewnił pułkownika, że do następnych testów – mających sprawdzić działanie artefaktu przy ustawieniu na dwójkę – zabiorą się najwcześniej jutro i w żadnym razie nie zaczną bez niego. Kaufman niespecjalnie wierzył w zapewnienia fizyka, który z każdą chwilą bardziej przypominał konika polnego: chudego, brązowego i bez końca rzucającego się na nowy cień. W ferworze uprawiania nauki Thomas Capelo był zdolny zapomnieć o istnieniu pułkownika Kaufmana.

Na szczęście Rosalinda Singh powtórzyła zapewnienia kolegi. Jako że jej mógł wierzyć, uspokojony udał się do bazy. Tego popołudnia doktor Sikorski miała przywieźć z powrotem dziewięć Światan i Lyle Kaufman chciał być przy ich lądowaniu.

## 16.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

„Niebo” dużej komnaty pojaśniało i Enla zrozumiała, że już jest „dzień”. Cokolwiek to mogło znaczyć na tej wielkiej łodzi latającej w kosmosie. Czuła się tak, jakby nie zmrzyła oka.

Wstając, obrzuciła spojrzeniem pozostałych Światan. Cztery osoby jeszcze spały. Pek Voratur, zajmujący postanie w rogu, siedział z takim wyrazem twarzy, że aż się przestraszyła. Jego nalane, błyszczące od olejków oblicze było ponure jak chmura gradowa. Gdy Enla zbliżyła się do niego, nawet nie zareagował. – Pęku Voraturze...?

Cisza. – Pęku Voraturze?

Wolno obrócił głowę, równocześnie skupiając wzrok na Enli.

Enla ujęła go za dłoń, dziwiąc się własnej śmiałości. W końcu Pek Voratur był najzamożniejszym kupcem na Świecie. Jednakże w tym momencie przypominał jej małego siostrzeńca, Fentila, wystraszonego po nieudanej wspinaczce na drzewo. – Enlo... co się stało?

Zastanowiła się, zanim odpowiedziała. Leżąc na postaniu obok Astu Pek Valifin, pomocnica kucharza, nadstawiała skwapliwie ucha. – Myślę, Pęku Voraturze... Myślę, że dzielona rzeczywistość tu, w górze, uległa zmianie... – Wysokość nie ma nic wspólnego z dzieloną rzeczywistością. Dzielona rzeczywistość jest taka sama w górskich osadach w Caulily i w kopalniach Neerit. Wiem to od moich współpracowników. – Tak. Ale Pęku Voraturze... znajdujemy się wyżej niż wierzchołki gór Caulily. Właściwie w ogóle nie jesteśmy na Świecie. – Zawahała się, nie wiedząc, ile powinna mu powiedzieć. – Dzielona rzeczywistość ma najwięcej wspólnego z naszymi mózgami.

– Mózg to siedlisko duszy, jest tak od rozkwitnięcia Pierwszego Kwiatu – rzekł Pek Voratur szybko, czerpiąc otuchę ze znajomej formułki.

To zainspirowało Enlę. – Właśnie. Gdy Pierwszy Kwiat opuścił Obriego i rozwinął swoje płatki, tworząc Świat, stworzył także nasze dusze. Nasze mózgi. I naszą dzieloną rzeczywistość. Ale kiedy opuściliśmy Świat, Pierwszy Kwiat stulił płatki. Dlatego rzeczywistość uległa zmianie. – Rzeczywistość to rzeczywistość! Równie dobrze mogłabyś twierdzić, że kamień to kwiat! – Rzeczywistość wygląda inaczej z dala od Świata – przekonywała Enla. – Świat powstał, gdy Pierwszy Kwiat rozkwitł. To miejsce tutaj nie powstało dzięki Pierwszemu Kwiatowi.

Enla z natężeniem przypatrywała się mężczyźnie. Widziała, że jej słowa trafiły mu do przekonania. Na tyle, na ile to możliwe w tych warunkach... – Skoro Pierwszy Kwiat pozwolił, by rzeczywistość była tutaj inna, jaka ona jest? – Niedzielona.

Przysłuchująca się rozmowie Pek Valifin usiadła gwałtownie. – To niemożliwe! – Ale to prawda – powiedziała spokojnie Enla. – Tutaj każdy z nas ma własną rzeczywistość.

Ledwie skończyła mówić, dostrzegła, że żadne z nich nie było jeszcze na to gotowe.

Pek Voratur wziął się w garść. Od urodzenia okazywał śmiałość, dzięki czemu został wyśmienitym kupcem. Zwrócił się do Enli z ostrożnością typową dla dziecka sprawdzającego wytrzymałość zamku zbudowanego z piasku. – Nazywam się Pek Malinorit i podaję pel w Gofkit Jemloe.

Enla pojęła, do czego zmierza Pek Voratur. – Nie. To nieprawda.

Popatrzyli na siebie nawzajem. Żadne z nich nie poczuło bólu głowy, który powinien się pojawić przy sprzecznej opinii. Pęka Voratura nie rozboleła głowa, gdy skłamał. Enli nie zaczęło łupać za oczami, gdy usłyszała nieprawdę. – Łaaa! – rozdarła się pomocnica kucharza. – Jesteśmy nierzeczywiści! Nigdy nie połączymy się z przodkami pośród kwiecia!...

Nagle wyrosła przy nich Pek Sikorski. Ukucnęła przy zawodzącej kobiecie, objęła ją i zwracając się do wszystkich w pomieszczeniu, powiedziała: – Nie jesteście nierzeczywiści. Rzeczywistość tutaj uległa zmianie. Enla to rozumie. Enlo, powtórz, co powiedziałaś przed chwilą Pękowi Voraturowi.

Skąd Pek Sikorski wiedziała, o czym rozmawiali przed chwilą? Przecież nie było jej wtedy w pomieszczeniu – Enla miała co do tego pewność. Pek Sikorski wszedł tutaj całkiem niedawno, a mimo to o wszystkim wiedziała... Enla spostrzegła, że nadal nie ogarnia jej choćby najłżejszy ból głowy. Odezwała się głośno: – Gdy Pierwszy Kwiat opuścił Obriego i rozwinął swoje płatki, tworząc Świat, stworzył także nasze dusze. Nasze mózgi. I naszą dzieloną rzeczywistość. Ale kiedy opuściliśmy Świat, 119

Pierwszy Kwiat stulił płatki. Dlatego rzeczywistość uległa zmianie. Świat powstał, gdy Pierwszy Kwiat rozkwitł. To miejsce nie powstało dzięki Pierwszemu Kwiatowi, więc tutaj nie ma dzielonej rzeczywistości. – Powtórz jeszcze raz – poprosiła Pek Sikorski.

Enla powtórzyła wszystko po raz trzeci. Widziała, że jej słowa wprawiają obecnych w zdumienie. A następnie trafiają im do przekonania. Po czym znów wywołują zdziwienie, choć już nie tak duże jak na początku.

Czyż nie była to swego rodzaju dzielona rzeczywistość?

\* \* \*

Przez wiele godzin nikt nie miał odwagi nic zrobić. Wszyscy po prostu siedzieli na swoich posłaniach. Jedli potrawy przyniesione przez Pek Sikorski, dziękując jej nieśmiało. Od czasu do czasu ktoś rzucił do kogoś innego jakąś uwagę – coś oczywistego, jak na przykład: „Ta metalowa łódź chyba się nie porusza” albo: „Światło zdaje się dobiegać zewsząd i znikąd” czy: „Jutro Ziemianie zwrócą nas Światu”.

W końcu Pek Voratur wstał. Twarz mu lśniła, ale oczka zagubione pośród fałd tłuszczu miały zacięty wyraz. – Pek Sikorski! – zawołał.

Powiedziała im wcześniej, aby po prostu ją zawołali, jeśli będą czegoś potrzebować. I faktycznie, ledwie Pek Voratur skończył wymawiać jej imię, drzwi się otworzyły i Pek Sikorski weszła do środka. – Słucham, Pęku Voraturze. – Przebyliśmy długą drogę, aby dostać się na tę twoją latającą łódź. Chcielibyśmy... – zamilkł, po czym zaczął od nowa: – Chciałbym zobaczyć ją całą. – Nie! – krzyknął podenerwowany ogrodnik. – Powinniśmy trzymać się razem!

Pek Voratur, któremu zaczęły trząść się ręce, powtórzył: – Chciałbym zobaczyć całą latającą łódź – powtórzył.

Pek Sikorski wyglądała na zaskoczoną. – Całą? Ale... aleja... – Przecież mieliśmy zasadzić targu – przypomniał jej Pek Voratur. – Muszę... muszę zapytać głowę latającego domostwa – rzekła niechętnie Pek Sikorski. – Zaraz wrócę.

W ciszy, która zaległa po jej wyjściu, Pek Voratur zapytał: – Kto jeszcze pójdzie ze mną oglądać latającą łódź?

Nikt się nie zgłosił. – Kto chciałby powąchać wonie tej... tej odmiennej... rzeczywistości? – Z trudem wyrzucał z siebie poszczególne słowa. Twarz nadal mu lśniła, a ręce się trzęsły.

Pomocnica kucharza położyła się na swoim pościeliu i nakryła kocem po czubek głowy. – Ja pójdę – odezwał się ktoś. Najmłodsza z dziewięciorga Światan, na którą Enla nie zwracała większej uwagi. Ubrana w prostą tunikę zwykłej sprzątaczkii: niska dziewczynina z przypominającymi strąki jasnobrązowymi dziecięcymi szyjko - włosami i nazbyt krągłą czaszką. O roziskrzonych oczach. – I ja – dodała Enla, zastanawiając się, skąd u tej dziewczyniny tyle odwagi. Sądząc po jej spojrzeniu, aż rwała się do tej wycieczki, mimo że to Enla spędziła z Ziemiakami najwięcej czasu i pierwsza dopuściła do siebie myśl o niedzielonej rzeczywistości, równie śliską i cuchnącą jak ryba. – Zapomniałem, jak się nazywasz – zwrócił się Pek Voratur do dziewczyniny. – Essa Pek Kriltifor. – Ktoś jeszcze? – zapytał donośnie Pek Voratur.

Odpowiedziało mu milczenie.

Essa Pek Kriltifor przyłożyła dłoń do głowy, jakby nie potrafiła uwierzyć, że nie czuje żadnego bólu. Zapewne, pomyślała Enla, faktycznie nie potrafi w to uwierzyć.

Wreszcie pojawiła się znów Pek Sikorski. – Chodźmy, Pęku Voraturze. A, są też inni chętni? Dobrze, Enlo i... Esso? Proszę za mną.

Wyprowadziła ich za drzwi, na korytarz, który Enla zapamiętała z minionego wieczoru. Był bardzo brzydki: same linie proste i wszędzie metal. Przeszli przez kolejne drzwi, dostając się do pomieszczenia tak

małego, że Enla natychmiast pomyślała o pomyłce. To musiał być pusty składzik albo coś w tym rodzaju.

Pek Sikorski rzekła: – Proszę, nie dziwcie się ani nie bójcie. To tylko winda. Urządzenie, które nas przeniesie. Będziemy w nim zaledwie przez parę chwil.

Winda — kolejne ziemskie słowo — zamknęła swoje podwoje, więżąc ich w ciasnej pozbawionej okien przestrzeni. Po czym zaczęła się przesuwac... w bok. Pek Voratur uczeplił się gładkiej ściany. Essa Pek Krilitfor otworzyła szerzej oczy. A potem się uśmiechnęła. – To zwykły wóz – stwierdziła. – Wóz, którego nikt nie ciągnie – odrzekł Pek Voratur przesadnie rażno. – A to dopiero ciekawostka!

Winda się zatrzymała i ponownie otworzyła drzwi. Troje Światan zakrzyknęło głośno.

Stali w ogrodzie – w ogrodzie na pokładzie latającej łodzi zawieszanej wysoko na niebie. Były tam rośliny za szkłem i młode roślinki w czymś w rodzaju beczek, i jeszcze inne, rosące na grządkach. Dziwne piękne, absolutnie idealne kwiaty nigdy nie widziane na Świecie, wszystkich kształtów i kolorów, z płatkami błyszczącymi od rosy i roztaczającymi cudne wonie w powietrzu. Wokół grządek znajdowały się łączki z poustawianymi na nich krzesłami i stolikami. Zarówno grządki, jak i łączki – w przeciwieństwie do wszystkiego innego na latającej łodzi – zaokrąglyły się w sposób miły dla oka. Paru Ziemian siedziało przy stołach, popijając coś z nieprzezroczystych szklanek; inni doglądali kwiatów. Wszyscy przerwali to, co robili, aby popatrzeć na Światan.

Pek Voratur ryknął:

– Oby wasze ogrody wiecznie cieszyły dusze waszych przodków!

Pek Sikorski przetłumaczyła: – Nasz gość właśnie się przywitał. – Dzień dobry – odparł stojący najbliżej Ziemianin, uśmiechając się miło.

Pek Sikorski zwróciła się do Pęka Voratura: – Domownicy witają was w naszym ogrodzie. – Urwała żółty kwiat i wręczyła go Pękowi Voraturowi. Ziemski ogrodnik zrobił minę, jakby miał zamiar zaprotestować, jednakże zmilczał pod spojrzeniem Pek Sikorski. – Nasze kwiaty rozkwitają dzięki waszej wizycie. – Chwalimy kwiaty waszego serca – odparł Pek Voratur. – Czy możemy przejść się po ogrodzie? – Tak, oczywiście.

Troje Światan ruszyło niepewnie naprzód. Przystanęli pośrodku pierwszej łączki. Enla nie potrafiła zrozumieć, jak podczas tańców mieszczą się tu wszyscy mieszkańcy osady. Zastanawiała się właśnie nad tym, gdy spomiędzy wyższych drzew wybiegła dwójka dzieci, tych samych, które leciały z nimi mniejszą łodzią. Młodsza dziewczynka objęła Pek Sikorski za kolana. – Doktor Sikorski! Marbet tu jest!

Za dziećmi wyłoniła się Ziemianka, drobna brązowoskóra kobieta o krótkich czerwonych włosach na głowie, przyjemnie pofalowanych.

Wzrostem była bliższa Światanom niż jakikolwiek inny Ziemianin, jakiego widziała Enla. Miała oczy zadziwiającego koloru – wyglądały jak szkliste zielone kamyki obmywane przez czystą rzeczną wodę.

Pek Sikorski powiedziała po światańsku: – Pęku Voraturze, to jest Marbet Pek Grant. A te dzieci noszą imiona Amanda i Sudie. – Przeszła na ziemski. Marbet, to troje naszych gości: Pek Voratur, Pek Kriltifor i Pek Brimmidin. Pek Brimmidin zna angielski. – Oby wasze kwiaty rozkwitały w mnogości – odparła Pek Grant po światańsku. Pek Sikorski wyglądała na zaskoczoną. Pek Grant dodała po ziemsku: – Nauczyłam się od Lyle’a.

Sudie krzyknęła: – Macie włosy na szyjach! – Co powiedziało dziecko? – zapytał Enlę Pek Voratur.

Enla zawahała się z odpowiedzią. – Dziecko mówi, że Światanie mają szyjowłosy, a ludziom włosy rosną na głowach. – To prawda – skwitował Pek Voratur.

Amanda zapytała oficjalnie: – Czy zechcecie obejrzeć ogród?

Enla przetłumaczyła jej pytanie, a Pek Voratur przystał na propozycję.

Rozpoczęli wolną wędrowkę przez ogród latającej łodzi. Pek Grant i Pek Sikorski szły obok Pęka Voratura – Pek Sikorski tłumaczyła rozmowę tamtych dwojga. Idąca za nimi Enla widziała, że strach opuścił Pęka Voratura, który teraz chłonał wszystko szeroko otwartymi oczami jak rasowy kupiec. Enla rozmawiała z Amandą, która jak na blade ziemskie dziecko miała doskonałe maniery.

W przeciwieństwie do Sudie. Żadne światańskie dziecko nie zachowywałoby się – nie mogłoby się zachowywać – tak jak ona. Nawet jedno z tych, których jeszcze nie uznano za rzeczywiste. Sudie wybiegała naprzód, kryła się za krzewami, wdrapywała na drzewka, pozostawiała w tyle i bez przerwy wołała: „Szukajcie mnie!”. Co gorsza, Essa Pek Kriltifor zaczęła się zachowywać tak samo. Choć przybyła tu jako gość i była parę lat starsza od Amandy, przynosiła im wszystkim wstyd! A Pek Voratur, do którego domostwa należała, nawet nie zwracał na to uwagi – taki był zajęty!

W końcu Enli udało się przechwycić spojrzenie Essy. Dziewczynina zamarła na moment. A potem zmarszczyła grzebień czaszkowy i pognęła za Sudie.

Zignorowała napomnienie starszej od siebie osoby. I nie poczuła bólu głowy.

Przez mgnienie oka Enla dostrzegła, do czego może prowadzić utrata dzielonej rzeczywistości... – Enlo – odezwał się Pek Voratur, stając obok niej. – Możemy zasadzić korzystnego targu na niektóre z tych kwiatów oraz wytwarzane z nich lecznicze napary. Od Pek Grant wiem, że w tamtym ogrodzie – pokazał na szklaną kulę pośrodku, gdzie wznosiły się wysokie rośliny obwieszane brązowymi torebkami nasiennymi – są rośliny wytworzone przez urządzenia zmieniające nasiona. Zawierają malutkie

dawki naparu do wysuszania narośli na ciałach, od których Ziemianie umierają.

Wytworzone rośliny?... Urządzenia zmieniające nasiona?... Zdaniem Enli to nie miało najmniejszego sensu...

Tymczasem Pek Grant wdała się w rozmowę z Pek Sikorski. Enla wiedziała, że oczy Pek Sikorski się rozszerzają, a twarz blednie nawet bardziej niż normalnie. Co takiego opowiadała jej Pek Grant?

Pek Voratur rzekł: – Chcę, żebyś tłumaczyła, gdyby będę zasadzał targu w sprawie kwiatów i innych wyrobów, które chcę w zamian za to, że tu przylecieliśmy. Ty, Enlo, a nie Pek Sikorski. Skąd mogę mieć pewność, że ona mówi to samo co ja?

Enla oderwała spojrzenie od zatopionych w rozmowie Ziemianek. W całości poświęciła uwagę Pękowi Voraturowi, który mówił właśnie, że choć jego zdaniem Ziemianie nie w pełni dzielą rzeczywistość, jest gotów z nimi handlować. Na razie bowiem nie uznał jeszcze, że są nierzeczywiści.

Przechwyciwszy wbite w siebie spojrzenie Enli, dodał szybko: – Oczywiście będziesz miała swój udział w zyskach. Obyśmy więc zasadzili jak najkorzystniejszego targu! – Wszyscy, którzy tu przylecieli, będą mieli udział w zyskach – przypomniała mu Enla. – Tak, oczywiście. Ale... – Nagle się zamyślił. – Tutaj, w górze, pozostali się nie dowiedzą, jakiego dokładnie targu zasadziliśmy... No i poza tym tylko ty i ja daliśmy sobie zdjęcie mózgu. Nie ma więc powodu dzielić się po równo z innymi, którzy tylko siedzą jak kłody w tamtym pustym pomieszczeniu. Właściwie nie ma powodu dzielić się z nimi w ogóle.

Enla zapatrzyła się na niego. – Pęku Voraturze... – Tak, tak, masz rację. Będziemy musieli się podzielić. Zaraz po powrocie na Świat wróci do nas dzielona rzeczywistość. Trzeba będzie się-dzielić...

Przymknął powieki, obliczając coś po cichu. Enla dalej na niego patrzyła, kiedy przemknęła obok nich Essa szukająca Sudie, która pośród okrzyków wyskoczyła z niskich krzewów przy Pek Sikorski i Pek Grant.

## 17.

### Góry Neury

Kapitan Heller doniosła Kaufmanowi przez komunikator o powrocie wahadłowca do bazy, mimo że przed paroma chwilami wszyscy słyszeli

dobiegający znad ich głów jazgot statku wchodzącego w atmosferę. – Wahadłowiec wylądował, sir. – Dziękuję, pani kapitan – odrzekł krótko.

W tej akurat chwili nie potrzebował raportów tak lubianych przez kapitan Heller. Lada moment miał się rozpocząć drugi test artefaktu. – Wahadłowiec opuściło dziewięcioro Światan, którzy natychmiast zostaną odeskortowani za perymetr, oraz... – Proszę im dać minutkę na dojsście do siebie. Nie przywykli do latania w tę i we w tę, pani kapitan.

– Tak jest, sir – powiedziała lodowatym tonem służbistka. – Pokład wahadłowca opuściły także doktor Sikorski i doktor Grant...

Marbet? A ona co robi na powierzchni planety?... Nie było sensu pytać o to Heller, która właśnie przechodziła do szczegółowych danych. – Lyle! – krzyknął do niego Dieter Gruber. – Chodź już, zaczynamy! – ...żadnych sygnałów, które by świadczyły o... – Tak, dziękuję, może się pani odmeldować – rzucił do komunikatora Kaufman, rozłączając się.

Naukowcy niecierpliwili się na skraju polany. Ponownie przyszykowano cały sprzęt, w tym także robota, który miał uaktywnić ustawienie oznaczone dwójką. Głazy i inne przedmioty z różnego typu materiałów spoczywały w nierównych odległościach od artefaktu. Czujniki na orbicie przeprogramowano. Problem polegał na tym, że o ile ustawienie mocy oznaczone jedynką miało wywołać zjawisko dające się przewidzieć z dość dużą dozą prawdopodobieństwa, o tyle nikt nie miał pojęcia, co spowoduje uaktywnienie ustawienia oznaczonego dwójką. Ani tym bardziej jak się chronić przed ewentualnymi szkodliwymi skutkami. Aczkolwiek trzeba przyznać, że zespół zabezpieczył się w miarę możliwości.

I czekał w napięciu przy włączonych tarczach ochronnych. Gdy sondy znalazły się na właściwych pozycjach, Capelo rzucił:– Teraz!

Nic się nie stało. – Brak zmiany w poziomie promieniowania w którymkolwiek z punktów kontrolnych – zameldował Harold Albemarle, nie odrywając spojrzenia od swoich ekranów. – Brak jakichkolwiek zmian – stwierdził po chwili Gruber, gdy nadeszły już wyniki ze wszystkich urządzeń pomiarowych. – Ale czemu?

Rosalinda Singh była nie mniej zdziwiona niż geolog. – Nie sędzę, aby wbudowali w artefakt ustawienie nie wywołujące żadnego zjawiska... – Skąd ta pewność? – zapytał ją Albemarle. – Zresztą akurat ono mogło się zepsuć... – Nie ma doniesień o jakiegokolwiek nieprawidłowości w działaniu u tuneli czasoprzestrzennych – przypomniał zebranym Gruber. – Zupełnie jakby wytwory Obcych były bez zarzutu. – Zawsze jest ten pierwszy raz, Dieterze...

Jedynie Capelo nic nie mówił. Kaufman przyglądał mu się z wielkim zainteresowaniem. Fizyk stał z zamkniętymi oczami i ramionami skrzyżowanymi na piersi, to jest w tej samej pozycji, w jakiej pułkownik przyłapał go już wcześniej. Niczym w czarnej dziurze, wszystko w nim



zdawało się skoncentrowane w środku, oderwane od zewnątrz. Albemarle również patrzył na niego. Kaufman odniósł wrażenie, że w spojrzeniu Harolda dostrzega mieszaninę ciekawości, pogardy i tęsknoty.

Pozostali członkowie zespołu uruchomili już programy mogące wyśledzić jakąś zmianę, w czymkolwiek, powstałą w wyniku uaktywnienia ustawienia oznaczonego dwójką.

Capelo nagle otrząsnął się z transu i odszedł od grupki szybkim krokiem. Kaufman nie próbował go zatrzymać.

Fizyk wrócił dopiero po półgodzinie utyłany po wspinaczce po skałach. Bez żadnych wstępów rzucił: – Przygotować się do uaktywnienia ustawienia oznaczonego trójką. – Zanim ustalimy, do czego służy dwójka? – sprzeciwił się Albemarle. – Jak to? Przejście do ustawienia większej mocy bez rozgryzienia słabszej to przykład...

Kaufman wpadł mu w słowo: – Podziel się z nami swymi przemysleniami, Tom. – Nie mam jeszcze pewności – odparł Capelo. – Dlatego właśnie musimy przetestować trójkę.

– Bo? – Nie potrafię tego sprecyzować. Ale gdy się nad tym zastanawiałem... natrafiłem na lukę. Nie, nie na lukę... raczej na luźny związek. W każdym razie czuję, że trzeba przetestować trójkę.

– Aha – odezwał się Albemarle, okazując swoim zwyczajem niechęć i zazdrość -już rozumiem. Od teraz będziemy się kierować przecuciami. A mnie się wydawało, że zajmujemy się tutaj nauką!

Kaufman nie spuszczał wzroku z Thomasa Capelo. Po chwili odezwał się tonem zarezerwowanym dla sytuacji, w których konieczny jest niekwestionowany autorytet: – Zrobimy to. Proszę się przygotować do testu ustawienia oznaczonego trójką.

Rosalinda Singh bez protestów zaczęła wydawać polecenia technikom. Kaufman odczekał, aż wszyscy członkowie zespołu będą równie zaabsorbowani, po czym zwrócił się do Capelo cichym głosem: – Czy to przypomina szachy, Tom?

Capelo z trudem skupił na nim uwagę. – Szachy? – powtórzył. – Nie jestem naukowcem – rzekł Kaufman – ale lubię sobie pograć w szachy i sporo czytałem o znanych graczach. Oni nie tyle rozważają różne możliwości po kolei, ile postrzegają je wszystkie naraz... nie, nie postrzegają... W jakiś niewyjaśniony sposób potrafią przewidzieć wszystkie konsekwencje danego ruchu. Czy ty robisz coś podobnego, badając ten artefakt? Na poziomie równań fizycznych? – Coś w tym stylu – odparł Capelo. I nagle się uśmiechnął. Uśmiechem, jakiego Kaufman jeszcze nigdy u niego nie widział. Nie sardonicznym, nie pełnym goryczy ani rozbawienia. Uszczęśliwionym. – Dorwiemy ich, Lyle – powiedział i odszedł.

Ich?... Kaufman nie miał pojęcia, o czym mówił fizyk. Albo o kim. O Obcych? O niedowiarkach takich jak Albemarle? O budowniczych artefaktu?

Przygotowania do trzeciego testu nie trwały długo; po prostu przekierowano zdalnie robota i przeprogramowano sondy. Kaufman doszedł do wniosku, że kiedy się nie wie, co się robi, łatwo jest korzystać z procedur opracowanych przy poprzedniej okazji, gdy nie wiedziało się, co się robi.

Konieczne było odczekanie dwu godzin, w czasie których sondy orbitalne zajęły właściwe pozycje. Zanim to się stało, z korytarza łączącego bazę z polaną wyłoniły się Anna Sikorski i Marbet Grant, obie odziane w kombinezony. Marbet podeszła do Rosalindy, a Anna prosto do Kaufmana. – Anno, my... – Nie możesz tego zrobić, Lyle. – Czego nie mogę zrobić, Anno? – zapytał, mimo że znał odpowiedź. Obejrzał nagrania, które mu przysłała. Wiedział też, że rozmawiała z Marbet. – Nie możesz zabrać artefaktu ze Świata. Nawet po to, by przetestować go w przestrzeni kosmicznej. To on jest sprawcą mechanizmu dzielonej rzeczywistości. Bez niego Światanie nie będą dzielili rzeczywistości. Rozpadnie się całe ich społeczeństwo. Na okręcie... – Nie tak szybko, Anno. Zwolnij trochę i posłuchaj mnie. Odkryłaś, że coś znajdującego się na Świecie wznieca dzieloną rzeczywistość. Nie wiesz jednak, czy tym czymś jest artefakt. – Daj spokój, Lyle! Co innego mogłoby tak działać?

– Nie wiem. Podobnie jak ty. Ale to ty wyciągasz pochopne wnioski, nie ja. – Marbet powiedziała mi, że odkryliście ustawienie, które jest trwale włączone. Nie zaprzeczysz chyba?

Kaufman zrozumiał, że niepotrzebnie wygadał się przed Marbet, na dodatek zapominając ją uprzedzić, aby zachowała to tylko dla siebie. A Marbet nie przyszło do głowy, że powinna cokolwiek zataić przed innym członkiem zespołu. Zresztą nawet gdyby to zrobiła, Anna dowiedziałaby się wszystkiego od Dietera. – Lyle, twoje eksperymenty nie będą obojętne dla Świata. Ich mózgi ewoluowały w obrębie pola prawdopodobieństwa generowanego przez artefakt. Nie jesteś w stanie przewidzieć, czym skończy się trwałe pozbawienie ich tego pola albo choćby odebranie im go na okres dłuższy niż pobyt dziewięciorga Świata na pokładzie Alana B. Sheparda. Zamierzasz eksperymentować na wszystkich inteligentnych mieszkańcach tej planety! – Nie mam wyboru. – Ależ masz! Masz decydujące słowo we wszystkim, co dotyczy projektu specjalnego! – Przede wszystkim mam rozkazy od przełożonych. Nie zapominaj, że jestem żołnierzem,

Anno.

Doktor Sikorski patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Naprawdę to zrobisz? Zabierzesz artefakt w przestrzeń kosmiczną, a jeśli okaże się użyteczny, jeszcze dalej, poza ten układ gwiazdny? – Tak. Jeśli tylko zdołam.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i odeszła. Kaufman nawet się nie spodziewał, że jej łagodna twarz może przybrać taki wyraz.

Nie czuł się na siłach, by porozmawiać z Marbet, która właśnie w towarzystwie Rosalindy poddawała artefakt inspekcji z bliska. Pod wpływem impulsu polecił technikowi: – Sierzancie, oczyśćcie teren z personelu niezaangażowanego bezpośrednio w przeprowadzane testy. – Tak jest, sir. Gdy sondy znalazły się na właściwych pozycjach, Capelo powtórnie powiedział: – Teraz!

Podobnie jak poprzednio rozkaz był całkowicie zbędny – wszystko oczywiście działało się automatycznie. Kaufman domyślał się jednak, że Tom zwyczajnie nie umie się powstrzymać.

Tym razem urządzenia pomiarowe odnotowały całą gamę wyników. Gdy Kaufman zrozumiał co nieco z dyskusji naukowców, odezwał się: – To to samo zjawisko, które zaobserwowała Syree Johnson, kiedy uaktywniła ustawienie oznaczone jedynką na większym artefakcie, zgadza się? Sferyczna fala destabilizująca atomy o masie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć, stosująca się do prawa odwrotnej proporcjonalności. – Owszem – przyznał Gruber z radością. – No, dwa mamy już głowy, przed nami jeszcze pięć!

Capelo nie zapadł w trans. Kaufman zwrócił się do niego: – Oczekiwałeś tego, prawda? – Oczekiwałem to niewłaściwe słowo. Gdy ustawienie oznaczone dwójką nie wywołało tego zjawiska, miałem nadzieję, że stanie się tak przy aktywowaniu trójki. – Czym zatem jest dwójka?

Pozostali, wychwyciwszy pewną zmianę w szumie informacyjnym, zamilkli i nadstawili uszu.

– Nie wiem, czym jest – warknął dawny Capelo. – Mam tylko teorię. Moim zdaniem to tarcza. Chroniąca przed jedynką i być może przed całą resztą. – Tarcza! – zakrzyknął Gruber. – A co o tym świadczy? – spytał rozeźlony Albemarle. – Nic, Haroldzie. Nic a nic. – No to wybacz, że nie jestem pod wrażeniem. Aktywowaliśmy dwójkę i nic się nie stało. Nie ma żadnych różnic. – Nigdy nie kupowałeś dzieła sztuki, co?

Albemarle zrobił głupią minę, lecz Kaufman się uśmiechnął. Wyobraził sobie oryginał obrazu olejnego i jego kopię nie do odróżnienia. To znaczy nie do odróżnienia dopóty, dopóki nie pojawi się fachowiec.

Capelo rozwinął pierwszą myśl: – Musimy aktywować ustawienie oznaczone jedynką, przekierować falę destabilizacyjną na artefakt, po czym sprawdzić, czy dwójka zostanie aktywowana automatycznie. Wbudowanie tarczy ochronnej, która nie potrafi z prędkością światła zneutralizować zagrożenia, nie miałoby większego sensu. Widzę jednak dwa problemy... Po pierwsze, fala przechodzi dosłownie przez wszystko, więc jak ją przekierować? Po drugie, fala słabnie stosunkowo szybko, więc w jakiej odległości od tarczy powinien się znajdować element przekierowujący? – O ile jakaś tarcza w ogóle istnieje – wymruczał Albemarle.

Rosalinda natomiast skupiła się na stronie technicznej. – Jaki dokładnie jest twoim zdaniem związek między odległością a słabnięciem fali?

Troje fizyków wdało się w dyskusję, której Kaufman nie był w stanie śledzić. Macierze rozproszenia, rezonans modalny, stała sprężenia, nieskończona deformowalność... W końcu zrozumiał, iż Capelo usiłuje dowieść, że fala destabilizacyjna wpływa na zmianę prawdopodobieństwa poprzez wymianę wirtualnych cząstek z innymi przestrzeniami Calabiego-Yau. Rosalinda wysunęła jakieś zastrzeżenie, którego Kaufman nie załapał, a Albemarle oponował, jak się wydawało, z czystego przyzwyczajenia. – No dobra – zakończył dyskusję Capelo. – Przekonamy się. – Przekonamy się? Jak? – zapytał Kaufman. – Jeżeli dwójka to faktycznie tarcza ochronna – odpowiedziała Rosalinda wyraźnym głosem, wysławiając się jak zwykle szalenie precyzyjnie-możemy ją przetestować, kierując falę destabilizacyjną wprost na nią. Tyle że nie mamy pojęcia, jak to zrobić, choćby w teorii. 128

Tom dodatkowo uważa, że dwójka może być bardziej uniwersalną tarczą, stanowiącą ochronę przed różnymi rodzajami broni.

To Kaufman pojął w lot. – Uważacie, że Fallerowie wykorzystują coś takiego na swoich okrętach? Że rozgryźli technologię wykorzystaną przy konstruowaniu artefaktu? I że teraz używają jej w walce, unieszkodliwiając nasze promienie protonowe? – Co do tego nie mamy jeszcze pewności – wtrącił Albemarle. – Niemniej doktor Capelo chce właśnie to sprawdzić.

Kaufman zamarł w bezruchu. Technologia tarczy działającej w oparciu o pole rozpraszające zamajaczyła w zasięgu jej ręki. Być może została wykorzystana przy konstruowaniu artefaktu. Gdybym wrócił na Marsa z czymś takim... Zaraz po tej myśli nadeszła inna.

Anna właśnie straciła ostatnią szansę na pozostawienie artefaktu Światanom. – Zacznijmy od zwykłego pistoletu laserowego – zaproponowała Rosalinda. – Do tego będą potrzebne czujniki Carlingtona...

Wkrótce wszyscy troje znów byli pogrążeni w dyskusji nad zagadnieniami, których Kaufman nie ogarniał umysłem. Ale teraz przynajmniej także Gruber wyglądał na zagubionego. Najwyraźniej jego wiedza z dziedziny fizyki nie sięgała wyżej, na jakie właśnie wznosili się fizycy.

Kaufman potrafił myśleć wyłącznie o znajdującej się na wyciągnięcie ręki technologii.

Po chwili Rosalinda i Tom zaczęli wydawać polecenia technikom, którzy zabrali się do montowania czujników na powierzchni artefaktu, w jego pobliżu i w różnym od niego oddaleniu. W pewnym momencie zabrzączał sygnał komunikatora Kaufmana. Dzwonił DeVolites. – Pułkowniku, zezwala pan na powrót wahadłowca na Alana B. Sheparda?

Kaufman ugryzł się w język, zanim zapytał: „Jaki znowu powrót?”. Czekał.

DeVolites w końcu dodał niepewnie: – Panna Grant poprosiła, żeby ją odwieźć. Powiedziała, że nie ma pan nic przeciwko temu. – Tak, nie mam nic przeciwko – rzucił Kaufman, po czym przerwał połączenie, usiłując stłumić wzbierający w nim gniew na Marbet.

Pozwalała sobie na zbyt wiele. Cywilny specjalista nie miał prawa rozkazywać pilotowi armijnego wahadłowca. Już się chciał z nią połączyć, aby to powiedzieć jasno i wyraźnie, lecz opanował się, zanim połączenie zostało zrealizowane.

Usłyszałyby w odpowiedzi, że wyraził zgodę na jej powrót – przecież na pokładzie Alana B. Sheparda czekała na nią dalsza praca z Faberem. W sumie miałyby rację...

Przetłumaczył sobie, że zadanie Marbet jest nazbyt ważne, aby zawracać jej głowę skargami proceduralnymi. Był jednak wobec siebie na tyle uczciwy, by przyznać, że nie ma ochoty na przepychanki z panną Grant. Wyprowadzała go z równowagi swą przenikliwością i tym, że umiała go przejrzeć na wylot, wycytując nie wiadomo co z jego głosu, gestów, mimiki i czego tam jeszcze. Praktycznie nie miał przed nią tajemnic. I to mu się nie podobało.

Chociaż w innych okolicznościach byłby z tego całkiem zadowolony.

\* \* \*

Gdy wszystko było już gotowe, technik zaczął strzelać do artefaktu z broni laserowej, mierząc z różnych odległości. Nikt się nie bał, że to uczyni jakieś wrażenie na obiekcie, który swego czasu przetrwał zderzenie z planetą. I rzeczywiście – nie uczyniło żadnego. Aczkolwiek naukowcy byli pod wielkim wrażeniem. – Niesamowite – rzekła Rosalinda Singh, co w jej ustach było oznaką najwyższego zdumienia. – Nic. Żadnego odbicia, żadnego rozproszenia, żadnego ciepła szczątkowego, żadnego rezonansu atmosferycznego, zupełnie nic. Promień lasera po prostu zniknął. – Spróbujmy jeszcze raz, pod innym kątem – zasugerował Albemarle. Znowu naukowa ciekawość zdawała się przyćmiewać jego osobistą niechęć do Thomasa Capelo. Harold był przede wszystkim naukowcem.

Capelo milczał. Kaufmanowi zdawał się jakiś inny. Jego sarkastyczna uszczypliwość zniknęła jakby wypalona przez ogień ciekawości. Pułkownik widział, że fizyk myśli i że to jego myślenie jest jakieś inne nie tylko w natężeniu, ale też w rodzaju od zwykłego myślenia zwykłych ludzi.

Resztę dnia spędzili na bombardowaniu artefaktu promieniami elektromagnetycznymi o różnej długości fali. Żaden z nich nie uczynił krzywdy obiektowi. Wszystkie wiązki niknęły bez śladu. Natomiast zwykłe pociski rykoszetowały.

Wreszcie Capelo przemówił: – Teraz wiązka protonów. Zawróćcie okręt. – Rozwalimy całą górę, Tom – ostrzegł go Kaufman. – Wiazka protonów to wysoce skuteczna broń. – Mimo to zrobmy to. Najwyżej potem odkopimy artefakt. – Nie – zaprotestował Kaufman, zadziwiając wszystkich swoją pierwszą odmową. Pułkownik spodziewał się wybuchu fizyka. – Jasne, jasne, masz rację – zaczął mamrotać Capelo. – To by nie zadziało. Źle to wykombinowałem. Coś mi umknęło. Czegoś tutaj nie dostrzegam... Ale puścimy tę wiązkę. Tylko najpierw wyniesiemy artefakt w przestrzeń kosmiczną.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Kaufmana. Było już pra wie ciemno – pracowali przez cały dzień, nie jedząc ani nawet nie myśląc o jedzeniu. FotoczuJNIki włączyły oświetlenie polany, przez co zamieniła się z łąki tubylców w ludzką placówkę zapełnioną ludzkimi urządzeniami. Tylko zapachy w powietrzu były wciąż miejscowe. One i cztery niewielkie księżycy na tle dziwacznych gwiazdozbiorów światańskiego nieba. Kaufman z jakiegoś powodu pomyślał o Hadzilu Pęku Voraturze spożywającym wieczorny posiłek pośród swoich ukwieconych ogrodów i dzielonej rzeczywistości... – Lyle? — wyrwała go z zamyślenia Rosalinda. – Tom zamierza wynieść artefakt w przestrzeń kosmiczną jutro z samego rana.

– Dobrze – zgodził się Kaufman i za pomocą komunikatora połączył się z okrętem.

\* \* \*

Znacznie później, gdy Kaufman zdążył odpłynąć w sen, zabrzączał jego komunikator. Dzwoniła Marbet. Coś w tonie jej głosu sprawiło, że błyskawicznie otrząsnął się ze snu. – Lyle. Natychmiast przyleć. Udało mi się. – Co ci się udało? – Nakłoniłam Obcego do odpowiedzi. I to jakiej. To, co mówi, być może zmienia wszystko.

## 18.

### Na pokładzie okrętu Alan B, Shepard

Kradzież kawałka planety okazała się zdumiewająco łatwa.

Kaufman zapoznał się z raportem Syree Johnson dotyczącym przeciągania artefaktu do Tunelu Czasoprzestrzennego #438. Wszelako

tamten obiekt znajdował się na orbicie – był sztucznym satelitą, który tubylcy uważali za księżyc zwany przez nich Tas. Miał cztery kilometry średnicy i ważył dziewięćset tysięcy ton. Pułkownik Johnson przesunęła go o jeden koma dwa miliarda kilometrów, niemal przez cały czas nadając mu przyśpieszenie w ten sposób, że jej okręt, Zeus, przy pełnej mocy pchał artefakt przed sobą w przestrzeni kosmicznej. Trwało to pięć dni, a pod koniec tego okresu Zeus został ostrzelany przez jednostkę Fallerów, w wyniku czego oba okręty oraz artefakt uległy anihilacji przy próbie przepchnięcia dziewięćset tysięcy ton przez tunel czasoprzestrzenny, który – jak Syree Johnson doskonale wiedziała – był w stanie przyjąć obiekty o masie co najwyżej stu tysięcy ton.

Natomiast artefakt Kaufmana liczył tylko dwadzieścia pięć metrów średnicy i ważył mniej niż sto ton. Trzeba go było wynieść na orbitę oddaloną zaledwie o czterdzieści osiem tysięcy kilometrów od powierzchni planety. W dodatku nikt do nich nie strzelał. Cała operacja zajęła jeden ranek: artefakt został zabezpieczony siecią z nanowłókien i wysłany w drogę równocześnie z naukowcami powracającymi na pokład Alana B. Shepada.

Wszystkimi z wyjątkiem Anny, która odmówiła powrotu. – Mógłbym rozkazać ci powrót na pokład – oświadczył Kaufman.

Stali naprzeciwko siebie w bazie krótko po wschodzie słońca. Dokoła krzatali się członkowie zespołu ładujący sprzęt i bagaż na wahadłowiec szykujący się do pierwszego kursu. Ludzie pokrzykiwali do komunikatorów i do siebie wzajemnie. Nanonamioty, które niebawem miały doszczętnie opustoszeć, pobłyskiwały refleksami wstającego słońca. Pociągła blada twarz Anny w tym świetle wydawała się jeszcze mizerniejsza. – Nie ma znaczenia, czy mi rozkażesz czy nie. I tak zostanę. Nie zapominaj, że jestem cywilem.

– Ale ja jestem tutaj dowódcą.– Jeżeli zabierasz artefakt z tej planety, znaczy, że w ogóle nie nadajesz się do dowodzenia.

Doktor Sikorski nie rozwścieczała go tak jak Marbet. Powiedział do niej łagodnym głosem: – Rozumiem twój punkt widzenia, Anno. Nie podzielam go jednak, a ty chyba tego po mnie nawet nie oczekujesz. Zgoda, możesz zostać. Ale zdajesz sobie sprawę, że będziesz skazana na nie wiedzieć jak długi pobyt tutaj? Ta planeta przestanie interesować dowództwo na Marsie, nie będzie żadnej nowej ekspedycji przez lata, być może nigdy jej nie będzie... – Właśnie że będzie. Jesteś taki ograniczony, Lyle... Uważasz, że istnieją tylko ekspedycje wojskowe? Antropolodzy i biolodzy od początku interesują się Światem, a teraz ich zainteresowanie tylko wzrośnie, jak doprowadzisz do ruiny tutejsze społeczeństwo. Bo zrobisz to, wiesz?...

Kaufman milczał. – Przypomnij sobie, co się stało, gdy dziewięcioro Światan znalazło się na pokładzie okrętu. Wystarczyło zaledwie półtorej

doby z dala od artefaktu i dzielonej rzeczywistości, by utrwalone hamulce puściły i głowę podniosła buntowniczość i chciwość. Jak sądzisz, co stanie się ze Światem, gdy zabraknie tradycyjnego mechanizmu trzymającego w ryzach społeczeństwo?

Kaufman zamiast odpowiedzieć, zapytał: – Czy Dieter również zostaje? – Nie – odparła smętnie, dzięki czemu Kaufman natychmiast zrozumiał, że między małżonkami doszło do poważnej scysji. Gruber wziął stronę armii i pragmatyzmu, spychając na bok zwykłe ludzkie współczucie oraz naukową rzetelność. Anna najwyraźniej nie potrafiła mu tego wybaczyć. A do Kaufmana miała żal o to, że przyczynił się do rozpadu jej małżeństwa. – Żegnaj, Lyle – dodała nagle i wsiadła na rower obładowany jej bagażami. Zaczęła pedałowac w stronę najbliższej osady, Gofkit Jemloe. – Anno! – zawołał za nią Kaufman. – Masz chociaż jakąś broń? Tutaj może zrobić się niebezpiecznie... potem.

Nawet nie odwróciła głowy. Kaufman patrzył za nią, dopóki rower nie zamienił się w kropkę sunącą wolno po rozległej równinie. – Pułkowniku, jesteśmy gotowi do odlotu – zameldował DeVolites przez komunikator. – Już idę – odpowiedział Kaufman.

Znalazłszy się na pokładzie wahadłowca, unikał wzroku Grubera. Zaprzętały go przede wszystkim zbliżające się testy artefaktu zaplanowane przez Thomasa Capelo oraz odkrycie Marbet – czymkolwiek było.

Marbet Grant czekała na niego w przedsionku przylegającym do celi Obcego. Na ekranach Faller wyglądał tak jak zawsze: niski skórzasty pieniek z trzema ramionami, grubym ogonem i dziwaczną głową. Nadal był przywiązany do miękko obitej ściany, lecz jedną rękę miał wolną. Jego oblicze w dalszym ciągu pozostawało tajemnicą dla Kaufmana.

Marbet obróciła się, gdy wchodził do środka. Miała na sobie szlafrok luźno przewiązany w pasie. Kaufman zdrętwiał, kiedy zobaczył, co kobieta trzyma w ręce.

Był to model artefaktu. – Lyle – przywitała go krótko, lecz nie zareagował.

Wpatrywał się w trzymany przez nią model. Zgadywał, że przedmiot został wykonany z nanonitu. Miał jakieś trzydzieści centymetrów średnicy i wiernie odtwarzał kolory pierwowzoru łącznie z połyskiem powierzchni. Sterczały z niego wypukłości, każda z dołkiem i guziczkami. – Pokazałaś go Faberowi – stwierdził głucho. – Tak. – I nikt cię nie powstrzymał? – Kaufman zauważył, że ton jego głosu wspiął się o oktawę wyżej. – Strażnicy nie mieli pojęcia, co to jest.

No tak, oczywiście. Informacje na temat artefaktu były tajne; dostęp do nich mieli tylko upoważnieni członkowie zespołu, bezpośrednio zaangażowani w projekt specjalny. Strażnicy pilnujący jeńca nawet nie słyszeli o artefakcie zagrzebanym pod powierzchnią planety, tym bardziej



więc nie mogli wiedzieć, jak wygląda ani co robi. Jednakże Marbet pojawiła się na Świecie w towarzystwie Anny, która wcześniej opowiedziała jej o obiekcie, i z bliska obejrzała wyrób Obcych. Przysłuchiwała się rozmowom naukowców i techników pracujących na polanie. Wiedziała o nim tyle samo co Kaufman. – Co mu pokazałaś? – To. I... – Co jeszcze?

Nie zlekła się tonu jego głosu. – To.

Włączyła holoprojektor stojący pod ścianą. Najwyraźniej wcześniej wklepała w niego dane, ponieważ teraz za jednym pstryknięciem wyświetlił unoszący się w jednym rogu artefakt. Z obiektu wynurzał się promień zrobiony z kropek. Kropki trafiały w wyobrażenie wahadłowca, po czym po paru chwilach – Marbet musiała usłyszeć o efekcie opóźnienia od Harolda albo Rosalindy – wahadłowiec zaczął świecić. Promieniowanie. U dołu holoprojektji migały kolejno zestawy kropek: jedna, dwie, trzy... Skupiska liczące ich siedemdziesiąt pięć lub więcej świeciły podobnie jak wahadłowiec. Projekcja została zapętłona, tak że powtarzała się bez końca.

– Z tą chwilą przestajesz być członkiem projektu specjalnego – rzucił przez zęby Kaufman. – Bezterminowo. Jesteś aresztowana.

Marbet Grant nie zareagowała w żaden sposób. – Lyle, musisz obejrzeć wszystkie nagrania. On rozpoznał artefakt! Było to widać po jego minie, mowie ciała, po wszystkim! Rozpoznał go! Z tego wynika, że Faberowie też taki mają! – Marbet, słyszałaś, co powiedziałem? Jesteś aresztowana za zdradę. – Lyle, to ty mnie posłuchaj! Faberowie mają taki sam artefakt jak my!

Dzięki niemu opracowali technologię tarczy ochronnej. Wykorzystując ustawienie oznaczone dwójką. Trzeba to przekazać Thomasowi Capelo. Najpierw jednak Kaufman musiał spełnić swój obowiązek. Sięgnął do komunikatora. – Komandorze Grafton, tu pułkownik Kaufman. Z przykrością muszę pana zawiadomić, że w moim zespole doszło do poważnego naruszenia zasad bezpieczeństwa. Proszę przysłać żandarmów, aby dokonali aresztowania panny Grant, obecnie znajdującej się razem ze mną w przedsionku celi jeńca. Pod zarzutem zdrady.

Marbet spojrzała wprost na niego. Jej śniada cera pociemniała, co mogło sugerować, że wystąpiły na nią rumieńce. Jasnozielone oczy zabłysły. – Lyle, wcale nie chcesz tego zrobić. Widzę to po tobie. Moja praca jest zbyt ważna... – Nie ruszaj się do przybycia żandarmów, w przeciwnym razie będę zmuszony unieszkodliwić cię osobiście. – Zdajesz sobie sprawę, co tracisz? – Zdajesz sobie sprawę, co właśnie dałaś wrogowi? – To jeniec, który nigdy nie wróci do swoich! Co niby ma zrobić ze swoją wiedzą? Przestać ją do dowództwa za pomocą telepatii?

Zanim zdążył odpowiedzieć, przez drzwi wpadli dwaj żandarmi. Marbet się nie opierała. Gdy ją wyprowadzali, zabrzączał jego komunikator.

Kaufman przyknął oczy, zastanawiając się, co powiedzieć Grafionowi, co powiedzieć Tomowi, co powiedzieć samemu sobie.

\* \* \*

Później, po niełatwych rozmowach z Graftonem i szefową ochrony, Kaufman znów zaszedł do pracowni Marbet po nagrania z sesji, które przeprowadziła po powrocie na pokład okrętu. Marbet sama sama z Fallerem, całkiem naga, wykonująca masę dziwacznych niezrozumiałych gestów i przybierająca różne pozy, na które jeniec nie reagował w żaden widoczny sposób. Przynajmniej Kaufman niczego nie zauważał. Co Marbet przekazywała jeńcowi? Przepraszam, że jej nie było przez prawie cały dzień, i zapewnienia, że odtąd nigdzie się nie wybiera?

Marbet trzymająca w ręku model artefaktu, zbliżająca go aż do niewidzialnej bariery, aby jeniec mógł mu się lepiej przyjrzeć. Kaufman odtwarzał w kółko pierwsze minuty tego nagrania. Wydawało mu się, że dostrzegł jakąś reakcję Obcego. Zmianę w rozłożeniu ciężaru ciała, ruchy mięśni na twarzy (mimowolne?), nienaturalne zaciśnięcie dłoni wolnej ręki. Co Haller myślał? Co czuł? Marbet twierdziła, że Faller rozpoznał artefakt, i Kaufman nie miał powodu jej nie wierzyć. Ani wierzyć.

Marbet pchająca przed sobą holoprojektor. Włączająca go. Wyobrażenie promienia trafia w wyobrażenie wahadłowca, destabilizując wszystkie pierwiastki o liczbie atomowej wyższej niż siedemdziesiąt pięć, co skrupulatnie ukazują kropki w dole. Czy Faller ponownie zareagował? Tak, choć już nie tak silnie. Może zaczął nad sobą panować...

Następnie Kaufman wysłuchał ustnych notatek Marbet, która opisała nad wyraz szczegółowo każdą zmianę w niewerbalnym zachowaniu sugerującą jej zdaniem to, że Obcy nie tylko rozpoznał artefakt, ale też był świadom jego wykorzystania jako broni. Kaufman wiedział, że większości z tego, na czym Marbet opierała swoje opinie, nie da się opisać słowami. W końcu była Wrażliwcem i po prostu czuła pewność.

Dokonał w głowie podsumowania. Faberowie pierwsi znaleźli artefakt (bądź artefakty) i odkryli ich właściwości umożliwiające wykorzystanie w charakterze ochrony przed promieniami protonowymi. (To by czyniło testy zbędnymi, aczkolwiek oczywiście Tom Capelo nigdy by tego nie przyznał). Dokonawszy odkrycia. Obcy zainstalowali artefakty na pokładach wybranych okrętów lub też stworzyli własne tarcze w oparciu o poznaną technologię. W każdym razie tarcze stały się ich główną bronią defensywną. I dlatego wygrywali wojnę z ludźmi.

Czy ów artefakt rzekomo znajdujący się w rękach Faberów miał tyle samo oznaczeń co obiekt odnaleziony przez ludzi na Świecie? Tego nie sposób było stwierdzić. Lecz nawet gdyby był wyposażony w ustawienia oznaczone jedynką i trójką, umożliwiające wzbudzenie kierunkowej i

sferycznej fali destabilizacyjnej, nie na wiele by się to zdało. Zasięg obu fal był zbyt mały, aby się sprawdził w czasie walk w przestrzeni kosmicznej, jedynych, w jakich Faberowie brali udział. W kosmosie znacznie przydatniejsze były wiązki protonów.

Pozostawały zatem ustawienia oznaczone piątką, siódmką jedenastką i trzynastką. Do czego one służyły? Czy fizykom uda się to odkryć? I nawet jeśli odniosą sukces, czy ta wiedza pomoże potem skonstruować lepszą broń, lepsze tarcze, lepsze cokolwiek?... Jak dotąd wszystko wskazywało na to, że w przeciwnym razie ludzkość przegra wojnę, w której druga strona nie brała jeńców.

\* \* \*

Kaufman stał na pokładzie obserwacyjnym, który raz jeszcze objęli w posiadanie naukowcy i ich eklektyczny sprzęt. Tym razem do ekipy dołączyły roboty. Odpowiednio zaprogramowane umieściły czujniki na wszystkim w promieniu dziesięciu tysięcy kilometrów: na okręcie, na satelitach, sondach oraz na samym artefakcie, obecnie znajdującym się na orbicie tuż za Alanem B. Shepardem i poruszającym się posłusznie niczym jagnię prowadzone na sznurku.

– Teraz – rzucił Capelo, a Kaufman uczynił jego polecenie rozkazem, przekazując je dalej na mostek: – Rozpocząć ostrzał.

Wiązka protonów wystrzeliła z okrętu, dotarła do artefaktu i zniknęła. Wyglądało to tak jak na nagraniach, które Kaufman oglądał bez końca, a które przedstawiały promienie trafiające w okręty wroga wyposażone w tarcze. W gruncie rzeczy – po odkryciu dokonany przez Marbet – doświadczenie okazało się do pewnego stopnia rozczarowujące. Wszyscy z góry wiedzieli, co ustawienie oznaczone dwójką – które najwyraźniej aktywowało się automatycznie – uczyni z promieniem protonowym.

Rosalinda, Harold i ich technicy rzucili się na dane z czujników, by porównywać i interpretować. Capelo trzymał się nieco na uboczu. W pewnym momencie spojrzął prosto na Kaufmana.

I powiedział: – Jedyńka: kierunkowa fala destabilizacyjna o małym zasięgu. Dwójką: tarcza punktowa przeciw atakom niskiej mocy, takim jak laser, wiązka protonów, zapewne również kierunkowa fala destabilizacyjna...

Kaufman wtrącił kwaśno: – Wiazkę protonów nazywasz atakiem niskiej mocy? Jest zdolna rozwalić okręt wojenny.

Capelo nie zwrócił na niego uwagi, tylko dalej recytował: – Trójka: sferyczna fala destabilizacyjna o małym zasięgu. Z czego by wynikało, że piątka to tarcza dalekiego zasięgu. Ale o jakim zasięgu mowa? Zdaniem Anny obejmującym całą planetę. Może i tak... może chroni całą planetę

przed każdą możliwą bronią. W tym ochroniła ją przed falą destabilizacyjną powstałą przy zniszczeniu Tasa i w efekcie mającą na sumieniu Nemeter. To by wyjaśniało drastyczny spadek promieniowania jakiejś sześć miliardów kilometrów od gwiazdy... czyli tyle, ile wynosi promień przeciętnego układu gwiazdnego.

Zdumiony Kaufman powtórzył: – Tarcza chroniąca całą planetę? – Wzór wygląda tak: broń, tarcza, broń, tarcza. Tylko moc się zwiększa. – Ale tarcza chroniąca całą planetę? Przed atakiem zagrażającym całej planecie?

Jak coś takiego przetestować?

Capelo odpowiedział bez cienia ironii: – Jest tylko jeden sposób. Musimy odstawić artefakt na miejsce.

## 19. Gofkit Jemloe

Gdy ziemski wóz zbliżał się do bram domostwa Voraturów, Kalin Pek Lillifar szedł na przedzie.

Enla obserwowała go, czując ciarki w szyjowłosach. Grzebienie czaszkowe miała niemal całkiem płaskie. To musiał być zbieg okoliczności. Kalin dotrze do bram na kilka chwil przed Ziemianami. Zapewne wyruszył z Gofkit Shamloe główną drogą, która tuż przed Gofkit Jemloe krzyżowała się ze ścieżką wiodącą z obozowiska Ziemian. Pozostawało tylko pytanie, co Kalin tu w ogóle robi.

Coś przydarzyło się siostrze Enli, Anu, albo jej dzieciom.

Enla upuściła szczotkę – właśnie szorowała bramę domostwa, gdyż nie umiała siedzieć beczynn timer – i wybiegła na spotkanie Kalinowi. – Kalinie! Co się stało? Anu... Fentil... – Nie, nie, gleba wszystkich członków rodziny twojej siostry jest żyzna. Nikt nie więdn timer, nikt nie rośnie krzywo.

– No to... czemu tu jesteś? – Chciałem cię zobaczyć.

Enlę przebiegł przyjemny dreszcz, podnosząc lekko jej grzebień czaszkowy. Zauważyła, że Kalin to spostrzegł. Szczerząc się do niej, powiedział: – Wdech, wydech, Enlo. Zasapałaś się tym biegiem. – A ty strasznie wyglądasz.

Była to prawda: Kalin spocił się i ubrudził w czasie długiej podróży. Taki kawał drogi przebył pieszo, nawet nie na rowerze! I wszystko po to, żeby ją zobaczyć... Uczucie przyjemności ogarnęło Enlę, zlewając się w jedno z dzielonym z Kalinem uczuciem radości na jej widok.

Zapytała go: – Gdzie twój rower? – Zepsuł się. A ten chwalipięta Pek Hobbifir, który twierdzi, że potrafi wszystko naprawić, tak naprawdę jest zupełnie do niczego. Powiedział, że naprawi mój rower najwcześniej jutro, o ile w ogóle mu się to uda. A ja nie chciałem czekać do jutra.

I znowu ten szeroki uśmiech; znowu dzielona radość. Stali tak, patrząc na siebie, aż wreszcie Enla się odezwała:– Mogę ci dać rower. – Dać mi rower?! – wykrzyknął Kalin. – Jakże to? – Wiele się wydarzyło. Mam ci dużo do opowiedzenia, Kalinie. Ale na razie wejdź do środka, napij się czegoś zimnego... – Za chwilę. Enlo... co to jest?

Wóz niemal zrównał się z nimi. Był to zwykły ziemski wóz z ładunkiem zakrytym kocem, lecz ciągnął go ziemski służący. Obok szła ta Ziemianka, Pek Heller, która jak zwykle marszczyła czoło. Gdzieś za pazuchą, jak wiedziała Enla, Pek Heller trzymała broń, a może także jakieś inne straszne ziemskie urządzenia. – To są Ziemianie – wyjaśniła, zdając sobie sprawę, że Kalin nigdy nie widział żadnego. Zdążyła jeszcze dodać ściszym głosem: – Nie dziw się, jeśli okażą złe maniery.

Mały orszak zatrzymał się przy nich. Enla zerwała dziko rosnący kwiat, ładniutką żółtą wekifiribę pyszniącą się tuż przy drodze, i wyciągnęła przed siebie rękę, mówiąc po ziemsku: – Pek Heller, witaj w Gofkit Jemloe. To jest Kalin Pek Lillifar.

Pek Heller potrząsnęła głową w górę i w dół. Nie wręczyła Enli żadnego daru, choć wóz musiał być nimi załadowany, ani nie przedstawiła swego służącego. Co za maniery! Powiedziała tylko, zwracając się prosto do Enli: – Mówisz w cywilizowanym języku. To dobrze. Przywożę rzeczy dla pana Voratura od pułkownika Kaufmana. Na handel. Gdzie mam je zostawić?

Enla była zadowolona, że Kalin nie rozumie słów Pek Heller. Ta kobieta chciała zostawić rzeczy na handel, ot tak! Bez wypicia pelu z Pekiem Voraturem, żeby podlać targ, który właśnie wypuścił pączki! Bez wymiany kwiatów gościnności, bez rytualnych życzeń, oby rozkwiwały ogrody ku uciechu przodków! Na szczęście Kalin nie znał ziemskiego i miał dość dobrych manier, by po prostu stać i patrzeć na Ziemiankę bez mrugnięcia okiem. – Ja zawiozę te towary do Pęka Voratura, Pek Heller. – Lepsze to, niż pozwolić na więcej niedzielonej rzeczywistości pomiędzy Ziemianami i domownikami. – Świetnie – rzekła krótko Pek Heller. – Przekażcie ładunek temu odbiorcy.

Enla domyślała się, że Pek Heller nie dba o to, kto odbierze towary, być może nawet nie aprobeuje tego targu. No ale nie do niej należało aprobowanie czy nie targu zasadzonego pomiędzy Pekiem Voraturem a głową domostwa Ziemian na Świecie, Pekiem Kaufmanem. Różne rzeczywistości to jedno, lecz złe maniery to całkiem co innego. – Towary przekazane – poinformował służący. – Powrót do bazy.

I Ziemianie odwrócili się i odeszli, ot tak. Enla zobaczyła, że Kalin zrobił wielkie oczy i nastroszył grzebień czaszkowy. Natychmiast rozpoznała początki bólu głowy. W odczuciu Kalina była to niedzielona rzeczywistość, a nie inna rzeczywistość. Kalin nawet nie słyszał o tym, że rzeczywistości mogą być różne, o czym Enla dowiedziała się niejako wbrew sobie. W ogóle wiedziała o wielu sprawach, o których Kalin nie miał pojęcia.

Przez krótką chwilę czuła strach.

Przemogła się i powiedziała: – Wejdźmy do środka, żebyś mógł się napić czegoś zimnego. Zresztą muszę dostarczyć te towary Pękowi Voraturowi. – Towary? Pek Voratur zasadził nowego targu z Ziemianami? – Tak. – Jakiego?

Zadając to pytanie, uniósł koc przykrywający wóz i wydał głośny okrzyk. Na wozie leżały ziemskie kwiaty – mnóstwo cudownie dziwnych ziemskich kwiatów z tych, które Enla widziała na dużej latającej metalowej łodzi. Pod kwiatami spoczywały w paskudnych ziemskich pudełkach inne towary, które wytargował Pek Voratur. Nawet po tak długim przestawaniu z Ziemianami Enlę zadziwiało, że ktoś, kto potrafi wytworzyć takie wspaniałe kwiaty, używa równie brzydkich pudełek.

Kalin dziwił się głośno: – Pek Voratur wytargował te wszystkie ziemskie kwiaty? One są jeszcze piękniejsze niż rosiba, którą dostał od Ziemian ostatnio. Co dał im w zamian? I co jest w tych nieładnych pudełkach? – Wejdźmy do środka, Kalinie – powtórzyła Enla. – Powinnam dostarczyć ten wóz Pękowi Voraturowi.

Kalin oderwał spojrzenie od wozu i przeniósł je na Enlę, która poczuła delikatne ciarki w szyjowłosach. Rzekł do niej cicho: – Tęskniłem za tobą, Enlo... – A ja za tobą. – Gofkit Shamloe nie było takie samo po twoim wyjeździe. Chyba nigdy nie będzie, jeżeli tam nie wrócisz. – Chcesz powiedzieć: jeśli nie wrócę do Anu – rzekła zduszonym głosem. – Nie, nie do Anu...

To był dar od Pierwszego Kwiatu, cudowne rozkwitnięcie. Enla zdawała sobie sprawę, że jest pospolita (nie tak jak Anu) – a przy tym za duża, za stara na to, by połączyć się po raz pierwszy. Do tego dochodziła jej historia... Niegdyś została uznana za nierzeczywistą z powodu wielkiej zbrodni: połączyła się z własnym bratem. Oboje uznano potem za nierzeczywistych, a Tabora w dodatku skazano na rozłąkę z przodkami, gdy odebrał sobie życie. Enla uniknęła wiecznej śmierci tylko dzięki temu, że zgodziła się zostać informatorem donoszącym na Ziemian Nadzorowi Rzeczywistości i Pokuty. Udało się jej zapracować na rzeczywistość swoją i zmarłego brata i znów mogła się cieszyć słodczą dzielonej rzeczywistości. Tymczasem Kalin, mimo że znał jej historię i wiedział, ile ma lat, stał obok niej – mężczyzna, z jakim każda kobieta z radością by się połączyła. I nie tylko stał, mówił jeszcze...

Tak, to na pewno dar od Pierwszego Kwiatu, cudowne rozkwitnięcie, rozłożenie płatków przekraczające wszelkie wyobrażenie i nadzieje. – Enlo... – zaczął Kalin w tej samej chwili, gdy i ona się odezwała. – Nie teraz, Kalinie. Później. Muszę dostarczyć te towary Pękowi Voraturowi! – Pomogę ci – powiedział i ujął rączkę wozu. Jak zwykle pragmatyczny, zajmujący się tym, co akurat było do zrobienia, stary dobry Kalin.

Pociągnął wóz w głąb domostwa, opowiadając Enli wieści o Anu, małym Fentilu, najmłodszej Usu i już prawie dorosłej Obrze, a także o reszcie mieszkańców osady. Pek Voratur, z którym rzeczywistością podzielili się służący, wybiegł na zewnątrz, przecinając kolejne rozległe dziedzince i ogrody. – Tak, tak, tu są! Enlo, czy to towary od Ziemiaków? – Tak, Pęku Voraturze. – A gdzie jest Pek Kaufman? – Nie pojawił się.

Grzebień czaszkowy Pęka Voratura zmarszczył się i Enla widząc to, postarała się wyjaśnić wszystko najlepiej, jak umiała. Potem przedstawiła gospodarzowi Kalina, doszło do wymiany kwiatów powitania i gościnności, lecz widać było, że Pękowi Voraturowi śpieszno przyjrzeć się nowym nabytkom. – Enlo, poproś tych, którzy mają udziały, aby przyszli do moich prywatnych komnat. Twój gość może na ciebie poczekać w którymś z ogrodów albo w twoim pokoju.

Enla poprowadziła Kalina do swojego pokoju. Po drodze widziała, jak chłopak zachwyca się bogactwem domostwa Pęka Voratura: wspaniałymi grządkami, długimi zaoblonymi ścianami, łukowatymi oknami zawieszonymi najwspanialszymi tkaninami przywiezionymi z wyspy Seuril. Zastanowiła się, czy Kalin kiedykolwiek był poza Gofkit Shamloe, i doszła do wniosku, że zapewne nie. Ponownie poczuła mrowienie w szyjowłosach. Tyle było rzeczy, o których ona wiedziała, a on nie wiedział...

Na miejscu, w przyjemnym pokoju z kosztownym rzeźbionym drewnianym stołem i wymalowanymi na podłodze zamaszystymi krągłymi wzorami, Kalin ujął ją za obie dłonie, które przyłożył sobie do brzucha. – Enlo, chcę ci coś powiedzieć. – Kalinie, muszę teraz odszukać te osoby, o których wspomniał Pek Voratur... – Słyszałem. Podzielisz się ze mną w pełni rzeczywistością w tej sprawie później. Teraz ja chcę coś powiedzieć tobie, zanim usłyszę cokolwiek więcej od ciebie. Nie rozumiem, co ty masz wspólnego z handlem Pęka Voratura. Niemniej pragnę, abyś... gdy już będzie po wszystkim... wróciła do Gofkit Shamloe razem ze mną, żeby mogła rozkwitnąć między nami ceremonia połączenia przed Pierwszym Kwiatem. Chcę wspólnie z tobą uprawiać ogrody, chcę, żeby nasze dzieci tańczyły na łące w Gofkit Shamloe i żeby nasze kwiecie splotło się w krainie przodków.

Enla przysłuchiwała się utartej formułce. Czuła, jak w jej głowie rodzi się ból – tyle było rzeczy, o których ona wiedziała, a on nie wiedział – lecz nie zwracała na niego uwagi, gdyż był odległy, nieważny w porównaniu z

tym darem od Pierwszego Kwiatu. Być może nazbyt przywykła do poruszania się pomiędzy różnymi rzeczywistościami, których inni nie dostrzegali. Jeśli nawet, to właśnie była jej rzeczywistość. Mogła to zrobić, mogła połączyć się z Kalinem i zatrzymać dla siebie niedzielone rzeczywistości, które dojrzała przez Ziemiań. Tak, mogła to zrobić, mogła zrobić wszystko! – Dobrze – odparła, przykładając obie dłonie Kalina do swojego brzucha. – Rozkwitnie między nami ceremonia połączenia przed Pierwszym Kwiatem. Będziemy wspólnie uprawiali ogrody. Nasze dzieci będą tańczyły na łące w Gofkit Shamloe. Nasze kwiecie splecie się w krainie przodków.

Przysunęli się do siebie i tak trwali, dopóki jak zwykle pragmatyczny Kalin nie powiedział: – No a teraz już biegnij wypełnić polecenie Pęka Voratura.

Nie mogła się powstrzymać przed podzieleniem się z nim jeszcze jedną informacją. – Towary, które widziałeś, są w jednej szesnastej moje. Ośmioro Światan, w tym ja, wzięło udział w targu zasadzonym przez Pęka Voratura z Ziemiańcami. Łączysz się z zamożną kobietą. Pierwsze, co zamierzam zrobić, to sprawić ci nowy rower!

Enla zobaczyła, że grzebień czaszkowy Kalina aż się rozpląszczył ze zdziwienia, lecz już po chwili goniły ją jego radosne okrzyki i śmiech.

\* \* \*

Wśród towarów była mała szklana baryłka z delikatnie pieniającą się ciągliwą substancją, która jak wyjaśnił Pek Voratur, leczyła strupozę. Było niezwykle urządzenie o nazwie luneta, przez które dało się dojrzeć odległe przedmioty. Były komunikatory w liczbie dziewięciu sztuk, po jednym dla każdego. Był ukazany za pomocą starannych rysunków sposób, jak tworzyć metale mocniejsze niż istniejące dotychczas. Pek Voratur stwierdził, że rysunek jest najwartościowszym z ziemskich towarów, lecz pozostali uczestnicy wycieczki małą metalową łodzią na dużą metalową łódź wcale tak nie myśleli. Wszystkim z wyjątkiem Pęka Voratura i Enli najwartościowsze wydawały się kwiaty, zdumiewające kwiaty z zadziwiającymi płatkami i o wspaniałych kolorach, ziemskie kwiaty, które każde domostwo i każda osada chciałaby mieć w swoich ogrodach.

Dziewiątka podróżników siedziała w prywatnej komnacie Pęka Voratura i przysłuchiwała się, gdy wyjaśniał, co dalej stanie się z towarami, ile wyniesie zysk, wreszcie jak dużo i kiedy dostaną. Rozglądając się, Enla spostrzegła, że tylko nieliczne osoby naprawdę słuchają, co ma do powiedzenia Pek Voratur. Z pewnością uważała jedna kobieta pracująca dla Pęka Voratura oraz druga, ta, która krzyknęła na swoim posłaniu na latającej łodzi. Ale już na przykład ogrodnik był bardziej zainteresowany



ogłędzinami ziemskiego kwiatu łącznie z pączkami i korzonkami. Murarka bawiła się swoim komunikatorem. Czeladnik tkactwa wodził wokół nieprzytomnym wzrokiem. A najmłodsza z nich wszystkich Essa Pek Kriltifor, która biegła, śmiała się i ukrywała razem z ziemską dziewczynką Sudie, zdawała się bardziej skoncentrowana na brzydocie ziemskich pudełek niż na przyszytych bogactwach, które obiecywał im Pek Voratur.

Wtem Enla, która także przestała słuchać, ponieważ myśli miała wypełnione Kalinem, zobaczyła, że w otwartym łukowatym wejściu stoi Pek Sikorski.

Ziemianka sprawiała wrażenie mniejszej, bardziej zmęczonej i nawet bledszej od kurzu drogi niż normalnie. Wpatrywała się w ziemskie towary, które krążyły z rąk do rąk po całym pomieszczeniu. Nikt jej nie zauważył poza Enlą, która wymknęła się po cichutku na zewnątrz. Rower Ziemiarki leżał nieopodal; Pek Sikorski musiała przyjechać na nim od bramy aż tutaj, co było pogwałceniem dobrych manier, o jakie Enla nigdy by jej nie podejrzewała. Mimo to Enla podprowadziła Ziemiankę do ławki stojącej pod imponującej wielkości drzewem sady. – Pek Sikorski? – Gdy nie otrzymała odpowiedzi, wbrew sobie użyła dziecięcego imienia Ziemiarki. – Anno? – Odlecieli, Enlo. Przynajmniej niektórzy, w tym Pek Kaufman. Reszta odleci w ciągu najbliższych dni. Aż nikt nie zostanie. – Wszyscy Ziemianie odlecą? Dokąd? – Z powrotem na okręt. A potem na Ziemię. – Nawet Pek Gruber? Ten, z którym się połączyłaś? – Nawet Pek Gruber – potwierdziła Pek Sikorski głosem nabrzmiałym z gniewu, którego Enla nie rozumiała.

Zapytała więc: – Zostawili cię tutaj? Samą? Dlaczego? – o ja zdecydowałam się zostać. Posłuchaj, Enlo, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia...

Zapach drzewa sady o woskowo-różowych niezwykle wonnych kwiatach napływał wraz z ciepłym powietrzem do nozdrzy Enli. Pomyślała nagle, że odtąd będzie go kojarzyć z tym, co Pek Sikorski zaraz jej powie. Woń sadytiby, taka piękna i słodka, dla niej zepsuta raz na zawsze...

Pek Sikorski spytała ją: – Pamiętasz, jak ostatnio Ziemianie zabrali Tasa z nieba? Na pewno pamiętasz. Kiedyś mieliście siedem księżyców, a potem zostało ich tylko sześć.

Enla potwierdziła gestem. – Powiedziałam ci wtedy, że Tas nie był prawdziwym księżycem. Był to wyrób, który wyszedł spod ręki rasy, o której dziś nikt już nawet nie pamięta. Co więcej, w górach Neury spoczywał podobny obiekt, tyle że znacznie mniejszy i zakopany pod powierzchnią, lecz zrobiony z tego samego materiału przez te same dawno zapomniane istoty. Tym razem Pek Kaufman i inni Ziemianie wydobyli zakopany obiekt i zabrali go z powierzchni Świata na pokład latającej łodzi. Chcą wziąć go ze sobą na Ziemię. – Dlaczego? – zapytała Enla.

Przecież Ziemianie nie powinni niczego zabierać ze Świata, nie zasadiwszy uprzednio targu ze światkańskimi kupcami. A już na pewno nie powinni niczego zabierać z gór Neury, które były domem Pierwszego Kwiatu. Mimo to Enla nie rozumiała, czemu Pek Sikorski tak wygląda, czemu sprawia wrażenie... pokonanej. – Zabiorą go na Ziemię, ponieważ wydaje im się, że mają dla niego zastosowanie. Ale to jeszcze nie wszystko, Enlo... Pamiętasz, jak ty i Pek Voratur polecieście ze mną na pokład dużej metalowej łodzi? Pamiętasz?...

Enla odrzekła powoli: – Wtedy zniknęła gdzieś dzielona rzeczywistość. Zamiast niej pojawiły się różne rzeczywistości dla różnych osób.

Nie lubiła o tym myśleć. Była to jedna z rzeczy, o których nie wiedział Kalin. – Właśnie. I to się teraz powtórzy. Enlo, to ten zagrzebany artefakt wywołuje dzieloną rzeczywistość. Gdy zostanie zabrany ze Świata przez małą meta Iową łódź, dzielona rzeczywistość znowu zniknie, tak jak się stało na pokładzie okrętu. Tylko że tym razem już nigdy nie wróci.

Enla dotknęła głowy Pek Sikorski tuż poniżej miejsca, w którym zaczynały się dziwne włosy. Nie, Pek Sikorski nie miała gorączki, mimo że wyglądała na bardzo chorą. Nie była też nierzeczywista – Enla przeżyła zbyt wiele, aby wierzyć w takie rzeczy. Ale można być chorym i bez gorączki! – To wszystko szczerą prawdą, Enlo! I już się dzieje! – Powinnaś się położyć. Chodź, zaprowadzę cię do swojego pokoju.

Zbyt późno sobie przypomniała, że jest tam już Kalin. – Muszę pomówić z Pekiem Voraturem – rzekła ze znużeniem Pek Sikorski. – A on będzie musiał wezwać kogoś z obsługi wieży luster. Światanie muszą się dowiedzieć, co ich czeka. Nie zostało już wiele czasu...

Enla stwierdziła łagodnym tonem: – Pek Voratur nie zechce dzielić tej rzeczywistości. – Owszem, zechce. Nie widziałas go na pokładzie okrętu? Gdy zniknęła dzielona rzeczywistość, był gotów was wszystkich oszukać. On jeden zrozumie... „Oszukać” było ziemskim słowem. Enla nie miała pojęcia, co ono znaczy.

W tym momencie zabręczał komunikator Pek Sikorski. Gdy Pek Sikorski puknęła w niego palcem, rozległ się głos Pęka Kaufmana: – Anno, dzwonię, aby cię poinformować, że zaraz odlatujemy. – Żegnaj, Lyle – powiedziała Pek Sikorski. – Nie przejmuj się nami.

Ponownie puknęła palcem w komunikator i spojrzała prosto na Enlę. Jej dziwna ziemską twarz zapadła się w siebie. – Za późno... – szepnęła.

\* \* \*

Z początku wyglądało na to, że Pek Sikorski się pomyliła. Nic się nie stało.

Enla zaprowadziła ją do części domostwa, którą Ziemiańska zajmowała przy poprzedniej wizycie, w pobliżu muru, gdzie na zacienionych grządkach pod oknem rosły kwitnące olliniby. Pek Sikorski wprawdzie protestowała, że nie będzie mogła zasnąć, ponieważ ta sprawa jest ważniejsza od jej snu i nie ma znaczenia, iż nie odpoczywała od dwóch dni. Trzy uderzenia serca później była pogrążona w głębokim śnie.

Enla wróciła do swego pokoju i do Kalina. Nie zastała go tam. Odnalazła go na dziedzińcu służących, gdzie kucał z dwoma innymi mężczyznami i jakimś chłopcem, grając w klenta. Gładkie wypolerowane kamyki potrzebne do gry zostały wyłowione z sadzawki pośrodku dziedzińca, obrośniętej dokoła jaskrawymi kwiatami i zapewniającej ochłodę w gorące dni. Przyglądając się roześmianej grupce, Enla poczuła, jak wstrzymany oddech rozpira jej pierś.

Jej. Kalin był jej.

Och, Taborze...

Tę ostatnią myśl szybko od siebie odepchnęła. Tabor radował się pośród przodków i przestał nawiedzać Enłę nawet w snach. Nadeszła pora, aby i ona zaznała radości.

Zagwizdała cicho, nucąc melodię z dziecięcej gry, w którą się bawili w Gofkit Shamloe, i Kalin podniósł wzrok. Uśmiechnął się i gestem zaprosił, aby podeszła. – Popatrz, Enlo. Wygrywam. Mam już tyle, że stać mnie na kupienie nam dobrego wieczornego posiłku.

Jeden z graczy, stary Bafil Pek Honimor, pasterz dzikibów, zaśmiał się. Drugi, którego Enla nie знаła z imienia, nastroszył szyjowłosa. Ujął trzy ciemne kamyki i rzucił je pomiędzy jasne. – Lii! – zakrzyknął chłopiec. Z tego wynikało, że grają w „księżycową” odmianę gry. Enla mimowolnie pomyślała o Tasie, księżycu, który zniknął. Czy ten fakt wpływał jakoś na grę?

Gburowaty mężczyzna ponownie rzucił kamykami. – Obri! – zawołał chłopiec. – Znowu przegrałeś, Justafar! A Kalin wygrał!

Grzebień czaszkowy stanął na sztorc Justafarowi, który sięgnął do kupki pieniędzy po jednej stronie kamyków. Starzec znowu się roześmiał; Justafar musiał być znany z tego, że nie lubi przegrywać. Dobrze usposobiony do wszystkich Kalin, nie przestając się uśmiechać, nakrył dużą dłonią kupkę pieniędzy. Justafar zamierzył się pięścią i wyrznął Kalina w kark.

Jednakże to, co najdziwniejsze, stało się dopiero potem.

Nic się nie wydarzyło.

Cios Justafara powinien spowodować oślepiający ból głowy, który zakończyłby sprzeczkę. W dzielonej rzeczywistości nikt nie mógł uderzyć drugiej osoby, nie dostając bólu głowy, albowiem uderzenie łamało dzieloną rzeczywistość. Ktoś chciał uderzyć, ale ktoś inny nie chciał zostać

uderzony. Trzej mężczyźni, chłopiec i Enla powinni się trzymać za głowy pękające z bólu. Walka powinna się zakończyć, nim na dobre się zaczęła. Dzielona rzeczywistość powinna powrócić...

Tymczasem oni patrzyli tylko na siebie nawzajem, oszołomieni brakiem bólu głowy. W końcu chłopiec zakrzyknął przerażony: – Jestem nierzeczywisty!

Kalin odwrócił się ku Enli, robiąc zdumioną minę. I wtedy Justafar uderzył go ponownie.

Dwaj mężczyźni wdali się w niemrawą bójkę; żaden nie miał doświadczenia. Justafar wymierzał cios za ciosem, ponieważ był zagniewany, ponieważ był przestraszony, ponieważ świat nie tak powinien wyglądać. Kalin z początku tylko się bronił, lecz gdy zrozumiał, że przeciwnik naprawdę stara się zrobić mu krzywdę, zaczął się bardziej przykładać. Był młodszy i silniejszy. W pewnym momencie trafił pięścią w skroń Justafara, który padł jak długi i znieruchomiał. Enla zauważyła, że nikt – ani ona, ani Kalin, ani stary Pek Honimor, ani chłopiec, ani ci, którzy wybiegli z budynków otaczających dziedziniec nie czuje bólu głowy. „Dzielona rzeczywistość znowu zniknie, tak jak się stało na pokładzie okrętu. Tylko że tym razem już nigdy nic wróci”. – Łaaa! – rozdarł się ktoś.

Enla od małego znała ten dźwięk. Tak krzyczał ktoś, kogo dzikib przestał dawać mleko albo komu zachorowało dziecko lub czyj krzew z jakiegoś powodu nie zakwitł. Jednakże nigdy, bez względu na to, kto krzyczał, okrzyk ten nie brzmiał w ten sposób. Enla pomyślała, że krzyk mężczyzny jest do pewnego stopnia ziemskim krzykiem, samotnym, niepewnym i rozpaczliwym. I że już nigdy nie ustanie.

## 20.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

Thomas Capelo przyznał niezmordowanemu inkwizytorowi, pułkownikowi Kaufmanowi, że rozważanie zagadnień z zakresu fizyki przypomina grę w szachy: odbywa się na poziomie niezwerbalizowanym, modelowym, rozgałęzionym. Nie była to prawda. Opinia Kaufmana dotyczyła świata materialnego, a jego sposób myślenia był schludny, poukładany i powtarzalny. Być może niektórzy fizycy myśleli tak samo. Jeśli tak, Capelo nie sądził, aby osiągnęli sukcesy.

Tymczasem świat materialny nie zawsze był schludny, poukładany i powtarzalny. Od mniej więcej dwustu pięćdziesięciu lat, gdy fala stała się

cząstką, a cząstka stała się niemierzalna w odniesieniu do wszystkich swoich własności naraz. A w ostatnim stuleciu świat materialny skomplikował się jeszcze bardziej: doszły rozedrgane niteczki, grawitony, przestrzenie Calabiego-Yau oraz drobne, lecz o sporym zasięgu pola siłowe, które dodatkowo namieszały w kwantowym tyglu. Ilekroć fizycy się zbierali i dochodzili do wniosku, że dane zjawisko jest niemożliwe, jakiś geniusz przeprowadzał eksperyment albo rozwiązywał równanie, które świadczyło o czymś wręcz przeciwnym. „Nigdy niczego nie zrozumiemy, dopóki nie natkniemy się na sprzeczności”, powiedział legendarny Bohr. Sprzeczności były sednem odkryć: eksperymenty, które przeczyły teorii; równania, które przeczyły teorii; teorie, które przeczyły teorii... Sprzeczności oraz intuicja.

Koledzy Thomasa Capelo skarżyli się, że nie potrafi wyjaśnić, w jaki sposób doszedł do swoich wyników, oraz że upiera się przy prawdziwości swoich wyników, zanim stworzy równania, które je tłumaczą. Capelo miał ich wszystkich za głupców. W fizyce nie chodziło o przedstawienie argumentów jak po sznurku – od tego byli inżynierowie. W fizyce chodziło o ogarnięcie rozumem natury całości choć przez krótki wspinały moment. Dostrzeżenie kątem oka tego, co przez cały czas umykało, wyrwanie się poza klatkę konwencjonalnego myślenia, wyjrzenie za przelotnie rozświetlone okienko. By potem w pocie czoła tropić, do czego ten przebłysk prowadzi. Nie miało to wiele wspólnego z szachami; prędzej z zakochaniem.

I podobnie jak miłość, fizyka wiązała się z obsesją, poświęceniem, krótkowzrocznością i ogromnym cierpieniem. Capelo wpatrywał się z zachwytem w pewne aspekty obiektu swego uczucia, odwracając spojrzenie od innych i wiedząc, że nie zdoła zawsze utrzymać odwróconego wzroku.

Tak właśnie pracował Tom Capelo, lecz czy mógł to wytłumaczyć temu biurokracie Kaufmanowi? Oczywiście nie mógł. A Kaufman nie potrafił niczego zrozumieć, mimo że bardzo się starał. Tak naprawdę pułkownik był – pomimo stopnia i władzy – miłośnikiem nauki, co Capelo w głębi ducha uważał za żałosne. Współczuł tym, którzy pozostając na zewnątrz, rozpaczliwie pragnęli się dostać do kręgu wtajemniczonych; którym brakowało zdolności, aby oddać się w pełni temu, co tak ich fascynowało. Bywały chwile, że Capelo nie potrafił znieść obecności Kaufmana.

Doceniał jednak, że Kaufman nie próbował mówić mu, co ma robić. Nawet gdy zdecydował, że trzeba oddać artefakt, po prostu zajął się stroną techniczną przedsięwzięcia.

Naturalnie to miało najmniejsze znaczenie. Najbardziej liczyło się owo ogarnięcie rozumem natury całości, nagłe dostrzeżenie tego, co uzasadniało przyjęty tok myślenia. Na razie Capelo czegoś podobnego nie doświadczył. Okienko pozostawało czarne. – No więc – odezwał się Kaufman do zgromadzonych na pokładzie obserwacyjnym naukowców – Grafion

wyraził zgodę. Odstawimy artefakt na pierścień na tamtej polanie. – Szkoda, że nie byłem świadkiem waszej rozmowy – rzucił Albemarle.

Kaufman go zignorował.

– Technicy przechwycą i przekierują artefakt. Wszyscy wybierający się na powierzchnię planety powinni stawić się w służbie wahadłowca za trzy godziny. Tom, polecisz? – Mam do wykonania testy tutaj – burknął fizyk. – Harold?

Albemarle zawahał się, nim odpowiedział: – Zostanę. – W takim razie ja polecę – odezwał się ochoczo Gruber. I zaczął zadawać pytania natury technicznej, których Capelo już nie słuchał.

Kłopot z największym fenomenem fizyki kwantowej polega na tym, że dany układ przez jakiś czas jest zarazem falą i cząstką, ale w chwili gdy zostaje zaobserwowany, staje się albo falą, albo cząstką. Dlaczego? Z jakiego powodu obserwator wywiera aż tak wielki wpływ na układ kwantowy? I czemu ów obserwator musi być bądź istotą obdarzoną inteligencją, bądź wytworem inteligencji? Po co układowi w ogóle jakiś obserwator, czynnik zewnętrzny?

Oczywiście można było na to spojrzeć z innej strony. Fala załamuje się nie przez obserwatora, lecz przez to, że urządzenie pomiarowe – czymkolwiek ono jest – w jakiś sposób wymusza na krzywiznie czasoprzestrzeni pewną niezwykle małą, lecz kluczową zmianę. O jaką wartość jednak chodzi? I jak to się dzieje?

Tunele czasoprzestrzenne przenosiły duże masy – nie większe jednak niż sto tysięcy ton – na wielkie odległości, i to praktycznie natychmiast. Przyjętym wygodnym określeniem wytrychem w tym przypadku było „splątanie w świecie makro”, które jednak nic konkretnie nie znaczyło. Jak niby coś większego od elektronu może się wyrwać zasadom fizyki klasycznej i nagle zacząć się stosować do zasad fizyki kwantowej? A w ogóle: jeśli artefakt jest z czymś splątany, co to jest? I gdzie się znajduje? Jak, u licha, działa splątanie w świecie makro?

I trzecie okienko, przez które można było próbować zajrzeć: prawdopodobieństwo. Fizyka sama w sobie ulegała prawdopodobieństwu. Od dwudziestego wieku było jasne, że wszystkie modele wszechświata są prowizoryczne, a większość zaledwie częściowa. Od szczegółu do ogółu jeszcze daleka droga.

Na mniejszą i konkretniejszą skalę widać było wyraźnie, że pewne zdarzenia oparte są na prawdopodobieństwie: mogą wystąpić albo nie. W wielu przypadkach było to nawet udokumentowane. Na przykład istniało siedemnaście procent szans na to, że x się wydarzy w ściśle określonych warunkach. I pięćdziesiąt trzy procent szans na to, że y się wydarzy w ściśle określonych innych warunkach. I tak dalej. Natomiast nie było wiadomo,

dłaczego x się wydarza z siedemnastoprocentowym prawdopodobieństwem. Brakowało odpowiednich równań.

Niemniej w wypadku artefaktu musiały wchodzić w grę zmienne pola prawdopodobieństwa. Bez dwóch zdań. Fala destabilizacyjna wpływała na oddziaływanie silne w jądrze atomowym o masie wyższej niż siedemdziesiąt pięć, powodując wyemitowanie cząstki alfa. A może wcale nie na oddziaływanie silne bezpośrednio, lecz na prawdopodobieństwo decydujące o tym, ile dane jądro wyemituje cząstek alfa?

Ale jak u licha można manipulować prawdopodobieństwem? Nikt nie potrafił go nawet opisać, a co dopiero mówić o powodowaniu nim. Coś takiego przeczyło każdej istniejącej teorii. Capelo był w posiadaniu masy danych otrzymanych w wyniku doświadczeń swoich i Syree Johnson, które jawnie przeczyły teorii. Jak dotąd jednak nie przyczyniły się one do żadnych postępów w jej zrozumieniu. Nie było widać światełka za okienkiem. – Tom? – powiedział Kaufman. Sądząc z tonu, nie po raz pierwszy. – Słyszałeś, o co pytałem? – Nie. – Pytałem, czy coś zjesz. – Nie.

Opuścił pokład obserwacyjny, aby odszukać Amandę i Sudie.

Były w kajucie razem z Jane Shaw. Ku swemu zdziwieniu Capelo zobaczył, że Jane wygląda na zdenerwowaną. Sprawa musiała być więc poważna. Jane nie ulegała zdenerwowaniu – była niewzruszoną opoką, dzięki której wszyscy troje trwali. – Tatuś! – krzyknęła Sudie, rzuciła się ku niemu i wybuchnęła płaczem.

Capelo wziął ją na ręce i przytulił. Ponad ramieniem córki posłał pytające spojrzenie w stronę Jane, która odparła: – Śnią się jej koszmary. Od kilku dni. W najlepszym razie przesypia dwie godziny z rzędu... – Jakiego rodzaju koszmary? – Nie chce powiedzieć – wzruszyła ramionami Jane. Wycie Sudie przybrało na sile, uniemożliwiając dalszą wymianę zdań.

Capelo zasiadł w głębokim fotelu i zaczął kołysać córkę. Przemawiał do niej pieszczotliwie, poklepywał ją po plecach i gładził jej sprężyste ciemne loki. Gdy Amanda stanęła obok, poklepał i ją. Była taka poważna, taka cicha. I miała bladą twarzyczkę zdecydowanie za ponurą jak na dziesięciolatkę.

Trochę to trwało, lecz w końcu Sudie zasnęła w ramionach ojca. Capelo szepnął wtedy do Amandy: – O czym są te jej koszmary?

Amanda odszepnęła: – Nie wiem, tato. Sudie twierdzi, że nikomu nie może powiedzieć. – Nie może? – Tak twierdzi. – Kiedy się zaczęły? – Zaraz po tym, jak na pokładzie byli Światanie i Sudie bawiła się z taką jedną dziewczyną w ogrodzie.

Capelo poprawił sobie Sudie na kolanach, po czym starając się zapanować nad swoim głosem, zapytał: – Jane, dlaczego moja córka bawiła się ze Światanką? – Dowiedziałam się o tym dopiero po fakcie – odparła Jane. – Podobnie jak o wycieczce Światan na okręcie. Puściłam dziewczynki

do ogrodu z Marbet Grant... Zapewne pamiętasz, że przekonałeś je, by pozostały na pokładzie bez ciebie, obiecując, że spotkają się z Marbet?

Capelo skinął głową. – No więc Marbet zabrała je do ogrodu, gdzie później pojawiła się doktor Sikorski z trójką Światan, w tym z jedną młodą dziewczyną.

Amanda podjęła opowieść: – Tak, a ja rozmawiałam z taką miłą Światanką, która mówiła po naszymu, ona ma na imię Enla, ale Sudie i tamta światkańska dziewczyna zachowywały się okropnie... -Zaczerpnęła tchu i kontynuowała już spokojniej: – Biegały jak wariatki i bawiły się w chowanego, a nawet rzucały liśćmi i orzechami z czubków drzew. Sudie zawsze przynosi mi wstyd, tato. To niesprawiedliwe...

Capelo skierował myśli Amandy na właściwe tory. – Czy tamta Światanka uderzyła Sudie? Albo jakoś inaczej ją skrzywdziła? Albo dała jej coś dojedzenia lub picia? – Nie, nie... One tylko się bawiły. Sudie wyglądała na zadowoloną aż do nocy, gdy przyśnił się jej pierwszy koszmar. Od tamtej pory koszmary powtarzają się co noc.

Jane dodała niechętnie: – Czasami popłakuje przez sen, a czasami coś mówi. Ale jedyne słowo, jakie wychyciłam, to „mamusia”.

Capelo spojrzał na Amandę. W jej oczach błyszczały łzy. Uwolnił jedno ramię i objął także starszą córkę. – Przykro mi... – szepnęła Jane. – To nie twoja wina – odrzekł Capelo, widząc, że opiekunka w niczym nie zawiniła.

Mimo to rozpierała go złość. Amanda i Sudie przeszły dosyć, gdy zmarła ich matka. Ciało Karen przecięte na pół promieniem lasera ze ślizgu Fallerów, którzy byli nazbyt tchórzliwi, by zejść na powierzchnię i wdać się w walkę z żołnierzami... Jego łagodna żona i dwie córeczki... Sudie wołała potem matkę całymi miesiącami. W końcu doszła do siebie i nawet znów zaczęła się śmiać i przesypiać noc do rana. A teraz koszmary wróciły spowodowane przez obecność innych Obcych, cóż z tego, że nie Fallerów... – Proszę – zwrócił się do Jane – weź ode mnie Sudie. Utnę sobie pogawędkę z Marbet Grant.

\* \* \*

Capelo spodziewał się zastać Marbet w kajucie. Nie było jej tam jednak. Podobnie jak w mesie, ogrodzie ani w sali gimnastycznej. Zajrzał nawet do kaplicy – cała ta otoczka wokół Wrażliwców jego zdaniem nie odbiegała zbyt od mistycyzmu, a już na pewno daleko jej było do nauki. Kiedy i tam nie znalazł Marbet, wrócił na pokład obserwacyjny.

I znowu pudło. – Cześć, Tom – zagadnął go Kaufman. – Przyszedłeś obejrzeć przedstawienie?

Za ekranami roboty zaciągały artefakt do wahadłowca. – To rutynowa operacja – stwierdził Capelo. – Gdzie znajdę Marbet Grant?



Kaufman odwrócił się do niego.

Czyżby na tej nijakiej twarzy pojawiło się napięcie? – Marbet Grant? – Tak, ja. No wiesz, naszego drobniutkiego Wrażliwca, którego nikt nie widział od wielu tygodni.

Kaufman się uśmiechnął. – To nie do końca prawda. Jak zapewne pamiętasz, przyleciała na powierzchnię, żeby obejrzeć artefakt z bliska. Poza tym ja widuję ją przez cały czas. – No to gdzie jest?

Do tej chwili zdążyli się znaleźć na obrzeżach grupki, poza zasięgiem słuchu zebranych. Jak Kaufman to zrobił? Capelo poczuł narastający gniew. Nie lubił, gdy ktoś nim manipulował. – Zatem szukasz Marbet Grant. – Cóż za domyślność. Przebijasz mnie wzrokiem na wylot. Gdzie ona, u diabła, jest? – Czy mogę zapytać, dlaczego jej szukasz? – Nie. Gdzie ona jest?

Kaufman odpowiedział jakby nigdy nic: – Jest niedysponowana. – Niedysponowana? To znaczy chora? Poddana kwarantannie? – Tego nie powiedziałem. Chyba dobrze by było, Tom, gdybyś mi wreszcie powiedział, do czego ci ona potrzebna. Być może będę mógł ci pomóc w jej zastępstwie.

Capelo położył dłoń na ramieniu Kaufmana. Popatrzył mu prosto w spokojne brązowe oczy. I powiedział cicho: – Chcę rozmawiać z Marbet Grant. Nie z tobą. Tylko z Marbet. A teraz przestań ze mną pogrywać i mów, gdzie ona jest.

Kaufman otworzył drzwi. Jakimś cudem rozmawiając, doszli aż tutaj. Wyszedł na korytarz, zmuszając Toma, by uczynił to samo, po czym zamknął za nimi drzwi. – Nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest Marbet. To kwestia bezpieczeństwa. Tajne łamane przez poufne. Wierz mi, powiedziałbym ci, gdybym mógł. Jak wiesz, Marbet Grant pracuje przy wyodrębnionym projekcie dotyczącym Obcych... nikt tego od początku nie ukrywał... i naprawdę nie wolno jej przeszkadzać. – Tajne? Co ci zwariowani na punkcie kwiatków Obcy mają wspólnego z procedurami bezpieczeństwa? Przecież nie przysparzają najmniejszych problemów! – To prawda – zgodził się z nim Kaufman. – Jak dotąd.

Capelo odniósł wrażenie, że tym razem pułkownik nie kłamie. – Spodziewasz się problemów z ich strony? – Obawiam się, że nie mogę się wdawać w szczegóły dotyczące tego projektu. W każdym razie Marbet naprawdę nie wolno przeszkadzać. Może jednak zdołam ci jakoś pomóc?

– Przekaż Marbet, żeby trzymała się z dala od moich dzieci. Zabrała je do ogrodu w tym samym czasie, gdy Anna przyprowadziła tam Światan, i wydarzyło się coś, co spowodowało u Sudie nawrót koszmarów i nocnych płaczów.

Spojrzenie Kaufmana się wyostrzyło. – Co dokładnie zaszło? – Nie wiem. Sudie jest zbyt zdenerwowana, aby opowiedzieć o tym. Na pewno jednak nie chcę, żeby to... cokolwiek to było... powtórzyło się... Marbet Grant ma się trzymać z dala od Sudie i od Amandy. Tak samo jak Anna Sikorski. –

Myślę, że mogę ci to obiecać, Tom. Doktor Sikorski została na Świecie, wiesz? – Została na Świecie?...

A więc to dlatego Gruber był taki chmurny! Boże, ludzie jednak potrafią marnować sobie życie...

Kaufman dodał tytułem wyjaśnienia: – Oponowała przeciwko zabraniu artefaktu z powierzchni planety i zniszczeniu dzielonej rzeczywistości. – Mimo że nawet nie wiemy, czy ta przeklęta kulka wywołuje tę waszą tak zwaną dzieloną rzeczywistość! – Też jej to mówiłem – pokiwał głową Kaufman.

Z tym człowiekiem nie sposób było dojść do ładu. Potakiwał, uśmiechał się i równocześnie uciekał w uprzejme dygresje, niezmiennie manipulując rozmówcą i wszystkim dokoła. Kłótnia z nim przypominała kłótnię z wiatrem. Przynajmniej tym razem Capelo osiągnął to, na czym mu zależało. Jego dzieci nie będą miały kontaktu z Marbet Grant ani z Obcymi, dzięki czemu unikną niemiłych niespodzianek. Dlaczego więc czuł się tak, jakby przegrał?

Zabrzączał komunikator Kaufmana. Z urzędnika dobiegł głos oficera dyżurnego: – Pułkownika, obiekt i wahadłowiec są gotowe. Początek operacji za czterdzieści minut. – Dziękuję – odrzekł Kaufman. Zwracając się do Toma, poinformował: – Komandor Grafion wyraził zgodę na twój test. Za półtorej godziny znajdziemy się na idealnej pozycji do otwarcia ognia. – Rozumiem. – Capelo ze spokojem przyjął ten fakt do wiadomości. – Dziękuję, Tom – dodał Kaufman, jakby to Capelo wyświadczył mu przysługę.

Wiatr, pomyślał Thomas Capelo. Na głos zaś powiedział: – Ależ bardzo proszę, Lyle.

Kaufman zignorował jego sarkazm i tylko się uśmiechnął. Kaufman przyglądał się, jak wahadłowiec z ładunkiem w sieci z nanowłókien odrywa się od Alana B. Sheparda. W ciągu paru chwil jednostka zmieniła się w malejącą kropkę.

Udało mu się powstrzymać Toma Capelo przed rozniesieniem okrętu w pył przy okazji poszukiwań Marbet Grant – do czego fizyk, jak Kaufman podejrzewał, był jak najbardziej zdolny. Niemniej sam problem Marbet Grant nie zniknął i nadal przyprawiał pułkownika o ból brzucha. Kaufman musiał się dowiedzieć, co – o ile w ogóle cokolwiek – odkryła Marbet na temat artefaktu, komunikując się z Fallerem. A następnie zdecydować, czy jest jeszcze coś do odkrycia, i jeśli decyzja będzie pozytywna, rozpatrzyć wagę dalszych odkryć i zagrożeń, jakie może spowodować panna Grant.

Nie, nie zagrożeń. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Co też Kaufman zrobił przy aresztowaniu, zarzucając Marbet zdradę. Ta kobieta świadomie przekazała wrogowi niezwykle cenną, obwarowaną przez armię obostrzeniami wiedzę, nie bacząc na to, że toczy się wojna.

Kaufman miał półtorej godziny. Udał się do brygu.

Na okręcie klasy Alana B. Shepada bryg składał się z dwóch pomieszczeń: przedsionka i celi. Gdy na pokładzie nie było więźniów – czyli przez większość czasu – przedsionka używano jako składziku. Gdy pojawiał się więzień, skrzynie ładunkowe zamieniały się w biurko i krzesło dozoruującego żandarma, aczkolwiek w wypadku pomniejszych przewinień na ogół rezygnowano ze strażnika. Obydwa pomieszczenia były zabezpieczone elektronicznie. Kaufman otrzymał kody dopiero po aresztowaniu Marbet. Wcześniej nawet nie przypuszczał, że będą mu potrzebne.

Żandarm zerwał się na nogi i zasalutował wchodzącemu oficerowi. – Sir! – Spocznijcie, sierżancie. Czy komandor Grafion autoryzował mój pobyt w celi więźnia? – ak jest, sir! Członkowie zespołu projektu specjalnego mają prawo wstępu, sir!

Kaufman przyjrzał się żandarmowi uważniej i zobaczył, jak bardzo jest młody. Zapewne była to jego pierwsza misja. Żółtodzioby zawsze dostawały najnudniejsze zajęcia.

Kaufman wyminął żandarma i przeszedł do celi. Było to pomieszczenie mierzące trzy metry długości i dwa szerokości, z koją, sedesem i umywalką. Marbet ubrana w zielony kombinezon, siedziała na brzeżku koi. Pisała coś ołówkiem na papierze. W brygu nie dopuszczano do użytku e-tabletów. Obok niej na koi stała taca z nienaruszonym posiłkiem. – Witaj, Marbet. – Witaj, Lyle.

Ton jej głosu był obojętny – dobry znak. Kaufman miał nadzieję uniknąć hysterii i wściekłości. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ktoś taki jak Marbet nie poddałby się łatwo podobnym uczuciom. – Muszę zadać ci parę ważnych pytań w związku z twoją pracą. – Czy będę mogła ją potem kontynuować?

Zwięźle i na temat. – Decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła.

Oczywiście kłamał. Zdrada, polegająca na przekazaniu wrogowi tajnych i kluczowych informacji wojskowych, podlegała jurysdykcji komandora Graftona bez względu na to, kto dopuścił się przewinienia. Nie było mowy o tym, aby Grafion uwolnił Marbet – musiał ją przekazać wymiarowi sprawiedliwości Sojuszu Solamego. – Kłamiesz – stwierdziła Marbet. – Spójrz tylko na siebie: kłamiesz i nienawidzisz się za to. – No dobrze – rzekł z westchnieniem, siadając na jej koi, lecz nie nazbyt blisko. – Nie możesz kontynuować pracy. Nie możesz nawet zobaczyć ponownie jeńca. Pozostaniesz w brygu do powrotu na Marsa. Tymczasem jednak muszę się dowiedzieć, co odkryłaś. Ile Faller wie o artefakcie. Pytam oficjalnie, Marbet. A przy tym z myślą o dobru projektu. Będiesz ze mną współpracować? – Oczywiście. Nigdy nie wystąpiłam przeciwko dobru projektu. – Ja ci wierzę. Pozostali nie.

Uśmiechnęła się słabo. – Przynajmniej teraz jesteś uczciwy... Nie mam wiele do przekazania. Obcy rozpoznał artefakt, i to od razu. Rozpoznał też holoprojekcję, co moim zdaniem świadczy o tym, że Fallerowie odkryli, jak korzystać z ustawienia oznaczonego jedyneką. Nic więcej nie zdążyłam osiągnąć. Zamierzałam jeszcze przeprogramować holo- projektor, żeby ukazywał działanie sferycznej fali destabilizacyjnej, i w ten sposób sprawdzić, czy Obcy rozpozna i to. Jednakże wcześniej wy wkroczyliście do akcji. – Czy cokolwiek w zachowaniu Obcego przekonało cię, że nie tylko rozpoznał artefakt ? – Tak. Był zaniepokojony, że wiemy o artefakcie albo wręcz mamy go. Bardzo zaniepokojony. – Coś jeszcze? – Nie. Zabrakło mi czasu...

Jej bliskość zaczynała niepokoić Kaufmana. Marbet spoglądała na niego tak pewnie, bez żalu, jakby rozumiała zarówno swoje, jak i jego położenie. Nie było drugiej takiej kobiety... W nozdrzach czuł jej zapach...

Uśmiechnęła się, a on zrozumiał, że zna jego myśli. Ku swemu rozczarowaniu poczuł, że się czerwieni.

Marbet powiedziała: – Nic nie szkodzi, Lyle. Ja też cię lubię. W innej sytuacji...

Czyżby znowu próbowała nim manipulować? Nie, teraz już nie. A może tylko stara się to sobie wmówić?

Odezwał się gburowato: – Na pewno nie ma nic więcej? – Może jedna rzecz... Ale bardzo ważna. Musisz przekonać Graftona, żeby pozwolił mi porozmawiać z Obcym. – Wykluczone, Marbet. Absolutnie wykluczone. – To konieczne, Lyle. Podkreślam, że Obcy był naprawdę bardzo zaniepokojony faktem, że jesteśmy w posiadaniu artefaktu. – Chyba nie powinno cię to dziwić? – Pewnie nie. Tylko że w moim odczuciu jego zaniepokojenie nie wynikało wyłącznie z odkrycia naszej nowej strategicznej przewagi. On usiłował coś ukryć, Lyle. Coś istotnego, co prawdopodobnie dotyczy artefaktu. – Wiesz co?

– Nie. Wiem tylko, że przecucie mnie nie myli. Źle się stało, że mn ie aresztowałeś. Powinieneś być mnie najpierw wysłuchać, rozważyć wszystkie za i przeciw i na tej podstawie podjąć decyzję, jak masz w zwyczaju. Postąpiłeś inaczej. Wyskoczyłeś z tym aresztowaniem jak Filip z konopi, gdyż przez swoje uczucie do mnie poczułeś się zraniony tym, co zrobiłam. I to był twój błąd, Lyle. Nie mam pojęcia, jak zdołasz go naprawić, jeśli to, co mi opowiadałeś o Graftonie, jest prawdą.

\* \* \*

W drodze powrotnej na pokład obserwacyjny pułkownik Lyle Kaufman przystanął koło tajnej celi, w której przetrzymywano jeńca. Przed drzwiami pełnił straż żandarm wyznaczony przez Graftona. W przedsionku na

ściennych ekranach Kaufman zobaczył, że Faller znowu ma skrępowane wszystkie trzy ręce.

Poprosił system komputerowy o pięciominutowy opis zachowań Obcego od aresztowania Marbet. Komputer streścił się w czasie krótszym niż pięć minut. Faller nie uczynił nic niezwykłego. Przyjmował pokarmy, spał, wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Analizując nagrania, system komputerowy nie dopatrzył się żadnych szczególnych gestów ani min.

Tylko że komputer nie był Wrażliwcem.

## 21. Gofkit Jemloe

Enla siedziała z Kalinem w swoim pokoju w domostwie Voraturów. Zasłony w wejściu i oknach, w pełni rozwinięte, broniły dostępu do środka promieniom słonecznym, więc Enla zapaliła lampę. W całym domostwie większość zasłon była rozwinięta; domownicy zbierali się w małe grupki, jak gdyby utrata dzielonej rzeczywistości była łatwiejsza do zniesienia w towarzystwie innych.

Kalin poprosił: – Opowiedz to jeszcze raz, Enlo.

Enla zmyła już krew, która puściła mu się po bójce z Justafarem, i opatrzyła rozcięcia na głowie i barku. Teraz spod zwojów bandażu na czole spoglądały na nią szczerze pełne zdumienia oczy Kalina, który wyglądał jak dziecko pytające dorosłego, czemu umarło jego ukochane zwierzątko. Od czasu do czasu z głębi domostwa dobiegał czyjś krzyk – niektórzy w ten sposób dawali upust swemu cierpieniu, gdy ich rzeczywistość ulegała takiemu naciągnięciu, że dochodziło do jej pęknięcia.

Być może tylko chwilowego. Być może permanentnego.

Enla uściśnęła dłoń Kalina. – Ostatni raz. Potem muszę iść z wyjaśnieniami do Pęka Voratura. – Dobrze. Ostatni raz. – Wiem to od Pek Sikorski... – Zastanowiła się, czy Pek Sikorski nadal śpi w pokoju gościnnym. Wiedziała, że tak czy inaczej będzie ją musiała obudzić, zanim uda się do Pęka Voratura. Zaczęła mówić szybciej. – Dzielona rzeczywistość bierze się z czegoś niewidzialnego w powietrzu, jak zapach kwiatów. Wdychamy ją razem z powietrzem. Podobnie jak woń kwiatu, dzielona rzeczywistość, którą oddychamy, pochodzi od przedmiotu. Zapach pochodzi od kwiatów; dzielona rzeczywistość pochodzi od wyrobu, który od dawien dawna spoczywał pod powierzchnią w górach Neury. Obiekt ten... – Skoro spoczywał w górach Neury, był darem od Pierwszego Kwiatu. – Być może.

W każdym razie Ziemianie ostatecznie zabrali ten obiekt do dużej latającej łodzi swoją mniejszą latającą łodzią. Dlatego w powietrzu Świata przestał się unosić zapach dzielonej rzeczywistości.

Enla widziała, że Kalin próbuje się zmierzyć z tą informacją. – Ale dlaczego go zabrali? To był dar dla nas od Pierwszego Kwiatu! Po co im nasza dzielona rzeczywistość? Nie mają własnej? – Nie – odparła Enla. – Nie mają. Dziewięcioro Światan, którzy dostali się na dużą latającą łódź, też jej nie miało. – Skoro nie mają własnej dzielonej rzeczywistości, są nierzeczywiści! Nie mają dusz! – Ja nie czułam się nierzeczywista, będąc na dużej latającej łodzi. Nadal miałam swoją duszę. Podobnie jak Pek Voratur, Pek Forbin i Essa Kriltifor. – Oczywiście wyobraźni zobaczyła roześmianą Esę biegnącą z ziemską dziewczynką. – Wszyscy wciąż jesteśmy rzeczywisti i mamy dusze, nawet gdy zabrakło dzielonej rzeczywistości, Kalinie. – Opowiadasz nierzeczywistości przeciwko Pierwszemu Kwiatu!

Enla umilkła. Nie wiedziała, czy Kalin jest zdolny pogodzić się z tą dziwnością zakrawającą na bluźnierstwo. Miała nadzieję, że w końcu się pogodzi. On, oni wszyscy... Nie było innego wyjścia. Tylko że jeśli będzie ją winił za to, co się stało, albo choćby za to, że otworzyła mu oczy, nie będą mogli się połączyć. Enla poczuła ucisk w piersi. Kalin dopytywał: – Ty tylko powtarzasz to, co opowiedziała ci Ziemianka, prawda, Enlo? A jak wiadomo, Ziemianie nie mają dusz. To oni uczynili nam tę straszną rzecz... – Tak – potwierdziła skwapliwie, czując, jak z piersi spada jej wielki ciężar. Kalin winił Ziemian, nie ją.

Teraz wziął ją w objęcia. – Jak możemy sprowadzić ten wyrób z powrotem na powierzchnię Świata? – Nie sądzę, aby to było możliwe, Kalinie. Ziemianie zabrali go daleko, w przestrzeń kosmiczną. My nie mamy latających łodzi, którymi moglibyśmy za nimi podążyć. – To prawda. Och, ci wstrętni, nierzeczywiści, pozbawieni dusz Ziemianie! Mógłbym ich wszystkich pozabijać!

Pek Sikorski.

Enla poczuła strach. Zerwała się na nogi i pociągnęła Kalina za sobą. – Chodź ze mną. Proszę, Kalinie... nie pytaj o nic. To bardzo ważne.

Przebiegła opustoszałe dziedzińce i dotarła do części domostwa przewidzianej dla gości.

Pek Sikorski w dalszym ciągu spała. Cała i zdrowa. Tylko nieliczni domownicy wiedzieli, że tu jest, a jeszcze mniejsza ich liczba poświęcała jej swoje myśli wśród ogólnego zamieszania. Poza tym – co Enla uświadomiła sobie poniewczasie, zmęczona biegiem – wyłącznie ona wiedziała, że to Ziemianie stoją za utratą dzielonej rzeczywistości, za tragedią Świata.

Ona i Kalin.

Na widok śpiącej Pek Sikorski grzebień czaszkowy Kalina nastroszył się, a szyjo włosy zjeżyły. – To jedna z nich! Mogę zabić przynajmniej ją! – Nie! – wykrzyknęła wstrząśnięta Enla.

Nie powinna była go tu przyprowadzać, co też jej przyszło do głowy, żadne z nich nie potrafi już jasno myśleć...

Rzuciła się na Kalina, wcisnęła pomiędzy niego i Pek Sikorski. Chłopak nie miał wiele doświadczenia, gdy idzie o przemoc. Natychmiast opuścił ręce. – Enlo? O co chodzi? – Ona nie jest niczemu winna, Kalinie. Ona chciała, żeby tamci Ziemianie zostawili wyrób na swoim miejscu. Na Świecie. Została z nami, zamiast odlecieć jak reszta Ziemian, ponieważ się jej nie podobało, że zabierają nam dzieloną rzeczywistość.

Kalin potrząsnął głową jak dzikib, który strąca z siebie krople wody. – Nie rozumiem... – Wiem. To niełatwe... – przyznała. Coś w jej głosie musiało do niego przemówić. Kalin był wrażliwym mężczyzną. – Tak, to niełatwe, ukochana. Zwłaszcza dla ciebie, któraś... ty musiałaś... ty mieszkałaś wśród Ziemian. Skoro mówisz, że ta tutaj jest rzeczywista, niech taka będzie dzielona rzeczywistość.

Enla wsunęła się w jego ramiona. Wdzięczność... czuła ogromną wdzięczność. Kalin zaczynał się godzić. Wszystko będzie dobrze...

Nagle Kalin przemówił łamiącym się głosem dziecka: – Enlo... ja... ja nie wiem, jak... jak żyć... teraz...

Nikt z nich nie wiedział. – Nauczmy się, Kalinie – odszepnęła. – Nauczmy się...

Spostrzegła, że Pek Sikorski przebudziła się i słucha ich rozmowy. Enla szybko się wyslizgnęła z objęć Kalina i ukucnęła przy postaniu. – Pek Sikorski, stało się. Dzielona rzeczywistość zniknęła. – Wszyscy zamykają się przed innymi pełni strachu? Krzyczą i zawodzą?

Skąd Pek Sikorski to wie? – Tak. Ale nie o tym chciałam z tobą mówić. Jest coś innego... ważniejszego... Nie możesz powiedzieć Pękowi Voraturowi ani nikomu innemu, że dzielona rzeczywistość zniknęła z powodu Ziemian. Jeśli to zrobisz...

– Jeśli to zrobię, zdecydują, że nic mam duszy, i zabiją mnie. – Wiedziałaś? – zapytała zdumiona Enla. – Tak. Wiedziałam. – Dlaczego więc nie odleciałaś z resztą Ziemian? Z mężczyzną, z którym się połączyłaś, z Pekiem Gruberem? – Nie mogłam – odparła Pek Sikorski. Enla rozumiała jej głęboki smutek, lecz nie powody pozostania na Świecie. Pomyślała, że nigdy nie zdoła w pełni zrozumieć rzeczywistości Ziemian. Nigdy. Pek Sikorski ciągnęła: – Muszę wyjaśnić Pękowi Voraturowi, co się stało. To bogaty i wpływowy mężczyzna. Zdoła uspokoić innych, powstrzymać ich przed buntem... – Ostatnie słowo nic nie mówiło Enli. – Tak, ale... trzeba... trzeba powiedzieć Pękowi Voraturowi, że coś się przydarzyło wyrobowi, który przepęłniał powietrze dzieloną rzeczywistością, i teraz wszyscy muszą

nauczyć się żyć bez niej. Nie wolno mu powiedzieć, że to Ziemianie zabrali wyrób. Powiedz mu, że... – nagle doznała olśnienia – że Ziemianie zobaczyli przez lunetę znacznie silniejszą od tej, którą Pek Kaufman sprzedał Pękowi Voraturowi... że zobaczyli, jak obiekt... umiera. Powiedz, że to była... że to była... – Co by tu wymyślić, żeby wyglądało na twór Pierwszego Kwiatu? – Że to była żywa skała! Nie żaden wyrób, tylko żywa skała, która na oczach Ziemian umarła. I dlatego zniknęła dzielona rzeczywistość.

Pek Sikorski spytała słabym głosem: – Naprawdę sądzisz, że tak będzie lepiej? Światanie łatwiej się z tym pogodzą? – Tak – potwierdziła Enla, bynajmniej nieprzekonana do własnej racji. Przeniósła spojrzenie na Kalina. Jego grzebień czaszkowy był zmarszczony. – Enlo... radzisz Ziemiance, żeby opowiadała nierzeczywiste rzeczy. – Tak. – Nie było żadnego bólu głowy. Ani teraz go nie ma, ani nie będzie potem, podczas rozmowy z Pekiem Voraturem. Enla widziała, że Kalin krzywi się z niesmakiem, uzmystawiając to sobie. Nie było bólu głowy! – Tak będzie lepiej dla wszystkich. – Ale odtąd każdy będzie mógł powiedzieć wszystko! Nawet nierzeczywiste rzeczy! – Tak – powtórzyła Enla. – Nie chcę z wami iść do Pęka Voratura – stwierdził nagle Kalin. – Chcę wrócić do Gofkit Shamloe. Muszę się upewnić, że gleba mojej siostry i mojej matki pozostała dobra.

Enla wstała. – Dam ci ten rower, Kalinie. – Nie chcę roweru od ciebie, Enlo. – Oczy mu pociemniały. – Być może nie ma już dzielonej rzeczywistości. Być może każdy może powiedzieć wszystko. Ale i tak powinno się mówić tylko rzeczywiste rzeczy. Ty powinnaś, Enlo...

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł. Enla stała nieruchomo jak przykuta do podłogi. Bała się, że jeśli choćby drgnie, rozpadnie się na kawałki. Żaden ból głowy nie mógł się równać z tym, co czuła teraz.

Pek Sikorski zakryła twarz rękami.

\* \* \*

Opowiedziały wszystko Pękowi Voraturowi w głębi jego prywatnych komnat, gdzie przebywał ze słabującą żoną Alu, dziećmi i kuzynem w podeszłym wieku. Pek Sikorski przedstawiła wymyśloną nieprawdziwą rzeczywistość: Ziemianie widzieli, jak wielka żyjąca skała umiera w górach Neury. Pek Voratur słuchał uważnie, a Enla patrzyła, jak na jego nalanej natartej olejkami twarzy wykwita wyraz ulgi. Nareszcie coś zrozumiałego. Święta skała stworzona przez Pierwszy Kwiat – bo skoro Pierwszy Kwiat stworzył Świat, mógł też stworzyć żyjącą skałę, prawda? – umiera, jak umrzeć musi wszystko, co kiedyś żyło. W efekcie znika dzielona rzeczywistość. – Oczywiście trzeba przekazać tę wiadomość wszystkim Światanom za pomocą wież luster. Oczywiście, oczywiście... dopilnuję tego. Pęku Trinifil! – ryknął, wzywając nadzorcę służących. – Dzielona



rzeczywistość zniknęła na zawsze? – zapytała słabym głosem Alu Pek Voratur. – Tak – odparła Pek Sikorski, na co Alu Pek Voratur nakryła sobie głowę kocem.

Niełatwo było znaleźć kogoś z obsługi wieży luster. Tak jak przewidziała Pek Sikorski, wszyscy pochowali się w domach. Osada praktycznie zamarła. Nie płonęły ogniska, nikt nie wypasał dzikibów, dzieci nie uganiały się między ogrodami i szopami na rowery. Jednakże w końcu Pek Voratur przemaszerował odważnie przez ścichłą osadę i odnalazł kogoś z obsługi wieży luster. Mężczyzna leżał plackiem przed swoim kwietnym ołtarzem.

Poszczególne wieże znajdowały się w odległości średnio siedmiu cellibów od siebie i otaczały cały Świat wzdłuż równika, który przecinał największy kontynent. W słoneczne dni w wieżach czuwał obsługujący je personel. Przy dobrej pogodzie wiadomość mogła przebyć pół drogi od świtu do zmierzchu. Drugie tyle zabierało jej pokonanie drugiej hemisfery. Istniały też wieże rozgałęziające, oddalone od linii równika na północ i południe, a stamtąd do najdalszych wiosek wiadomości dowozili posłańcy na rowerach. Choć niezwykle rzadko wykorzystywano cały system luster, dało się w krótkim czasie dotrzeć do wszystkich mieszkańców Świata.

Oderwany od kwietnego ołtarza mężczyzna niechętnie wsiadł na rower i popedałował do swojej wieży stojącej na najwyższym wzniesieniu w pewnej odległości od osady. Jakiś czas później Enla, Pek Voratur i Pek Sikorski widzieli rażące błyski rzucane przez lustro, które przechylał obsługujący wieżę. Wiadomość była wysyłana raz po raz. Wreszcie mężczyzna wrócił do Gofkit Jemloe. – Pęku Voraturze, nie ma żadnej odpowiedzi. Personel innych wież także zeszedł z posterunku. Nie jestem w stanie podzielić się z nikim nową rzeczywistością.

Enla, Pek Voratur i Pek Sikorski popatrzyli po sobie nawzajem. W milczeniu udali się w drogę powrotną do domostwa Voraturów.

Służąca pilnująca bramy zniknęła. Ktoś odłamał delikatne rzeźbione drewno zdobiące bramę, a następnie zniszczył bezmyślnie, zaślepiony złością. – No i się zaczęło – powiedziała ze znużeniem Pek Sikorski, używając ziemskiego.

Pek Voratur popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem, lecz pogrążona w smutku Enla domyśliła się, o co chodziło Ziemiance.

\* \* \*

Nazajutrz było już po wszystkim.

Enla przebudziła się pierwsza, bardzo wcześnie, z oczami podpuchniętymi od przerywanego snu. W ustach czuła nieprzyjemny smak. Położyła się spać w prywatnych komnatach Pęka Voratura, podobnie jak

wiele innych osób. Pek Voratur najwyraźniej uznał – zobaczywszy zniszczenia przy bramie – że najlepiej będzie skupić wokół siebie jak najwięcej domowników, którzy dzięki temu być może nie zniszczą niczego więcej. Tak więc co najmniej trzydzieści osób gnieździło się na rozłożonych jedno obok drugiego posłaniach. Enla wytoczyła się ostrożnie ze wspólnej sali do ustronia nieopodal ogrodu, gdzie oddała Światu poranny strumień.

Wracając, natknęła się na mężczyznę, który czekał na swoją kolej. Enla nie rozpoznała go: na pewno nie należał do osób, które spędziły noc we wspólnej sali, właściwie nie nosił nawet tuniki Voraturów. Miał szorstkie dłonie. Wyglądał na robotnika, który nie pasował do domostwa kupca.

Niedelikatnie zepchnął Enlę ze ścieżki. Kątem oka dostrzegł w jej szyjowłosach ozdobę, którą dostała w prezencie od Pęka Voratura. Przyjrzał się uważniej, sięgnął ręką i szarpnął, sprawiając Enli ból w szyjowłosach.

Enla poczuła nagły ból głowy.

Mężczyzna najwyraźniej też, ponieważ upuścił ozdobę i trzymając się za głowę, odtoczył się na bok. W kącie ogrodu zwrócił ostatni posiłek.

Enla oparła się o mur, oddychając ciężko.

Wróciła! Dzielona rzeczywistość wróciła! Ale jak? Czyżby Ziemia przywieźli z powrotem wyrób? Dlaczego to zrobili? I co teraz będzie?

\* \* \*

Pięćdziesiąt tysięcy kilometrów ponad nimi Capelo powiedział: – Teraz!

Z mostka dobiegł głos pierwszego oficera powtarzającego rozkaz. – Otworzyć ogień.

Wiązka protonów wystrzeliła z Alana B. Sheparda w stronę planety. Była wymierzona w góry Neury, parę kilometrów od miejsca, gdzie znów spoczywał artefakt. Dołożono starań, aby moc nie była duża, aczkolwiek i tak powinno się to skończyć wysadzeniem sporej ilości skał. Wcześniej rozmieszczono czujniki: w najbliższej okolicy celu, na pobliskich zboczach, na sondach wiszących na niskiej orbicie, na samym artefakcie.

Kaufman nachylił się ku ekranom. – Nic – stwierdziła Rosalinda Singh. – A u ciebie, Haroldzie?

– Też nic.

Z mostka dobiegł głos pierwszego: – Pułkowniku, promień nie doleciał do celu. Parametry jego zniknięcia pokrywają się z parametrami zarejestrowanymi podczas nieudanych ataków na okręty Fallerów wyposażone w tarczę. – Meldunek był oficjalny, lecz z głosu przebijało podniecenie.

Mieli w ręku odpowiednik systemu obronnego Obcych.

Kaufman rzucił do swego komunikatora: – Dieterze? Zgłoś się.

Znajdujący się na powierzchni planety Gruber odpowiedział: – Zupełnie nic! Mógłbym stać przy samym celu i nawet by mnie nie drasnęło! To tarcza, Tom, tak jak mówiłeś. I chroni całą planetę. – Tego jeszcze nie wiemy – wtrącił Capelo. – Mostek, zwiększać stopniowo siłę ognia. – Otworzyć ogień – rozkazał pierwszy.

Ponownie żadnej reakcji na czujnikach rozmieszczonych na powierzchni planety, na sondach orbitalnych i na mostku. Gruber także niczego nie zauważył.

Na Boga, pomyślał Kaufman, udało się. Mamy tarczę taką samą jak ta, która ochrania okręty Fallerów, tyle że z ustawieniem umożliwiającym ochronę całej planety. To ona zabezpieczyła Świat przed falą destabilizacyjną, która uśmierciła Syree Johnson i usmażyła Nemeter. To koniec... – To jeszcze nie koniec – rzekł Capelo.

Przez następne dwa dni ponawiali ostrzał planety. Wykorzystali każdą broń dostępną na pokładzie. Mierzyli do hemisfery, na której znajdował się artefakt, i do przeciwnej, a także do obu biegunów. Za każdym razem rezultat był taki sam: brak jakiegokolwiek reakcji. Planeta w żaden sposób nie ucierpiała, a wiązka znikwała, jakby jej nigdy nie było.

Trzeciego dnia zrzucili bombę jądrową nad ogromnym północnym morzem. Umieszczone wewnątrz czujniki odnotowały, że detonator zadziałał i rozpoczęła się reakcja łańcuchowa. Niemniej nie została uwolniona żadna energia. W ogóle nic się nie stało.

Kaufman przypomniał sobie werset z jakiejś dawno zapomnianej świętej księgi, a może fragment którejś z przeczytanych książek z historii fizyki. „Teraz stałem się Śmiercią, niszczycielem światów”. Nie, poprawił się w myślach. Staliśmy się zbawcami światów, a przynajmniej Ziemi. Całej planety. Poczuł, że się uśmiecha.

Zbawca światów.

\* \* \*

Urządzili przyjęcie. Przyszli na nie wszyscy: naukowcy, technicy, wojskowi. Pokazał się nawet Grafion – pełen rezerwy, lecz miły dla każdego z wyjątkiem Kaufmana, którego wyraźnie unikał. Lyle to rozumiał. Marbet w dalszym ciągu przebywała w brygu, a jeniec w celi, lecz komandor nie mógł mieć pewności, co pułkownik jeszcze wymyśli. Sam Kaufman tego nie wiedział. Na razie mówił wszystkim, że Marbet Grant odbywa kwarantannę z powodu zarażenia nowym szczepem retrowirusa Ballingera.

Wzniósł toasty za członków zespołu, za okręt, za zaginioną w mrokach dziejów rasę, która pozostawiła po sobie artefakt i tunele czasoprze

strzenne. Przyjęcie było bardzo udane. Tylko dwie osoby źle się bawiły, lecz obydwie wyszły wcześniej.

Dieter Gruber nie zdołał przekonać żony, by dołączyła do reszty zespołu na pokładzie Alana B. Shepada. Oznajmił, że Anna dalej prowadzi swoje badania. Na przyjęciu wypił za dużo i dość wcześnie się ulotnił, by przez komunikator kontynuować kłótnię z żoną.

Drugim ponurakiem okazał się Capelo. Kaufman, który chciał naprawić stosunki między nimi, odczekał, aż Capelo zostanie sam w jakimś kącie. Nie musiał długo czekać. Thomas Capelo nie był aż taką atrakcją, by ludzie do niego Ignęli. – Tom... Jak się miewa twoja córka? Koszmary minęły? – Nie. Są jeszcze gorsze. – Przykro mi to słyszeć. Ale chciałbym pogratulować ci wspaniałego dokonania na niwie nauki. To niebywałe odkrycie.

Capelo obrzucił go obojętnym spojrzeniem. – Naprawdę tak uważasz, Lyle? Naprawdę sądzisz, że to ma coś wspólnego z nauką? Raptem znaleźliśmy czarną skrzynkę i sprawdziliśmy, jak reaguje na różne rzeczy. Nadal nie mamy bladego pojęcia, dlaczego reaguje właśnie tak, a nie inaczej. Nie mam żadnej teorii, żadnych równań, żadnych modeli, nawet żadnej głębszej myśli. Coś mi mówi, że Einstein, Bohr i Yeovil mogą spać spokojnie.

Kaufman umyślnie nie podniósł rękawicy. – Chciałem cię o coś spytać w związku z tym... Oto, co mamy na razie. Jedyńka: broń małego zasięgu. Dwójka: tarcza małego zasięgu. Trójka: broń większego zasięgu. Piątka: tarcza planetarna. Czy twoim zdaniem siódemka okaże się bronią, jak wynika ze wzorca? – Tak. Moim zdaniem siódemka usmaży całą planetę, destabilizując oddziaływanie silne. – A jedenastka i trzynastka? – Gdyby ten wzorzec się sprawdził, jedenastka mogłaby chronić cały układ gwiazdny, a trzynastka usmażyć cały układ gwiazdny, tak jak artefakt Syree Johnson usmażył ten. Z wyjątkiem Świata.

Capelo powiedział to tak spokojnie, że Kaufmana aż przebiegł dreszcz. „Usmażyć cały system gwiazdny”... Stałem się Śmiercią... – Oczywiście – dodał Capelo – tak to wygląda w teorii. Nie możemy przetestować ustawienia oznaczonego trzynastką, chyba że dysponujesz układem gwiazdnym, który by można zniszczyć. Lyle, co wy, żołnierze, zamierzacie zrobić z tym obiektem? Faberowie mają tarczę ochronną na więcej niż jednym swoim statku, co by znaczyło, że powiodło im się bardziej niż mnie, gdy idzie o rozgryzienie zasady działania... w każdym razie zduplikowali to urządzenie, czymkolwiek ono jest. Wy jak na razie macie tylko jeden taki artefakt. Każecie mu bronić całego Układu Słonecznego? Czy zabierzecie go do rodzimego systemu Faberów i bez wcześniejszych testów aktywujecie tam trzynastkę w nadziei, że rozniesie cały ich układ gwiazdny w pył? – Nie ja będę o tym decydował – odparł Kaufman. – Racja. Ty w ogóle nie masz własnego zdania, jak każdy dobry żołnierz wykonujesz rozkazy, zamiast zastanawiać się nad nimi. – Tom... – Ja mam zdanie w tej sprawie. Zabierzcie

artefakt do ich rodzimego systemu gwiazdowego i rozwalcie wszystkich skurwieli.

Kaufman dopiero teraz zdał sobie sprawę, że fizyk albo się upił, albo podchmielił. Wyglądał tak, jakby szczerze wierzył w to, co mówi, aczkolwiek Kaufman nie wątpił, że w normalnych okolicznościach Tom nigdy by czegoś takiego nie powiedział. A przynajmniej nie w ten sposób.

Capelo również to sobie uświadomił po fakcie. – Wybacz, ale to nie jest przyjęcie mojego życia. Lepiej pójde przeczytać córkom bajkę na dobranoc.

Kaufman został sam. Sącząc drinka, rozmyślał o tym, jaką zagadką jest wciąż dla niego Capelo. W tym mężczyźnie było tyle łagodności wobec zachodzących mu za skórę dzieci, tyle niekwestionowanego talentu, tyle jasności spojrzenia na niektóre sprawy. A zarazem potrafił być taki ślepy, taki rozgniewany i rozgoryczony. Thomas Capelo był pełen skrajności.

Capelo uważał się za jedyne go człowieka zdolnego ogarnąć implikacje wynikające z projektu specjalnego. A przy tym był taki krótkowzroczny! Fallerowie posiadali już podobny artefakt oraz jego kopie z ustawieniem co najmniej na dwójkę. Zatem teoretycznie gdyby chcieli, mogliby zrobić to wszystko, o czym wspomniał Tom – w tym usmażyć cały Układ Słoneczny. Dlaczego więc jeszcze tego nie zrobili?

Na to Kaufman nie miał odpowiedzi. Być może dysponował nią jeniec... Tymczasem pułkownik – mówiąc w przenośni – związał ręce jedynej osobie wyposażonej w klucz do niego, wiedząc, że Grafion dopilnuje, by pozostały spętane. Popęłił błąd, bardzo poważny błąd.

Stałem się Śmiercią...

Dwaj technicy, zaśmiewając się pod wpływem alkoholu, jęli chybotliwie zbliżać się do niego. Lyle rozciągnął usta w uśmiechu.

## 22.

### Gofkit Jemloe

Enla siedziała na skraju osady na twardym kamieniu w zapadającym mroku i przysłuchiwała się, jak Pek Sikorski rozmawia przez komunikator z Pekiem Gruberem. Nie chciała podsłuchiwać. Wstała, żeby odejść, lecz Pek Sikorski złapała ją za rękę i pociągnęła, no więc Enla usiadła z powrotem i zapatrzyła się w gęstniejące ciemności.

Był piękny zachód słońca; czerwono-złote niebo zdawało się nasycać powietrze słodyczą nie mniej niż drobna dzika mittiba pod jej stopami. Enla nawet w półmroku widziała mieszkańców osady na łące, gdzie powoli

dogasało wspólne ognisko. Dzieci ganiały się pomiędzy dorosłymi. Zupełnie jakby ten wieczór nie różnił się niczym od innych wieczorów w Gofkit Jemloe. Jednakże widać było różnicę... Dorośli stali zbici w grupki, zamiast tańczyć, póki słońce całkiem nie zgaśnie, i z wyraźną niechęcią dopuszczali do swego grona nowe osoby, a biegające dzieci krzyczały gorączkowo, gdyż niczego się nie bały. – Pytałam, jak długo, Dieterze... Nie okłamuj mnie, proszę. Zniosę wszystko oprócz kłamstw.

Znajdujący się po drugiej stronie, gdzieś na czerwono-złotym niebie, Pek Gruber powiedział coś, czego Enla nie zrozumiała.

Pek Sikorski rzekła: – Zakończyliście testy, które można było przeprowadzić, podczas gdy artefakt jest tutaj, na dole, prawda? Albo właśnie je kończycie. Kiedy zamierzacie ponownie go zabrać?

Kolejna niezrozumiała dla Enli odpowiedź mężczyzny. Napięte ciało Pek Sikorski stężało.

Enla przyglądała się, jak jakaś postać odrywa się od grupki stojącej na łące i zaczyna iść w ich stronę. – Nie – powiedziała Pek Sikorski cicho, bardzo cicho. – Nie zrobię tego. Odlećcie beze mnie. Musi być ktoś, kto wytłumaczy nieszczęsnym... Nie wciskaj mi tego kitu, Dieterze! Nie przyłożę ręki do zniszczenia tej cywilizacji! Nigdy!

Postać okazała się Soshafem Pekiem Derilinem. Nie, nie Derilinem... W znaczniejszych domostwach zgodnie z nową modą najstarszy syn przyjmował nazwisko ojca zamiast matki. Zmiana rzeczywistości. Soshaf Pek Voratur, odziany we wspaniałą tunikę naszywaną kwiatami, niósł latarnię. Jego jedwabiste lśniące szyjowłosa falowały w wieczornej bryzie. Przystojny mężczyzna, pomyślała obojętnie Enla i poczuła ucisk w piersi. Kalin...

Pek Sikorski rzuciła stanowczo: – Nigdy. Żegnaj, Dieterze.

I przerwała połączenie. Komunikator od razu zabrzączał ponownie, wydając dziwny mechaniczny odgłos w niczym nie przypominający prawdziwego dzwonka. Pek Sikorski jednym ruchem ręki sprawiła, że dźwięk umilkł i już się nie powtórzył. – Oby wasze ogrody rozkwiatały wiecznie, Pek Sikorski, Pek Brimmidin – zwrócił się do nich młody Pek Voratur, wyciągając rękę z pomarańczowym kwiatem. – Oby twoje kwiaty wiecznie cieszyły dusze twoich przodków – zrewanżowała się Enla, gdy stało się jasne, że Pek Sikorski nie przemówi.

Twarz Ziemiarki wyglądała – zdaniem Enli – jak u martwej osoby: skóra była jeszcze bledsza niż normalnie, na skroniach napięta, a oczy zdawały się zapadłe i matowe. Enla, która widziała u Pek Sikorski rozpacz, zdawała sobie sprawę, że Soshaf Pek Voratur musiałby w tym celu ujrzyć nastroszony grzebień czaszkowy, obwisłe szyjowłosa, fałdy skóry wokół pociemniałych oczu. Młody Voratur nie miał wiele doświadczenia w kontaktach z Ziemiarkami, nie widział więc rozpaczki Ziemiarki i dzięki temu

zaoszczędził sobie bólu głowy, który przyspilił Enłę. Tylko ona wiedziała, że rzeczywistość między nimi nie jest dzielona.

Soshaf Pek Voratur odezwał się do Pek Sikorski: – Mój ojciec prosi, abyś podarowała mu rozmowę.

Pek Sikorski podniosła na niego spojrzenie pełne smutku i cierpienia, których Światanin nie dostrzegł w jej oczach. Enla pomyślała, że wkrótce tak to będzie wyglądało dla wszystkich. Gdy Ziemianie ponownie zabiorą artefakt wysoko do nieba, nikt nie będzie wiedział, co czują inni...

– Zaraz przyjdę – odparła Pek Sikorski apatycznie.

Soshaf Pek Voratur uśmiechnął się i uniósł latarnię wyżej. Za szkłem knot zanurzony w naczynku z olejem rozbłysnął silniejszym płomieniem, po czym zgasł. Kiedy mężczyzna próbował od nowa go zapalić, Enla zapytała Pek Sikorski szeptem: – Kiedy znowu zabiorą dzieloną rzeczywistość? – Jutro. – Na zawsze? – Na zawsze. – No, już-rzucił Soshaf Pek Voratur z satysfakcją w głosie. – Pali się. Chodźcie za mną.

Na łące dorośli znów zaczęli tańczyć, lecz jakoś niemrawo, strachliwie. Enla wyczuwała różnicę. Ale przynajmniej wciąż była to dzielona niemrawość, dzielona strachliwość. Odwróciła głowę i w milczeniu podążyła za Soshafem Pekiem Voraturem.

\* \* \*

– Nie – rzekł Hadzil Pek Voratur. – Tylko nie to. Dwa dni temu kazałaś mi przekazać wszystkim wiadomość, że dzielona rzeczywistość zniknęła na zawsze. Tymczasem ona wróciła! Gdyby mężczyzna obsługujący wieżę luster postąpił, jak prosiłem, wyszedłbym na głupca. Może nawet uznano by mnie za nierzeczywistego. Dlatego nie zamierzam znowu go wzywać.

– Musisz to zrobić – powtórzyła Pek Sikorski. – Pęku Voraturze... Dzielona rzeczywistość ponownie zniknie. Już jutro. I tym razem nie powróci. – Zawahała się przed następnym słowem. – Luneta na naszej latającej metalowej łodzi wypatrzyła wielki dar od Pierwszego Kwiatu, żywą skałę. Skała tą zaczęła umierać, lecz zdołała zebrać ostatek sił... widywałeś to wcześniej u kwiatów, u innych osób! Teraz jednak skała znowu umiera i nie ma dla niej nadziei. Dzielona rzeczywistość zniknie. Na zawsze. – To samo mówiłaś ostatnio – przypomniał jej Hadzil Pek Voratur. Jego krągła błyszcząca twarz drżała pod nastroszonym grzebieniem czaszkowym. – Nie. Nie znowu.

Soshaf Pek Voratur wtrącił cicho: – Ojciec...

Starszy mężczyzna odwrócił się do niego. – Tak? – Mógłbyś kazać flocie odpłynąć nieco od brzegu. Twoi factorzy mogliby pozostawić na pokładzie tylko najlepszych pracowników, a reszcie dać wolne. Mógłbyś skontaktować się z factorami za pomocą komunikatorów. – Po chwili namysłu dodał: –

Kiedy dzielona rzeczywistość zniknęła przed duodniem, ktoś uszkodził bramę frontową i ukradł parę cennych przedmiotów. – To się nie powtórzy – rzekł Pek Voratur do syna. – Oczywiście, że nie, ojcze. – Ale skontaktuję się z faktoraми. Pek Sikorski, Pek Brimmidin, oby wasze kwiaty natchnęły wasze serca uroczą wonią.

Zostały odprawione. Enla rzuciła: – Oby twoje kwiaty wiecznie cieszyły dusze twoich przodków.

Gdy znalazły się w pokoju linii, Pek Sikorski powiedziała: – Nie poczułaś bólu głowy, kiedy Pek Voratur zmienił zdanie. – Nie – przyznała zaskoczona Enla. Usiłowała zrozumieć, do czego zmierza Ziemiańska, lecz nic nie wymyśliła. – Propozycja Soshafa wcale nie wywołała zmiany zdania. Wszyscy troje wiedzieliście, że Pek Voratur nie uwierzy w ponowne zniknięcie dzielonej rzeczywistości, ale też wierzyliście, że będzie chciał chronić swoje łodzie handlowe, na wypadek gdyby jednak doszło do jej zniknięcia. – Tak – potwierdziła Enla. – Przecież każdy by tak postąpił. – Dzielona rzeczywistość... – rzekła Pek Sikorski ze smutkiem. – Enlo... – Słucham. – Chcę, abyś wzięła mój komunikator. Proszę. Ukryj go gdzieś. W przeciwieństwie do komunikatorów, które dostał Pek Voratur, ten zdoła się połączyć z latającą łodzią, nawet gdy będzie ona na skraju waszego układu gwiazdowego. Jeśli coś mi się przytrafi w ciągu najbliższego pentodnia... jeśli umrę... połączysz się z Pekiem Kaufmanem i opowiesz mu, co się dzieje na Świecie. Zrobisz to dla mnie, Enlo? – Tak. – Biedna Enla... Przyprawiłam cię o ból głowy. – Nie – odparła Światanka zgodnie z prawdą.

Ona i Pek Sikorski dzieliły rzeczywistość w sprawie tego, co miało się wydarzyć nazajutrz. Aczkolwiek Enla, mając wybór, wolałaby ból głowy od tej wiedzy.

\* \* \*

Dzielona rzeczywistość zniknęła nazajutrz w południe. Podobnie jak przedtem nie dało się tego w żaden sposób odczuć. Tym razem jednak Enla wiedziała.

Pek Sikorski przyglądała się jej badawczo, gdy jadły śniadanie, kąpały się w łaźni dla gości i wygrzewały w promieniach słońca na dziedzińcu.

W którejś chwili powiedziała: – Zniknęła, prawda?

– Tak – potwierdziła Enla. – Chodźmy do Pęka Voratura.

Mijały dziedziniec za dziedzińcem, ogród za ogrodem. Jeszcze nigdy Enla nie odbyła takiej wędrowki... Ta tutaj też już wie – wystarczy spojrzeć, jak biegnie ku kuchniom, unikając wzroku Enli, z koszykiem larfrutów przewieszonym przez ramię. A tamten chłopiec, zajęty pieleniem grządek, jeszcze nie ma pojęcia. Ten mężczyzna wie, pamięta to z poprzedniego razu, i zaraz coś ukradnie. Widać to po tym, jak obrzuca spojrzeniem wejście do



komnat kogoś zamożnego. Ma zamiar pogwałcić dzieloną rzeczywistość. Enla to widziała i nie dostawała bólu głowy.

Hadził Pek Voratur siedział w swych prywatnych komnatach z Soshafem i drugim synem, Tebilem, który ledwie wyrósł z dziecięcych szyjowłósów. Tebil wyglądał na przestraszonego. Cała trójka już wiedziała.

Pek Sikorski nie strzępiła sobie języka na powitania. – Pęku Voraturze... Gdy wszyscy domownicy dzielili rzeczywistość, każdy robił to, czego wymagała dzielona rzeczywistość. Ale nawet wtedy musieli być służący, na których można było bardziej polegać, którzy nie poddawali się przy najmniejszych przeciwnościach i zawsze pozostawali wobec ciebie... – Pek Sikorski przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. Enla sądziła, że powie „lojalni”, lecz wyraz ten nie miał odpowiednika w światkańskim i nic by Pękowi Voraturowi nie powiedział. – Zachowywali się wobec ciebie odpowiedzialnie. Dobrze mówię? – Tak – potwierdził zamiast ojca Soshaf. – Zwołaj tutaj wszystkich takich swoich służących i faktorów. Teraz. Wyjaśnij im, co się wydarzyło. A potem każ im strzec bram i wejść do swego domostwa, jakby groził ci atak kogoś nierzeczywistego.

Pek Voratur stwierdził beznamiętnie: – Nikt nierzeczywisty by nie przeżył. – Wyobraź sobie świat, w którym żyje wiele nierzeczywistych osób, a jeszcze więcej czuje strach i pomieszanie takie jak w sytuacji, gdy zaatakują gliffiry. Wyobraź sobie świat, w którym niektórzy... prawie wszyscy... stali się gliffirami.

Gliffiry istniały tylko w światkańskich legendach. Były to wielkie niebezpieczne zwierzęta, które dyszały ogniem i wydalały noże. Enla uświadomiła sobie, że Pek Sikorski dobrze się przygotowała do tego spotkania.

Pek Voratur rzekł: – Zgoda.

Jego syn wyszedł, by sprowadzić służących, jakich opisała Pek Sikorski. Mały Tebil ukrył twarz w dłoniach i zapłakał. – Przestań – rzekł do niego ostro ojciec.

Chłopiec nie posłuchał.

Pek Sikorski podeszła do Tebila i położyła mu dłoń na ramieniu. Jej głos, pomimo ciężkiego akcentu, był najłagodniejszy, jaki Enla kiedykolwiek u niej słyszała. – On się boi, Pęku Voraturze. Boi się, mimo że ty się nie boisz.

Patrzyła mężczyźnie prosto w oczy.

Enla zrozumiała w lot. Pek Sikorski pokazywała Pękowi Voraturowi, jak dotrzeć do rzeczywistości chłopca. Z rzeczywistości Pęka Voratura. Która była zupełnie inna.

Piękny moment minął. Pek Voratur powiedział jeszcze ostrzejszym tonem: – Mój syn nie będzie tchórzem, który się mazgai z powodu czegoś tak prostego jak wspinaczka po ptasie jaja!

I podniósł szeroką mięsistą dłoń na trzęsącego się chłopca. – Pęku Voraturze – odezwała się głośniejszym głosem Pek Sikorski. – Tebil się boi. Boi się, mimo że ty się nie boisz. Taka jest teraz rzeczywistość. Możesz podzielić się z nim swoją rzeczywistością, jeśli chcesz. Jeśli chcesz...

Pek Voratur ani drgnął.

W tej samej chwili przez wejście przeleciała mała postać i z trudem wyhamowawszy, zatrzymała się przed Pek Sikorski. Essa Pek Kriktifor, dziewczyna, która razem z nimi udała się na dużą metalową łódź i bawiła się z Sudie. Która nie bała się, gdy dzielona rzeczywistość zniknęła, kiedy byli wysoko na niebie.

Teraz Essa pokazała w uśmiechu wszystkie zęby. – Dzielona rzeczywistość ponownie zniknęła, Pek Sikorski!

Pek Sikorski nie odpowiedziała jej. Essa odwróciła się do sztywno wyprostowanych pleców Pęka Voratura. – Soshaf Pek Voratur mówi, że szukasz służących, którzy pozostaną w domostwie i będą go bronić nawet po tym, jak zniknęła dzielona rzeczywistość. Ja pozostanę w twoim domostwie, Pęku Voraturze.

Kupiec wolno obrócił się do niej. – Pomogę bronić domostwa. Nie boję się!

Pek Voratur przyjrzał się dziewczynie uważnie. Szyjowłosa miała nieuczesane, chudą twarz brudną, ciemne oczy lśniące. Hadził Pek Voratur uśmiechnął się. – Wierzę ci, młoda Esso.

Tebil, który nie przestał drżeć pod dotykiem ręki Pek Sikorski, posłał Essie nienawistne spojrzenie.

\* \* \*

Późnym popołudniem Enla szła samotnie do centrum osady. Gdyby powiedziała, że tam idzie, Pek Sikorski odradzałaby jej to, a Pek Voratur zabraniał. Dlatego Enla nic nikomu nie mówiła.

Przy bramie stał strażnik – jeszcze jedno ziemskie słowo. Trzymał nóż i pałkę i miał z tego powodu niewyraźną minę. Wcześniej tego samego dnia trzech mężczyzn (bracia, sądząc z wyglądu) próbowali wdrzeć się do domostwa. Doszło do bójki – nieskoordynowanej kotłowaniny z mnóstwem pchnięć i szarpnięć, i uderzeń – po której trójka intruzów zbiegła. Jeden z domowników Voraturów został raniony nożem. Wtedy Hadził Pek Voratur zarządził, że wszyscy strażnicy mają nosić noże i pałki, które wzbudziły w biedakach taki strach, iż połowa z nich powiedziała Soshafowi Pękowi Voraturowi, że nie chce już być strażnikami. Oczywiście Soshaf nie zatrzymywał ich. Przy pomocy Pek Sikorski znalazł nowych strażników.

Pek Sikorski wszędzie było pełno: doradzała Pękowi Voraturowi, pocieszała sparaliżowanych strachem, rozmawiała z obsługą wież luster,

którą Pek Voratur w końcu wezwał, by wiadomość poszła w Świat. Połowa personelu wież luster także zrezygnowała z pełnienia obowiązków. A w oddali – co można było zobaczyć z najwyższego dachu Voraturów – Gofkit Jemloe stało w ogniu.

Mimo to Enla tam właśnie szła. Panika, która na początku wybuchła, dość szybko ustąpiła miejsca spokojowi. Teraz już droga była opustoszała. Mieszkańcy siedzieli w domach z zabarykadowanymi wejściami. – To nie potrwa długo – powtarzała ze znużeniem Pek Sikorski. – Nie mogą się wiecznie ukrywać. Zresztą rzeczywistość nie jest dzielona nawet wśród członków rodzin. Tak to się zaczyna...

Pek Sikorski nie powiedziała, jak się skończy, a Enla wołała nie pytać.

Nagle usłyszała za sobą czyjeś kroki. Kiedy się jednak odwróciła, na drodze nikogo nie było.

Dysząc, obrzuciła spojrzeniem bujne krzewy, kolorowe od kwiatów dżelitiby i kanariby. Nikogo nie widziała.

Podjęła marsz. Gdy kroki znów się rozległy, przyśpieszyła do biegu. Czyjeś stopy tupwały tuż za nią. Wtem Essa objęła ją ramionami w pasie i zawołała: – Mam cię! – Essa. Ty... – Enla urwała. Dziewczyna zadzierała głowę, nie wypuszczając jej z objęć, i wciąż się szczyrzyła. – Nie wiesz, że tu nie jest bezpiecznie? – W takim razie co ty tutaj robisz? – spytała Essa rozsądnie. – Ja przynajmniej jestem szybka i potrafię się chować. Nikt nie zrobi mi krzywdy.

Enla pomyślała, że to najpewniej prawda. Robienie krzywdy jeszcze nie weszło Światanom w krew. A chowanie się najlepiej wychodziło dzieciom. Była to marna pociecha. – Poza tym – kontynuowała Essa – jestem posłańcem Pęka Voratura. Kazał mi dostarczyć ci wiadomość. – Jaką?

Essa poruszyła wargami, jakby się przygotowywała do recytacji. A potem, zadziwiająco udatnie naśladowując gromki głos Pęka Voratura, wyrzuciła z siebie: – Przekaż tej stukniętej babie, że jest nazbyt cenna, aby się szwendała po wiochach!

Enla zaczęła się śmiać. W końcu aż musiała chwytać łapczywie powietrze. Cóż to byłby za świat, gdyby Światanie nie mogli swobodnie chodzić po najbliższej okolicy?

– Wiesz co, Pek Brimmidin? – odezwała się Essa swoim piskliwym głosem. – Pewnie nie powinnam tego mówić, ale podoba mi się, że dzielona rzeczywistość zniknęła. – Wiem – odparła Enla. Nie wiedziała tylko, czy jest z tego powodu smutna, rozgniewana czy zdumiona. – Powiesz mi dlaczego?

Essa się zawahała. – Ja... nie wiem. – Kolejne wahanie. – Teraz mogę myśleć o różnych rzeczach. Bez bólu głowy. – O jakich rzeczach możesz teraz myśleć, Esso? – O swoich – odpowiedziała dziewczyna. – Aha, rozumiem – stwierdziła Enla.

I rzeczywiście rozumiała. Nawet jej nastrój poprawił się trochę. Może jednak nie będzie tak źle... Może Pek Sikorski nie miała racji i najgorsze było już za nimi... Może... – Ktoś tu jedzie – przerwała jej rozmyślania Essa – na dużym rowerze. Bardzo szybko.

Enla przyłożyła dłoń do czoła, by lepiej widzieć w ostrym słońcu. Daleko na drodze pedałowiała jakaś postać i faktycznie posuwała się znacznie szybciej niż na zwykłym rowerze... Był to chyba potężny mężczyzna... – Uciekaj! – rzuciła do Essy, po czym złapała ją za ramię. – Nie, czekaj... Przecież to Pek

Gruber!

– Kto to taki? – zainteresowała się dziewczyna, nie okazując w ogóle strachu.

Pek Gruber. Pewnie zjawiał się po Pek Sikorski. Chociaż... duża metalowa łódź już odleciała. Na zawsze. Tak powiedziała jej Pek Sikorski po rozmowie z Pekiem Kaufmanem przed godziną. A zatem Pek Gruber nie przyjechał, żeby zabrać Pek Sikorski. Przyjechał, żeby z nią zostać na Świecie. Ponieważ się połączyli, ponieważ nie chciał jej zostawiać samej, ponieważ nawet bez dzielonej rzeczywistości nadal zachowywał się wobec niej odpowiedzialnie!

Nie jak Kalin, który... – Kto to taki? – ponowiła pytanie Essa. – Czy jego rower porusza się sam z siebie, jak latające łodzie? – Tak. – Jest bardzo duży. Większy od innych Ziemi. Pomoże nam chronić domostwo Voraturów? – Tak. Pomoże. – Bez dzielonej rzeczywistości? I tak nam pomoże? – Tak – powiedziała Enla po raz trzeci, wychodząc mężczyźnie na spotkanie.

Essa ochoczo potruchtała za nią.

23.

Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

W armii groźniejsze w skutkach bywa przyznanie się do błędu niż samo jego popełnienie.

Lyle Kaufman obudził się w swojej kajucie z bólem głowy i biegunką. Przyjęcie okazało się jednak zbyt udane... Czyż nie byłoby miło, gdyby potrafił uwierzyć, że wyłączną przyczyną bólu głowy jest zeszłonocna impreza? Światanie borykali się z bólem głowy non stop. Nic dziwnego, że nie powstało u nich wojsko. Wszyscy oficerowie, zmuszeni do podejmowania decyzji, szybko by wymarli na zakrzepicę mózgową.

Dieter Gruber w ostatniej chwili podjął decyzję, by wahadłowcem udać się na planetę, do żony. Kaufman podejrzewał, że nigdy więcej nie zobaczy żadnego z nich. Najprawdopodobniej oboje wyzioną ducha na Świecie, i to rychło. Jeżeli Anna się nie myli, wraz z nimi zginie parę milionów tubylców – przez to, że Kaufman zabrał artefakt z powierzchni Świata. Jednakże nikt z Rady Obrony Sojuszu Solarnego raczej nie będzie miał o to do niego pretensji.

Marbet Grant, cywilna członkini zespołu podlegająca bezpośrednio Kaufmanowi, uwolniła jedną z rąk Obcego wbrew jego wyraźnym rozkazom i pomimo wściekłości komandora. Faller mógł być wykombinować metodę samobójstwa, tym samym pozbawiając ludzi jedyne źródło informacji na temat wroga. W praktyce niczego podobnego nie zrobił, zatem i w tym wypadku Rada Obrony Sojuszu Solamego nie powinna mieć wątpliwości.

Thomas Capelo odkrył, do czego służy artefakt – a przynajmniej do czego służą cztery pierwsze ustawienia mocy – aczkolwiek nie rozgryzł zasady jego działania.

I z tego powodu przeżywał intelektualne katusze. Dowództwo też nie będzie zachwycone, skoro bez znajomości zasady działania artefaktu nie da się go powielić. Szczególnie że Fallerowie najwyraźniej weszli w posiadanie technologii tarczy. Być może jakiś inny fizyk zaszedłby dalej. Jednakże Capelo, którego polecił Kaufman, nie wywiązał się z postawionego przed nim zadania. Wojskowi nie dowierzali naukowcom od czasów Los Alamos. Nikt z Rady Obrony Sojuszu Solarnego nie będzie więc ciosał Kaufmanowi kołków na głowie.

Artefakt, najcenniejsza broń, jaką ludzkość kiedykolwiek miała w ręku, został pokazany Obcemu przez Marbet Grant. Co było z jej strony zdradą najwyższej próby, za którą być może przyjdzie kobiecie umrzeć („Na razie o tym nie myśl!”). Inna rzecz, że praca Thomasa Capelo dowiodła, iż Faberowie musieli już wcześniej dorwać artefakt. Z czego wynika, że w rzeczywistości Marbet Grant nie ujawniła niczego. Jej postępek był aktem zdrady, ale skoro nie przyniósł żadnych negatywnych konsekwencji – zważywszy także na właściwą reakcję Kaufmana polegającą na wydaniu rozkazu natychmiastowego aresztowania – istniała szansa, że Rada Obrony Sojuszu Solarnego nie zechce urwać mu jaj.

Gdyby jednak przyznał, że nie powinien był jej aresztować i że przerwanie jej pracy było błędem, znalazłby się w gównie po uszy. Pułkownik Sojuszu Solarnego nie miał prawa popełniać błędów, a zwłaszcza błędów nie dających się naprawić i niosących negatywne konsekwencje. „Nie dających się naprawić” dlatego, że Grafton przejął całkowitą kontrolę nad Marbet, która przestała być cywilną członkinią zespołu, a stała się zdrajcą w czasie wojny. „Niosących negatywne

konsekwencje”, ponieważ bez Marbet nie sposób było się dowiedzieć od Fallera niczego więcej o artefakcie.

Marbet Grant miała szansę odkryć, do czego służą ustawienia oznaczone siódmką, jedenastką i trzynastką. Miała również – mniejszą, ale zawsze – szansę poznać, jaka technologia stoi za artefaktem, a przynajmniej popchnąć Thomasa Capelo we właściwym kierunku. Siedząc w brygu, nie mogła zrobić żadnej z tych rzeczy, a bez Marbet, bez jej zdolności i danych zdobytych w trakcie dotychczasowej pracy z Obcym bezradni byli także wszyscy inni.

Rada Obrony Sojuszu Solarnego nie dopatry się niczego złego w aresztowaniu Marbet Grant. Taką decyzję uzasadniało jej zachowanie, uzasadniała tocząca się wojna, uzasadniał regulamin. Gdyby jednak Kaufman się przyznał, że popełnił błąd, gdyby dopuścił do ponownego zbliżenia zdrajczynie, rozpowiadającej o pilnie strzeżonych tajemnicach wojskowych, oraz wrogiego szpiega, który był odbiorcą tych rewelacji, gdyby postąpił wbrew jasnym rozkazom dowódcy, zostałby ukrzyżowany. A już na pewno postawiony pod sąd wojenny za łamanie rozkazów. Być może skazany za zdradę razem z Marbet Grant.

Z kolei jeśli nie doprowadzi do ponownego zbliżenia między Marbet i Obcym, artefakt pozostanie w dużej części zagadką, a co najważniejsze – nie da się odtworzyć technologii wykorzystanej przy jego konstruowaniu.

Lyle Kaufman leżał na swojej koi, gapiąc się na gródź. Działaj zgodnie z regulaminem albo złam rozkazy. Nie miałby kłopotów z wyciągnięciem Marbet z brygu. Był w posiadaniu kodów wejściowych. Przypomniał sobie młodego niedoświadczzonego strażnika, który na jego widok zerwał się na nogi, salutując. „Tak jest, sir! Członkowie zespołu projektu specjalnego mają prawo wstępu, sir!”. Żółtodzioby zawsze dostawały najnudniejsze zajęcia. A na okrętach klasy Alana B. Sheparda więźniowie byli taką rzadkością, że przedsiemek, w którym rezydował strażnik.

Zazwyczaj był używany jako składzik. Oczywiście był system alarmowy, jednakże Kaufman wiedział, jak go unieszkodliwić. Trzeba pomanipulować przy strażniku, nie przy sprzęcie. Tak, wyciągnięcie Marbet Grant to bułka z masłem.

Tylko że Kaufman nie mógł tego zrobić. Był żołnierzem.

Ale nie mógł również pozwolić, aby misja zakończyła się połowicznym sukcesem, a w gruncie rzeczy niepowodzeniem.

Był jeszcze złoty środek. Przyznać się do błędu przed Graftonem, przekonać Graftona, że dalsza praca Marbet z Obcym jest konieczna dla dobra projektu i ludzkości, zdobyć błogosławieństwo Graftona. Marne szanse... Kaufman nie miał powodów się łudzić, że ten beton Grafton łatwo zmieni zdanie. Komandor był bardzo przywiązany do regulaminu. Z kolei

Kaufman dysponował darem przekonywania. W dyplomacji wojskowej bronią były słowa. Nie zaszkodzi więc spróbować...

Lyle Kaufman wstał z koi. Na dziewiątą zero zero czasu pokładowego przewidziano spotkanie z Thomasem Capelo w celu przedyskutowania postępów n i e poczynionych przez zespół badawczy. Spotkanie zapowiadało się na krótkie i oschłe. Kaufman miał nadzieję, że przedtem zdąży się zobaczyć z komandorem.

Złoty środek. Dlaczego nie sięgnął po niego wcześniej? Ryzykuje, ale niezbyt dużo. Grożą mu negatywne konsekwencje, lecz raczej łagodne (nagana w aktach). Czeka go nieprzyjemna rozmowa z dowódcą, z fizykiem jednak będzie gorsza. Pułkownik Lyle Kaufman był mistrzem w stosowaniu złotego środka.

Zaczął się ubierać.

\* \* \*

Thomasa Capelo obudziły krzyki. Natychmiast wyskoczył z koi, żeby przytulić Sudie.

Dziewczynka ciskała się w jego ramionach, nie przestając krzyczeć. Przytulił ją mocno do piersi, objął jedną ręką, a drugą klepał delikatnie po plecach, uspokajając po cichu. – Już dobrze, Sudie, już wszystko dobrze, skarbeczku, to był tylko sen. Tylko zły sen, kochanie, teraz już wszystko jest dobrze. Tatuś jest przy tobie...

Czepiała się go piąstkami, a jej krzyki zmieniały się stopniowo w szlochy, podczas gdy on nieustannie trzymał ją w objęciach i mruzczał niosące otuchę słowa. Oczywiście nic nie było dobrze – koszmary Sudie przybrały na siłę. Budziła się z krzykiem trzy, cztery, pięć razy na noc. Capelo musiał ją przenieść z kajuty, którą dzieliła z Amandą i Jane Shaw, do siebie, gdzie ledwie starczyło miejsca na dziecinnie łóżeczko. Chciał, żeby Amanda mogła się wyspać, i chciał być blisko Sudie. – Już dobrze, skarbeczku, to był tylko sen. Tylko zły sen, kochanie, tylko zły sen...

Sudie nie przestawała płakać. Capelo wysunął sobie nogą krzesło spod stołu czy też półki i usiadł na nim. Tulił córkę, czując pod dłońmi jej ptasie kostki, wdychając słodki zapach dziecięcych brudnych włosów. – Kochanie... Może gdybyś opowiedziała tatusiowi o tym złym śnie, tatuś zdołałby sprawić, aby przestał cię nękać...

Do tej pory zawsze tego odmawiała, tym razem jednak sapnęła mu prosto w szyję, nieomal dusząc go wątlymi ramionkami: – Mama.

Capelo zmusił się, by pociągnąć temat. – Co z mamą, kochanie? – Jest zabita na śmierć. – Tak, skarbeczku, mama nie żyje.

Przez półtora roku, odkąd minęła najgorsza żałoba, Sudie ani razu nie wspomniała o śmierci Karen. Zresztą nawet na początku przeżywała

rozpacz głównie w milczeniu – w chwili odejścia matki miała zaledwie trzy latka. Sudie płakała i szlochała, za to starsza Amanda miała potrzebę rozmawiania o tragedii, w kółko, tak że w końcu Tom musiał używać całej siły woli, aby dalej słuchać córki, być dla niej ojcem pomimo własnego żalu. Sudie, która odmawiała rozłąki z ulubionym kocykiem oraz z ojcem, a czasami rysowała gniewne gryzmoły na swoim e-tablecie, lgnęła przesadnie do kobiet w wieku zmarłej matki. Na przykład do Marbet Grant. Nigdy jednak nie było takich krzyków ani koszmarów.

Teraz Sudie łkała: – Zabili ją. Zabili mamę na śmierć. – Tak, skarbeczku. – Gardło miał ściśnięte. Z jakiegoś powodu czas nie leczył ran. Ci, którzy twierdzili, że tak będzie, byli głupcami albo szarlatanami, albo okrutnikami. – Nie chcę, żeby i ciebie zabili, tatusiu! Ani Amandy, ani Jane, ani Marbet! – Słowa przeszły w zawrodo. – Nikt mnie nie zabije, skarbeczku. Ani Amandy, ani... – Właśnie że zabiją! Bo Obcy są tutaj, na okręcie!

Capelo poprawił sobie córkę na kolanach. – Obcych już nie ma na okręcie, kochanie. I to byli mili Obcy. Widziałaś ich na pokładzie wahadłowca, jak lecieli z nami, a potem bawiłaś się z jedną dziewczynką już tutaj, w ogrodzie...

Usiłował sobie przypomnieć, co Amanda opowiadała mu o Obcych w ogrodzie. Marbet zabrała tam dziewczynki, a doktor Sikorski niemądrze pozwoliła tubylcom kręcić się po okręcie. Sudie bawiła się w chowanego z jakąś dziewczynką... Coś takiego nie powinno spowodować tej fali strachu u jego dziecka!

Sudie potrzasała głową przytuloną do piersi ojca, nadal utrudniając mu oddychanie rączkami silnie obejmującymi jego szyję. – Nie, nie. Nie Essa. Essa była miła. Ci inni Obcy, źli, ci, którzy zabili mamę! – Skarbeczku, na okręcie nie ma żadnych złych Obcych. Tatuś nigdy by nie pozwolił, żeby źli Obcy znaleźli się blisko ciebie. Komandor Grafton i jego żołnierze także... – Nie, nie, zły Obcy jest tutaj! – Sudie, kochanie... – Marbet tak powiedziała! Marbet powiedziała!

Thomas Capelo zaprzestał poklepywania córki po plecach i zamarł w bezruchu. – Co powiedziała ci Marbet? – Nie mnie. Doktor Annie... – Co Marbet powiedziała doktor Annie? – Powiedziała, że na okręcie jest zły Obcy i że ona z nim rozmawia. – Kiedy tak powiedziała, Sudie? Kiedy to usłyszałaś? – W ogrodzie. Chowałam się za krzakiem. Bawiłam się z Essą w chowanego.

Przez głowę Thomasa Capelo przebiegł tabun myśli.

Marbet znikająca na dłuższe okresy czasu. Kaufman twierdził, że przechodzi kwarantannę, tutaj się okazuje, że rozmawiała w ogrodzie z Anną Sikorski.

Marbet pojawiająca się na powierzchni planety tylko raz, na krótkie, lecz uważne oględziny artefaktu.



Anna, pałająca miłością do wszystkich Obcych, rozmawiająca skrycie z Marbet, Wrażliwcem zabranym na wyprawę teoretycznie po to, by zasypać przepaść komunikacyjną ze Światanami. Których ani razu nie widziała na oczy, dopóki nie wpadła na nich przypadkiem w ogrodzie na pokładzie okrętu. Aczkolwiek Wrażliwiec to faktycznie najlogiczniejszy wybór w wypadku próby nawiązania komunikacji z Obcymi. Jakimkolwiek.

Wyprawa naukowa na zadupie Galaktyki. Do odległego, mało znanego miejsca nie skolonizowanego jeszcze przez ludzkość. Któremu nie grozi wojna. – Tatusiu, ja nie chcę, żeby zły Obcy zabił mnie na śmierć, tutaj, na tym okręcie! Tak jak mamę zabili źli Faberowie! – Nikt na tym okręcie cię nie skrzywdzi, Sudie. Ani tatusia, ani Amandy, ani Jane. – Właśnie że skrzywdzi! Faller tutaj jest!

Capelo nie lubił okłamywać swoich dzieci. Amandzie zawsze mówił prawdę, a Sudie opowiadał kłamstwa tylko wtedy, gdy uznał, że jest za mała, aby coś zrozumieć. Teraz postanowił skłamać. – Posłuchaj, Sudie... Posłuchaj mnie dobrze swoimi najlepszymi uszkami. Masz je włączone?

Z nieszczęśliwą minką Sudie wykonała gest imitujący nakładanie i włączanie drugiej pary uszu.

Capelo podjął: – Sudie, na tym okręcie nie ma żadnych złych Obcych. Nie ma na nim żadnych Fallerów. Marbet opowiadała doktor Annie o holofilmie, który obejrzała. Ja też go widziałem. Był bardzo straszny. – Opowiadała o holofilmie? – Tak. O holofilmie.

Dziewczynka rozważyła tę informację. I zapytała: – A ja mogę go obejrzeć? – Nie. Dla ciebie jest za straszny. – Amanda go widziała? – Nie. Dla Amandy również jest za straszny. Tylko dorośli mogą go oglądać. – Aha.

Poczuł, jak jej ciało odpręża się nieco. Na skraju swego pola widzenia, zalanego czerwienią z ledwie kontrolowanej wściekłości, widział zapłakaną twarzyczkę. Wziął się w garść. Musiał nad sobą zapanować w imię dobra dziecka. Ale potem... – Chcesz, żeby tatuś ci zaśpiewał piosenkę o króliczku? Skoro już masz włączone swoje najlepsze uszka? – Tak! Zaśpiewaj mi piosenkę o króliczku, tatusiu!

Ukołysał ją znów do snu, po czym zaniósł do kajuty, w której spały Amanda i Jane. Stukał cicho do drzwi nogą, aż otworzyła mu Jane. Była już ubrana. Zrobiła się ósma trzydzieści czasu pokładowego. Sudie tak często budziła się z płaczem, że Capelo w końcu zasnął. Bez słowa przekazał śpiące dziecko opiekunce. Jane wzięła od niego ciężki tobołek, w jaki zamieniają się wszystkie śpiące twardo dzieci. – Tom... – Nie teraz.

Zamknął drzwi ich kajuty i wrócił do siebie, aby się ubrać. Z jego ruchów było opanowanie. Wściekłość wzbierała w nim niczym tsunami, które rodzi się w oceanie.

\* \* \*

– Nie – odpowiedział Grafion. – Dziwi mnie, że w ogóle pan o to prosi, pułkowniku. – Nie prosiłbym, gdybym nie uważał, że cel uświęca środki. – Niebezpieczna zasada.

Kaufman zmusił się do uśmiechu. – Zwykle tak. Jednakże mamy do czynienia z niezwykłymi okolicznościami, co jak przypuszczam, pan rozumie najlepiej z nas wszystkich.

Grafion nie pozwolił Kaufmanowi usiąść. Obydwaj stali przy lśniącem stole w małej salce konferencyjnej przylegającej do kwatery komandora. Puste krzesła szydziły z Kaufmana. W metalowej powierzchni stołu odbijała się postać Graftona, który wydawał się nie mniej zimny i twardy.

– Pułkowniku, doskonale zdaję sobie sprawę z obecnych okoliczności. Nawet bardziej niż pan. Przed kilkoma godzinami dotarła do mnie pewna wiadomość ze statku kurierskiego, który pojawił się przy tunelu.

Kaufman poczuł ucisk w piersi. Ta misja miała się odbyć po cichu, co oznaczało zmniejszony ruch przez Tunel Czasoprzestrzenny #438 – w praktyce ograniczony do zera. Okręt wojenny McChesneya, Murasaki, który pełnił straż po tej stronie, był podobnie jak Alan B. Shepard odcięty od reszty Galaktyki. Skoro statek kurierski, najszybsza jednostka Sojuszu Solarnego, przedostał się przez tunel, by przekazać Graftonowi wiadomość z prędkością światła, musiało to być coś naprawdę ważnego. Oraz – sądząc z wyrazu twarzy komandora – raczej niedobrego.

Grafton mówił tymczasem: – Wiadomość pochodzi bezpośrednio od generała Stefanaka i zawiera pytanie o postępy. A wiąże się z ostatnimi wydarzeniami na froncie.

Kiedy komandor zamilkł na moment, Kaufman dostrzegł, że odkryty fragment ciała nad kołnierzykiem munduru porusza się gwałtownie w górę i w dół. Po chwili Grafton mówił dalej: – Cały system gwiazdny... Viridian... uległ zniszczeniu wskutek promieniowania. Wszystkie pięć planet, w tym jedna wraz z księżycem skolonizowana przez ludzkość, zostało potężnie napromieniowane z powodu destabilizacji pierwiastków o liczbie atomowej wyższej niż pięćdziesiąt.

Pięćdziesiąt, nie siedemdziesiąt pięć. Cyna, jod... w tym układzie gwiazdnym nie ostał się nawet ślad życia. I nie było żadnych szans na to, aby życie rozwinęło się tam powtórnie.

Podawanie kolejnych liczb zdawało się uspokajać Graftona. – W tym układzie dziewięćdziesiąt osiem procent ludności stanowili cywile chronieni przez mały oddział wojska. Nikt nie spodziewał się ataku na terytorium znajdującym się tak głęboko w systemie tuneli czasoprzestrzennych. Pojedynczy ślizg Fallerów wyposażony w tarczę nie dał się zatrzymać w trzech kolejnych tunelach, z których ostatni prowadził do Viridiana. Przedostał się na drugą stronę, po czym błyskawicznie wrócił. Do

tego czasu mknąca z prędkością światła fala zaczęła się już rozszerzać w układzie...

Kaufman milczał. W głowic miał gonitwę myśli.– Jak chyba pan się domyśla, dane z raportu jasno wskazują, że wydarzyło się tam to samo co tutaj. Faberowie najwyraźniej byli w posiadaniu dużego artefaktu podobnego do tego, który doktor Johnson usiłowała przepchnąć przez tutejszy tunel. Ale dlaczego zdestabilizował znacznie więcej niż artefakt doktor Johnson i jakim cudem wrogowi udało się go przepchnąć przez tunel do Viridiana? – Komandorze – Kaufman zaczął wyrzucać z siebie słowa – informowaliśmy pana na bieżąco o testach doktora Capelo i ich wynikach. Nie dzieliliśmy się domysłami, tylko danymi poświadczonymi empirycznie. Wczoraj wieczorem podczas przyjęcia Tom Capelo powiedział... – Oto, co mamy na razie. Jedyńka: broń małego zasięgu. Dwójka: tarcza małego zasięgu. Trójka: broń większego zasięgu. Piątka: tarcza planetarna. Czy twoim zdaniem siódemka okaże się bronią, jak wynika ze wzorca? – Tak. Moim zdaniem siódemka usmaży całą planetę, destabilizując oddziaływanie silne. – A jedenastka i trzynastka? – Gdyby ten wzorzec się sprawdził, jedenastka mogłaby chronić cały układ gwiazdny, a trzynastka usmażyć cały układ gwiazdny, tak jak artefakt Syree Johnson usmażył ten. Z wyjątkiem Świata. – Co takiego powiedział Tom Capelo? – zniecierpliwił się Grafton.

Kaufman wziął się w garść. – o tylko spekulacje, komandorze. Proszę o tym pamiętać...

Streścił Grafionowi hipotezę Thomasa Capelo.

Kiedy skończył, Grafton rzekł: – Czy to znaczy, że wiedząc o tej hipotezie naszego naukowca... naukowca, który jak pan sam zapewniał, jest geniuszem... zamierzał pan umożliwić panie Grant ponowne widzenie z jeńcem? Aby mogła mu przekazać dalsze informacje na temat artefaktu, będące jedyną przewagą, jaką ludzie mają w tej wojnie? – Popełniłem błąd – oświadczył bez ogródek Kaufman. – Nie powinienem był kazać aresztować panny Grant. W świetle tego, co od pana usłyszałem o wydarzeniach w systemie Viridiana, nie mam wątpliwości, że Marbet musi podjąć pracę z Faberem. Tylko w ten sposób dowiemy się, jaką jeszcze bronią dysponuje wróg. – Chyba nie mówiąc Obcemu, czym my dysponujemy? – Ten Obcy jest jeńcem, na miłość boską! Komu niby przekaze uzyskane informacje?! – wybuchnął Kaufman. Moment później wiedział już, że przegrał. – Pułkownik – zwrócił się do niego oficjalnym tonem Grafton – pozwoli pan, że mu przypomnę, iż sytuacja jeńca jest mi bardzo dobrze znana. Na tym między innymi polega moja praca. Wiem również, że nie mamy do czynienia ze zwykłym przesłuchaniem. Nie da się kontrolować przepływu informacji między panną Grant i Fallerem, ponieważ nikt poza nią nie potrafi interpretować tak zwanej „komunikacji niewerbalnej”. Serum prawdy, z

tęgo co mi wiadomo, nie współgra z fizjologią jeńca, a nawet mogłoby go zabić. Na koniec dodam jeszcze coś, z czego pan najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, mianowicie że regulamin marynarki wojennej został sporządzony z myślą o właśnie takich niezwykle i dwuznacznych sytuacjach...

Drzwi otwały się z impetem i do pomieszczenia wpadł Tom Capelo.

Kaufman błyskawicznie zajął pozycję pomiędzy fizykiem i komandorem. Capelo wyglądał, jakby odbiła mu szajba: miał rozszerzone oczy, był nieogolony, długie niezwiązane włosy zasłaniały mu wychudłą twarz. Z kącików ust tryskały kropelki śliny. Kaufman uświadomił sobie, że patrzy na człowieka, który całkowicie stracił panowanie nad sobą. – Obydwaj naraz. Świetnie. No to teraz powiedzcie mi, dranie, co Faller robi na pokładzie okrętu z moimi dziećmi!

Grafton warknął: – Zapominasz się pan!

A Kaufman w tej samej chwili zaczął łagodnie: – Tom... – Nie waż się mówić do mnie po imieniu! Czy wy, skurwiele, w ogóle wiecie, co Obcy zrobili mnie i mojej rodzinie? Jakby nigdy nic trzymacie tutaj jednego, nawet nie racząc mi o tym powiedzieć! Sądnie... koszmary... znikąd bezpieczeństwa... – Rzucił się na Kaufmana, który stał bliżej niego.

Kaufman. spodziewał się tego. Zablokował cios, zastanawiając się równocześnie, co dalej. Był w stanie położyć fizyka na deski jednym palcem: przewyższał go masą ciała, a poza tym szkolił się na komandosa... Nie tak jednak trzeba to było załatwić. – Tom, posłuchaj...

Capelo zamachnął się ponownie. Kaufman bez trudu sparował uderzenie. Grafton tymczasem oczywiście zawołał żandarmów. Zanim Capelo szarpnął się po raz trzeci, do pomieszczenia wpadło dwóch osiłków w mundurach i obezwładniło go. Thomas Capelo wykazał się zadziwiającym uporem, jeśli nie finezją: kopał i walił, krzyczał coś niezrozumiale, aż w końcu jeden z żandarmów użył nanosieci, tak że fizyk runął na podłogę spętany od barków w dół klejącymi się nitkami, które można było rozerwać wyłącznic za pomocą specjalnego nanorozpuszczalnika. Usta miał niezaklejone i korzystając z tego, obrzucał Kaufmana stekiem wyzwisk, z których żadne się nie powtarzało, a przecież pułkownik, od dawna będąc w wojsku, nasłuchał się niemało przekleństw.

Grafton zmierzył fizyka spojrzeniem pełnym niesmaku, po czym popatrzył na Kaufmana. — Pański genialny naukowiec. Którego opiniami powinienem się kierować, podejmując decyzje wojskowe. – Zwracając się do żandarmów, dodał: – Bryg jest zajęty. Zamknąć go w jego kajucie.

Kaufman otworzył usta, ale zaraz na powrót je zamknął. Zmilczał.

Domyślał się, że nie wykonując żadnego ruchu, właśnie przypieczętował los ich wszystkich.

## 24.

### Droga do Gofkit Shamloe

Droga odchodząca od Gofkit Jemloe była wystarczająco szeroka, by pomieścić trzy jadące obok siebie rowery. Enla wolałaby jechać na przedzie, szybciej niż Pek Sikorski, jednakże trzymała się razem z pozostałą dwójką. Po części z powodu dobrych manier, a po części ze strachu. Zależało jej na możliwie największym bezpieczeństwie. Chciała dotrzeć do Gofkit Shamloe – do Anu i jej dzieci – bez jakichkolwiek problemów. Pek Gruber, który choć jechał na rowerze umiejącym się poruszać samodzielnie, pedałowal teraz zawzięcie jak obie kobiety, miał przy sobie broń. A także inne przedmioty – rzeczy, których Enla nawet nie potrafiłaby nazwać. Choćby w myślach. Cieszyła się, że Pek Gruber jest z nimi.

Ból głowy za dzielonej rzeczywistości był lepszy od tego ciągłego cierpienia, którego przysparzało życie w niedzielonej rzeczywistości. Enla, podobnie jak zdecydowana większość Światan, bez namysłu zgodziłaby się wrócić do dawnego życia. Zdecydowana większość, lecz nie wszyscy... W Gofkit Jemloe – także w domostwie Pęka Voratura – byli tacy, którym podobało się nowe życie. Osoby lubiące zabierać rzeczy innym i nie czuć bólu głowy. Osoby lubiące okłamywać innych i nie czuć bólu głowy. Oraz osoby lubiące po prostu mieć własne myśli, inne niż myśli innych. Jak na przykład Essa.

Dziewczyna pedałowala za Enlą, Pek Sikorski i Pekiem Gruberem. Enla słyszała jej śpiew, cichą, przyjemną dla ucha kwietną melodię. Nucila ją sama i choć pozostała trójka nie przyłączyła się do niej, Essa nie czuła bólu głowy. I mogła się uśmiechać jakby nigdy nic.

Czy dlatego, że była taka młoda? Może młodym łatwiej przychodzi pogodzić się z tym nowym przerażającym Światem? W takim razie dzieci Anu: hałaśliwa Obra, malutka Usu i bystry, choć poważny Fentil – powinny bez trudu się odnaleźć w niedzielonej rzeczywistości. Enla miała nadzieję, że tak będzie. Pragnęła się tylko upewnić, że jej krewnym nic nie zagraża, pragnęła być znowu z Anu. Pragnęła wrócić do domu.

Jechali we czworo nagrzaną słońcem pustą drogą pośród wspaniałości kwiatów. Dokoła rosły pojedyncze jasnożółte wekiriby, poduchy różnobarwnej mittiby i cudne koronkowe czy też pierzaste tri falitiby. Wydawało się, że nikt poza Enlą ich nie zauważa. Nawet Essa była na nie ślepa. Czy i to się zmieni? Czy Świat stanie się miejscem pozbawionym ogrodów? Enla nie sądziła, aby tak miało być. Kolorowe płatki zbyt dużo znaczyły dla Światan. Były darem Pierwszego Kwiatu; były pięknem; były miłością.

Kalin obdarzył ją kwiatem wekiriby, gdy zjawił się w Gofkit Jemloe...

Nagle Pek Sikorski przerwała ciszę. Była najstarsza z nich i najrzadziej miała okazję jeździć na rowerze. Odzywając się do Pęka Grubera po ziemsku, dyszała lekko.

– Wiesz, Dieterze... Na historię Ziemi składają się tysiące upadłych cywilizacji, które znikają ze sceny stopniowo. Ale to chyba pierwszy przypadek w Galaktyce, gdy cała cywilizacja ginie w ciągu jednego dnia! – Tak – zgodził się z nią Pek Gruber.

Był bardzo cichy, odkąd Enla zaprowadziła go do Pek Sikorski w gościnnym skrzydle domostwa Voraturów; odkąd zobaczył, jak wygląda Świat po zniknięciu dzielonej rzeczywistości. Milczący Pek Gruber również był czymś nowym.

Pod wieczór minęli szopę rolniczą, umiejscowioną dogodnie pomiędzy drogą a rozciągającymi się dalej polami. Wszyscy Światanie zamieszkiwali osady i chodzili pieszo do pracy w polu. Taka szopa normalnie mieściła wozy, pługi, nasiona i proste narzędzia pomagające Pierwszemu Kwiatu uzyskać plon z żyznej gleby. Tymczasem ta była jakby zamieszкана. Wóz stał za nią a w pobliżu wejścia widniało ognisko z wciąż czerwonym żarem pod kotłem. – Zatrzymajmy się – rzuciła Pek Sikorski. – Tutaj ktoś jest...

Pek Gruber powiedział do niej po ziemsku: – Powinniśmy jechać dalej, mein Schatz. Po odstawieniu Enli do wioski musimy jeszcze zdążyć przed nocą dotrzeć do stolicy. – Nie. Naszym zadaniem jest informować napotkane osoby. Tu są osoby – podkreśliła.

Mimo że pot pokrywał bladą twarz Pek Sikorski, widać było jej zacięte rysy. Enla rozumiała, co znaczą Mieszkańcy szopy, którzy nigdy nie widzieli Ziemianina, nie będą mieli pojęcia, jak je zinterpretować. – No dobrze – przystał Pek Gruber z rezygnacją – Utwórzmy szyk.

Na jego sugestię przećwiczyli wcześniej szyk, w jakim będą się zbliżać do napotkanych po drodze obcych osób: na przedzie Pek Gruber mający broń. Za nim Pek Sikorski, która także miała coś dziwnego i nieznanego Enli. Obie Światanki każdorazowo miały trzymać się z tyłu, pilnując rowerów. – Jak myślisz, co teraz będzie? – szepnęła Essa, jak gdyby dźwięk jej głosu mógł dodatkowo rozjuszyć mieszkańców szopy. – Nie wiem – odparła Enla. – Eso, nie śpiewaj więcej, proszę. – Dobrze.

Za szopą ciągnęły się pola z nie zebranymi owocami drzewa żeli. Żniwa przypadały właśnie teraz. Enla wciągnęła głębiej powietrze – tak, dobrze się jej zdawało: owoce zaczynały gnić. Wspięła się na palce i wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć do kotła. W środku zobaczyła kleik z owoców, nic więcej.

Pek Gruber zakrzyknął światkańskie powitanie obcych osób, akcentując ciężko słowa: – My pierwsi przynosimy kwiaty do waszego domu, o przyjaciele!

Bez odzewu. – Oby wasze kwiaty napawały powietrze wspaniałą wonią, o przyjaciele! – Odejdźcie! – odpowiedział ktoś ze środka piskliwym przestraszonym głosem. Co za niemiła reakcja!

Pek Sikorski podeszła do wejścia. – Chcemy prosić o wodę, na płatki Pierwszego Kwiatu, o przyjaciele!

Nikt nie odmawiał wody wędrowcom – coś takiego wystarczało, by zostać posądzonym o nierzeczywistość. Enla zdawała sobie sprawę z walki toczącej się w duszach mieszkańców szopy. Zaryzykować krzywdę doznaną od obcych (coś nie do pomyślenia jeszcze dwa dni temu) albo wystąpić przeciwko dzielonej rzeczywistości i stać się nierzeczywistym (choć nie było już przecież dzielonej rzeczywistości). Pachnące słodyczą powietrze zaczęło ją palić w płucach.

Pek Sikorski powtórzyła: – Chcemy prosić o wodę, na płatki Pierwszego Kwiatu, o przyjaciele!

W dalszym ciągu żadnej reakcji.

Aż tu nagle zasłona w wejściu powoli została odciągnięta.

W progu stał chłopak, na oko mający jeszcze dobry rok, by zostać mężczyzną. Mocno marszczył grzebień czaszkowy i śmiesznie jeżył dorosłe już szyjowłosa. Na widok Ziemiań sapnął i prędko opuścił zasłonę, po czym znów ją odciągnął, spoglądając z przerażeniem i obrzydzeniem. Enla postąpiła naprzód. – Wszystko dobrze, chłopcze. To Ziemiań, nie potwory. Nie uczynią nikomu krzywdy. Ja nazywam się Enla Pek Brimmidin, pochodzę z Golkit Jemloe.

Chłopak nie wyglądał na uspokojonego. Energicznie wystawił wiadro z wodą za próg i chciał znowu opuścić zasłonę w drzwiach. Wtedy Pek Gruber przeszkodził mu mięsistą ręką. – Musimy z wami porozmawiać – rzekła łagodnym tonem Pek Sikorski. – Przynosimy wieści na temat zmiany w rzeczywistości i Pierwszego Kwiatu. – Pierwszego Kwiatu? – dobiegł ze środka czyjś głos. – Nie przepędzaj ich, Serlit.

Na zewnątrz wykuśtykała staruszka, podpierając się na laseczce z dołu. Enla nigdy wcześniej jej nie widziała, lecz rozpoznała ją z wielką ulgą. Była to matka babki, kobieta wielce szanowana w każdej osadzie i w każdym domostwie, którym nie brakowało szczęścia. Uginające się pod brzemieniem lat, woniejące doświadczeniem matki babek pozostawały na Świecie dłużej niż inni, aby kierować Światan ku Pierwszemu Kwiatu. Zazwyczaj były twarde jak ich laseczki i światłe, jak potrafi być światły tylko ktoś, kto niebawem połączy się ze swoimi przodkami. Przyjrzała się Ziemiańom bez cienia strachu, potem powiodła wzrokiem od Enli do Essy, która także podeszła, porzuciwszy rowery. – Nazywam się Adra Pek Harrilin. Kira jesteście i co macie do powiedzenia na temat Pierwszego Kwiatu?

Odpowiedziała Pek Sikorski: – Ja jestem Anna Pek Sikorski, a to są Enla Pek Brimmidin i Dieter Pek Gruber. Oby... – A ona? – zapytała staruszka, końcem laski wskazując Esę.

Pek Sikorski obróciła się, zobaczyła dziewczynę obok siebie i zmarszczywszy czoło, dodała:

– To Essa Pek Kriltifor. Oby twoje kwiaty napawały powietrze wspaniałą wonią! – Oby twoje ogrody rozkwitały wiecznie – zrewanżowała się Adra Pek Harrilin. – No więc? Co to za wiadomość na temat Pierwszego Kwiatu? – Dzielona rzeczywistość zniknęła. O tym już wiesz. Przybyliśmy, aby powiedzieć, dlaczego tak się stało, i zmniejszyć twoje obawy. Dzielona rzeczywistość unosiła się w powietrzu za sprawą żywej skały. My, Ziemianie, wypatrzyliśmy tę żywą skałę z naszej latającej metalowej łodzi. Spoczywała w górach Neury. Zobaczyliśmy, że skała ta umiera, jak musi umrzeć wszystko, co kiedyś żyło. Ten dar od Pierwszego Kwiatu przeminął i teraz wszyscy musimy wyhodować nowe sposoby uprzejmego zachowania wobec siebie nawzajem. Takie jest życzenie Pierwszego Kwiatu.

Matka babki przyjrzała się Pek Sikorski bacznie. – Skąd wiesz, czego sobie życzy Pierwszy Kwiat? Rozmawiałaś z nim? – Nie – odparła Pek Sikorski z zaskoczoną miną.

Enla pomyślała, że przemowa, którą Pek Sikorski sobie przygotowała, ma jednak słabe punkty.

– Skoro nie rozmawiałaś z Pierwszym Kwiatem, nie możesz wiedzieć, czego sobie życzy. Widzieliście, jak żywa skała umiera. Skąd możecie wiedzieć, że umarła? Czyżby jej płatki zwiędły albo oddech ustał? – N... nie. – Powiadasz, że gdy się dowiemy o śmierci skały, zmniejszą się nasze obawy. Dlaczego mielibyśmy mniej płakać po utracie dzielonej rzeczywistości, znając przyczynę jej zniknięcia?

Pek Sikorski stała tylko z rozdziawionymi ustami. Za to Pek Gruber, zauważyła Enla, szczyrzył zęby w uśmiechu. Matka babki obrzuciła go ostrym spojrzeniem. I nagle odsunęła całkiem zasłonę w wejściu. – Chodźcie do środka i napijcie się wody.

Oparty o wewnętrzną ścianę stał kosztowny bardzo szybki rower, a na podłodze leżały trzy posłania. Na jednym z nich siedziała kobieta karmiąca niemowlę. Obok znajdowały się niedojedzone miski z kleikiem, świeżo zebrane owoce drzewa żeli, a także nieco owoców krzewu cari i talerze z posiekanymi owocami drzewa dul. – Moja wnuczka Iwa Pek Harrilin. Syn mojej wnuczki, Serlit Pek Harrilin. – Staruszka oczywiście nie przedstawiła niemowlęcia, które jeszcze nie było rzeczywiste.

I oczywiście już nigdy będzie, dodała w myślach Enla. Albo też jest bardziej rzeczywiste od nas wszystkich, gdyż narodziło się do tej nowej dziwnej rzeczywistości.



Wnuczka, sprawiająca wrażenie przestraszonej, wymamrotała kwietne powitanie, które Pek Sikorski odwzajemniła swoim łagodnym głosem. Chłopak podał wszystkim wodę. Enla wychyliła szklanę z wdzięcznością. – Mieszkamy tutaj – rzekła matka babki – ponieważ w osadzie skończyło się jedzenie. Nikt nie wychodzi za próg, nawet na pole, żeby zebrać plony. Wszystko to głupcy. – Possała wewnętrzną stronę policzka w zamyśleniu. – Cóż, boją się, a osada jest bardzo mała. Dlatego moja rodzina przeniosła się tutaj: aby przywrócić tamtym rozsądek. Jak na razie bez sukcesu. Ale Serlit może przynajmniej zbierać nasze owoce, a cari i dul pożyczą z pól sąsiadów. Mamy więc co jeść. Być może reszta niebawem do nas dołączy.

Pożyczą, powtórzyła w myślach Enla. Nie: kradnie. Staruszka zaakceptowała zmianę w rzeczywistości, nie tracąc swej światłości. Enli poprawił się trochę nastrój.

Pek Sikorski powtórzyła: – Przybyliśmy, aby powiedzieć wszystkim, co się wydarzyło, i aby zmniejszyć ich obawy. Podróżujemy do stolicy, gdzie mamy nadzieję znaleźć... – Tak, tak – machnęła ręką Pek Harrilin. – A teraz podziel się ze mną prawdziwą rzeczywistością na temat tego, co się stało... Ty, Pek Brimmidin.

Staruszka czekała, opierając się na lasce i spoglądając ciemnymi błyszczącymi oczami wyzierającymi z pomarszczonej twarzy. Pek Sikorski poczerwieniała. Enla wiedziała, że Ziemianie czasem czerwienieją, aczkolwiek nie miała pojęcia, co to znaczy. Pek Gruber znowu się wyszczerzył.

Enla odrzekła: – To, co mówiła Pek Sikorski, jest w dużej mierze dzieloną rzeczywistością. – Takie słowa nie mieściły się w głowie jeszcze przed dekadnią! – Dzielona rzeczywistość zniknęła. Wcześniej brała się z pewnego wyrobu, nie z żywej skały, ale ten wyrób spoczywał w górach Neury. Jakiś czas temu zniknął i teraz wszyscy musimy wyhodować nowe sposoby uprzejmego zachowania wobec siebie nawzajem. – Zniknął? – zapytała Pek Harrilin. – A gdzie się podział? – Uniósł się wysoko w niebo, z dala od Świata.

Ciemne stare oczy zmrużyły się podejrzliwie. – Dzieliłaś tę rzeczywistość? Widziałaś, jak wyrób się unosi w niebo? – Nie widziałam, jak się unosi – odrzekła Enla – lecz dzielę rzeczywistość, że znajduje się teraz z dala od Świata, tak. – Zatem dostał skrzydeł? – Nie. On... potrafił latać bez skrzydeł. Podobnie jak metalowa łódź Ziemian.

Matka babki przez długą chwilę nie spuszczała oka z Enli. Wreszcie powiedziała: – Tak. Podzieliłaś ze mną rzeczywistość. A więc dobrze, gotowy wyrób, który nasycił powietrze Świata dzieloną rzeczywistością, zniknął. I teraz musimy stworzyć nową rzeczywistość...

Ogrom tego, co usłyszała, okazał się zbyt wielkim brzemieniem dla jej starej duszy. Grzebień czaszkowy się zmarszczył, czubek łaski poślizgnął

na podłodze. Zanim jednak staruszka się przewróciła, złapał ją pod ramię Pek Gruber. – Nic mi nie jest – sapnęła matka babki. – Ale dziękuję. Jestem już stara, niebawem połączę się ze swoimi przodkami, chwała niech będzie Pierwszemu Kwiatu...

Pek Gruber pomógł jej usiąść na pościeli. Kobięcina oparła się plecami o ścianę szopy. – Pek Sikorski, dobrze robisz. Ale musisz dzielić z innymi prawdziwą rzeczywistość.

Musisz im opowiadać to, co Pek Brimmidin opowiedziała mnie.

Twarz Pek Sikorski nadal była tej dziwnej ziemskiej czerwonej barwy. – Tak uczynię. Jedziemy do stolicy, żeby znaleźć czynną wieżę luster i przekazać tę wiadomość całemu Światu.

W szopie zaległa cisza. Enla miała wrażenie, że staruszka celowo unika spojrzeniem swojej wnuczki. Młodsza kobieta odjęła od piersi niemowlę, już najedzone i senne, po czym ułożyła je na pościeli. Poprawiła na sobie tunikę i wstała. – Ja należę do personelu wież luster – oświadczyła drżącym głosem. Najwyraźniej była bardziej przestraszona niż jej babka. Mimo to wykazała się odwagą. – Pojadę z wami do stolicy. – Przenocujecie tutaj wszyscy – oznajmiła matka babki. – Jutro Iwa pojedzie z wami do Rafkit Seloe. Serlit zostanie ze mną. A ty, dziewczyno, która zerkasz bez przerwy na Serlita, który odpowiada ci tym samym, też ze mną zostaniesz?

Essa się roześmiała. – Nie, matko babki. Jadę tam, gdzie Pek Sikorski. Ona zabrała mnie raz do nieba, na pokład metalowej latającej łodzi. – Och – stwierdziła krótko staruszka. I zamknęła oczy. – Jestem już bardzo stara. A wy wszyscy wyczerpalicie mnie do cna. Będę teraz spać.

Iwa Pek Harrilin gestem wyprosiła ich na zewnątrz. Przy ognisku powiedziała: – Jesteście głodni? Mamy kleik z owoców drzewa żeli, mogłabym też utłuc trochę cari i upiec je. – Głos młodej kobiety nadal drżał. – Przywieźliśmy jedzenie ze sobą – odrzekła Pek Sikorski. – Podzielimy się z wami.

Spożyli posiłek przed szopą, siedząc na ziemi: czworo Światan i dwoje Obcych. Niebo pociemniało i nocne kwiaty zaczęły rozwijać swoje płatki, nasączając powietrze gamą zapachów. Enla pomyślała, że gdyby przez chwilę nie patrzyła na Ziemię ani na szopę, potrafiłaby sobie wyobrazić, że jest w Gofkit Shamloe. Z Anu i jej dziećmi, z osobami, pośród których dorastała. Z Kalinem. Jak gdyby nic zupełnie się nie zmieniło...

Siedząca obok niej Essa przemówiła do Serlita: – Chcesz ze mną pospacerować? – Tak – odparł Serlit. – Nie – powstrzymała go matka. – Zostań tutaj.

Wszystko się zmieniło.

\* \* \*

Enla przyglądała się sylwetkom Pek Sikorski i Pęka Grubera niknącym w ciemnościach zapadających nad polem. Pek Gruber włączył swoją latarkę. Światanka wiedziała, co ci dwoje robią, ponieważ robili to samo każdego wieczoru. Pek Sikorski przez długi czas mówiła do swego komunikatora, opisując wszystko, co się działo na Świecie. Jej słowa, jak wytłumaczyła Enli, biegły hen, wysoko w niebo, aż do dużej metalowej łodzi. Co noc zabierało im to więcej czasu, ponieważ musiały ścigać odlatującą metalową łódź, która nabierała coraz większej prędkości. Wysyłanie swoich słów w pościg za dużą metalową latającą łodzią było z jakiegoś powodu ważne dla Pek Sikorski, chociaż Enla nie rozumiała dlaczego. – Czy Pek Kaufman odpowiada? – zapytała w końcu. – Tak – odparła z goryczą Pek Sikorski. – Jednakże nie mówi nic z tego, co bym chciała usłyszeć.

Enla nie zadawała więcej pytań. Rzeczywistość Ziemi była jeszcze dziwniejsza niż rzeczywistość, która zapanowała na Świecie. Pek Sikorski w wiadomości wysłanej z wieży luster zgodziła się zawrzeć prawdziwą rzeczywistość, ale Enla wiedziała, że to nie będzie cała prawdziwa rzeczywistość. Pek Sikorski nie przekazała jednego fragmentu rzeczywistości, mianowicie tego, że gdy gotowy wyrób uniósł się w niebo, stało się to za sprawą Ziemi. Enla również nie powiedziała o tym staruszce. Czy kiedy dzieli się rzeczywistością, lecz nie całą rzeczywistością, to jest kłamstwo?

Rozmyślała nad tym, siedząc na szorstkiej drewnianej ławce przed szopą. W środku spała matka babki, jej wnuczka Iwa Pek Harrilin i niemowlę. Essa i Serlit rozmawiali cicho; ich szepty dobiegały Enlę przez cienką ścianę. Być może nawet trzymali się za ręce...

Kalin...

Rozpaczała po utracie Kalina i dzielonej rzeczywistości i zastanawiała się, co słyhać u Anu i jej dzieci, dlatego gdy usłyszała zbliżające się osoby, było za późno. – Walnij ją! – krzyknęła niewyraźnie jakaś kobieta pijana pelem.

Enla poczuła zapach pelu w oddechu mężczyzny, który zamachnął się na nią grubym kijem. Właśnie zaczęła wstawać, więc uderzenie zamiast na głowę spadło jej na bark i pierś. Ból był rozdzierający. Enla przewróciła się niezdolna złapać tchu, trącąc ławkę. Podrapała sobie ramię, lecz nawet tego nie poczuła. Piekący ból w piersi tłumił wszystkie inne odczucia.

Essa. Serlit. Iwa i jej niemowlę. – Właż do środka! – powiedziała ta sama kobieta.

Dwie duże postacie przestąpiły ponad leżącą na ziemi Enlę, zrywając zasłonę w wejściu. Ktoś krzyknął. Coś uderzyło mocno o ścianę po drugiej stronie Enli. Ona nadal nie mogła złapać tchu. Słyszała świszczący dźwięk, który dobiegał jej uszu za każdym razem, gdy próbowała wciągnąć powietrze do płuc. Niemowlę zaczęło płakać. – Nic tu nie ma oprócz jeszcze

jednego roweru – warknął mężczyzna stojący w progu. – Ładniutkiego. – No to go bierz! – odkrzyknęła pijana kobieta i wybuchnęła śmiechem. Był to piskliwy, nieprzyjemny dźwięk. – A pewnie, chciałbyś, ale jesteś tylko chłopcem! – Kolejne przyprawiające o mdłości uderzenie w ścianę.

Enli nareszcie udało się odetchnąć. Spróbowała się unieść na łokciach. Essa... musi pomóc Essie... i Serlitowi, i niemowlęciu... Podniosła się o dłoń. Ktoś przejechał po niej rowerem. – Lieber Gott!

Rower zwałił się na Enlę. Kolejno dobiegły trzy podobne trzaski. Pijana kobieta zaczęła bełkotać coś niezrozumiale. Enla poczuła, jak silne ramiona Pęka Grubera przywracają ją do pionu. – Enlo? Nic ci się nie stało?

Nie miała w płucach dość powietrza, by odpowiedzieć. Pek Sikorski przepchnęła się obok niej, wchodząc do szopy. Pek Gruber ułożył Enlę na ławce i pobiegł za Ziemianką. Wszystko pociemniało, ale tylko na chwilę. Słyszała, jak tamci poruszają się w szopie – ilu, na Pierwszy Kwiat, ilu ich było?... Wszystkie odgłosy zagłuszało przeraźliwe wycie niemowlęcia.

Enla usiłowała usiąść. Z szopy wypadła Essa, rozcierając sobie ramię. Zatrzymała się w pół kroku i wbiła wzrok pod nogi, sprawiając, że Enla także tam spojrzała.

W świetle czterech księżyców zobaczyła trzy osoby leżące na ziemi. Każda z nich była utyłana od barków po kolana w różowym błocie. Nie, nie w błocie – w jakiejś lepkiej gęstej substancji przypominającej żywicę dobu. Wszystkie trzy wiły się niczym bezradne niemowlęta. Dwaj mężczyźni mieli przerażone miny; ich grzebienie czaszkowe były tak zmarszczone, że aż podniosły im się oczy. Enla jeszcze nigdy nie widziała u nikogo tak wysoko uniesionych oczu. Pijana kobieta przestała i bełkotać, i ruszać się. – Czy ona nie żyje? – wyszeptła Essa. – Co to jest? – Ja... nie wiem – sapnęła Enla. W piersi wciąż ją paliło, ale przynajmniej mogła już oddychać. Dopiero teraz zarejestrowała pieczenie w podrapanym ramieniu. Ta różowa żywica musi być jedną z broni Pęka Grubera.

Pek Gruber i Pek Sikorski właśnie wychodzili z szopy, wyprowadzając na zewnątrz Serlita i Iwę. Iwa, niosąca dziecko, wydawała się cała. Serlit miał podartą tunikę, jedno ramię zwisało mu bezwładnie. Na jego twarzy widniał wielki siniak. – Masz złamaną rękę! – stwierdziła Pek Sikorski. Moment później już biegła do swego roweru po torbę uzdrowiacza.

Essa zapomniała o wijących się nieznanym utyłanych różową żywicą i zakrzętnęła się przy Serlicie.

Iwa zwróciła się do Enli: – Co... co zrobił Ziemianin? – Nie wiem – odparła Enla. Z każdą chwilą było jej łatwiej oddychać. Nawet mówienie przychodziło już bez trudu. – Ziemianie mają wiele różnych urządzeń. Pek Gruber... związał intruzów. – Związał? Czym? – Nie wiem.

Pek Sikorski zdążyła wrócić i Iwa wcisnęła niemowlę w objęcia Essy, aby zająć się synem. Essa wzięła od kobiety zawiniątko, lecz tylko w

pierwszej chwili była zaskoczona. Musiała już wcześniej zajmować się niemowlętami, ponieważ teraz jąta spacerować tam i z powrotem, poklepując dziecko po pleckach.

Enla poczuła nagły skurcz brzucha. Zataczając się, obesza szopę i zwróciła zawartość żołądka. Oparta o drewnianą ścianę, wdychała głęboko chłodne nocne powietrze, aż skurcze minęły. Gdy wróciła przed szopę, zobaczyła, że Pek Gruber odciągnął trzy związane osoby poza krąg światła rzucanego przez jego latarkę.

Pek Sikorski podniósł wzrok znad ramienia Serlita, które smarowała maścią. – Czy ty...? – zapytała ostro Pęka Grubera. – Nie, nie – odparł szybko po ziemsku. – Po prostu zostawię ich w nanosieci do rana. Niech przemyślą, co zrobili, i pozostanawiają się, co ja z nimi zrobię.

Pek Sikorski skinęła głową i zajęła się rozprowadzaniem maści. Niemowlę nareszcie przestało płakać. – Anno... – odezwał się Pek Gruber. – To znaczy... Pek Harrilin, Serlicie... – Tak? – zapytała Iwa. – O co chodzi? – W szopie – wydukał po światańsku Pek Gruber. – Przykro mi. Twoja babka... Matka babki... nie żyje. Iwa rzekła spokojnie: – Połączyła się z przodkami? – Tak. Ale nie ci tutaj ją skrzywdzili. Jej ciało jest już prawie zimne. Sądzę, że umarła we śnie.

– Połączyła się z przodkami – powtórzyła Iwa.

W głosie i spojrzeniu kobiety było tyle radości, że Enla z trudem ją rozpoznała.

\* \* \*

Pożegnalne całopalenie zorganizowali nazajutrz z samego rana. Nie było kapłana, lecz Essa, Iwa i nawet Serlit ze złamaną ręką wstali wcześniej, żeby nazbierać drewna i kwiatów, które miały spłonąć razem z ciałem zmarłej. Pek Gruber dorzucił coś do ognia, dzięki czemu płomień rozgorzały bardzo mocno, prędko pochłaniając zwłoki. Wszyscy tańczyli i śpiewali kwietne pieśni. Iwa promieniała. Jej ukochana babka wreszcie połączyła się z przodkami: była szczęśliwa, zdrowa i bezpieczna.

Potem, zmęczeni noszeniem drew i tańcami, zasiedli przed szopą, żeby się posilić kleikiem z owoców drzewa żeli. Iwa zajrzała do swojej miski i zwróciła się z pytaniem do Pek Sikorski, która była w jej oczach mniej dziwna niż Pek Gruber: – Dlaczego? – Co dlaczego, Pek Harrilin? – spytała łagodnym tonem Pek Sikorski. – Dlaczego tamci przyszli nas skrzywdzić? I co Pek Gruber im zrobił? Zupełnie o nich zapomniałam! – Już ich nie ma – zapewnił Pek Gruber. – Uwolniłem ich... z różowych więzów... i kazałem im zmykać.

Mówił jeszcze dziwniej niż zwykle. Iwa nie zwróciła na to uwagi, jednakże Enla zastanawiała się, czy chodzi o jego kiepską znajomość

światańskiego czy raczej on także próbuje dzielić tylko część rzeczywistości. Wolała o to nie pytać.

Pek Sikorski powtórzyła swoje pytanie:185

– Co dlaczego, Pek Harrilin? – Dlaczego tamci przyszli nas skrzywdzić?

Odpowiedzi udzielił Serlit: – Ponieważ byli pijani, moja matko. – Nie odezwała się Enla, zadziwiając samą siebie. – Nie dlatego, że byli pijani.

Wszyscy na nią spojrzeli. Enla uświadomiła sobie, że rozmyślała nad tym od dłuższego czasu. Teraz powiedziała: – Przyszli krzywdzić i kraść dlatego, że teraz można to robić. Bez dzielonej rzeczywistości już można... Essie podobało się na latającej metalowej łodzi. Pek Voratur postanowił zatrzymać dla siebie większą część zysku, niż uzgodnił z nami. A Serlit pragnie pojechać do Ratkit Seloe z Pek Sikorski, Pekiem Gruberem i Essą. Wszystko to jest możliwe, ponieważ zniknęła dzielona rzeczywistość. Światanie robią różne rzeczy dlatego, że teraz już można je robić. Możemy je robić...

Pek Sikorski spoglądała na nią ze smutkiem i z miłością. Enla poczuła się przez to dziwnie w środku. – Tak – potwierdziła cichym głosem Pek Sikorski.

Iwę zaintrygowało co innego w słowach Enli. – Serlit? Chcesz pojechać do Rafkit Seloe z tymi... Ziemianami? – Tak – kiwnął głową chłopak, popatrując nieśmiało na Essę. – Przecież nigdy nie chciałeś jeździć ze mną do wieży luster! – Wiem, moja matko. Ale chcę pojechać do stolicy. Jestem już na tyle duży, przecież wiesz. Iwa posłała Pek Sikorski bezradne spojrzenie. Poruszyła wargami, zamarła, drgnęła znowu. – Jak... jak... gdy nie ma dzielonej rzeczywistości... jak to... – Nauczycie się... większość się nauczy – odpowiedziała jej Pek Sikorski. Smutek i miłość, które przedtem wyzierały z jej oczu, teraz spłynęły do głosu. – Z czasem. Głównie chodzi o praktykę. Nauczycie się z czasem...

Iwa spjrzała na syna i zwiesiła głowę. – Moja matko? – zapytał Serlit. – Możesz jechać – odparła bardzo cicho Iwa.

W uszach Enli jej słowa zabrzmiały prawie niczym kwietne błogosławieństwo, jak gdyby Iwa była nie tylko zwykłą wieśniaczką, ale też jakimś sposobem stała się kapłanką Pierwszego Kwiatu.

## 25.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

Statek kurierski, który poinformował McChesneya i Graftona o masakrze w systemie Viridiana, przekazał także na pokład Alana B. Sheparda rutynowe wiadomości, w tym pocztę.

Główne niusogramy zawierały holonagrania ukazujące to, co pozostało ze skolonizowanej planety i jej zamieszkanego księżycy. Kaufman obejrzał te o rozdzielczości ćwierć metra, czując, jak żołądek wywraca mu się na nice. Ludzie zadomowili się na obu tych globach, które podobnie jak Świat okazały się żyzne i gościnne, i spędzali większość czasu poza murami domów. Obrazy były przez to jeszcze potworniejsze.

Na całym okręcie zwykli marynarze zbijali się w grupki i rozmawiali przyciszonymi głosami. Ci, którzy mieli krewnych bądź przyjaciół w systemie Viridiana, zostali tymczasowo zwolnieni ze służby przez swych przełożonych. Kapelan pokładowy zapowiedział multiwyznaniowe nabożeństwo żałobne, które następnie musiał kilkakrotnie powtarzać z uwagi na dużą liczbę chętnych i małe rozmiary kaplicy. Przybytek ów – w dobie świeckości – na ogół zionął pustką.

Kaufman uzbroidł się w cierpliwość. Wiedział, co się wydarzy – nie wiedział tylko kiedy. Nie mógł pójść do Marbet ani do Graftona, ani do Thomasa Capelo, nie zmieniając biegu wypadków. Może tak wygląda, pomyślał bez cienia humoru, odpowiednik zasady nieoznaczoności Heisenberga w ludzkim świecie. Każda próba pomiaru zaburza badany układ, zmieniając jego stan.

Haroldowi i Rosalindzie powiedział, że Capelo został aresztowany za czynną napaść na dwóch żandarmów. Albemarle wygiął wargi w domyślnym uśmiechu. Rosalinda spochmurniała. – Lyle... bez niego nie zakończymy tego projektu. Nikt oprócz niego nie wie, jak się zabrać do modelowania takich zjawisk fizycznych. – On też tego nie wie – wtrącił Albemarle.

Kaufman pomyślał z pogardą, że nawet w takiej sytuacji Harold nie potrafi się powstrzymać. Zaraz jednak o tym zapomniał. Harold Albemarle się nie liczył.

Nie sądzę, aby miał być długo trzymany pod kluczem – rzekł, zwracając się do Rosalindy. – W końcu jest tylko cywilem. To nie przypadek żołnierza, który zaatakował wyższego stopniem. Kiedy Grafton uzna, że Tom już się uspokoił i nie stwarza zagrożenia dla porządku na pokładzie, będzie musiał go wypuścić.

Podenerwowana Rosalinda spytała: – Ale będą za nim wszędzie łązić żandarmi, prawda? Na wypadek gdyby zno wu chciał się rzucić na ciebie czy komandora Graftona. Albo wręcz wedrzeć się do celi z Fallerem. – Cóż, chyba tak... – Widziałeś Toma Capelo przy pracy, Lyle. Chodzi, gdzie mu się żywnie podoba. Wpada w coś w rodzaju transu i snuje się to tu, to tam. Ograniczenie mu ruchów odbija się na jego intelekcie. Nie ma sensu trzymać

go pod kluczem ani kazać strażnikom, żeby deptali mu po piętach. Capelo musi dalej pracować. Bez niego nic nie osiągniemy. – Wiem – rzekł Kaufman. – Nie podoba mi się to, Lyle. – Nikomu z nas się nie podoba.<sup>187</sup>

Rosalinda pokiwała głową z powagą. Albemarle starał się zetrzeć z twarzy sarkastyczny uśmiezek. Kaufman zostawił ich samych i wrócił do swojej kajuty.

Żeby dalej czekać.

\* \* \*

Stracił panowanie nad sobą. I mógł mieć o to pretensje wyłącznie do siebie. Gdy ogarnął go szal, stracił panowanie nad sobą. Niewybaczalne.

Leżąc bezradnie na koi w nanosieci więżącej go od barków w dół, Capelo przeklinał się z całych sił. Szal był jego dobrym znajomym z czasów zaraz po śmierci Karen, gdy regularnie co parę tygodni tracił kontrolę nad sobą. Po fakcie nie pamiętał nawet, co wyczyniał, i mógł się tego tylko domyślać, oglądając zniszczenia. Doszedłszy do siebie, najczęściej zauważał, że ma połamane meble, rozwalony w drobny mak komputer. Raz stwierdził, że w amoku zamienił swoją ślubną obrączkę w niekształtną płaską masę metalu. To go przeraziło bardziej niż wszystko inne. Później starał się nie wpadać w szal nie tylko przy córkach, ale też w samotności. I udawało mu się – aż do teraz.

Jeden z tych skurwieli, którzy zabili Karen, znajdował się na pokładzie Alana B. Sheparda!

Capelo zmusił się do równych głębokich oddechów. Z dziesięć minut zajęło mu uspokojenie się. Potem zaczął główkować. Od czasów studiów najbardziej odprężyło go rozmyślanie nad hipotezą Riemanna, owym największym nierozwiązanym problemem w matematyce sprzed paru stuleci. Rozpatrywał poszczególne elementy, zabawiał się ekstra polowaniem dostępnych wyników, pozwalał, by wyzwanie całkowicie go pochłonęło. Wszystkie miejsca zerowe znajdują się na prostej krytycznej,  $x=1/2, \dots$  jest ich nieskończenie wiele... W jaki sposób? Pozwolił, aby hipoteza Riemanna rozmasowała mu mózg, co przełożyło się na masaż całego ciała i rozluźnienie wszystkich mięśni.

Musiał się odprężyć. Wkrótce pojawi się lekarz wojskowy. Wojskowy w rozumieniu biurokraty komandora Graftona, nie specja od PR pułkownika Kaufmana. Capelo nie był pewien, co jest gorsze. Tak czy owak lekarz zezwoli na rozpuszczenie nanosieci, dopiero gdy stwierdzi u niego temperaturę w normie, wilgotność skóry w normie, oddychanie w normie oraz przynajmniej akceptowalne odpowiedzi neuronu na bodźce.

Oddał się całkowicie rozmyślanom o nierzeczywistości zer.



\* \* \*

Musiał czekać osiem godzin i przyjąć lekarza dwukrotnie, zanim żandarmi wreszcie spryskali nanosieć, która pod wpływem rozpuszczalnika zniknęła, jakby jej nigdy nie było. Capelo usiadł na koi i roztarł zdrętwiałe ramiona. – Przez pewien czas może pan odczuwać skutki słabszego krążenia, ale to nic poważnego – zapewnił go lekarz. – Rozumiem. – Bądź spokojny, rozsądny. Normalny.

Oficer marynarki wojennej, który asystował przy procedurze uwalniania aresztanta, powiedział: – Odtąd może się pan poruszać swobodnie, doktorze. Niemniej wszędzie będzie panu towarzyszył sierżant Forrester.

Sierżant Forrester, potężny żandarm o czujnym spojrzeniu, wbił wzrok w fizyka. Udoskonalony mięśniak, ocenił w myślach Tom. Do tego niegłupi. – Rozumiem – powiedział na głos. – To dobrze. Odcinamy panu dostęp do systemu komputerowego z pańskiej kajuty. W razie potrzeby skorzystania z niego proszę udać się na pokład obserwacyjny, gdzie czeka na pana sprzęt przeznaczony do użytku członków zespołu badawczego.

Pod opieką żandarma, oczywiście...

Capelo widział oczyma wyobraźni zażenowaną Rosalindę, uśmiechającego się skrycie Harolda, techników z niewyraźnymi minami. Mimo to znowu powiedział: – Rozumiem.

Zaczynam przypominać cholerną papugę, pomyślał. „Tommy, może wafla?”... – Czy ma pan jakieś pytania, doktorze? – Nie. Ale chciałbym zobaczyć córki. Są w kajucie obok. – Oczywiście.

Lekarz i oficer wyszli, pozostawiając za sobą woń prawości. Sierżant odeskortował Toma do pobliskich drzwi, za którymi Amanda i Sudie rzuciły mu się w ramiona. Jane Shaw z wrodzoną dyskrecją udawała, że nie dostrzega żandarma. – Jak się miewają moje księżniczki? – zapytał Capelo. – Ja doskonale dzięki twoim świetnym genom – odparła Amanda, uciekając się do ich prywatnego żartu, i strząsnęła grzywkę z oczu.

Boże, ależ ona szybko dorasta...

Sudie zaszczębiotała: – Jane mówiła, że jesteś chory, tatusiu. Już ci lepiej? – O wiele lepiej. – Kim jest ten pan? – To żołnierz. Obserwuje mnie i uczy się.

Sudie przyjęła to do wiadomości bez zastrzeżeń; przywykła, że wokół ojca kręca się studenci i doktoranci. Nachyliwszy się do jego ucha, szepnęła: – Nie przechodziłyśmy przez sekretne drzwi. – Wiem – odszepnęła. – Nie chciałyśmy, żeby pan doktor je zauważył. – I bardzo dobrze. – I nie powiedziałyśmy nic nikomu.

Capelo postanowił odwrócić jej uwagę od tajnego przejścia. – Co porabialiście, gdy chorowałem? Zmieniłyście się w kosmiczne warzywka? – Jestem za duża na takie zabawy, tato – zauważyła Amanda.189

– A ja nie! – zawołała Sudie. – Jestem kosmicznym warzywkiem. Spójrz na moje holo!

Podskakując, pociągnęła go za rękę ku stworzonej przez siebie holokonstrukcji, nie trzymającej pionu instalacji z purpurowych i zielonych świetlnych kół. Amanda poszła po e-tablet z rozwiązaniem zadaniem domowym.

Capelo posłał Jane pytające spojrzenie ponad głową Sudie. Opiekunka się uśmiechnęła. – Znacznie lepiej, Tom. Żadnych koszmarów. Praktycznie inne dziecko. – Popatrz, tato – przerwała im Amanda z ważną miną. – Uczę się algebry. Widzisz, tutaj trzeba obliczyć „x”. Żeby to zrobić, należy przenieść to na tę stronę równania i...

Capelo przysłuchiwał się Amandzie uczącej go rozwiązywać równania z jedną niewiadomą oraz Sudie opowiadającej mu o barwnej holokonstrukcji. Jane Shaw, która znała go nie od dziś i pamiętała ataki szału, przyglądała mu się bacznie. Wiedząc, że Jane to sprytna kobieta, Thomas Capelo unikał jej spojrzenia.

\* \* \*

Po tym jak sierżant Forrester odeskortował go do kajuty, Capelo odczekał pół godziny. Następnie wpełzł pod koję i cichutko uchylił sekretne drzwiczki Sudie. Dzięki temu usłyszał, jak .Tanę kończy lekcje na dziś, zbiera rozrzucone rzeczy i szykuje się do wyjścia z dziewczynkami do ogrodu. Zabierała je tam każdego popołudnia, żeby spędziły trochę czasu poza ciasną kajutą. Na okręcie nie było wielu miejsc, w które można by zabrać małe dzieci. – Tato kiepsko wygląda – pożaliła się opiekunce Amanda. – Złapał retrowirusa, jak wiesz – odparła Jane Shaw. – Dlatego został poddany kwarantannie. – Wiem. Ale zanim zachorował, też wyglądał kiepsko.

Capelo stęzał w oczekiwaniu na odpowiedź Jane. – Twój ojciec ma wiele na głowie, Amando. – Wiem. Ale to chyba nie to. On chyba się starzeje. – Starzeje?! – wykrzyknęła Jane. – Skarbie, twój tato ma trzydzieści cztery lata! – Moim zdaniem to bardzo dużo – odparła Amanda zasadniczym tonem.

Capelo mimowolnie się uśmiechnął. Grymas ten sprawił mu ból. Zdał sobie sprawę, że od dawna zaciskał szczęki.

Sudie wystrzeliła z łazienki, po czym doszło między nią i siostrą do kłótni o to, czy purpurowy to głupi kolor. Wreszcie cała trójka wyszła do ogrodu.

Capelo pchnął mocniej metalową płytę, co spowodowało przesunięcie staromodnego kufra po drugiej stronie. Przeczółgał się do kajuty dziewczynek i ustawił skrzynię z powrotem na miejscu.

Szkolny komputer jego córek był oczywiście połączony z okrętową biblioteką. Tylko parę minut zabrało Tomowi odnalezienie tego, czego szukał. Nagrania z kamer miały proste zabezpieczenia; nawet Amanda dałaby radę je pokonać. Polecił systemowi wyświetlenie obecnego miejsca przebywania Marbet Grant.190

„Marbet Grant przebywa obecnie w brygu” – udzielił odpowiedzi system.

W brygu? Za co? I czy Faller też tam się znajduje? Capelo nie odważył się zadać podobnego pytania w odniesieniu do Obcego, którego miejsce przetrzymywania było bez wątpienia otoczone tajemnicą; takie zapytanie spowodowałoby alarm, który nie przeszedłby niezauważenie. Zamiast tego wprowadził komendę z żądaniem planu okrętu.

Po chwili miał go na ekranie. – Otwórz dostęp do archiwalnych nagrań z brygu!

Pierwszy wpis pojawił się przed dwoma dniami. Najwyraźniej wcześniej nikogo nie aresztowano. Komandor Grafton trzymał wszystkich twardą ręką.

Obejrzał nagranie z przyprowadzenia Marbet do celi. Bryg składał się z dwóch pomieszczeń: przedsionka zastawionego skrzyniami ładunkowymi oraz właściwej celi, wyposażonej w koję, sedes i umywalkę. Żadnego komputera. Zarówno przedsionek, jak i właściwa cela były zabezpieczone skanerami siatkówki i zamkami klawiaturowymi, których nie dało się otworzyć komendami głosowymi. Mimo że Capelo bez końca powiększał obraz, nie był w stanie dojrzeć, jakie cyfry wbija strażnik. Żandarm stał pomiędzy klawiaturą a kamerą, zapewne stosując się do regulaminu. Capelo wydał komendę, aby nagranie przewinąć do momentu pierwszego przybycia Kaufmana.

Żandarm zerwał się na nogi i zasalutował wchodzącemu oficerowi. – Sir! – Spocznijcie, sierżancie. Czy komandor Grafion autoryzował mój pobyt w celi więźnia? – Tak jest, sir! Członkowie zespołu projektu specjalnego mają prawo wstępu, sir!

Kaufman wyminął żandarma i przeszedł do celi. Marbet, ubrana w zielony kombinezon, siedziała na brzeżku koi. Pisała coś ołówkiem na papierze. Obok niej na koi stała taca z nienaruszonym posiłkiem. – Witaj, Marbet. – Witaj, Lyle. – Muszę zadać ci parę ważnych pytań w związku z twoją pracą. – Czy będę mogła ją potem kontynuować? – Decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła. – Kłamiesz – stwierdziła Marbet. – Spójrz tylko na siebie: kłamiesz i nienawidzisz się za to. – No dobrze – rzekł z westchnieniem, siadając na jej koi. – Nie możesz kontynuować pracy. Nie możesz nawet zobaczyć ponownie jeńca. Pozostaniesz w brygu do powrotu na Marsa. Tymczasem jednak muszę się dowiedzieć, co odkryłaś. Ile Faller

wie o artefakcie. Pytam oficjalnie, Marbet. A przy tym z myślą o dobru projektu...

Capelo zatrzymał nagranie. Jego oddech przyspieszył. Fallerowie byli w posiadaniu czegoś podobnego do artefaktów – stąd wzięły się ich tarcze kopiujące obiekt w ustawieniu mocy na dwójkę. A więc Marbet trafiła do brygu nie przez artefakty w ogóle, lecz przez jeden konkretny artefakt, który znaleźli ludzie. Ponieważ powiedziała Obcemu, że ludzkość ma coś takiego.

Nawet Capelo, który nie miał duszy wojskowego, rozumiał, że to zdrada.

Włączył znowu nagranie. – ...Będiesz ze mną współpracować? – Oczywiście. Nigdy nie wystąpiłam przeciwko dobru projektu. – Ja ci wierzę. Pozostali nie. – Przynajmniej teraz jesteś uczciwy... Nie mam wiele do przekazania. Obcy rozpoznał artefakt, i to od razu. Rozpoznał też holoprojekcję, co moim zdaniem świadczy o tym, że Fallerowie odbyli, jak korzystać z ustawienia oznaczonego jedyneką. Nic więcej nie zdążyłam osiągnąć. Zamierzałam jeszcze przeprogramować holo- projektor, żeby ukazywał działanie sferycznej fali destabilizacyjnej, i w ten sposób sprawdzić, czy Obcy rozpozna i to. Jednakże wcześniej wy wkroczyliście do akcji.

Boże... pomyślał Capelo bez cienia szacunku. – Czy cokolwiek w zachowaniu Obcego przekonało cię, że nie tylko rozpoznał artefakt? – Tak. Był zaniepokojony, że wiemy o artefakcie albo wręcz mamy go. Bardzo zaniepokojony. – Coś jeszcze? – Nie. Zabrakło mi czasu...

Uśmiechnęła się. – Nic nie szkodzi, Lyle. Ja też cię lubię. W innej sytuacji... – Na pewno nie ma nic więcej? – Może jedna rzecz... Ale bardzo ważna. Musisz przekonać Graf tona, żeby pozwolił mi porozmawiać z Obcym. – Wykluczone, Marbet. Absolutnie wykluczone. – To konieczne, Lyle. Podkreślam, że Obcy był naprawdę bardzo zaniepokojony faktem, że jesteśmy w posiadaniu artefaktu. – Chyba nie powinno cię to dziwić? – Pewnie nie. Tylko że w moim odczuciu jego zaniepokojenie nie wynikało wyłącznie z odbycia naszej nowej strategicznej przewagi. On usiłował coś ukryć, Lyle. Coś istotnego, co prawdopodobnie dotyczy artefaktu. – Wiesz co? – Nie. Wiem tylko, że przeczucie mnie nie myli. Źle się stało, że mnie aresztowałeś. Powinieneś być mnie najpierw wysłuchać, rozważyć wszystkie za i przeciw i na tej podstawie podjąć decyzję, jak masz w zwyczaju. Postąpiłeś inaczej. Wskoczyłeś z tym aresztowaniem jak Filip z konopi, gdyż przez swoje uczucie do mnie poczułeś się zraniony tym, co zrobiłam. I to był twój błąd, Lyle. Nie mam pojęcia, jak zdołasz go naprawić, jeśli to, co mi opowiadałeś o Grafionie, jest prawdą.

Capelo siedział w oszołomieniu. Doszło nie tylko do komunikacji z Obcym, lecz także do wymiany newralgicznych informacji o potencjalnej

broni ludzkości. Thomas Capelo, będąc na miejscu Kaufmana, już dawno kazałby zabić jeńca – za to, co ów wie. Wszelako nie był na jego miejscu, a Kaufman nie był Thomasem Capelo. Nie rozumował logicznie. Zatem należało przyjąć, że Obcy nadal znajduje się gdzieś na okręcie. Jeden z Fallerów, tych skurwieli, którzy zamordowali Karen i ot tak zniszczyli życie Thomasa i jego córek. Nadal znajduje się na okręcie, na którym przebywają dzieci Karen.

Nadal, lecz już niedługo.

Raz jeszcze odtworzył fragment rozmowy Marbet i Kaufmana, aby upewnić się, że dobrze usłyszał.

Tak jest, sir! Członkowie zespołu projektu specjalnego mają prawo wstępu, sir!

Było lepiej, niż mógłby pomarzyć.

Drzwi wyjściowe z kajuty dziewczynek otwierały się na korytarz techniczny. Capelo uchylił je lekko i wyjrzał. Pusto. Wymknął się na zewnątrz, bezszelestnie zamykając drzwi za sobą. Następnie wyprostował się i przybrał wyraz twarzy człowieka, którego bardzo absorbują jakieś sprawy.

Kilka poziomów bardzo długich korytarzy dzieliło go od brygu mieszczącego się na najniżej. Nie miał szans pokonać ich niezauważenie. Musiał liczyć na to, że większość załogi nie słyszała o jego aresztowaniu, jak również o tym, że nie powinien nigdzie się ruszać bez obstawy w postaci żandarma. Capelo uznał, że poinformowani są co najwyżej inni żandarmi, którzy z pewnością się orientują, jakie zadanie otrzymał sierżant Forrester. Jednakże żandarmi zazwyczaj nie bratali się z oficerami ani z prostymi marynarzami. Zajmowali odrębne pomieszczenia na okręcie, mieli własną mesę, własną salę gimnastyczną, a nawet własny łańcuch dowodzenia.

Capelo zwawo pokonywał kolejne korytarze, wybierając najmniej uczęszczane. Minął paru majtków i trzech niskich stopniem oficerów. Marynarze zignorowali go całkowicie; oficerowie skinęli mu głową z roztargnieniem. Capelo odpowiedział tym samym.

W końcu nacisnął dzwonek do przedsiönka brygu, na co żandarm – inny niż ten, którego oglądał na nagraniu, lecz również bardzo młody – otworzył drzwi. – Thomas Capelo do Marbet Grant. Jestem fizykiem w zespole projektu specjalnego. Członkowie tego zespołu mają prawo wstępu. – Tak jest, sir. Proszę podejść do skanera siatkówki oka, żeby zweryfikować swoją tożsamość.

Capelo się zawahał. Być może skany wszystkich osób znajdujących się na pokładzie Alana B. Shepada były skrzętnie przechowywane i wykorzystywane tylko w razie konieczności, w sytuacjach takich jak ta. Z drugiej strony istniała możliwość, że system komputerowy porównuje

bieżący skan z listą osób, którym z jakichś powodów odmówiono prawa wstępu.

Pytanie, czy Grafion zdążył umieścić jego nazwisko na tej liście. Tom przez moment zastanawiał się, jak uniknąć weryfikacji, po czym nie wymyśliwszy niczego sensownego, obliczył prawdopodobieństwo wpadki i wreszcie zbliżył się do skanera.

Maszyna obwieściła bezbarwnym głosem: – Doktor Thomas Capelo, główny naukowiec wyprawy, członek zespołu projektu specjalnego. – Może pan wejść, sir. – Proszę się wstrzymać z otwarciem drzwi. Panna Grant, jak panu wiadomo, była członkiem naszego zespołu. Zanim się z nią zobaczę, chciałbym panu zadać parę pytań. – Capelo nadał swemu głosowi tak autorytatywne brzmienie, na jakie go było stać. Istniała szansa, że młody żandarm weźmie go za doktora medycyny. – Parę pytań, sir? – Tak.

Wypytał żołnierza o zachowanie Marbet w celi, o spożywane przez nią posiłki, ilość snu i rozmowy ze strażnikami. Okazało się, że rozmów w ogóle nie było – najwyraźniej kontakt słowny z aresztantem stanowił złamanie regulaminu. Żandarm cierpliwie udzielał odpowiedzi. Zdawał się szczery, aczkolwiek niezbyt lotny. Z pewnością nie był udoskonalonym genetycznie osobnikiem. Wymyślając coraz to nowe pytania, Capelo chodził po ciasnym pomieszczeniu. Ani przez chwilę nie stał w jednym miejscu. Gdy po jakichś dziesięciu minutach żandarm przywykł do jego ruchliwości, rzucił: – Dziękuję. Teraz mogę już wejść.

Strażnik odwrócił się i pochylił nad klawiaturą, by wbić kod otwierający drzwi do celi, zgodnie z regulaminem zasłaniając sobą widok kamerze. Capelo stał wtedy pomiędzy nim a biurkiem. Odczekał, aż drzwi się otworzyły, po czym złapał ciężką kostkę informacyjną – w armii wszystko było ciężkie i solidne, nie dało się tego ukryć – i zdzielił żandarma w potylicę.

Było to zupełnie co innego niż atak na Kaufmana i Graftona. Żeby uderzyć człowieka w tył głowy, nie trzeba wielkiej filozofii ani długiego treningu. Capelo przez nanosekundę czuł wstyd – gdyby Amanda go widziała! – ale szybko stłumił to uczucie. Takie uderzenie nie zabije chłopaka. Zresztą Karen wycierpiała znacznie więcej.

Żandarm zachwiał się, lecz utrzymał na nogach. Jednakże wtedy Capelo miał już w ręku wyrwany zza paska żołnierza taser. Nacisnął spust. Nic się nie stało. – Szlag! – krzyknął Capelo i ponownie zdzielił żandarma kostką w głowę. Boże, ja naprawdę nie chcę go zabić! pomyślał.

Żandarm, choć leżał na podłodze, nadal się ruszał. – Użyj nanosieci. Nie jest zaprogramowana na odciski palców – poradził mu ktoś z tyłu.

Capelo okręcił się wokół własnej osi. W otwartych drzwiach celi stała Marbet Grant. Gdy Capelo zastanawiał się, czy opuszczenie przez nią celi wywoła alarm, Marbet przepchnęła się obok niego, odpięła cylindryczny

zasobnik od paska strażnika i spryskała zawartością leżącego. Różowa kleista maź spowiła chłopaka ciasnym kokonem od barków do kolan; 194 nanosiec, która niedawno przez osiem godzin krępowwała ruchy Thomasa Capelo. Fizyk bezwiednie zapytał: – Na jakiej zasadzie to działa?

Poczuł, że zrobił z siebie głupca, ledwie wypowiedział te słowa.

Marbet rzuciła mu rozbawione spojrzenie. Żandarm zaczął parskać.

Dzięki Bogu, że żyje, pomyślał Capelo. – Trzeba go zakneblować – rzuciła Marbet. Rozejrzała się po składziku i nie znalazłszy niczego odpowiedniego, zdjęła skarpetki. Była boso. Zdumionemu Tomowi wyjaśniła: – Pościel nie da się podrzeć. Żeby aresztanci nie mogli się targnąć na życie.

Wepchnęła skarpetki żandarmowi do ust. Chłopak patrzył na nią z nienawiścią. – Wybacz, Gary – powiedziała łagodnie. – To nie na długo. I nie przejmuj się. To nie twoja wina.

Capelo poczuł, że zaczyna tracić kontrolę nad sytuacją.

Złapał Marbet za ramię. – Pójdiesz ze mną. – Tak, Tom – rzekła. – Pokażę ci, gdzie znaleźć Fallera. Nic innego w całym wszechświecie nie zmusiłoby cię do zrobienia tego, co zrobiłeś. Będę współpracować.

Zabrał jej zasobnik, przed czym nie protestowała, i chwyciwszy ją mocno za rękę, otworzył drzwi na korytarz.

\* \* \*

Tym razem ucieczka nie była już tak łatwa. Marbet Grant miała na sobie zielony kombinezon aresztanta. Jej kajuta znajdowała się na drugim końcu okrętu. Jednakże -jak się okazało – cela z Obcym była na tym samym poziomie co bryg, i to całkiem niedaleko. Co nie jest takie głupie, stwierdził w myślach Capelo.

Marbet prowadziła go w milczeniu. Na rozwidleniu korytarzy w kształcie litery T zatrzymała się, by szepnąć: – To już niedaleko. Ale drzwi pilnują dwaj żandarmi, a w środku mogą akurat być jacyś ludzie. Ksenobiolog, lekarz, oficerowie wywiadu, nawet Lyle. Sama nie wiem.

Capelo zastanowił się, czy czekać, żeby zobaczyć, kto wchodzi i wychodzi z celi Obcego, czy nie czekać, aż ktoś odkryje, że on zniknął ze swojej kajuty, Marbet zniknęła ze swojej celi, a w składziku leży skrępowany nanosieciami żandarm z dwiema śliwami na głowie. Czekanie przegrało w przedbiegach. – Idziemy. – Zaraz. Lepiej oddaj mi zasobnik. – Capelo popatrzył na nią podejrzliwie. Tom, chcę tego samego co ty: wydobyć więcej informacji z Fallera. Ale ja potrafię zarzucać nanosiec, a ty... zdaje się, nigdy nie miałeś z nią do czynienia. – To prawda – przyznał, myśląc, że Marbet nie domyśla się jego planu. A może jednak wie, że chcę go

zabić, i tylko udaje?... – Zatrzymam zasobnik. Widziałem, jak go używasz. Zresztą to prosta broń, żaden tam akcelerator cząstek.

Wzruszyła ramionami. – W takim razie spryskaj ich obu naraz, mniej więcej na wysokości pasa, ale zrób to szybko. Potem popraw każdego z osobna. Nie musisz uważać na twarz. Nanoboty jej nie zagrażają.

Dlaczego? Był ciekaw, ale kiedy indziej przyjdzie pora na zagadki naukowe. Wypadł z załamaniem korytarza, naciskając spust zasobnika.

Wyglądało na to, że mu się udało. Obydwaj żandarmi runęli na ziemię. Capelo pryskał dalej z maniackim zachwytem, który powinien był go przerazić. Jednakże wystraszył się czego innego: tylko jeden strażnik pozostał rozciągnięty na ziemi. Drugi poderwał się na nogi i rzucił na Toma... – Jest pokryty antidotum! – krzyknęła Marbet, zanim żołnierz wyrzucił go prosto w brzuch.

Powtórzyło się to samo, co przeżył przy aresztowaniu. Zdumiewający ból i głęboka, zakorzeniona w fizjologii panika, że nie zdoła zaczerpnąć tchu, już nigdy nie weźmie oddechu, udusi się na śmierć...

Kiedy złapał dość powietrza, by znów przejrzeć na oczy, zobaczył, że drugi żandarm pada z twarzą zastygłą w wyrazie zdumienia.

Taser, domyślił się Capelo. Ale jak...

Jeden z żandarmów zniknął z zamglonego pola widzenia Toma. Ktoś przeciągał go za drzwi... Marbet? Jej nie widział. Spróbował usiąść. – Proszę podejść do skanera siatkówki oka, żeby zweryfikować swoją tożsamość – powiedziały drzwi. Po chwili dodały: – Marbet Caroline Grant. Cywilny specjalista. Tożsamość potwierdzona.

Najwyraźniej i jej nikt nie usunął z listy osób uprawnionych do wstępu. Obolały Capelo uznał, że nie ma się czemu dziwić. W końcu Marbet Grant siedziała w brygu i raczej nie stanowiła już zagrożenia. Chociaż...

Zanim zdążył dokończyć myśl, już siedział.

Na korytarzu nikogo nie było, ale z za uchylonych drzwi dobiegały jakieś głosy. Capelo z trudem wstał i wciąż trzymając się za brzuch, wtoczył za drzwi... gdzie po raz drugi w ciągu dziewięciu godzin oblepiła go nanosiec. Padł na podłogę, przetoczył się i zamarł, patrząc wprost na pułkownika Kaufmana trzymającego charakterystyczny cylinder.

Wiedziałem, że ją tutaj przyprowadzisz, Tom – rzekł Lyle. – Dziękuję ci.

## 26.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard



Z odmętów umysłu Kaufmana wyłonił się jeden z tych irytujących aforyzmów, którymi karmi się kadetów: „Mamy dobre sposoby, złe sposoby i wojskowe sposoby”. Po raz pierwszy, odkąd osiągnął dorosłość, Lyle Kaufman robił coś po swojemu. Żołądek miał zaciśnięty w supeł.

Złapał Toma pod pachy i przeciągnął za drzwi, zamykając je nogą. Na podłodze przed nim leżeli trzej mężczyźni: jeden potraktowany taserem, jeden omotany nanosieczą i jeden zarówno potraktowany taserem, jak i omotany nanosieczą. Tylko dzięki temu Kaufman mógł przewlec za drzwi bezwładnego fizyka, którego tożsamości nie potwierdziła weryfikacja skanerem siatkówki oka. Mechanizm ochronny nie odbierał nanosieci jako zagrożenia. Żandarmi oczywiście nosili przy sobie uniwersalne przepustki zapewniające im wstęp do wszystkich pomieszczeń na statku. Kaufman zwrócił się do Marbet: – Czy i ciebie mam skrępować? – Wiesz, że nie musisz. Wiesz, że nie możesz.

Naturalnie miała rację. Tylko mając swobodę ruchów, była w stanie wykonać swoją pracę.

Po chwili Marbet dodała jeszcze: – Uwolnij Toma, Lyle. – Nie mogę. Nie ma przepustki upoważniającej do przebywania tutaj. System ochrony pomieszczenia rozpoznałby w nim zagrożenie i wywołał alarm.

Marbet przyjrzała mu się uważniej. – W innych warunkach też byś tego nie zrobił. – Nie. On jest tu po to, by zabić Fallera, jeśli tylko będzie miał okazję.

Widział, że jej zielone oczy mocno się rozszerzyły, zanim się obejrzała, aby popatrzeć na Toma. Czyli uwierzyła, że Capelo chce od Fallera tylko informacji. Jak widać, nawet Wrażliwcy myślą się czasem co do ludzi... Ta refleksja z jakiegoś dziwnego powodu ucieszyła Kaufmana.

Marbet zapytała: – Czy to prawda, Tom? Rzeczywiście chciałeś zabić Fallera? Capelo spróbował odpowiedzieć, zamilkł, po czym ponownie spróbował. Z jego ust dobył się świszczący dźwięk: – S... s-sak!

Najwyraźniej żandarm nie żałował siły przy uderzeniu w brzuch.

Marbet zamknęła oczy. Kaufman domyślił się, że usiłuje sobie wyobrazić, co doprowadziło fizyka do tej decyzji. Gdy w końcu rozwarła powieki, Toma zignorowała, a do Kaufmana powiedziała krótko: – Przepraszam. – To już bez znaczenia – odparł. – Nie mamy wiele czasu, Marbet. Powinnaś brać się do pracy. – Tak. Czego chcesz się dowiedzieć? – Wszystkiego, co wie o ustawieniach oznaczonych siódmką, jedenastką i trzynastką. Albo wszystkiego, czego twoim zdaniem nie powiedział przedtem. Przede wszystkim spróbuj poznać lokalizację artefaktu Obcych. Czy jest w ich rodzimym systemie gwiazdowym i służy do ochrony, czy zmierza w stronę Układu Słonecznego i zamierza go roznieść w pył. – Dlaczego miałbyś cokolwiek nam powiedzieć?

Bez cienia wstydu zdejmowała z siebie kombinezon, a potem bieliznę. Kaufman odwrócił spojrzenie. – Pewnie nic nie powie. Jednakże wszystko, co uda ci się wydedukować z jego zachowania... Marbet, wiesz, kim on w ogóle jest? Zwykłym kotem, który nie ma pojęcia o technologii i planach dowództwa, czy raczej jakimś specjalistą albo kimś w tym stylu? – Nie wiem. Zapewne kimś pośrednim. A może nie. Struktura ich armii jest dla mnie całkowicie niezrozumiała. – Była już całkiem naga. Zwinnie przeszła do bocznych drzwi, gdzie pozwoliła sobie zeskanować siatkówkę, po czym wstukowała kod. Drzwi otwarły się przed nią. – Zostań tutaj, Lyle. – Nie zamykaj tych drzwi... na wszelki wypadek.

Na wypadek, gdyby znowu uwolniła jedną z rąk Fallera, a on próbował ją zabić. Na wypadek, gdyby Kaufman musiał tam wparować z cylindrycznym zasobnikiem w dłoni i każda chwila była na wagę złota. Na wszelki wypadek. – Zgoda. Ale trzymaj się z boku. Możesz obserwować wszystko na ekranach.

Nie musiała go do tego zachęcać. Kaufman przyglądał się, jak kobieta wkłada hełm z zapasem tlenu, po czym znika za bocznymi drzwiami i za moment wyłania się w służbie technicznej za niewidzialną barierą, która oddzielała dwie atmosfery. Wtedyniosła już płaską paczkę.

Faller, jak się zdawało, nie zmienił wyrazu twarzy. Kaufman wiedział jednak, że nawet gdyby Obcy zrobił jakąś minę, on nic by prawdopodobnie nie zauważył.

Jeniec wpatrywał się w Marbet dziwnymi płaskimi oczami. Marbet uwolniła z oków jego dalszą prawą rękę. A potem zrobiła coś, czego Kaufman się nie spodziewał. Sprawnie rozpakowała to, co przyniosła, wyczarowując niewielką białą tablicę na wątlym stojaczku. Przesunęła ją w stronę jeńca, ustawiając tak, aby była dobrze widoczna zarówno dla niego, jak dla kamer przekazujących obraz na ekrany. W wolną dłoń Obcego włożyła nie powodujący tarcia marker, a następnie wróciła przez służbę techniczną.

Znalazłszy się znów w ludzkiej atmosferze, nawet nie spojrzała na Kaufmana. Zdjęła hełm i przybrała dziwaczną pozycję: na wpół ukucnęła, ręce ułożyła pod dziwnym kątem, do tego jeszcze wykrzywiła twarz... Kaufman patrzył, jak na jego oczach zamienia się w obcą istotę – ani w człowieka, ani w Fallera – i tłumił rodzący się w nim niesmak.

Kolebiąc się w kucki, zaczęła się zbliżać ku nieporuszonemu Obcemu. Tuż przy barierze jąta wykonywać groteskowe gesty i miny, których znaczenia Kaufman nawet się nie domyślał.

Żadnej reakcji.

Marbet uniosła swoją tablicę. Holo zostało usunięte, zapewne po to, by je przeprogramować. Puste białe tablice nie rzucały się tak w oczy.

Kaufman usłyszał za plecami szelest. Nie odrywając spojrzenia od Marbet, powiedział do Toma:

– Nie ruszaj się. Jeśli mu się pokażesz albo choćby odezwiesz się słowem, załatwię cię aż miło.

Szelest ucichł.

Za pomocą markera Marbet zaczęła rysować coś płynnie na swojej tablicy. Kaufman nie widział rysunku, dopóki kobieta nie odwróciła tablicy ku Fallerowi i kamerze. Pułkownik zmrużył oczy.

Marbet narysowała artefakt: koło sprytnie zacienione kreskami, aby udawało kulę, z siedmioma rozmieszczonymi w równej odległości wypukłościami na obwodzie.

Faller zaczął rysować na swojej tablicy. Stworzył idealną kopię jej rysunku, a wyłączną różnicą było to, że przy jednej wypukłości postawił jakiś znaczek. Marbet zamachała rękami i Faller w odpowiedzi poruszył wolną dłoń. Od przybytku głowa nie boli – Marbet nauczyła Obcego porozumiewania się zarówno językiem migowym, jak i obrazkami.

Wolną analityczną częścią umysłu Kaufman odnotował ironię wynikającą z używania tego typu archaicznych sformułowań – „od przybytku głowa nie boli” – w dobie podróży międzygwiazdnych i nieznanymi broniami.

Co znaczący te nagłe gesty? I czemu Faller raptem zaczął z nią rozmawiać?

To akurat było łatwe. Faller pytał, ilu ludzi wie. Nie dało się wykluczyć, że informacje, które Marbet dla nich zdobywała, były w gruncie rzeczy dezinformacją, kłamstwami mającymi wyprowadzić ich w pole. W wypadku człowieka Wrażliwiec natychmiast by się tego domyślił. Ale w wypadku Obcego?...

Marbet znowu coś rysowała. Po swojej stronie bariery Obcy rysował coś w odpowiedzi. Potem doszło do wymiany kolejnych gestów. Żaden z nich nic nie powiedział Kaufmanowi. Odbicie Marbet widoczne w lustrach wiszących na ścianach celi także było dla niego zagadką. Wciąż miała wykrzywioną twarz, sama zdawała się Obca.

Jeszcze więcej rysowania i machania rękami. Ile mają czasu, zanim ktoś wreszcie podniesie alarm? Szybciej, Marbet... ponaglił ją w myślach. Nie zajęta analityczna część umysłu Kaufmana zaśmiała się szyderczo.

W końcu coś się wydarzyło.

Kaufman natychmiast to zauważył. Faller cały podskoczył. Rozwarł wargi i wydał pierwszy dźwięk, jaki ktokolwiek słyszał z ust Obcego: głęboki wznoszący się ryk, niegłośny, lecz pełen wyrazu... co jednak wyrażał? Cokolwiek to było, Faller czuł to całym sobą. Po raz pierwszy jego twarz nosiła ślady czegoś, co Kaufman byłby skłonny nazwać uczuciem. Trwało to tylko mgnienie. Potem Obcy rzucił się do rysowania.

Zmienił się wyraz twarzy Marbet – nagle znów była człowiekiem. Jej wargi utworzyły wielkie różowe O. Brwi podjechały wyżej na czoło, a oczy zrobiły się ogromne. Kaufman nie musiał być Wrażliwcem, aby się domyślić, że to oznaka zdumienia.

Faller zignorował tę transformację, powrót do ludzkiej formy. Jego ciało w dalszym ciągu było w stanie pobudzenia, choć już bez drgawek. Narysował jeszcze parę kresek i wykonał kolejne kilka gestów, wprawiając Marbet w osłupienie.

Niecierpliwość Kaufmana sięgnęła szczytu. Wciąż trzymał się z boku, ale krzyknął w stronę otwartych drzwi do drugiego pomieszczenia: – O co chodzi? Co on mówi?

Marbet na wpełzła się do niego obróciła, po czym zreflektowała się i znów patrzyła prosto na Fallera, aczkolwiek bez przybierania obcej pozy. – Mówi, że dojdzie do zniszczenia całej Galaktyki. Powoli. – Pokazała na ostatni rysunek Fallera. Kaufman rozpoznał charakterystyczny spiralny kształt dysku, ale widniejącego ponad nim znaku nie rozumiał. Jeszcze wyżej widać było skreślone ręką Marbet dwa kółka udające kule z wypukłościami. – Powiedział, co ją zniszczy? I jak? – Nie. Brak mi aparatu pojęciowego... Właściwie nie jestem nawet pewna, czy on powiedział, że Galaktyka ulegnie zniszczeniu czy że już ulega zniszczeniu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Fallerowie wyrażają czasy gramatyczne. – Ale jesteś pewna co do samego zniszczenia? – Tak. – To może być jakaś jego sztuczka – podsunął Kaufman. – Nie. Obcego nie zdziwiło, że wiemy, że ustawienie oznaczone trzynastką jest w stanie unicestwić cały układ gwiazdny. Natomiast bezgranicznie go zdumiała możliwość połączenia dwóch artefaktów. Moim zdaniem to właśnie oznacza jego rysunek: oba artefakty uaktywnione przy najwyższej mocy w tym samym układzie gwiazdnym. On niczego nie udaje, Lyle, jestem o tym przekonana!

Nie była stuprocentowo pewna. Nie mogła być. Nawet gdyby miała rację, wywiad nie zgodziłby się z nią. Założono by, że to sztuczka wroga, a potem uznano by, że tak jest.

Faller zaczął majstrować przy swojej zabazgranej tablicy. Niezgrabnie, bo tylko jedną ręką, odwrócił ją i zaczął mazać po czystej stronie. Rysował uważniej niż poprzednio, chociaż jego oblicze znów nabrało wyrazu absolutnej obojętności. Ukończony rysunek zajmował całą powierzchnię. I zaalarmował Kaufmana, mimo że pułkownik nie miał pojęcia, na co właściwie patrzy.

Marbet wykonała dłonią jakiś gest. Faller przesunął tablicę w jej stronę. Biała powierzchnia zachybotła się na stojaku i zleciała, uderzając po drodze w niewidzialną barierę. Spadła na ziemię tak, że ostatni rysunek Fallera był dobrze widoczny.

Kaufman stwierdził z przedsionka: – Dolna część przedstawia Układ Słoneczny. – Tak. – A to u góry to kwiaty? – Nie wiem – odparła bezradnie Marbet. – Czyżby narysował kwiaty dlatego, że są takie ważne na Świecie, skąd zabraliśmy artefakt?

– Skąd mógłby wiedzieć, że znajdujemy się na orbicie Świata? – zapytała rozsądnie Marbet, sprawiając, że Kaufman poczuł się głupio.

Stracił jasność myślenia, Chociaż... Faberowie jako rasa wiedzieli, że ludzkość znalazła pierwszy artefakt, ten odkryty przez Syree Johnson, właśnie na orbicie Świata.

Kaufman ponownie przyjrzał się rysunkowi. Szczegóły nic mu nie mówiły, rozpoznawał tylko Układ Słoneczny przecięty grubą zygzakowatą kreską. – Pokaż mu na migi, że potrzebujemy więcej informacji. Zdołasz to zrobić?

Prawdziwe pytanie brzmiało: „Czy Faller zechce podzielić się z nami dalszymi informacjami?”.

Zanim Marbet zdążyła zareagować, Faller uniósł twarz ku sufitowi i wydał ten sam co przedtem głęboki, wznoszący się ryk. Po czym gwałtownie opuścił głowę i wbił spojrzenie w swój rysunek.

Ktoś za Kaufmanem powiedział: – O mój Boże...

Kaufman okręcił się wokół własnej osi. Thomas Capelo przesunął się ku drzwiom bezszelestnie albo hałasując ile wlezie – Kaufman był tak skoncentrowany na Obcym i Marbet, że i tak niczego by nie usłyszał. Fizyk jakimś cudem odzyskał częściowy pion, opierając się o futrynę, przez co wyglądał jak zgięta różowa gąsienica, równie bezradna w swym kokonie jak dziecko i równie groteskowa jak Obcy. Nawet tak ustawiony Capelo dostrzegł rysunek leżący na podłodze.

Kaufman rzucił się na niego. Co za głupiec, co za gnojek... myślał pułkownik mściwie. Jeśli jego pojawienie się przerwie dialog między Faberem i Marbet, osobiście go zatłukę!... – Nie! – wykrzyknęła Marbet. – Lyle, przestań! Uwolnij go z nanosieci!

Uwolnić go z nanosieci? Kaufman się wahał. Nanorozpuszczalnik nie działał wybiórczo. Nie można było uwolnić samych rąk, pozostawiając nogi spętane, a Kaufman nie dysponował czasem potrzebnym na znalezienie czegoś, czym dałoby się częściowo skrepić naukowca. Nie miał przy sobie nawet zwykłych kajdanek, nie był przecież żandarmem. Najistotniejsze jednak, że Tomowi nie wolno było przebywać w części okrętu o podwyższonym stopniu bezpieczeństwa. – Zrób to! – ponagliła go Marbet. – Nie mogę. Rozdzwoni się alarm. – Nieważne. Zrób to! – krzyknęła.

Kaufman odpiął pojemnik od paska i spryskał fizyka nanorozpuszczalnikiem.

Uzyskawszy swobodę ruchów, Capelo przemknął do drugiego pomieszczenia i narysował coś na tablicy. Odwrócił ją w stronę Fabera,

który jednak nie zareagował. Kaufman pomyślał, że symbole nakreślone przez fizyka nic nie mówią Obcemu. – Marbet, podaj mu do kurwy nędzy tablicę! – wrzasnął Tom.

Kobieta pobiegła do służby technicznej, nie zatrzymując się nawet po hełm. Kaufman widział, jak jej pierś nadyma się od zaczerpniętego oddechu. Moment później Marbet była już po drugiej stronie. Złapała tablicę z podłogi, zmasała wszystko z obu stron, ustawiła z powrotem na stojaku i wycofała się pędem.

Jak na razie ani śladu żandarmów.

Faller naskrobał coś markerem. Pojedynczy znak. – Wszystko na nic. Nie mam pojęcia, co to jest! – sarknął sfrustrowany Capelo.

Faller zabrał się do dalszego rysowania. Starannie odtworzył rysunek, który przed paroma chwilami tak zelektryzował fizyka. Capelo gapił się w niego, a Kaufman widział, jak twarz naukowca zmienia się, przybierając ów charakterystyczny wyraz głębokiego zamyślenia. Pułkownik wstrzymał oddech.

Czas się dłużył, choć w rzeczywistości nie mogło minąć więcej niż pół minuty. W dalszym ciągu ani śladu żandarmerii. Co ten Grafion kombinuje?

Nagle Marbet się odezwała. – Tom...

Kaufman błyskawicznie ją uciszył. Capelo nie odrywał wzroku od tablicy. Czas mijał. Za długo... Ruchy, żołnierzu, nie obijajcie się, ruchy, ruchy!...

Szkolenie było tak dawno temu, a zarazem jakby wczoraj.

Nareszcie wyraz twarzy naukowca znów się zmienił. Kaufman przyglądał się Tomowi i zaczynał rozumieć, na co patrzy. Nigdy nawet się nie spodziewał, że zobaczy coś takiego – nie za tego życia, nie na tej wysokości.

Capelo powtórzył: – O mój Boże... – A następnie dodał głucho: – Ten skurczybyk jest fizykiem!

I zamknął oczy.

W tym samym momencie ze wszystkich ścian naraz trysnął gaz. Kaufman zmusił się do pociągnięcia nosem i nogi ugięły się pod nim z wdzięczności. Gaz nie był zabójczy. Mgnienie oka później przyszła refleksja: nie, oczywiście, że nie jest zabójczy; w pomieszczeniu obok leżeli przecież dwaj nieprzytomni żandarmi, a on blokował drzwi przed zamknięciem. Gaz nie był zabójczy, przynajmniej nie dla ludzi. Ale dla Fallera... Spryskiwacze zostały ukryte w równych odstępach od siebie na wszystkich czterech ścianach celi...

Kaufman był najpotężniejszy z nich wszystkich. Marbet przewróciła się pierwsza, padając na wznak. Brodawki jej małych nagich piersi przypominały niewidzące oczy wbite w sufit. Capelo był drugi; po prostu

przechylił się z wdziękiem na bok w miejscu, gdzie usiadł. Następnie ciało Fallera zwiotczało w okowach.

Zanim Kaufman poddał się działaniu gazu obezwładniającego, zdążył jeszcze pomyśleć: Jeśli Grafionowi zależało na uśmierceniu jeńca, który wiedział za dużo, zyskał idealny pretekst. Spryciarz z naszego komandora...

Potem stracił przytomność.

## 27.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

Capelo z wolna odzyskiwał przytomność. Wraz z przytomnością wracał do niego ostatni zapamiętany obraz: rysunek Fallera. To na górze to wcale nie były kwiaty, jak zasugerował ten idiota Kaufman. To były przestrzenie Calabiego-Yau, rodzaj rozmaitości topologicznej obrazującej sześć zwiniętych wymiarów czasoprzestrzennych. Rysunek Fallera odbiegał nieco od ludzkich wyobrażeń, a do tego został nakreślony w pośpiechu. Mimo to Capelo nie miał wątpliwości. Dwie figury w górnej części koła przedstawiały dwie rozmaitości topologiczne.

Rozwiązanie zagadki pola rozpraszającego Obcych w oparciu o przestrzenie Calabiego-Yau oczywiście przyszło Tomowi do głowy już wcześniej. Zresztą nie tylko jemu. Niemniej w równaniach nadal coś się nie zgadzało: dawały w wyniku nieskończoność. W żaden sposób nie można było tego obejść, nawet manipulując przy danych. Ale ta gruba węzowa linia prowadząca do przestrzeni... – Doktorze... ...Calabiego-Yau sugerowała związek z jeszcze czymś. I wiodła do... – Doktorze... ...wiodła do... – Doktorze.

Zarzucił rozmyślenia i przekręcił głowę. – Kim pani jest, do cholery? – Nazywam się Wiktoria Liu i jestem generałem w pionie wywiadu wojskowego.

Dwie gwiazdki na pagonie. No tak. Musiał być ktoś taki – wysoki rangą oficer Rady Obrony Sojuszu Solamego, osoba, przed którą Kaufman odpowiadał w ramach tego nietypowego projektu. Tylko skąd się tutaj wzięła? Toma niespecjalnie to interesowało. – Proszę mnie zostawić. – Uczynię to. Jak tylko przekażę panu kilka kluczowych informacji. To nie potrwa długo.

Fizyk, oderwany siłą od przestrzeni Calabiego-Yau i grubej węzowej linii na rysunku Fallera, rozejrzał się po otoczeniu. Nie był w swojej ciasnej kabinie ani w brygu, ani w celi Obcego. Leżał na koi w pomieszczeniu wyposażonym w biurko, krzesło, papier, ołówki i terminal systemu

komputerowego. Za uchylonymi wąskimi drzwiami dojrzał łazienkę. Druga para drzwi była zabezpieczona zamkami elektronicznymi. – Zostałem aresztowany?

– Tak. – Kobieta odpowiadała pewnym głosem, bez cienia wahania. – Oczywiście jest pan cywilem, więc po dotarciu na Marsa trafi pan przed zwykły sąd, jeżeli prokurator dopatrzy się wystarczająco obciążających zarzutów. – Bądź jeżeli pani mu je wskaże.

Generał Liu nie odpowiedziała. – No dobra, wszystko jasne. Czego pani ode mnie chce? – Chcę tego samego co pan. Modelu i równań opisujących działanie artefaktu. Mamy takie same cele jak pan, doktorze, i nie żyjemy wrogich zamiarów. Pan pragnie zrozumieć zasadę działania artefaktu, ponieważ jest pan naukowcem. Ale jest pan także patriotą, który rozumie potrzebę przełomu technologicznego w tej wojnie. Więcej nas łączy, niż dzieli. – W takim razie czemu znajduję się w areszcie? – zapytał Capelo. – Pańskie dotychczasowe metody okazały się na tyle nieortodoksyjne, że musieliśmy wziąć pana pod lupę. Sądzę, że zgodzi się pan ze mną?... – Logiczna w każdym calu. Rozsądna i miła. Jest pani może naukowcem? – Nie. – Na jakiej podstawie uważa pani, że potrafię podać „model i równania”? – Pułkownik Kaufman twierdzi, że odkrył pan coś przełomowego, zanim wkroczyliśmy do akcji.

– Naprawdę? Być może Lyle nie umie odróżnić przełomu od wyłomu. Zostałem złapany w nanosieć, i to dwukrotnie. Pamięta pani? – Pamiętam. – Gdzie są moje dzieci? – Z opiekunką, jak zwykle. Nie wiedzą, że pan siedzi w areszcie. – A ja ich nie zobaczę, dopóki nie wyrażę zgody na współpracę, czy tak? – Nie. Może je pan zobaczyć w każdej chwili. – A jeśli zechcę je zobaczyć i niech diabli porwą zasadę działania artefaktu, jak to pani nienaukowo ujęła? – Ma pan do tego pełne prawo. – Z tym że po powrocie na Marsa będę więziony, dopóki nie przedstawię modelu i równań albo dopóki nie nastąpi Wielkie Chrupnięcie, zależy, co będzie pierwsze, tak?

Kobieta pochyliła się ku niemu z gorliwą miną. – Doktorze... Dlaczego ma pan opory przed napisaniem tych równań? Dlaczego pan się waha, zamiast wspomóc ludzkość w wojnie z wrogiem, który właśnie unicestwił dziesięć milionów istnień w Viridianie? – Nie powiedziałem, że nie napiszę tych równań. Ale nie lubię przymusu. – Otarł się pan o zdradę, doktorze. O czym, jak myślę, dobrze pan wie. – W porządku. Zrobiła pani swoje. Teraz proszę wyjść. – Kobieta wstała. Capelo usiadł na koi. – Nie, proszę zaczekać. Gdzie są Lyle Kaufman i Marbet Grant? – W areszcie.

– Za coś więcej niż tylko otarcie się o zdradę. Oni ją przygwoździli do ściany i wyruchali, że hej.

– Posługuje się pan niezwykle plastycznym językiem, doktorze. W razie gdyby pan czegoś potrzebował, może pan użyć komunikatora, który



znajdzie pan w szufladzie biurka. Jest zaprogramowany na parę wybranych numerów. – W tym do moich dzieci? – Oczywiście.

Po jej wyjściu Capelo rzucił w przestrzeń: – Komputer! Podaj dzień i godzinę!

Maszyna odpowiedziała: – Środa, godzina czwarta szesnaście.

A zatem pozostawał nieprzytomny przez ponad sześć godzin. Zapewne tyle czasu potrzebowali, żeby podjąć decyzję, co zrobić z nim, z Kaufmanem i z Marbet. Capelo nie potrzebował Kaufmana, mógł za to potrzebować pomocy Marbet, bez której będzie mu ciężko sprawdzić swoje wyniki z wynikami Fallera.

Ogarnęła go fala nudności. Faller był ziomkiem tych, którzy zamordowali Karen... A on, Capelo, rozmawiał z draniem, bawił się w wymianę konceptów. I na ten czas całkiem zapomniał, z kim ma do czynienia. Stąd te nagłe mdłości. Zwyczajnie zapomniał, że ma przed sobą jednego z Fallerów, i skupił się na tej grubej węzowej linii, jakby ona była ważniejsza niż Karen, niż Viridian, niż wszystko... Thomas Capelo poczuł obrzydzenie do siebie. Ta gruba węzowa linia...

Ta gruba węzowa linia.

Biała tablica z nakreślonym przez Fallera ostatnim rysunkiem stała na biurku oparta o ścianę. Ostrożnie, jak gdyby podłoga mogła być zaminowana, Capelo wstał z koi. Usiadł na krześle naprzeciwko terminala i sięgnął po tablicę. W tym samym momencie otoczenie zniknęło.

\* \* \*

Zaczął od początku, jakby do niczego jeszcze nie doszedł. Przed sobą wciąż miał tablicę z rysunkiem. „Zatrzymaj się przed faktem jak małe dziecko”, rzekł słynny Thomas Henry Huxley. „Bądź gotów wyrzec się wszelkich przyjętych uprzednio teorii, podążaj za naturą w każdą otchłań, do której cię zawiedzie”.

Capelo – Samotny Krzyżowiec Fizyki – starał się zmienić w dziecko.

Wiązka cząstek mknie ku okrętowi wyposażonemu w tarczę odpowiadającą ustawieniu oznaczonemu dwójką na artefakcie. Wiązka może być protonowa, ale równie dobrze także fotonowa albo jakakolwiek inna. Niech będzie, że to wiązka protonów. Co dzieje się dalej?

Ta wiązka to tak naprawdę zbiór maleńkich rozedrganych niteczek. A zarazem poruszająca się plama prawdopodobieństwa, gdyż tym właśnie są wszystkie cząstki elementarne. Wiązka mknie więc przez kotłownię świata kwantowego, gdzie cząstki elementarne bez końca 205

zmieniają położenie, rozpadają się i tworzą na nowo, biorą się z energii otaczającej je próżni i znowu znikają. Jednakże proton to cząstka

stosunkowo okazała na tle reszty kotłujących się drobin, dzięki czemu mknie przed siebie bez większych przeszkód.

Do czasu aż trafi w niego jakaś okazańsza cząstka. Pora ponownie wejrzeć w świat kwantów – wir znanych i nieznanymi cząstek: tych wirtualnych, istniejących tylko przez mgnienie, jak również stabilniejszych, takich, jak elektrony, grawitony, fotony i cała reszta. Oraz – jak utrzymuje Samotny Krzyżowiec Fizyki, lecz nikt poza nim – prawdony. Wszechobecne prawdony wplecione w materię czasoprzestrzeni równie gęsto jak grawitony, dzięki czemu grawitacja obowiązuje dosłownie wszędzie. Tak samo jak prawdopodobieństwo.

A teraz przydajmy prawdonowi wagi, uczynimy go jeszcze okazańszym, niż pierwotnie zakładał Samotny Krzyżowiec Fizyki. Niech ma większą masę dlatego, że żaden akcelerator cząstek w całym Układzie Słonecznym nie dysponuje energią wystarczającą do tego, by taki prawdon rozpędzić, a zatem zarejestrować jego istnienie. Co pięknie wyjaśnia, dlaczego prawdonu jeszcze nie odkryto. I niech ma większą masę również dlatego, że ta węzowa linia z rysunku Fallera jest grubsza w porównaniu z linią nakreśloną na wcześniejszym wykresie, tym dotyczącym fotonu.

Każdy prawdon, tak jak wszystkie cząstki elementarne, jest zbudowany z maleńkich rozedrganych niteczek oraz jest plamą prawdopodobieństwa.

Prawdony jest cząstką pośredniczącą, tak samo jak grawiton jest cząstką pośredniczącą w wypadku grawitacji, a gluon w wypadku oddziaływań silnych. Jest nośnikiem prawdopodobieństwa. W znanym nam wszechświecie to prawdopodobieństwo decyduje o tym, że droga, jaką porusza się dany obiekt, jest wypadkową wszystkich dróg – drogą wynikającą z kwadratu amplitudy funkcji falowej; drogą zapewniającą najmniejszy opór dzięki wygięciu przestrzeni ku masie. To masa sprawia, że przestrzeń się wygina; przestrzeń natomiast pozwala masie się poruszać.

Dlatego wiązka protonów powinna trafić w okręt.

Tymczasem wiemy, i to już od dwustu lat, że tak naprawdę cząstka obiera wszystkie możliwe drogi. Zatem nasza wiązka protonów mknie do okrętu na skróty, ogródkami, a nawet objazdem przez Galaktykę Andromedy. Jak się da. W tym przez zwinięte wymiary czasoprzestrzeni, różności topologiczne. Wiązka protonów pokonuje te przestrzenie Calabiego-Yau niezliczone razy, ponieważ ich wymiary są takie malutkie, i za każdym razem wraca do punktu wyjścia. Ostatecznie jednak wypadkowa tych wszystkich okrężnych dróg daje drogę zapewniającą najmniejszy opór, albowiem prawdony są nośnikiem prawdopodobieństwa, które – tak jak grawitacja – obowiązuje dosłownie wszędzie.

Duża masa potrafi zakrzywić przestrzeń do ekstremum, dzięki czemu jest możliwe powstanie czarnych dziur. Co jednak zakrzywia prawdziwy Artefakt? Ale jak?

Zmieniając prawdopodobną drogę, po której mknie wiązka. No dobrze, ale żadne czujniki nie wychwyciły nigdzie protonów, którymi z Alana B. Sheparda strzelono w artefakt. Wiazka nie tyle uległa przekierowaniu, ile zwyczajnie zniknęła. Gdzie się podziała? Nie można ot tak sobie „zniknąć” energii – zabrania tego zasada zachowania energii.

Thomas Capelo przyjrzał się znów rysunkowi Fallera, mimo że miał go wypalony na siatkówce i w mózgu. Zrozumiał w chwili, gdy go zobaczył. Lecz nie przestał mu się przyglądać, rozpracowywać go, postrzegać jako zbioru ulotnych intuicyjnych wrażeń – tym w istocie była dlań fizyka, odkąd skończył dziewiąty rok życia. Zostając naukowcem, nie przestał być dzieckiem.

Linia na rysunku zagłębiała się w jedną z sześciu przestrzeni Calabiego-Yau. A potem biegła dalej, aż do innej przestrzeni Calabiego-Yau, charakteryzującej się odmienną konfiguracją. Tylko że to nie była inna przestrzeń. Właśnie dlatego Faller narysował tylko dwa „kwiaty”, nie sześć. Te „kwiaty” nie były różnymi przestrzeniami Calabiego-Yau. Były tą samą przestrzenią Calabiego-Yau, tyle że przetworzoną Artefakt skupia prawdziwy i wystrzeliwuje ich ogromną liczbę w stronę nadlatującej wiązki cząstek, podobnie jak laser skupia fotony i „strzela” nimi. Tym samym artefakt zagina prawdopodobieństwo, tak samo jak ogromna masa zakrzywia grawitację. Capelo wymyślił nawet, skąd się bierze potrzebna do tego energia. Moc siły, której nośnikiem jest cząstka pośrednicząca, jest odwrotnie proporcjonalna do napięcia niteczek, a jak już wcześniej wyliczył, niteczki zarówno prawdziwego, jak i tym bardziej protonu charakteryzowało bardzo niskie napięcie. Ta energia była powodem zaistnienia nowej — w normalnych warunkach prawdopodobnej, lecz nie niemożliwej – drogi, której prawdopodobieństwo teraz wynosiło sto procent. I tak wiązka protonów trafiała do zwiniętego wymiaru.

I tam zostawała.

Dlaczego?

Dlatego, że energia wprowadzona do tego wymiaru -- energia, której przedtem tam wcale nie było – robi jeszcze coś. Doprowadza do pewnej transformacji, do zmiany kształtu maleńkiego zwiniętego wymiaru. Nie wpływając w żaden sposób na nasz trójwymiarowy wszechświat. Energia powstaje w wyniku czegoś w rodzaju rozdarcia, a potem – żeby zacerować to rozdarcie – przestrzeń Calabiego-Yau zmienia kształt, co matematycy przewidywali od momentu odkrycia samych różnicowości topologicznych. Transformacja, o której mowa, wygląda mniej więcej tak:

W trakcie transformacji zmianie ulegają także masy poszczególnych cząstek – energie ich niteczek. Maleńkie rozedrgane niteczki, które tworzą protony (zawsze plamy prawdopodobieństwa), wpadają w rezonans. Cząstka przestaje być protonem i staje się czymś innym, jakąś nową cząstką. W gruncie rzeczy materia na tym najgłębszym poziomie przez cały czas była manifestacją prawdopodobieństwa. A prawdopodobieństwo właśnie uległo zmianie.

Na to nie wpadł. Przez dziesięć lat nie wpadł na to Samotny Krzyżowiec Fizyki, doktor Thomas Capelo. Na szczęście od strony matematycznej transformacja nie była tajemnicą już od stu pięćdziesięciu lat. Capelo rzucił się do obliczeń, korzystając z potężnej mocy komputera pokładowego.

Kilka godzin później wszystko już się zgadzało. Tom czuł pokorę w obliczu ukrytego niewysłowionego piękna, które odkrył.

Ogromna energia potrzebna do zmiany prawdopodobnej drogi wiązki, do zmiany drgań jej niteczek, równała się dokładnie energii netto pokazniejszych prawd - ów po odjęciu energii utraconej na wzbudzenie kwantowe. Nowa energia drgań równała się dokładnie energii potrzebnej na transformację zachodzącą w jednym z wymiarów przestrzeni Calabiego-Yau. Fragment tego wymiaru ulegał rozwinięciu, a następnie ponownemu zwinięciu, lecz w nieco odmienny kształt, zupełnie jak w wypadku skomplikowanego origami. Wszystkie równania się zgadzają, wynikają jedne z drugich w sposób naturalny i właściwy.

A zatem prawdon istnieje. Posiada masę, spin, ładunek zerowy. Prawdopodobieństwo może wreszcie zająć należne mu miejsce piątej siły we wszechświecie. Elektromagnetyzm, oddziaływanie silne, oddziaływanie słabe, grawitacja, prawdopodobieństwo. Nie, wróć... poprawił się w myślach Capelo. Prawdopodobieństwo zawsze zajmowało należne mu miejsce we wszechświecie. Tylko ludzie tego nie dostrzegali...

A Fallerowie? Może ich fizyka wyszła z innego punktu, zaczęła się od prawdopodobieństwa nawet, po czym wypracowała tę samą elegancję inną drogą?

Albowiem dróg było nieskończenie wiele: zarówno dla cząstek, jak i dla fizyki, a więc i naukowców.

Gdy Thomas Capelo wreszcie podniósł się z krzesła, trząsł się z głodu, z braku ruchu, z nietypowego dla niego poczucia dumy. Samotny Krzyżowiec Fizyki... Jak się okazuje, wcale nie taki samotny. Usiadł z powrotem i zapatrzył się w wydruki, w bijące matematyczne serce jego teorii.

Krytycy mogliby powiedzieć, że to żadna teoria, lecz mieszanina przeczuć, przypuszczeń i naciąganych obliczeń. Jednakże Capelo czuł w kościach – w jądrach, dzięki którym spłodził Amandę i Sudie – że jego teoria jest prawdziwa, że opisuje świat, aczkolwiek wiele szczegółów pozostaje

jeszcze niedopracowanych. Szczegółów dotyczących samej teorii, rozwiązań pewnych równań, roli splątania kwantowego. A także, oczywiście, praktycznych szczegółików, dzięki którym czysta matematyka zamieni się w technologię, co najwyraźniej Faberowie osiągnęli pierwsi.

Ale czy na pewno? Toma nasza nagła myśl, którą jednak zaraz odsunął od siebie. Nie wiązała się bezpośrednio z fizyką. Dotyczyła reszty obrazka nagryzmołonego przez Obcego, a przedstawiającego układ planetarny z dziewięcioma globami, w tym trzecią planetę z jednym księżycem, czwartą z dwoma, a szóstą z pierścieniami... Niewątpliwie Układ Słoneczny z dorysowanymi dwoma artefaktami oraz grubą zygzakowatą linią, która przekreślała całość.

Czyżby było to jakieś oświadczenie typu: „Zniszczymy was za pomocą naszego artefaktu i zabierzemy ten, który wy macie”? Buńczuczne przechwałki ze strony bezradnego jeńca wojennego? Capelo w to nie wierzył.

Zabrał się do stosowania nowych równań nie w obrębie zwiniętych wymiarów przestrzeni Calabiego-Yau, lecz we wszechświecie znanym człowiekowi, trójwymiarowym. Miał już kilka konkretnych liczb do wykorzystania – między innymi dla energii, która usmażyła cały układ planetarny Świata z wyjątkiem tego ostatniego. Capelo pracował przez wiele następnych godzin z rzędu, tak jak poprzednio nie zauważając upływu czasu. Kiedy odkładał na bok któryś z kolei wydruk, potrącił dłonią tacę z jedzeniem. Ktoś musiał ją niezauważenie przynieść. Zmusił się do przełknięcia czegoś – nie miał pojęcia, czego – po czym znowu wrócił do obliczeń.

Gdy wreszcie skończył, długo siedział zapatrzony w wyniki.

Energia prawdopodobieństwa w wypadku obu artefaktów była olbrzymia. Wystarczająca, aby przeprowadzić we wszechświecie znanym człowiekowi to samo, co mniejsze jej ilości robiły ze zwiniętymi wymiarami: zapoczątkować transformację zdolną odmienić ich kształt. Odbyłoby się to identycznie jak w wypadku rozmaitości topologicznej, to znaczy poprzez rozdarcie materii czasoprzestrzeni. Z tym że w przestrzeniach Calabiego-Yau dochodziło do minimalnego rozdarcia, które równocześnie było naprawiane dzięki energii powstającej w efekcie zmiany prawdopodobieństwa. W trzech znanych człowiekowi wymiarach nie było wystarczająco dużo energii, aby taka naprawa była możliwa. Z tego powodu rozdarcie poszerzałoby się, aż kształt wszechświata we wszystkich wymiarach – obecnie będący kulą sięgającą piętnaście miliardów lat świetlnych w dal – przeszedłby coś w rodzaju transformacji topologicznej.

Jednakże wzorce drgań niteczek budujących czasoprzestrzeń są ściśle uzależnione od wymiarów, w których te niteczki drgają. Nie od rozmiaru wymiarów, lecz od ich kształtu. Gdyby do transformacji doszło we

wszechświecie trójwymiarowym, zmiana drgań doprowadziłaby do powstania innych cząstek elementarnych. Czasoprzestrzeń zaczęłaby się zmieniać z prędkością światła. Wszystkie żywe istoty – ludzie, Fallerowie, bakterie, trawy, robaczki świętojańskie i odtworzone dzięki zachowanemu materiałowi genetycznemu tygrysy – zginęłyby.

Dlatego Obcy z taką chęcią podzielił się z ludźmi posiadaną wiedzą. Dowiedział się od Marbet, że ludzie też dysponują artefaktem, i przewidział, co by się wydarzyło, gdyby oba artefakty uaktywniono w obrębie tego samego układu gwiazdowego.

Capelo musiał z kimś porozmawiać. Z jakimś wojskowym bystrzakiem, z człowiekiem nie na tyle głupim, aby zbagatelizować jego teorię czy wręcz zabrać artefakt do rodzimego systemu Obcych, gdzie zapewne znajdował się artefakt Fallerów. Porozmawiać z kimś... Z Grafionem?... Nie, Grafion to zwykły trep nadający się tylko do strzelania... W takim razie z Kaufmanem?... Porozmawiać z kimś...

Zerwał się na nogi zbyt raptownie, poczuł, jak krew uderza mu do głowy, i zemdlął.

\* \* \*

Gdy odzyskał przytomność, leżał na swojej koi – Boże, ależ był zmęczony tym wracaniem do siebie: przytomność-nie-przytomność-nie-przytomność-nie... Czuł się jak własny hologram. Na ramieniu miał medpad. Obok jego koi siedział Lyle Kaufman zatopiony w przeglądaniu wydruków. – Nie przejmuj się moją prywatnością – odezwał się do niego Capelo. – Jestem własnością Sojuszu Solamego, podobnie jak ten okręt.

Kaufman odpowiedział: – Udało ci się.

Ton jego głosu, pełen szacunku, jak wypada w obliczu piękna kosmosu, sprawił, że nastrój Thomasa Capelo nagle uległ zmianie. Fizyk najpierw usiadł, a potem opuścił stopy na podłogę, z radością stwierdzając, że te ruchy przychodzą mu bez najmniejszego trudu. Cokolwiek medpad tłoczył do jego krwiobiegu, miało fantastyczne działanie. – Udało rai się, Lyle. Czy też raczej... – przyznanie tego nie było łatwe, ale wraz z powrotem starej dobrej irytacji poczuł się znów sobą – ...udało się nam... Faberowi i mnie. – Opowiedz. – Brakuje ci aparatu pojęciowego – rzucił Capelo bez owijania w bawełnę. – Matematyka... – Wiem. Przypuszczam, że chodzi nie tylko o abstrakty, ale nawet o najprostsze koncepty. Mimo to spróbuj, Tom. Proszę.

Capelo przyjrzał się Kaufmanowi uważniej. – Chyba nie jako żołnierz, co? – Na to przyjdzie czas później. I z mojej strony, i ze strony innych. Na razie chciałbym po prostu wiedzieć.

Capelo nawet nie podejrzewał, że pułkownik jest zdolny do karności. Nie zaczął przez to bardziej go lubić, lecz potrafił znieść myśl o podzieleniu

się z nim nową teorią. Wyłożył ją najlepiej jak umiał, unikając wdawania się w zawłóci niepojęte dla laika. Kaufman przerywał mu pytaniami, ale na szczęście nie brakowało im przenikliwości, dzięki czemu fizyk nie wpadł w pasję.

Kiedy skończył mówić, Kaufman dalej siedział zasłuchany, trzymając dłonie na kolanach. Po chwili powtórzył jak spóźnione echo: – Zniszczenie materii czasoprzestrzeni? W razie uaktywnienia obu artefaktów ustawionych na trzynastkę w obrębie tego samego układu planetarnego? – Tylko tyle rozumiałeś?! – Capelo pojął, że Kaufman mimo wszystko jest jednak żołnierzem postrzegającym rzeczywistość bardzo wybiórczo, bo z punktu widzenia armii. – To nie jest najmniej znacząca kwestia – odrzekł cierpko pułkownik. – Dlaczego w ogóle twórcy artefaktów dopuścili taką możliwość? – Nie mam pojęcia. – To nie ma sensu. Na pewno przewidzieli zabezpieczenia przed rozdarciem czasoprzestrzeni. – Tak... nie...-powiedział Capelo. Powoli zaczynał tracić wątek.-Może... może nie potrafili w pełni kontrolować swoich technologii. Może to właśnie ich spotkało.

Kaufman milczał. – Domyślam się, że nasza rozmowa jest nagrywana? – Wszystko, co zrobiłeś w ciągu minionych pięćdziesięciu sześciu godzin, zostało nagrane, skopiowane, zarchiwizowane i zakodowane. Musiałeś być tego świadomy. – Pewnie tak... – odrzekł Capelo obojętnie. Pomyślał jednak: „Pięćdziesiąt sześć godzin?”. – Jaki mamy dziś dzień? – Piątek, bardzo wcześnie. Trzecia nad ranem. – Gdzie są moje dzieci? – Wydaje mi się, że w łóżkach, zważywszy na porę... – Czy Rosalinda wygrała w szachy z Dieterem? – Nie wiem – odparł Kaufman.

Z jego miny Capelo się zorientował, że za bardzo przeskakuje z tematu na temat. – Zbliżamy się do tunelu czasoprzestrzennego? – Tak. Tom, powinieneś się przespać. Lekarz ustabilizował twój stan... byłeś odwodniony, miałeś za niski poziom cukru we krwi i nieregularne tętno... ale nadal trzeba ci snu. Zaraz przykleję ci drugi medpad... ze środkiem uspokajającym... – Tylko nie mów Graftonowi – rzekł Capelo, zadziwiając samego siebie. Nie miał pojęcia, czemu to powiedział. – Połóż się, Tom. Właśnie tak... Zanim pójdziesz spać, chciałbym cię poprosić o coś jeszcze. O przysługę... – Jaką?

Kaufman przybrał oficjalny ton. – Za twoim pozwoleniem chciałbym skontaktować się z doktor Sikorski i powiadomić ją o dokonanych przez ciebie odkryciach. Po przejściu przez tunel czasoprzestrzenny kontakt nie będzie już możliwy. Chciałbym, żeby wiedziała, co odkryłeś, zanim wszelki kontakt między nami się urwie. – Dlaczego? – zapytał sennie Capelo. Środek uspokajający zaczynał na niego działać. – Żeby przynajmniej wiedziała, że zabraliśmy artefakt ze Świata z naprawdę ważnego powodu. – Światanie ciężą ci na sumieniu, Lyle? Strąć ich, ot tak... Ale dobra: możesz skontaktować się z Anną. – Dziękuję. – W zamian też chciałbym cię o coś

prosić – odezwał się jeszcze Capelo. Ogarniało go odrętwienie, jednakże ta sprawa była ważna. – Powiedz mi prawdę, jeżeli potrafisz to zrobić. Co się stało z Fallerem, kiedy gaz nas obezwładnił? – Umarł.

Ten genialny fizyk. Ten morderczy skurwiel. Obcy. – No i dobrze – wybełkotał Capelo, odpływając w sen.

Zabrakło mu czasu, aby rozstrzygnąć, czy rzeczywiście ucieszył się ze śmierci Fallera.

## 28.

### Gofkit Shamloe

Osadę otaczały stojące na sztorc wysokie patyki. Enla nigdy nie widziała czegoś podobnego. Kijki były wbite w ziemię blisko siebie, za blisko, żeby można na nich zatknąć wiatraczki, a do tego każdy był zaostrzony na szczycie. Ciasny rząd ek skutecznie zasłaniał dom Anu, po czym wyginał się lekko wokół ognisk po jednej stronie. – Co to takiego? – zakrzyknęła Enla do Pek Sikorski. – Wcześniej tu tego nie było! – To palisada – odparła Pek Sikorski. – Ogrodzenie.

Teraz Enla musiała się z nią zgodzić.

Światanie stawiali niskie ogrodzenia, aby chronić fakimibę przed frebami, które lubiły podgryzać młodziutkie pędy, lecz zawsze rozbierali je potem. Tymczasem Gofkit Shamloe otaczało ogrodzenie wysokie i zaostrome na końcach. Postawione dla ochrony przed innymi Światanami.

Enla, Pek Sikorski i Pek Gruber stali na drodze, trzymając rowery, i wpatrywali się w nieukończony jeszcze płot. Zza ich pleców wyglądali Essa i Serlit. Wszyscy dorośli byli zgrzani i zakurzeni, lecz dwojgu młodych trudy podróży w upale zdawały się nie przeszkadzać, gdy pedałowali z tyłu, chichocząc bez przerwy. Chichot leżał w naturze Essy, jednakże w wypadku Serlita, znacznie poważniejszego, śmiech był tylko tymczasowym środkiem odurzającym za sprawą obecności dziewczyny.

Po dłuższej chwili Enla powiedziała: – Proszę, zaczekajcie tutaj. Ja pójdę do domu Anu. Gdy już sprawdzę...

Co sprawdzi? Czy Anu i jej dzieci mają się dobrze? Czy Kalin wrócił do osady i rozpowiedział wszystkim, że to przez Ziemię zniknęła dzielona rzeczywistość? Kalin... jedyny poza nią Światanin, który znał ten fragment rzeczywistości. Jeżeli faktycznie to rozpowiedział, zarówno Ziemię, jak i Enla mogą tu nie zostać mile przywitani. A co będzie, jeśli w trakcie ich



podróży wieże luster przekazały całemu Światu, co zrobili Ziemianie? Gdzie wtedy podziękują się Pek Sikorski i Pek Gruber?

Tyle pożytku z tego ogrodzenia, że ukryje obecność Ziemian do czasu, aż Enla się rozezna, jaka teraz rzeczywistość obowiązuje w Gofkit Shamloe...

Obeszła ostatni z pionowych wysokich patyków. Z każdym krokiem oddech jej przyśpieszał, a szyjowłosa bardziej się jeżyły. Anu...

Osada wydawała się niezmienną. No, może nie całkiem. Łąka ze wspólnymi ogniskami była opustoszała, co jednak nie dziwiło o tej porze dnia. Grządki wyglądały na tak samo zadbane jak zawsze – ożywiały spojrzenie mnogością barw trifalitiby, allabeniriby, mittiby... Ale brakowało domu Gostira Pęka Nafirifa i jego rodziny. Miejsce, w którym kiedyś stał, było teraz tylko kupą wystygłego popiołu.

Położone za osadą lekko faliste pola ciągnęły się aż po horyzont. Enla, choć wysilała wzrok, nie widziała, aby ktoś na nich pracował. Jednakże wszyscy mogli akurat znajdować się za którymś pagórkiem albo w cieniu rosnącego drzewa dającego larfruty. Istniała też możliwość, że zbierają owoce w gaju kasirowym, który leżał w przeciwnym kierunku. – Oby wasze kwiaty kwitły wiecznie! – wykrzyknęła Enla, nie za głośno jednak. Uprzytomniła sobie, że boi się odpowiedzi, a może jej braku.

Z przeciwległej strony osady, gdzie łąka przechodziła w porośnięty drzewami brzeg rzeki, dobiegały jakieś nawoływania nabierające mocy z każdą chwilą. Enla postąpiła krok do przodu i zatrzymała się w oczekiwaniu.

Zza łagodnego wzniesienia wyłonili się dwaj mężczyźni zwrócenii do niej plecami, ponieważ szli tyłem, coś ciągnąc. Wołali do innych, którzy wciąż znajdowali się w dole i odpowiadali w ten sam sposób. W końcu za dwoma mężczyznami pokazał się pień drzewa. Gdy na wzniesieniu znalazła się wystarczająca jego część, mężczyźni przestali ciągnąć i odwrócili się, ocierając grzebienie czaszkowe. Jednym z tych mężczyzn był Kalin.

Na widok Enli zamarł jak głaz. Drugi z mężczyzn po chwili także ją dostrzegł i pośpieszył w jej stronę. Był to mąż Anu, Sparil Pek Trestin. – Enla Pek Brimmidin! Wróciłaś do nas! Wróciłaś z domostwa Voraturów i Ziemian!

Uściskał ją, po czym odstał o krok. Jego szczupła uczciwa twarz błyszczała z zadowolenia i potu.

– Anu... – tyle tylko zdołała powiedzieć Enla. – Jej gleba jest dobra. Bardzo się ucieszysz, jak cię zobaczy! Bała się, że... Bardzo się ucieszysz, jak cię zobaczy! – A dzieci?...

Przez twarz Sparila przemknął cień, jednakże zanim mężczyzna zdążył jakoś odpowiedzieć, mała postać obłapiła Enlę za kolana. – Enla! Enla! – Fentil! Na Pierwszy Kwiat, ależ ty urosłaś!

Jej siostrzeniec z dumą wyprostował się na całą swoją wysokość. Jego szyjowłosa, równie złociste jak kiedyś szyjowłosa jej brata, lśniły zdrowiem. Uśmiechał się nawet, gdy mówił. – Pomagam przeciągać pnie! – Dobry z niego pomocnik – przyznał Sparil, aczkolwiek w jego głosie pobrzmiwał smutek. Czy to z jej powodu? Kalin jednak się wygadał? – Anu jest w polu. Niedługo wszyscy wrócą...

W tym momencie podszedł do nich Kalin. Odezwał się sztywno: – Oby twoje kwiaty wiecznie zachwycaly swym zapachem dusze twoich przodków, Enlo. – Oby twoje ogrody rozkwiatały wiecznie, Kalinie. – Posłała mu pytające spojrzenie, które zignorował.

Fentil rzekł kategorycznie: – Teraz już musisz zostać na stałe, Enlo. Nie wolno ci znowu wyjeżdżać!

Wiedziała, że prędzej czy później musi to powiedzieć. Równie dobrze mogła to zrobić w tej chwili.

– Są ze mną goście. – Pracowici? – zapytał od razu Sparil. – Potrzebni nam pracowici pomocnicy. – Tak... – odparła zmieszana. Czy Ziemianie byli pracowici? Pek Gruber, którego w dalszym ciągu nie potrafiła nazywać dziecięcym imieniem, z pewnością był bardzo silny. – Jest ze mną dwoje młodych i dwoje... Ziemian. – Ziemianie? – zapytała Afra Pek Buktor, która wraz z nieznanym Enli mężczyzną wdrapała się na szczyt wzniesienia. – Na pewno potrafią ciężko pracować? Bo niepotrzebny nam nikt, kto się objaja, zwłaszcza teraz, gdy rzeczywistość uległa takiej dużej zmianie. Powinnaś to wiedzieć.

A zatem Kalin niczego im nie powiedział. A Afra Pek Buktor nie przestała się szarogęsić. Coś pękło w Enli, która nagle znalazła się na krawędzi płaczu. – No, Enlo... Musisz być bardzo zmęczona i głodna – rzekł łagodnie Sparil. – A nasi goście są zapewne twoimi przyjaciółmi. Przeprowadź ich tutaj. Ale... co jedzą Ziemianie? – Poradzą sobie – rzuciła w odpowiedzi Enla, która nie czuła się na siłach wyjaśniać zwyczajów żywieniowych Ziemian: co mogą jeść, czego nie mogą, co mogą spróbować, ale raczej im nie posłuży, i jakie mają przy sobie nasiona, które po wysianiu kiełkują w zastraszającym tempie. Przede wszystkim jednak nie chciała się rozpłakać. Z trudem nad sobą zapanowała. – Ja przyniosę jedzenie! – zaofiarował się ochoczo Fentil, startując w stronę domu rodzinnego. – I wodę! – Całkiem byłbym zapomniał o dobrych manierach – odezwał się po odejściu syna Sparil. – Przedstawiam ci Morfiba Pęka Chandora, który niedawno połączył się z Afrą.

Enla wymamrotała kwietne pozdrowienie. Naszła ją niestosowna myśl o rozchichotanej Essie. Miała nadzieję, że dziewczyna daruje sobie wybuch śmiechu z powodu imienia „Morfib”, które faktycznie było niecodzienne i raczej zabawne. Gdyby nieokiełznana Essa jednak się roześmiała, Afra

poczułaby się dotknięta... – Chodźmy zawołać twoich przyjaciół – zaproponował Sparil, ujmując Enlę za rękę.

Kalin oddalił się w stronę swego domu.

Afra odezwała się sceptycznym tonem: – Enlo, nigdy jeszcze nie widziałam Ziemianina. Czy to prawda, że oni mają szyjowłosa na głowie? I że są nieprzeciętnie brzydcy?

\* \* \*

Enla siedziała ze Sparilem, Essą, Serlitem i dwójką Ziemian na powalonym pniu. Pek Gruber natychmiast wkradł się w łaski mieszkańców Gofkit Shamloe, przeciągając ciężar ku niedokończonemu ogrodzeniu, i to bez żadnej zachęty. Fentil szalał na łące z innymi dziećmi, które do tej pory wróciły z pola. Wszystkie maluchy rzucały ukradkowe spojrzenia w kierunku Ziemian i skrycie chichotały.

Było tak podobnie. Wszystko przypominało życie z czasów dzielonej rzeczywistości, jaką zapamiętała Enla. A zarazem tak odmiennie...

Essa rzuciła do Serlita: – Chodź, pobawimy się z nimi!

Serlit, z natury grzeczny i uprzejmy, spojrzał na Enlę. Czyżby więc stała się jego matką do czasu, aż Iwa Pek Harrilin wróci z wieży luster? Najwyraźniej tak. – Idźcie, idźcie – pokiwała głową.

Essa zerwała się na nogi i odbiegła, a za nią – wolniej -- podążył Serlit. Gdy młodzi się oddalili, Enla zwróciła się do Sparila: – Opowiedz mi, co się działo w Gofkit Shamloe, odkąd dzielona rzeczywistość... odkąd dzielona rzeczywistość zniknęła.

Jego powinna pytać, nie Anu. Opowie jej wszystko szczerze i prosto. Anu dodałaby nazbyt wiele szczegółów, nazbyt wiele uczuć. Enla miała serdecznie dosyć uczuć.

Sparil wiercił się przez chwilę niespokojnie. Nic jednak nie mogło go powstrzymać od podzielenia się z nią rzeczywistością – nieważne, jak bardzo marszczył mu się grzebień czaszkowy. Pek Sikorski i Pek Gruber poprawili się na pniu, żeby lepiej widzieć i słyszeć. – Z początku – zaczął Sparil – wszyscy siedzieliśmy w domach. Każdy się bał. Niewiele mówiliśmy, bośmy nie wiedzieli jak, skoro nie było dzielonej rzeczywistości. Każdy... każdy myślał co innego. Jedna Anu nie mogła przestać gadać.

Enla mimowolnie się uśmiechnęła. Jej siostra rzadko milczała. – W końcu zgłodnieliśmy – kontynuował Sparil. – Zaczęliśmy wychodzić na zewnątrz. Ale niektórzy... niektórym poprzestawiało się w głowach. Siedzieli tylko i kiwali się w przód i w tył. Inni, choć z ich głowami było wszystko w porządku, nie chcieli chodzić w pole ani do gaju. Zbyttno się bali. Jedli, ale nie pracowali, co wielu rozgniewało...

Z pewnością Afrę, domyśliła się Enla. To dlatego Sparil dopytywał, czy jej przyjaciele aby na pewno są pracowici. – Pewnego dnia, gdy prawie wszyscy udaliśmy się w pole, zjawilo się parę nierzeczywistych osób. Zabierały, co nie ich, paliły, co nie ich, zabijały... Gostir Pek Nafirif był akurat w chacie ze swoją rodziną. – Miła pospolita twarz Sparila wydłużyła się pod postawionym grzebieniem czaszkowym. – Urządziliśmy im wszystkim pożegnalne całopalenie, a później Kalin poradził, abyśmy wznieśli ogrodzenie.

Kalin... Enla musiała się postarać, aby jej grzebień czaszkowy pozostał płaski. – Dwie rodziny odeszły – ciągnął opowieść Sparil. – Uda Pek Giffiliir i Laril Pek Broffir zabrali swoich bliskich do krewnych. Na ich miejsce pojawili się inni Morfib Pek Chandor, który połączył się z Afrą, jest jednym z nowych.

Znowu to dziwne imię. Enla zakonotowała sobie w pamięci, że musi przestrzec Esse, by nie śmiała się z niego. – I to już wszystko – zakończył Sparil.

Enla domyślała się, że to nieprawda. Sparil nie podzielił się z nimi pewnym wycinkiem rzeczywistości...

– Sparilu...

Mąż jej siostry dodał szybko: – Pęku Gruberze, możecie zająć chatę Larila Pęka Broffira. Stoi wciąż pusta. A ci młodzi... to wasze dzieci?

Pek Sikorski uśmiechnęła się na tę oczywistą nedorzeczność wynikłą z wiernopoddańczego hołdowania dobrym manierom. Enla zdała sobie sprawę, że widzi uśmiech Pek Sikorski po raz pierwszy, odkąd zniknęła dzielona rzeczywistość. – Nie, Pęku Trestinie — odparła Pek Sikorski. – Essa pozostaje pod opieką Enli. A Serlit podróżuje z nami do czasu, aż upomni się o niego jego matka, która zalicza się do personelu wież luster. Czy wolno mi zapytać, o ile twoje płatki raczą udzielić mi odpowiedzi...

Sparil zrobił zdumioną minę. Pek Sikorski uczyła się światańskiego w domostwie Voraturów w Gofkit Jemloe, osadzie zamożniejszej i wykwintniejszej niż Gofkit Shamloe. Wymyślny język, którego używała Ziemiańska, przerażał nieco Sparila. Lecz gdy cisza zaczęła się przeciągać, odpowiedział jak należy: – Wolno ci pytać. – Czy do Gofkit Shamloe dotarła wiadomość z wieży luster o tym, w jaki sposób zniknęła dzielona rzeczywistość? – Naszą wieżę luster obsługiwał Gostir Pek Nafirif...

Zatem do Gofkit Shamloe nie dotarła żadna wiadomość, a łańcuch opasujący cały Świat został przerwany. Jeśli nawet Iwa Pek Harrilin przesłała ze stolicy słowa Pek Sikorski, prawdopodobnie nie dotarły one daleko. Światanie nie usłyszeli o artefakcie, który nasycił powietrze dzieloną rzeczywistością, a ostatnio uniósł się wysoko w niebo. Każda osada musiała się zmierzyć z brakiem dzielonej rzeczywistości po swojemu, tak jak Gofkit Shamloe. – Spójrzcie... – rzekła cicho Pek Sikorski, powoli unosząc

rękę do twarzy. Przycupnął tam życiodaj, jeden z malutkich lotników, które przekazywały życie od kwiatu do kwiatu. Bliskie Pierwszemu Kwiatowi życiodaje były szanowane na całym Świecie. Przysiadywały na ramionach, nogach, ciałach, jednakże nigdy – dopóki nie zniknęła dzielona rzeczywistość – nie zbliżały się do głów Światan.

Pek Gruber odezwał się po ziemsku: – Miałaś rację. One wyczuwają zmiany w polu elektrycznym mózgu. – Sparilu – zwróciła się Enla do męża swojej siostry – nie podzieliłeś się ze mną pewnym fragmentem rzeczywistości.

Grzebień czaszkowy mężczyzny poczerwieniał. – Enlo... – Proszę.

Pek Sikorski wstała. – Trzeba wziąć Essę w ryzy. Chodźmy, Dieterze. – Pek Gruber popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. Pek Sikorski musiała powiedzieć po ziemsku: – Sprawy rodzinne! – Aha – mruknął Pek Gruber, gramoląc się na nogi.

Nawet Pek Sikorski nie pojmowała Światan. Sprawy rodzinne były sprawami całej osady. Mimo to Enla pozwoliła Ziemianom odejść. – Sparilu? – powtórzyła. – Chodzi o Obrę – wyrzucił z siebie. – Na pewno pamiętasz, jaka zawsze była hałaśliwa i nieokiełznana, Enlo, jak wszędzie jej było pełno... – Zdawał się zdumiony odmiennością swojej najstarszej córki, tak różnej od posłusznego Fentila i spokojnej Usu. Tak różnej od Sparila, skoro już o tym mowa... – Pamiętam – odparła Enla. – Co uczyniła Obra? – Uderzyła Solora Pęka Raumula, który zajął się ogniem.

Enla sapnęła z wrażenia. Solor Pek Raumul był muzykantom w podeszłym wieku. Przygrywał wieczorami do tańców na łące, odkąd Enla sięgała pamięcią. Rozdygotany i nie zawsze trzeźwo myślący staruszek potrafił wydobywać z fujarki dźwięki równie słodkie jak woń kwiatów. Uderzyć kogoś takiego, popchnąć w ogień...

Zdumiona Enla zdołała wykrztusić: – Czy Pek Raumul dołączył do swoich przodków? – Nie. Właściwie doznał tylko lekkich oparzeń jednego ramienia. Kalin znajdował się w pobliżu, wyciągnął go szybko i polał wodą.

Znowu ten Kalin. – Dlaczego Obra uderzyła Pęka Raumula? – Chciała, żeby zagrał melodię, której on nie chciał grać. Oni nie... nie dzielili rzeczywistości w sprawie melodii. Obra nie chciała zrobić mu krzywdy, Enlo. Znasz ją przecież. Bywa porywcza i wtedy także zareagowała, zanim zdążyła pomyśleć, ale niestety sprawiła, że Pek Raumul stracił równowagę, a że nie jest już najmłodszy... Od tamtej pory jej dusza więdnie z powodu tego, co uczyniła. Tylko że niektórzy mieszkańcy Gofkit Shamloe nie dzielą tej rzeczywistości. – Czy... czy Obra została uznana za nierzeczywistą? — Gdyby tak się stało, jej siostrzenica już by nie żyła. – W tym właśnie sęk! – wykrzyknął Sparil. – Nikt nie wie, co począć! Jak można ogłosić kogoś nierzeczywistym, skoro nie ma dzielonej rzeczywistości? Nie potrafimy dojść do zgody, co należy zrobić!

Enłę zalała fala ulgi. Obra żyła, nie leżała martwa z ciałem uwięzionym w specjalnym płynie zapobiegającym rozkładowi i radosnemu połączeniu się z przodkami. Żyła... – Gdzie ona teraz jest? – Z Anu w polu. Nikt z nas nie wie, jak się zachować. Jednakże dziś wieczorem mamy się spotkać na łące, aby... aby porozmawiać o rzeczywistości.

Wcześniej nigdy nie było trzeba takich rozmów, wszyscy zgadzali się ze sobą.

Nagle Sparil podniósł głos: – Wszystko się zmieniło i nikt już nie wie, jak postępować!

Enla nie zareagowała. Nie była mądrzejsza od innych.

Siedziała, przyglądając się Essie, która uganiała się po łące za Serlitem, i zastanawiała się, co powiedzieć, aby ukoić rozterki Sparila. Zanim zdążyła znaleźć trudne do znalezienia i jeszcze trudniejsze do wypowiedzenia słowa, do osady powrócili mieszkańcy pracujący w polu. Po chwili Enla ścisnęła się z Anu, Anu zaś na przemian śmiała się i płakała tak, jak tylko ona potrafiła, i Enla nareszcie poczuła, że jest w domu.

\* \* \*

Pień został w pobliżu niedokończonego ogrodzenia, gdzie Dieter Pek Gruber, korzystając ze swej niespotykanej siły, przyciągnął jeszcze dwa podobne wydobyte z nurtu rzeki. Teraz trzy pnie tworzyły trójkąt w zapadających ciemnościach. Pośrodku płonęło ognisko, chociaż i bez niego było dość jasno dzięki pięciu świecącym na niebie księżycom Świata. Enla usłyszała, jak Pek Gruber mówi do Pek Sikorski, że zamierza podarować mieszkańcom w prezencie swoją latarkę, na co Pek Sikorski odparła: – Wstrzymaj się z tym jeszcze. Nie przyśpieszaj wypadków.

Wszyscy mieszkańcy siedzieli na pniach lub stali za nimi. Anu siedziała z małą Usu na kolanach i Fentilem przytulonym do jej boku, podczas gdy Sparil stał za nimi, opiekuńczym gestem trzymając dłoń na ramieniu Anu. Obecni byli również nowi mieszkańcy osady, a także Afra z Morfibem i Kalin, i dziewczęta, z którymi Enla bawiła się jako dziecko, teraz już dorosłe i w towarzystwie swoich mężczyzn z innych osad oraz ich dzieci. Essa i Serlit, dziwnie cisi, przycupnęli na trawie. Dwoje Ziemiań trzymało się nieco na uboczu, za plecami wszystkich. Na jednym krańcu pniaka, jak najdalej od Anu i Sparila, siedział stary Solor Pek Raumul, który miał oparzone ramię owinięte materiałem nasączonym uzdrawiającą maścią.

W środku kręgu siedziała na trawie samotnie Obra ze skrzyżowanymi nogami.

Przyszła z własnej woli, bez niczyjzego polecenia, albowiem nikt nie wiedział, co trzeba jej polecić. Nic podobnego nie miało miejsca za pamięci najstarszych żyjących mieszkańców osady, a nawet w przekazywanej z

pokolenia na pokolenie historii Gofkit Shamloe i całego Świata. Dzięki dzielonej rzeczywistości zawsze było wiadomo, co należy uczynić z tymi, którzy okazali się nierzeczywiści, tak jak w tym wypadku Obra. W umyśle Enli rozległ się echem okrzyk zrozpaczonego Sparila: „Jak można ogłosić kogoś nierzeczywistym, skoro nie ma dzielonej rzeczywistości?”.

Mieszkańcy zerkali na siebie nawzajem, uciekali wzrokiem i czekali. Nikt się nie odzywał.

W końcu ktoś obwieścił zrzędlwym głosem: – Robi mi się zimno.

Potem znów zapadła cisza.

Pek Sikorski, zwracając się do matki Serlita, lwy, powiedziała: „To kwestia praktyki”.

Jednakże w Gofkit Shamloe nikt nie miał praktyki.

W końcu Afra wkroczyła do środka kręgu, przygotowując Enlę o nerwowy skręt kiszek. Tylko nie Afra, która była kłótniwa i źle do wszystkich usposobiona jeszcze przed tym, zanim zniknęła dzielona rzeczywistość.

– Obra Pek Brimmidin wepchnęła Solora Pęka Raumula do ogniska – oświadczyła. Nie wiedząc, co jeszcze mogłaby powiedzieć, niepewnie przestąpiła z nogi na nogę, po czym wróciła na swoje miejsce.

Niemniej ustanowiła pewien wzór. Na środek kręgu wystąpiła inna kobieta, która oświadczyła: – Obra nie chciała skrzywdzić Pęka Raumula. To był przejaw złych manier, nie nierzeczywistości.

Kolejna przeciągająca się chwila ciszy. Wreszcie na środek kręgu wystąpił jakiś mężczyzna. – Obra to dobre dziecko, od korzonków po łodygę. Jej płatki powiewają nazbyt swobodnie, to wszystko.

Ktoś westchnął głośno: – Gdybyśmy tylko mieli w Gofkit Shamloe matkę babki! – Gdybyśmy tylko... podchwycił ktoś inny. – Ale nie mamy matki babki w Gofkit Shamloe!

Każdy coś mówił: jedni wstawiali się za Obrą, inni występowali przeciwko niej, wielu ubolewało nad brakiem matki babki w osadzie. Kiedy już każdy, kto miał coś do powiedzenia, przemówił, wszyscy znowu siedzieli w milczeniu, czekając, co będzie dalej.

Pek Gruber i Pek Sikorski stanęli za plecami Enli. Słyszała, jak w mroku poszeptują między sobą po ziemsku. Pek Gruber gorliwym tonem zachęcał Pek Sikorski: – Zrób to, Anno. Naucz ich głosować.

Enla nie wiedziała, co znaczy „głosować”. – Nie, Dieterze. Sami muszą do tego dojść. Są na właściwej drodze.

Znowu długa chwila ciszy. – Idę stąd – rzucił ktoś. – Pora spać. – Ale Obra... – Pek Raumul... – Nic... – Nierzeczywista...

Na dalszym krańcu pniaka zapanowało jakieś poruszenie, po czym milczący dotąd Solor Pek Raumul we własnej osobie niezdarnie wkroczył

na środek kręgu. Nie patrzył na Obrę. Głos miał słaby i drżący, co stanowiło rażące przeciwieństwo jego słodkich melodii wygrywanych na fujarce.

Zebrani zamarli. – To ja zostałem oparzony – powiedział. Mówił, urywał i znowu próbował, przypominając człowieka, który pokonuje nieznaną rzekę, ostrożnie wybierając wystające kamienie. – Obra mnie oparzyła. To dobre dziecko, od korzeni. Zostałem oparzony. Jedni mówią, że jest nierzeczywista. Drudzy, że jest rzeczywista. Dzielona rzeczywistość zniknęła. To ja zostałem oparzony. To ja powinienem mówić o Obrze.

Cichy szmer przebiegł wśród zebranych mieszkańców osady. Wszyscy zaczęli popatrywać na siebie nawzajem w zdziwieniu. Największe zdziwienie wywołało to, że szept były szeptami zgody. Wszyscy zgadzali się ze słowami starego muzykanta. Dzielili rzeczywistość, mimo że dzielona rzeczywistość zniknęła. – Ja powinienem mówić – powtórzył Pek Raumul.

Tym razem głosy poparcia były wyraźniejsze; rozległy się okrzyki uniesienia z powodu ogólnej zgody. Tylko Afra zdawała się oburzona, lecz gdy rozejrzała się po otaczających ją twarzach, zamknęła usta.

Tymczasem Pek Raumul mówił: – Obra to dobre dziecko, od korzeni. Jest rzeczywista. Powinna żyć dalej. Oparzyła mnie. Musi sprzątać mi chatę i gotować mi posiłki do czasu, aż na niebie znowu rozkwitną wszystkie księżyce. I jeszcze musi mi uszyć dwie tuniki.

Cisza zdawała się napięta jak mocno rozciągnięta lina, dopóki nie przerwał jej czyjś głośny wybuch śmiechu. To Anu się roześmiała, by zaraz swoim zwyczajem zapłakać. Rozległ się głos kogoś innego, bardzo donośny i bardzo wyraźny. – Taka jest odtąd dzielona rzeczywistość. Gdy ktoś zrobi komuś innemu krzywdę, skrzywdzony powinien przemówić.

To powiedział Kalin.

Obra wstała i ujęła Pęka Raumula za rękę. Staruszek uśmiechnął się do niej roziskrzonymi oczami. Pozostali śmiali się i rozmawiali, rozchodząc się do swoich domów. Afra wróciła do siebie zamaszystym krokiem i stanowczym ruchem zaciągnęła zasłonę w wejściu. Anu uściskała Obrę, budząc przy tym małą Usu, która się rozwrzeszczała z oburzenia.

Pek Sikorski powiedziała do Pęka Grubera na tyle głośno, by ją usłyszał w ogólnym harmiderze: – Mój Boże, Dieterze... Oni właśnie wynaleźli zebranie mieszkańców i kodeks prawny. I to za jednym zamachem. – No, może zaczątki jednej z tych rzeczy – przyznał Pek Gruber i dodał: – Mein Liebchen...

W tym momencie zabrzączał komunikator Pek Sikorski.

Enla usłyszała charakterystyczny dźwięk, a także zauważyła, że Pek Sikorski błyskawicznie wyłączyła brzęczyk. – Za wcześniej na taką technologię – powiedziała do Pęka Grubera. – Zwłaszcza tutaj. U Voraturów było dostatecznie źle... Chodźmy lepiej na drugą stronę palisady.



Ziemianie rozmawiali dalej w swoim języku, lecz Enla już ich nie słuchała. Z przeciwnej strony, przedzierając się przez tłum, zmierzał ku niej Kalin. – Ogród rozkwita cudownie, Enlo. – Woń jego kwiatów cieszy naszych przodków, Anu i moich. Obra... – Wiem. Też się cieszę.

Enla wyrzuciła z siebie nagle: – Nie rozpowiedziałeś tego o Ziemianach!

Zaraz rozejrzała się wokół strachliwie. Jednakże byli sarni. – Nie, nie rozpowiedziałem. – Dlaczego? – Ziemianie zabrali dzieloną rzeczywistość. Ale jak powiedziałaś, nie ci Ziemianie, którzy zostali na Świecie. Od czasu zniknięcia dzielonej rzeczywistości wszyscy są jacyś inni. Ziemianie, Obra, wszyscy Światanie, ty, ja... więc ty i ja...

Chociaż Kalin się jąkał, Enla wiedziała, do czego zmierza. Radość w niej wezbrała. – Tak. – Czy... czy wypijesz szklankę wody ze mną, Enlo?

Radość sprawiła, że Enla pozwoliła sobie zażartować: – A nie pelu? – Nie mamy pelu. Kupcy przestali go przywozić. – Kiedyś znowu zaczną. – Może tak, a może nie – odrzekł, poważniejąc. – Wszystko się zmieniło. – Nie wszystko – odparła, a on zamknął ją w objęciach pośród pachnących ciemności.

\* \* \*

– Lyle – powiedziała Anna do komunikatora. – Zdaniem Dietera zbliżacie się do tunelu czasoprzestrzennego. Tylko z tego powodu odpowiadam. To nasza ostatnia rozmowa, o ile można tak to nazwać... Dieterze, jakie jest opóźnienie? – Pięćdziesiąt cztery minuty – odparł Gruber, trzymając latarkę opuszczoną, przez co na twarz padały mu złowieszcze cienie.

Obok dwojga Ziemian szczyrzyła się niedokończona palisada. – Zatem dobrze, Lyle. Wysłucham twoją nagraną wiadomość po tym, jak przekażę swoją. To będzie ostatni raport ze Świata. Oczywiście wcale nie uważam, żeby wywarł na tobie jakieś wrażenie. Tubylcy przeżyli zniknięcie dzielonej rzeczywistości, aczkolwiek nie obeszło się bez ofiar i stresu. Infrastruktura umożliwiająca dalekosięzną komunikację, jak również handel i sprawowanie władzy zniknęły wraz z dzieloną rzeczywistością. Dochodzi do płądowań i buntów, choć w mniejszym zakresie, niżby to miało miejsce w ludzkiej społeczności. Światanie zaczynają dbać o własne bezpieczeństwo, zamieniając osady w forty. Wpadli już na palisady i na kodeks prawny. Dzięki tobie wraz ze źródłem biologicznego mechanizmu dzielonej rzeczywistości zniknęła cywilizacja, która rozprzestrzeniła się na całym globie. W jej miejsce pojawia się kultura pogranicza. Tubylcy mają szansę na przeżycie w tych warunkach wyłącznie dzięki nieprawdopodobnej żywności Świata. Wkrótce zanikną wszelkie przejawy sztuki jako nie

mające praktycznego zastosowania. Podobny los czeka manufaktury, których utrzymanie zależało od intensywnego handlu, jak również przepływ idei. Religia zapewne ulegnie rozłamom. W ciągu jednego pokolenia tubylcy zaczną żyć w odosobnionych enklawach. Tym samym rozpoczną się ich wieki średnie. Nie miej jednak wyrzutów sumienia, Lyle. Światanie sobie poradzą. Koniec raportu od zespołu pozostającego na powierzchni planety w osobach:

Anny Pek Sikorski, biologa, i Dietera Pęka Grubera, geologa. – Lieber Gott – szepnął Gruber. – Ale mu dałaś popalić. – Nie sądzę – odszepnęła Anna z goryczą. – Lyle Kaufman jest zbudowany z syntetyku, od którego wszystko się odbija.

To powiedziawszy, puknęła w klawisz odtwarzania nagranych wiadomości.

W nocnej ciszy rozległ się głos Kaufmana. – Anno, Dieterze, niedługo wlecimy do tunelu czasoprzestrzennego. Pragnę wam przesłać ten ostatni raport, abyście wiedzieli, że być może mieliśmy dostateczny powód, aby zabrać artefakt ze Świata. Marbet odkryła, że Fallerowie dysponują identycznym artefaktem jak nasz. Jak dotąd wykorzystali go, aby usmażyć nasze kolonie w systemie Viridiana. Tom doszedł do tego, że przy ustawieniu na trzynastkę artefakt zamienia się w tarczę zdolną ochronić cały układ planetarny przed każdym atakiem. Zamierzamy zabrać artefakt do Układu Słonecznego, dołożyć starań, aby wróg się o tym dowiedział, po czym uaktywnić ustawienie oznaczone trzynastką. Ofiara Światan oznacza, że miliardy ludzi na Ziemi, Marsie, Lunie, Tytanie, w Pasie, jednym słowem wszędzie, są bezpieczne. – Moment przerwy w transmisji. – A, i jeszcze jedno. Tomowi udało się rozgryźć zasadę działania artefaktu. Wygląda na to, że przyczyniliśmy się do największego przełomu w nauce w tym stuleciu, całkowicie zmieniającego nasze rozumienie wszechświata. Coś takiego musi mieć znaczenie. – Niewystarczające – wtrąciła Anna. – Anno... bezpieczeństwo całego Układu Słonecznego... prowadzimy wojnę, mein Schatz... – A dzięki nam pewnego dnia być może zaczną ją prowadzić także Światanie.

Głos Kaufmana stał się bardziej ochrypły. – To chyba wszystko, co miałem wam do powiedzenia, Anno, Dieterze... Z wyjątkiem tego, że jak zawsze myślami jestem z wami. I tak już pozostanie. Koniec transmisji. Pułkownik Lyle Kaufman. Rada Obrony Sojuszu Solarnego.

W zaległej ciszy Gruber powiedział: – Anno, kiedyś usłyszałem coś od ciebie... Stwierdziłaś, że w ludzkim mózgu jest... żebyś czegoś nie przekręciła... tysiąc bilionów połączeń między neuronami. W wypadku mózgu Światanina musi to wyglądać podobnie, przecież mówimy o tym samym generalnie materiale DNA. Tyle połączeń, taka pojemność... Czy to nie znaczy, że się z tego podniosą, być może nawet silniejsi niż przedtem? –

Nie wiem – odparła Anna. – Naprawdę nie wiem, Dieterze. Czy stało się tak, jak mówisz, w wypadku ludzkości? Mamy lepsze technologie niż w średniowieczu, ale czy jesteśmy bardziej moralni, bardziej etyczni, bardziej pokojowi? Czy też Światanie, których okradliśmy z dzielonej rzeczywistości, zawstydzali nas pod każdym względem?

Dieter nie odpowiedział żonie. Ujął jej rękę sztywnymi zmarzniętymi palcami.

## 29.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

Tunel Czasoprzestrzenny #438 obecnie prowadził do systemu Kaliguli, w którym krążyły cztery niewielkie jałowe, nie nadające się do kolonizacji planety. W systemie tym unosiła się baza wojskowa krążąca w pobliżu trzech tuneli czasoprzestrzennych, które z niezrozumiałych powodów otwierały swoje wrota za orbitą ostatniego globu. Zgodnie z zauważoną prawidłowością, jeśli w jakimś układzie gwiazdnym znajdowało się więcej tuneli, dzieliła je od siebie nieduża odległość, aczkolwiek z reguły taka sytuacja miała miejsce w układach gwiazdnych posiadających planety godne zainteresowania. To, iż system Kaliguli został tak wyróżniony, że praktycznie stanowił liczące się centrum przesiadkowe, pozostawało niewyjaśnioną zagadką stojącą za technologią tuneli czasoprzestrzennych.

Jak tylko Alan B. Shepard opuścił orbitę Świata, statek kurierski wystartował z pełniącego straż okrętu wojennego Murasaki i przez Tunel Czasoprzestrzenny #438 dostał się do systemu Kaliguli. Stamtąd pomknął z maksymalną prędkością przez system tuneli aż na Marsa, wioząc na pokładzie tajne raporty na temat artefaktu adresowane do Rady Obrony Sojuszu Solarnego. Alan B. Shepard udał się w drogę w wolniejszym tempie po krótkim postoju w doku Murasaki. Komandora Graftona czekało bowiem zadanie nie do pozazdroszczenia, mianowicie wyjaśnienie McChesneyowi, co się stało z jeńcem, którego z takim trudem pojmał i z takim poświęceniem dostarczył, unikając przejęcia przez Obcych.

Po dopełnieniu tego niemiłego obowiązku przez komandora Alan B. Shepard pokonywał kolejne tunele, mknąc śladem statku kurierskiego ku Układowi Słonecznemu. Podróż odbyła się bez niespodzianek.

Lyle Kaufman, odcięty od wszelkich informacji, pozostawał pod kluczem w brygu, gdzie czekał na werdykt. Trzyosobowa komisja śledcza miała się wypowiedzieć przeciwko oddaniu go pod sąd wojenny bądź też za

tym rozwiązaniem – w drugim wypadku stawiając mu konkretne zarzuty. Członkowie komisji mieli prawo wedle własnego uznania wzywać świadków, zazwyczaj zeznających pojedynczo. Oskarżony miał prawo przysłuchiwać się składanym przez świadków zeznaniom. O powołaniu komisji śledczej zdecydował komandor Grafion, który następnie dokonał wyboru jej członków spośród oficerów oraz przedstawił pisemny opis wydarzeń. Wszyscy, nie wyłączając Kaufmana, zgadzali się, że postanowienie komisji będzie wiążące i ostateczne.

Tuż przed rozpoczęciem obrad komisji Alan B. Shepard wyłonił się z wrót Tunelu Czasoprzestrzennego #1 i wleciał w przestrzeń Układu Słonecznego, po czym skierował się ku Marsowi.

\* \* \*

Przynieśli mu mundur galowy Rady Obrony Sojuszu Solamego, aczkolwiek bez paradnego miecza. Kaufman zastanawiał się nad znaczeniem tego faktu, gdy w gołej celi wkładał na siebie poszczególne części munduru utrzymanego w ciemnoniebieskiej tonacji. Czyżby istniał jakiś nieznany mu przepis ustanowiony przez nie wiedzieć kogo ani po co, przy tej okazji odkopany i skrupulatnie zastosowany przez Graftona? „Podsądny stający przed komisją śledczą nie ma prawa nosić paradnego miecza”... A może raczej komandor zwyczajnie się bał, że Kaufman stępionym ostrzem zadźga żandarmów, siebie, a nawet wszystkich członków komisji? Jakikolwiek był prawdziwy powód, u boku Lyle’a dyndała teraz pusta pochwa. – Proszę dać znać, kiedy będzie pan gotowy, sir. – Już jestem gotowy, pani chorąży. – W takim razie proszę tędy, sir – powiedziała młoda kobieta, chociaż Kaufman doskonale znał drogę.

Komisja śledcza miała obradować w największej sali konferencyjnej. Żandarmi, po jednym z każdej strony, prowadzili Kaufmana pustymi korytarzami.

Stół konferencyjny był owalny. Za dłuższym bokiem siedzieli twarzą do drzwi wejściowych trzej oficerowie marynarki wojennej w pełnym umundurowaniu. Tylko jednego z nich Kaufman znał z nazwiska – porucznik Elizabeth Framingham. Po przeciwnej stronie blatu ustawiono dwa krzesła oddalone od siebie tak bardzo, jak tylko było w tych warunkach możliwe. Chorąży podprowadziła Kaufmana do jednego z nich. Drugie, jak domyślał się Lyle, było przeznaczone dla kolejnych świadków.

Komandor Grafton stał sztywno wyprostowany u szczytu stołu. Gdy Kaufman zajął miejsce, Grafton ze względów regulaminowych oraz na użytek urządzenia nagrywającego wyrecytował: – Niniejszym ogłaszam obrady komisji śledczej za otwarte. Członkowie komisji to: komandor porucznik Carter Campbell Rulanov, przewodniczący, porucznik Antarres L.

Ramsay oraz porucznik Elizabeth George Framingham, wszyscy będący oficerami marynarki wojennej Sojuszu Solamego.

Zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował: – Oskarżenie przedstawia się następująco... Pułkownik Lyle Daniel Kaufman, oficer armii Sojuszu Solamego, tymczasowo oddelegowany do marynarki wojennej Sojuszu Solamego w charakterze dowódcy projektu specjalnego, w dniu szesnastego kwietnia dwa tysiące sto sześćdziesiątego szóstego roku, znajdując się na pokładzie okrętu Alan B. Shepard, po pierwsze: umyślnie i całkowicie bez powodu zaatakował dwóch żandarmów w trakcie wykonywania przez nich swoich obowiązków; po drugie: wdarł się siłą w towarzystwie dwóch cywilów do strefy ograniczonego dostępu wbrew wcześniejszym wyraźnym rozkazom dowódcy jednostki; i po trzecie: dopuścił się aktu zdrady polegającego na przekazaniu jeńcowi tajnych informacji wojskowych. Podsądnemu zarzuca się: czynną napaść na żołnierzy Sojuszu Solamego, naruszenie regulaminu i porządku oraz zdradę. Pułkownik, czy rozumie pan przedstawione zarzuty? – Tak – odparł Kaufman. – Przed powołaną komisją stoi zadanie ustalenia, czy istnieją wystarczające dowody, aby oskarżonego pułkownika Kaufmana oddać pod sąd wojenny na podstawie jednego bądź wszystkich wymienionych zarzutów. Do członków komisji zwracam się z pytaniem, czy rozumieją, na czym polega ich zadanie.

Trójka oficerów formalnie potaknęła. Kaufman przyglądał się im uważnie. Rulanov najwyraźniej był osobnikiem zmodyfikowanym genetycznie, a przy tym klasycznym – by nie rzec: stereotypowym – wojskowym w typie Graftona: wysoki, sztywny i przystojny. Czterdziestoparoletni Ramsay mógł być jego rówieśnikiem, choć w wypadku osobników zmodyfikowanych genetycznie ustalenie wieku zwykle bywa mylące. Framingham była z tej trójki najmłodsza, prawdopodobnie ledwie przekroczyła trzydziestkę. Każde z nich miało pusty, nie zdradzający niczego wyraz twarzy.

Kaufman zastanowił się naraz, co Marbet Grant wypatrzyłaby w ich obliczach i gestach. – Dla członków komisji śledczej mam dwie dodatkowe wytyczne – mówił dalej Grafion. – Po pierwsze, ze względu na tajność sprawy i jej ogromne militarne znaczenie członkom komisji nie wolno nagrywać obrad, opowiadać o nich osobom postronnym ani nawet sugerować, że miały miejsce... pod groźbą zarzutu o zdradę. Czy członkowie komisji rozumieją to i wyrażają zgodę na zachowanie całkowitego milczenia?

Ponownie trzy formalne potaknięcia. – Po drugie... – podjął Grafton i nagle urwał. Troje ludzi patrzyło na niego nadal obojętnie, z wciąż taką samą pustką na twarzy. – Po drugie, zwracam członkom komisji uwagę na to, że w grę wchodzi honor i kariera oficera o nieskazitelnej reputacji, w tym na polu walki. To wszystko z mojej strony.

Po tych słowach Grafton odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Kaufman poczuł, jak spływa na niego ponury gniewny smutek. Grafton – chociaż uważał, że sprawa jest jasna na pierwszy rzut oka – w dalszym ciągu robił wszystko, aby zachować pozory uczciwego procesu. Tym samym czyniąc położenie Kaufmana jeszcze trudniejszym. – Pułkownik – odezwał się Rulanov. – Proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło. W prostych żołnierskich słowach. – Przyszedłem do strefy ograniczonego dostępu, gdzie był przetrzymywany jeńiec wojenny, zostałem wpuszczony przez żandarmów i systemy zabezpieczeń. Następnie czekałem na zewnątrz, aż doktor Capelo uwolni pannę Grant z brygu i przyprowadzi ją do celi jeńca. – Skąd pan wiedział, że doktor Capelo to zrobi? Czy zwierzył się panu ze swoich planów? – Nie. – Kiedy widział go pan ostatni raz przed przybyciem do strefy ograniczonego dostępu? – Dzień wcześniej, gdy napadł na komandora Graftona i na mnie, dopytując, dlaczego Faller znajduje się na pokładzie okrętu.

Członkowie komisji oczywiście już to wiedzieli: ruchy wszystkich zaangażowanych w sprawę były nagrywane, a nagrania zostały przedstawione oficerom pod rozważenie, zanim rozpoczęły się obrady. – Skoro doktor Capelo przy żadnej okazji nie zwierzył się panu ze swoich planów, skąd wzięło się panu przypuszczenie, że przyprowadzi pannę Grant do strefy ograniczonego dostępu?

– Domyśliłem się tego w oparciu o jego charakter oraz wyjątkowo silną nienawiść do Fallerów z powodu utraty żony w trakcie ataku Obcych na kolonię cywilną. – Czy panna Grant przyczyniła się w jakiś sposób do pańskich domysłów? – Nie. Nie widziałem się z nią po wybuchu doktora Capelo, póki razem się nie pojawili w strefie ograniczonego dostępu. – Czy śledził pan ruchy obojga na skanach? – Nie mam uprawnień zapewniających dostęp do odczytów z takich urządzeń – odparł Kaufman.

Rulanov powtórzył pytanie ostrzejszym tonem: – Czy śledził pan ruchy doktora Capelo i panny Grant na skanach? – Nie.

Członkowie komisji naradzali się przez chwilę, po czym Rulanov podjął przesłuchanie: – Czy wiedział pan, że starszy mat Michael Doolin pod koją doktora Capelo wyciął otwór łączący jego kajutę z kajutą zajmowaną przez jego dzieci? – Tak. Osobiście zleciłem starszemu matowi Doolinowi wycięcie tego otworu. – W komputerowym systemie okrętu nie pojawił się żaden wpis. Czy wypełnił pan formularz zlecenia oraz formularz „Zmiany w grodziach niepróżnioszczelnych”? – Nie, sir. – Dlaczego pan tego nie zrobił? – Spodziewałem się, że komandor Grafton nie byłby zachwycony. – Skoro się pan tego spodziewał, czemu wydał pan takie polecenie?

Nareszcie zaczęły się pytania, na które członkowie komisji nie znali odpowiedzi.

Kaufman powiedział: – Zgodziłem się na wycięcie otworu między kajutami, aby uszczęśliwić doktora Capelo i jego dzieci. Młodsza córka doktora Capelo od śmierci matki cierpi na problemy emocjonalne i zaburzenia zachowania. Pełnię... pełniłem funkcję dowódcy ekspedycji, której członkami byli wysoce uzdolnieni cywile. Jak wiadomo, osoby takie bywają przewrażliwione i miewają dziwne zachcianki. Niezrównana wiedza doktora Capelo była kluczowa dla całego projektu specjalnego. Spełniając jego zachcianki, mogłem liczyć na jego pełniejsze zaangażowanie. Z całym szacunkiem dla komisji chciałbym przypomnieć, że zadaniem doktora Capelo nie było wklepywanie danych. Twórcze podejście do tematu to nie coś, co można dowolnie włączać i wyłączać. Zdejmując doktorowi Capelo kłopoty z głowy, przyczyniałem się do jego kreatywniejszego myślenia, a co za tym idzie, do postępów w projekcie uznanym za priorytetowy przez Radę Obrony Sojuszu Solamego.

Ponownie doszło do krótkiej narady przyciszonymi głosami. W końcu Rulanov rzekł: – Proszę wrócić do opisu wypadków z dnia szesnastego kwietnia, pułkowniku. Domyślił się pan, że doktor Capelo uwolni pannę Grant z brygu i przyprowadzi ją do strefy ograniczonego 227

dostępu, gdzie był przetrzymywany jeniec wojenny. Dostał się tam pan za zgodą służb bezpieczeństwa. Co wydarzyło się potem?

I znów znane wszystkim informacje. – W strefie ograniczonego dostępu widać, co się dzieje w przyległych korytarzach. Gdy zobaczyłem, że pojawili się doktor Capelo i panna Grant, otworzyłem im drzwi. Doktor Capelo spryskał żandarmów nanosiecią. Zgodnie z regulaminem starszy stopniem żandarm był pokryty antidotum. Nie mam pojęcia, dlaczego jego młodszy stopniem kolega nie był zabezpieczony w ten sam sposób. Młodszy żandarm runął na podłogę w nanosieci, a starszy zaatakował doktora Capelo. Obezwładniłem go taserem, po czym wciągnąłem obydwóch do środka przy pomocy panny Grant. Doktor Capelo, doszedłszy do siebie, podążył za nami, dzięki czemu mogłem zamknąć drzwi. – Czy doktor Capelo i panna Grant zdziwili się, widząc, że pan na nich czeka? – Tak. – Pułkowniku, czy ma pan w zwyczaju zawsze nosić przy sobie zasobnik z nanosiecią i taser?

– Nie. Zabrałem je z myślą o przeprowadzeniu konkretnej akcji.

Kaufman zauważył, że nie spodobało im się użycie wojskowego terminu „akcja” w tym kontekście. A posłużył się nim nieprzypadkowo.

Rulanov kontynuował przesłuchanie: – Dlaczego później spryskał pan nanosiecią doktora Capelo? – Wiedziałem, że doktor Capelo mając okazję, spróbuje zabić jeńca. Nie było to po mojej myśli. Chciałem dać pannie Grant jeszcze jedną szansę nawiązania komunikacji z Obcym. – W jakim celu?

To było kluczowe pytanie. Kaufman pochylił się do przodu i zawarł w swej odpowiedzi tyle, ile zdołał. – Panna Grant jest utalentowanym

Wrażliwcem, być może najbardziej utalentowanym w całym Układzie Słonecznym. Podczas swej ostatniej sesji z Fallerem spostrzegła niekwestionowaną silną i niepokojącą reakcję Obcego na jej sugestię, że ludzie mogą uaktywnić artefakt w ustawieniu oznaczonym trzynastką. Uznałem za niezbędne dla dobra Sojuszu Solamego, a być może nawet całej ludzkości, odkrycie, co było powodem takiej reakcji. Jak się okazało, całkiem słusznie. Dzięki mojej akcji doktor Capelo rozgryzł zasadę działania artefaktu, co być może pozwoli nam wygrać wojnę. – Pouczam pana, pułkowniku, że to nie czas ani miejsce, aby przedstawiał pan argumenty na swoją obronę. Zadaniem tej komisji jest tylko ustalenie faktów. – Rozumiem, sir. – Ale przynajmniej mieli to nagrane. – Czy posiadał pan skądś wiedzę bądź przypuszczenie, że to nielegalne spotkanie doprowadzi do przełomu w badaniach doktora Capelo? – Nie, oczywiście, że nie – odrzekł Kaufman. – Uważałem za to, że pannie Grant uda się odsłonić informacje, które Faller do tej pory ukrywał. Co w gruncie rzeczy się stało.228

Następnie komisja śledcza krok po kroku wydobyła z niego opis interakcji, jakie zaszły pomiędzy Marbet Grant i Obcym, jego przemyślenia na temat tych interakcji oraz ograniczone ruchy doktora Capelo spętanego nanosiecią. Wszystko to znajdowało się na nagraniach, lecz regulamin wymagał, aby oskarżony osobiście przedstawił fakty – dzięki temu później nie mógł twierdzić, że nagrania zostały sfałszowane. Opowiadał wyczerpująco i drobiazgowo, wykazując chęć pełnej współpracy. Jego odpowiedzi zajęły ponad pół godziny.

Następnie wezwano żandarmów. Zeznawali oddzielnie, lecz ani jeden, ani drugi nawet nie spojrzął na Kaufmana. Obydwaj ledwie powstrzymywali wściekłość.

Starszy stopniem czuł, że zrobiono z niego głupca, co zresztą było prawdą. Jego młodszy kolega z pewnością dostał naganę za pełnienie służby bez ochronnej warstwy antidotum, którego jak mu się zdawało, nie potrzebował na okręcie Sojuszu. Cóż, jak pokazało życie, nie miał w tym względzie racji.

Po żandarmach przyszła kolej na Marbet Caroline Grant.

Gdy Kaufman ją zobaczył, pomyślał: „W ubraniu wygląda zupełnie inaczej”. I musiał stłumić uśmiech. Marbet była jedyną kobietą, którą widział nagą przez tak długi czas, nie uprawiając seksu. Wojna to jednak dziwna sprawa.

Marbet miała na sobie zielony więzienny kombinezon. Rude loki starannie uczesała, odsłaniając nieporuszone oblicze. Mimo że była najdrobniejszą osobą w tym pomieszczeniu, roztaczała aurę godności i kompetencji. Kaufman ponownie się zastanowił, czy w przeciwieństwie do niego widzi coś w minach i gestach członków komisji śledczej.



Przewodniczący kazał jej opisać wydarzenia z dnia szesnastego kwietnia, choć i to było w całości na dostępnych nagraniach. Marbet odpowiadała spokojnie i pewnie. – Panno Grant, czy rozważała pani ewentualność odmowy pójścia z doktorem Capelo, który uwolnił panią z brygu? – Nie. – Dlaczego nie brała pani pod uwagę takiej ewentualności? – To niewłaściwie postawione pytanie, komandorze poruczniku. Powinno ono brzmieć: dlaczego udałam się z doktorem Capelo. Odpowiedź na nie brzmi następująco... Uważałam, że informacje uzyskane od Obcego usprawiedliwią każde złamanie regulaminu w kontekście dobra ludzkości. Co w gruncie rzeczy okazało się prawda..

Rulanov zmarszczył brwi. Po raz drugi do nagrań zakradła się subiektywna opinia, podczas gdy zadaniem komisji śledczej było wyłącznie ustalenie faktów.

Dalsze pytania i odpowiedzi wykazały, że Marbet Grant nie była świadoma planów doktora Capelo przed jego pojawieniem się w brygu – w istocie jako aresztantka nie mogła być świadoma niczyich planów. Z tego, co widział Kaufman, postawiony jej zarzut zdrady pozostawał w mocy, aczkolwiek zdawał się poza gestią komisji śledczej. Marbet była cywilem. Miała stanąć przed cywilnym sądem.

Porucznik Ramsay, dotąd milczący, zarzucił Marbet pytaniami o jej sesje z jeńcem. Kaufman odnosił wrażenie, że Ramsay okazuje kobiecie współczucie, aczkolwiek nie mógł być tego zupełnie pewien. Cała trójka oficerów zachowywała kamienne twarze.

Co nie znaczyło, oczywiście, że Marbet Grant nie potrafi ich rozszyfrować.

Gdy skończono ją przesłuchiwać, było już grubo po dwunastej w południe. Rulanov bębnił palcami po blacie, co zdaniem Kaufmana wskazywało na pierwsze objawy stresu u przewodniczącego. – Ogłaszani przerwę na lunch. Spotkamy się ponownie o czternastej zero zero. Najpierw wyprowadzono Marbet, potem – oddzielnie – Kaufmana. Wychodząc, Marbet posłała mu uśmiech – smętny wiele mówiący uśmiech, niosący ślad być może niezamierzonej przekory. Niewątpliwie miała zakaz odzywiania się do oskarżonego, lecz nie przejęła się nim zbytnio. Donośnym scenicznym szeptem rzekła: Po lunchu wystąpi Tom.

## 30.

### Na pokładzie okrętu Alan B. Shepard

Kaufman zauważył, że Tom Capelo w przeciwieństwie do Marbet nie ma na sobie zielonego kombinezonu aresztanta. Fizyk był ubrany w garnitur. Wprawdzie marynarka wydawała się krótsza, niż dopuszczała najnowsza moda, ale materiał wyglądał na naprawdę drogi. Capelo wszedł do sali konferencyjnej po cichu, ze szczupłą śniadą twarzą przybraną w nie bardziej sardoniczny wyraz niż zwykle. W prawej ręce niósł wydruki. Nie towarzyszył mu ani jeden żandarm. Najwyraźniej więc Capelo, w odróżnieniu od Kaufmana i Marbet, mógł się swobodnie poruszać po okręcie. Oni byli przestępcami, on – bohaterem świata nauki. – Proszę usiąść, doktorze – rzekł do niego Rulanov. – A teraz... gdyby pan zechciał przedstawić komisji opis swoich poczynań w dniu szesnastego kwietnia?... – Nie – powiedział Capelo. – Słucham? – Nie, nie przedstawię komisji opisu swoich poczynań w dniu szesnastego kwietnia. Macie je na nagraniach. Powtarzanie tego, co wszyscy zebrani doskonale wiedzą, nie ma moim zdaniem najmniejszego sensu.

Rulanov zacisnął szczęki. – Doktorze, stoi pan przed komisją śledczą. Jest pan zobowiązany udzielać odpowiedzi na zadane pytania. – Bynajmniej – odparł Capelo, nie zmieniając tonu głosu. – To tylko komisja śledcza, nie sąd... nawet nie sąd wojskowy. Jeśli chcecie mnie zmusić do odpowiedzi, zwołajcie sąd i przyslijcie mi pozew. Jestem skłonny współpracować z wami pod warunkiem, że macie jakieś prawdziwe pytania, a nie tylko bzdurne.

Członkowie komisji śledczej porozumieli się ściszymi głosami. Ramsay marszczył czoło najbardziej z całej trójki. Kaufman usiłował przechwycić wzrok Toma, ten jednak patrzył prosto przed siebie. – Doktorze – zaczął ponownie Rulanov z tak lodowatym spojrzeniem, jakiego Kaufman nigdy u nikogo nie widział – dlaczego uwolnił pan Marbet Grant z brygu i przyprowadził ją do strefy ograniczonego dostępu, gdzie przetrzymywano jeńca wojennego? Chciałem zabić drania.

– Czy panna Grant była świadoma pańskich motywów? – O to musicie zapytać ją. – Przeformułuję pytanie – rzekł Rulanov. Uwagi Kaufmana nie uszedł fakt, że przewodniczący komisji jest na skraju wybuchu. – Czy w jakikolwiek sposób wyraził pan swoje intencje w obecności panny Grant? – Nie. – A czy ona powiedziała do pana coś, co by świadczyło, że jest świadoma pańskiego planu zamordowania jeńca? – Nie. – Co pańskim zdaniem skłoniło pannę Grant do udania się z panem? – Chciała porozmawiać z Fallerem. Czy też skomunikować się z nim w taki sposób, w jaki to było możliwe. Co też uczyniła.

Rulanov poprawił się na krześle. – Czy wiedział pan, że pułkownik Kaufman czeka na was w strefie ograniczonego dostępu? – Nie. – Kiedy zdał pan sobie sprawę z jego obecności? – Jak wpadłem do przedsionka, a on spryskał mnie nanosieczą. – Nie wprowadził pan swego planu w czyn

dlatego, że został pan spętany nanosiecią? – Tak. Ale komandor Grafion uczynnie zrobił to za mnie.

Kaufman nagle pojął, z jakim wewnętrznym konfliktem mierzy się Tom na swój nieposkładany i mało introspektywny sposób. „Wolałby sam zabić swego wroga i potem go opłakiwać”.

Biedny Tom. – Doktorze – odezwał się cierpko Rulanov – proszę się ograniczyć do udzielania odpowiedzi na zadane pytania. – Zgoda, pod warunkiem że usłyszę kilka odpowiedzi. Dlaczego Grafion wpuścił do strefy ograniczonego dostępu gaz obezwładniający, zamiast przysłać żandarmów? Nie byliśmy jakoś specjalnie uzbrojeni, nawet pokojowo nastawiony Lyle miał tylko taser i częściowo opróżniony zasobnik z nanosiecią. Dla wyszkolonych żołnierzy, przeciw którym nie działałby czynnik zaskoczenia, nie stanowiliśmy żadnego zagrożenia. – Decyzje podjęte przez komandora Graftona nie wchodzą w zakres... – Może i nie. Ale to na pewno wchodzi: dlaczego Marbet wciąż siedzi w areszcie, a ja chodzę wolno, mimo że to ja się włamałem do tego, co nazywacie strefą ograniczonego dostępu?

– Panna Grant przebywa w areszcie pod tym samym zarzutem co poprzednio. Doktorze, chciałbym zwrócić uwagę, że cokolwiek reprezentuje pan na polu naukowym, nie wolno p... – Właśnie, porozmawiajmy o tym, co reprezentuję. Czy dlate go chodzę sobie wolno i nikt mnie o nic nie oskarża? Ponieważ obmyśliłem teorię, dzięki której wygracie tę wojnę? Jestem wolny, podczas gdy Marbet siedzi w ciupie, bo z chwilą publikacji stanę się sławny, być może nawet zdobędę Nagrodę Nobla, a przecież nikt nie chciałby widzieć noblisty za kratkami? Natomiast za jakimś tam Wrażliwcem, i to w świecie, który nie darzy Wrażliwców sympatią, nikt nie będzie płakał? – Dostyc tego! Doktorze... – To hipokryzja przewyższająca rozmiarem ten okręt, komandorze poruczniku. – ...nie wolno panu obrażać tej komisji. Jeszcze jeden taki wybryk, a... – A co? Na tym właśnie polega wasz problem ze mną, prawda? Nie macie pojęcia, co ze mną zrobić, po tym jak się przyczyniłem do waszej sprawy. I do mojej także, tak, przyznaję to po fakcie. Mimo to problem jest całkiem poważny, może nie?

Kaufman nie zdołał się powstrzymać i wtrącił: – Nie taki znów poważny, jak myślisz, Tom. Nie słyszałeś o J. Robercie Oppenheimerze?

Capelo odwrócił się do niego z szerokim uśmiechem. – A więc jednak nie obcięli ci języka, Lyle. Ani jaj. – Żandarmi! – ryknął Rulanov. – Usunąć doktora Capelo z sali! – Dotknijcie mnie choćby palcem – rzekł groźnie Capelo, nie podnosząc się z krzesła – a będziecie mnie musieli zabić, żeby uniknąć najgorszego skandalu w historii marynarki wojennej. Z kolei jeśli mnie zabijecie, moja córka i jej opiekunka z radością opowiedzą o wszystkim reporterom, którzy jak się domyślacie, będą zafascynowani. Amanda doskonale się nada do roli holoświadka.

Rulanov, żołnierz do szpiku, nie dał się łatwo zastraszyć. Gestem wydał rozkaz żandarmom, którzy schwycili Toma. Kaufman bezwiednie zaczął wstawać. – Koniec imprezy? – zdziwił się Capelo. – Tak szybko? A ja jeszcze nie zadałem wszystkich pytań. Na przykład tego... Co zamierzacie – mówił dalej, choć żandarmi ciągnęli go w stronę drzwi; oklapł tylko, żeby bardziej im ciążyć w rękach – zrobić z artefaktem, skoro już wam powiedziałem, do czego jest zdolny?! – Zamierzamy go użyć! – rozległo się od drzwi.

Kaufman, który zdążył się podnieść mniej więcej do połowy, poderwał się niezgrabnie. Członkowie komisji śledczej po chwili bezruchu skoczyli na równe nogi i zaczęli salutować jeden przez drugiego. Kaufman poniewczasie poszedł w ich ślady. Żandarmi nadal ciągnęli zwiotczącego fizyka ku drzwiom, Nowo przybyły rzucił do nich: – Puśćcie tego człowieka.

Żandarmi nie zwrócili na jego słowa uwagi. – Puśćcie go! – powtórzył Rulanov jak echo. Najbardziej zawiedzione echo, jakie Kaufman w życiu słyszał. Przewodniczący komisji zdołał się jednak prędko o trząsnąć. – Witamy na pokładzie, sir!

Capelo, znowu wolny i w pozycji wyprostowanej, odwrócił się, by spojrzeć w stronę drzwi.

Kaufman, choć nigdy nie spotkał osobiście generała Sullivana Stefanaka, najwyższego zwierzchnika Rady Obrony Sojuszu Solamego, oczywiście natychmiast go rozpoznał. Oblicze generała widniało w każdych wiadomościach na każdym nośniku: w holowizji, w niusogramach. I nie była to twarz, którą łatwo zapomnieć czy zignorować. Niemal wszyscy wyżsi oficerowie ROSS zaliczali się do osobników modyfikowanych genetycznie – oprócz Stefanaka. Jego rozmiary i siła, nie ustępujące rozmiarom i sile Dietera Grubera, były w pełni naturalne. Tak samo jak grubo ciosana twarz i łyśsa czaszka. Żadna część ciała Stefanaka nie została poddana modyfikacji. Generał miał śniadą skórę i ciemnobrązowe oczy rozświetlone plamkami złota, pełne mięsiste wargi i kwadratową szczękę. Emanował energią. Roztaczał aurę bezwzględności i charyzmy. Jego apetyt – na wszystko – był wręcz legendarny.

Między innymi apetyt na władzę. Uporczywe plotki głosiły, że Stefanaka nie satysfakcjonuje prze wodzenie Radzie Obrony Sojuszu Solamego, która ma pod sobą zarówno armię, jak i marynarkę wojenną całego Układu Słonecznego. Ponoć nie zadowoliliby go nawet wybranie na prezydenta Sojuszu Solamego. Ponoć marzyła mu się dyktatura, która była ponoć możliwa dzięki temu, że toczyła się wojna i zawsze można było zaprowadzić stan wojenny. Patrząc bezpośrednio na generała – jeszcze brzydszego, groźniejszego i bardziej przykuwającego uwagę niż w przekazach holo – Kaufman nagle dał wiarę wszystkim plotkom. Oto miał przed sobą dobrotliwego dyktatora, lecz jednak dyktatora. Ten człowiek ustanawiał własne zasady, nie oglądając się na nic.

Obok Stefanaka stał generał Tolliver Gordon, który wysłał Kaufmana na tę przeklętą wyprawę, oraz komandor Grafion. Ten ostatni był dziwnie szary na twarzy. – Oto i wódz we własnej osobie – powiedział Capelo.

Jednakże w jego tonie nie było uszczypliwości, jak gdyby nawet znany z sarkazmu Thomas Capelo przygasł w obecności Stefanaka. – A pan musi być tym fizykiem. Czytałem pański artykuł sugerujący istnienie prawdonów. Nie zrozumiałem ani słowa.

Tom nie był łatwym przeciwnikiem. – Wcale mnie to nie dziwi – odrzekł. – Bardziej niż przyczyny interesują pana wyniki. – Trafił pan w sedno, doktorze. Zresztą też jest pan zainteresowany, jak wykorzystamy pańskie badania. – Owszem. Czyżby zamierzał pan podzielić się ze mną tą wiedzą? – Tak. Ma pan prawo wiedzieć. Poza tym... jak ujął to pan elokwentnie przed paroma chwilami... stanowi pan dla nas problem. Czy to prawda, że gdyby umarł pan nagle, pańska niespełna jedenastoletnia córka opowiedziałaby pańską wersję historii reporterom holowizji? Serio tak dobrze ją pan wyszkolił? – Wyszkoiliłem i opowiedziałaby – potwierdził skrótowo Tom. – A czy pan próbowałby jej w tym przeszkodzić?233

– Nie byłoby to łatwe, jeśli choć trochę wrodziła się w ojca. Niech pan siada albo i nie, pański wybór. Ja zamierzam sobie klapnąć.

Porucznik Framingham wystrzeliła do przodu jak z procy, podsuwając mu własne krzesło, w które Stefanak z trudem się wcisnął. Po chwili wahania (pierwszego w historii, odnotował w myślach Kaufman) Capelo również usiadł. Reszta pozostała w pozycji stojącej. – Pan ma pytania – rzekł do Toma generał. – Ja jednak mam obowiązki... – Przeniósł spojrzenie na Rulanova. – Komandorze poruczniku, wykonał pan kawał świetnej roboty w ramach tej komisji śledczej. Zanim zwolnię pana z funkcji przewodniczącego, chcę zaznaczyć, że pańska drobiazgowość i rzetelność nie przeszła niezauważona. Pani porucznik... poruczniku... – zwrócił się do Framingham i Ramseya – to samo dotyczy was.

Cała trójka robiła co mogła, aby nie okazać nadmiernego zadowolenia. Rulanov powiedział w imieniu wszystkich: – Dziękuję, sir.

Stefanak odwrócił się do Graftona, w dalszym ciągu szarego na twarzy: – Pan również, komandorze, zachował się w zgodzie z najwyższymi standardami przyjętymi w marynarce wojennej Sojuszu Solamego, postępując tak, jak nakazuje regulamin, od momentu przyjęcia na pokład jeńca wojennego. Otrzyma pan pochwałę, a w swoim czasie także awans.

Grafton zrobił się mniej szary, aczkolwiek nadal wyglądał nieswojo. Kaufman pomyślał ze współczuciem, że to musi być dla niego niełatwe – Stefanak odebrał mu dowodzenie okrętem z równą łatwością, z jaką dziecko podskakuje na Księżycu. Komisja śledcza też znalazła się w niezręcznej sytuacji. Generał Stefanak panował nad wszystkim. – Pułkownik – usłyszał Kaufman – wszelkie zarzuty wobec pana właśnie

zostały oddalone. Były słuszne w momencie wysuwania, jednakże nowe informacje, z którymi później zapozna pana generał Gordon, unieważniły je. – Dziękuję, sir... – Kaufman z całych sił się starał, by nie spojrzeć na Graftona. Wszakże nie zdołał się powstrzymać przed pytaniem. – Za pozwoleniem, sir... Co będzie z panną Grant? Czy i ona zostanie oczyszczona z zarzutów? – Panna Grant jest cywilem. Znajduje się poza moją jurysdykcją. Sprawa jest w toku. – Z tonu głosu Stefanaka wszyscy obecni wywnioskowali, że Marbet wkrótce także będzie wolna. Który dyktator dałby sobie dyktować warunki? – Dziękuję, sir – powtórzył Kaufman. – A zatem, doktorze... wracając do pańskich pytań. Proszę strzelać.

Capelo do tego czasu zdążył odzyskać równowagę. – Co zamierza pan zrobić z moim artefaktem?

Stefanak uśmiechnął się, słysząc z ust fizyka zaimek dzierżawczy, który – o czym Kaufman był przekonany – nie wymuszał się Tomowi przypadkiem. Nie skomentował tego jednak, lecz po prostu odpowiedział: – Zamierzam go zabrać do Układu Słonecznego, zainstalować w jakimś bezpiecznym i pilnie strzeżonym miejscu, po czym aktywować przy ustawieniu oznaczonym jedenastką, tym samym chroniąc Sojusz Solarny przed atakiem Obcych.

W jakimś bezpiecznym i pilnie strzeżonym miejscu... Na Boga, pomyślał Kaufman, on będzie sprawował nad artefaktem kontrolę absolutną! Nikt nie odważy mu się sprzeciwić. Stefanak dostał do ręki niezwycięzonego Excalibura, i to takiego, którego w każdej chwili można przerobić na maszynę zniszczenia. Czyli jednak zostanie dyktatorem...

A on, Lyle Kaufman, wytrawny dyplomata, nie domyślał się tego aż do tej chwili. Dał się uwieść pięknu nauki i skuteczności broni, całkiem zapominając o polityce.

Rozumiem – rzekł Capelo dwuznacznie. – Zatem nie zamierza pan zabrać artefaktu do rodzimego systemu Fallerów, aktywować go przy ustawieniu oznaczonym trzynastką i usmażyć wszystko w promieniu setek lat świetlnych? – Twierdzi pan, że to niemożliwe bez ryzykownego naruszenia ciągłości materii wszechświata. – Zawsze mogę się mylić. – Dlatego właśnie marny nadzieję, że nie zaprzestanie pan prac nad swoją teorią, zdobywając coraz większą pewność w tej kwestii. – A jeśli w ogóle przyjąłem złe założenie co do tego, czym jest ustawienie oznaczone jedenastką? – Nie będę się powtarzał. – Stefanak wzruszył potężnymi barkami. Nie wyglądał na zmartwionego. – Czy jeśli już dopracuję swoją teorię przy pomocy innych badaczy, będę mógł opublikować wyniki? – Oczywiście. – Mimo że... jak nam wiadomo... Faberowie przechwytyją szerokie spektrum naszych fal elektromagnetycznych, dzięki czemu mogą się dowiedzieć o przełomie, którego dokonaliśmy w fizyce?

Kaufman zastanawiał się nad tym już od dłuższego czasu. Z tym większą uwagą przysłuchiwał się odpowiedzi generała. – Niech sobie przechwytyją. Moi doradcy zapewniają mnie, że ich podejście do nauki jest na tyle odmienne od naszego, iż nie będą w stanie odszyfrować naszych danych ani tym bardziej ich użyć. – To zapewne prawda – przyznał Capelo. – Ale co będzie w sytuacji, gdy w trakcie dalszych badań odkryjemy poważne błędy w teorii? – Poprawimy teorię. Proszę zrozumieć, doktorze... Jestem żołnierzem, nie projektantem mody. Spodziewam się znaczących błędów i przyjmuję do wiadomości konieczność ich poprawiania. Na tym w gruncie rzeczy polega wojna. – A jak dokładnie zamierza pan cokolwiek poprawić, jeśli dwa artefakty doprowadzą do zniszczenia czasoprzestrzeni w razie jednoczesnego ich aktywowania przy ustawieniu oznaczonym trzynastką w obrębie tego samego układu gwiazdowego?

– Nie sądzi pan, że budowniczy przewidzieli i to, wmontowując stosowne bezpieczniki? – Nie mam pojęcia. Podobnie jak pan.

Punkt dla pana, doktorze. Tylko że ja nie planuję użycia trzynastki. Coś takiego wiązałoby się z nieuzasadnionym i zbędnym ryzykiem.

Capelo siedział przez chwilę w milczeniu. Wreszcie się odezwał: – Właściwie nie byłoby żadnego ryzyka. Nie trzeba wcale aktywować trzynastki. Wystarczy przekonać wszystkich, ludzi i Fallerów, że doszło do aktywacji. Rezultat będzie taki sam, chyba że ci dranie są na tyle głupi, by przylecieć ze swoim artefaktem dla sprawdzenia nas...

Stefanak nic nie odpowiedział. Uśmiechał się dalej jakby nigdy nic, siedząc ze skrzyżowanymi grubymi nogami w rozluźnionej wygodnej pozycji.

Capelo zaśmiał się krótkim ostrym śmiechem, który Kaufman słyszał wcześniej setki razy. – Dobra, generale. Żaden ze mnie żołnierz. Mam jednak pewne pytanie, które wiąże się z wojskowością. Przejrzałem wszystkie dane dotyczące ataków, odkąd pojawiły się pierwsze ślizgi Fallerów wyposażone w tarcze. Oczywiście nie miałem dostępu do tajnych danych, ale jak pan wie, dzisiejsi korespondenci wojenni dysponują robotami, dla których nie ma rzeczy niemożliwych. Następnie napisałem program, którego zadaniem było porównanie tych danych z prawdopodobnym wykorzystaniem tuneli czasoprzestrzennych oraz maksymalnym czasem lotu ślizgu. No i odkryłem coś naprawdę interesującego... Otóż wszystko wskazuje na to, że jeden jedyny artefakt Fallerów mógł być przekazywany ze statku na statek i zawsze znaleźć się tam, gdzie doszło do użycia w walce pola rozpraszającego. Co by wskazywało, że wcale nie rozgryźli technologii stojącej za artefaktem. Mają wyłącznie jeden artefakt, tak jak my.

Porucznik Framingham sapnęła. Kaufman poczuł, jak twarz mu się wydłużyła ze zdziwienia. Po raz pierwszy od momentu przybycia Stefanak sprawiał wrażenie zapędzonego w kozi róg. Nikt się nie odzywał; nikt nie śmiał choćby głębiej odetchnąć.

W końcu generał powiedział: – Jest pan niezwykle bystrym człowiekiem, doktorze. Wielka szkoda, że nie został pan żołnierzem. – Byłby ze mnie kiepski żołnierz. – Pewnie ma pan rację... A jakim jest pan patriotą?

Capelo ponownie się zaśmiał. – Chodzi panu o to, czy zacznę rozpowiadać o swoim odkryciu? Publikować dane porównawcze? Chronić w ten sposób swoje córki? Nie. Chcę, abyśmy wygrali tę wojnę, nie mniej niż pan, generale. Może nawet bardziej, ponieważ nie jestem żołnierzem i nic mi nie przyjdzie z sukcesów na polu bitwy, a stracić mogę nawet więcej, niż straciłem do tej pory. Dopóki nie zapragnie pan oskarżyć mnie o zdradę albo o przekroczenie uprawnień czy coś równie głupiego, ma pan moje słowo, że wszystko, co wiem, zachowam dla siebie. Jak pan wie, już teraz mam dostęp do ściśle tajnych informacji. – Wiem.236

– A jak jest w wypadku Marbet Grant? – zapytał Capelo. – Ona ma dostęp do mniej tajnych informacji. Lecz jak są dżę, również zachowa dla siebie wszystko to, co wydarzyło się na pokładzie tego okrętu. – W zamian za uwolnienie.

Stefanak na powrót przybrał twarz w zwykły dla niego uśmiech. – Mówiłem panu... Panna Grant jest cywilem. Mogę jedynie przedstawić jej sprawę z mojego punktu widzenia odpowiednim władzom. – Tak – potwierdził Capelo ironicznie – może pan jedynie to. – Czy to już wszystko, doktorze? – O tyle, o ile to możliwe w tej sytuacji.

Stefanak wstał. Capelo również podniósł się z miejsca – nie sposób było siedzieć, gdy ta przytłaczająca osobistość stała. Generał wyciągnął rękę. – Żegnam, doktorze. – Żegnam, generale. – Pułkowniku... – zwrócił się Stefanak do Kaufmana. – Generał Gordon pozostanie na tym okręcie, żeby przekazać panu najświeższe informacje. Na mnie niestety już czas. Panowie... pani porucznik... – Zasalutował oficerom, którzy odpowiedzieli hiperpoprawnym salutem typowym dla kadetów akademii wojskowej.

Stefanak wyszedł, ciągnąc za sobą w ogonie Graftona, który wyglądał jak statek kurierski podążający za masywnym okrętem wojennym.

Rulanov, Ramsay i Framingham również zaczęli się nagle śpieszyć. Gęsiego wyszli na zewnątrz. Capelo ruszył za nimi, mówiąc: – Muszę powiedzieć córkom, że jednak nie trafię za kratki. Ucieszą się, że wszyscy razem wrócimy na Ziemię. Powodzenia, Lyle, i wszystkiego dobrego. Zasłużyłeś sobie.

Parę chwil później w sali konferencyjnej siedzieli już tylko Kaufman i Gordon. Nagła cisza raniła uszy Kaufmana. Czuł się zupełnie jak człowiek, który przeżył wstrząs tektoniczny na Marsie.

Gordon wyszczerzył się do niego. – A nie mówiłem ci, Lyle, że będziesz właściwym człowiekiem na właściwym stanowisku? – Właściwym człowiekiem? – Jasne. Nie ma znaczenia, że każdy, z kim się zadawałeś, trafił



do brygu, a jeniec wojenny poniósł śmierć. Och, no tak, to wszystko ma znaczenie do pewnego stopnia, jak się domyślasz. Twoja kariera w armii właśnie się skończyła. Wiesz za dużo. Co ważniejsze jednak, Stefanak potrzebuje kozła ofiarnego, którego będzie mógł zaprezentować podczas tych tajnych spotkań w siedzibie Rady Obrony, gdy zaczniesz tłumaczyć, jak to się stało, że straciliśmy z takim trudem pojmanego jeńca, nie odnotowanego w żadnym oficjalnym raporcie. Stefanak będzie czuł wdzięczność, ale też strach i dlatego usadzi cię za biurkiem w jakiejś odległej bazie z jednym czynnym tunelem czasoprzestrzennym, skąd nie będziesz przylatywał nawet na przepustki, żeby nie musiał na ciebie patrzeć. Zapewne najpierw osłodzi ci to zesłanie awansem i medalem. 237

A jeśli kiedykolwiek znowu mu się sprzeciwisz, zginiesz, zanim zdążysz się zorientować, co się dzieje. – Wiem – pokiwał głową Kaufman. – Przykro mi. Niemniej i tak byłeś najwłaściwszym kandydatem na dowódcę tej ekspedycji. Zrobiłeś, co do ciebie należało, Lyle, i to jak nikt inny w całej Galaktyce! – Dziękuję, sir. Mam rozumieć, że jestem jeszcze jedną ofiarą wojny? – Coś w tym stylu. Na Stefanaka i Thomasa Capelo spadnie zaszczyt ocalenia Układu Słonecznego. Ale to dzięki tobie być może wygramy tę wojnę. Jeszcze ci mało?

Tak – mruknął Kaufman, wiedząc jednak równie dobrze jak Gordon, że ta świadomość będzie musiała mu wystarczyć.

## **EPILOG**

### **Luna City, Lipiec 2167 r.**

Czekając, aż winda zwiezie go na mieszkalne poziomy Luna City, Kaufman przyglądał się ogrodowi, który ostatnio widział przed ponad rokiem, przy okazji rekrutacji Marbet Grant na członka wyprawy na Świat. Ogród nie zmienił się ani trochę. W dalszym ciągu wydawał mu się ponury w porównaniu z ogrodami na Marsie. Na Marsie niebo miało różowawą barwę, której intensywność zależała od zawartości pyłu w powietrzu danego dnia. Tutaj wszelkie światło było sztuczne, chyba że ktoś nazywał światłem zimny blask gwiazd przesączaający się przez przezroczystą piezoelektryczną plastikową kopułę lub docierającą tą samą drogą potworną niebiesko-zieloną jasność bijącą z zawieszanej na firmamencie Ziemi. Choć może tutaj, na Lunie, to księżyc był ziemią, a ziemia księżycem...

Podobnie jak poprzednim razem za ogrodzeniem, pod okiem opiekunek, bawiły się piszczące brzdące, które potrafiły skakać niemal tak wysoko, jak sięgało wzniesienie. Eksperymenty naukowe nadal odbywały się w różnych miejscach pod kopułą, teoretycznie pilnie strzeżonych, a w praktyce już nie tak bardzo. W Luna City przestępczość była bardzo niska dzięki starannie wyselekcjonowanej populacji. Ludzie, którzy siedzieli na ławkach rozsianych między grządkami porośniętymi genetycznie zmodyfikowanymi kwiatami nie potrzebującymi wiele światła, bądź rozmawiali, bądź patrzyli w gwiazdy, bądź całowali się...

Kwiaty niespecjalnie przypominały Kaufmanowi o Świecie. Były za małe, za nijakie, by przywodzić na myśl rozbuchane barwy i kształty światłańskich płatków.

Wreszcie winda przyjechała i Kaufman wkroczył za rozsuwane drzwi.

Wysiadł na poziomie H, wstępując w szeroki korytarz biegnący lukiem w obie strony. Niewielki wagonik zagadnął do niego wesołym głosem: 238

- Witam! Zataczam pętlę po poziomie mieszkalnym co dziesięć minut, zatrzymując się tam, gdzie mi każesz. Jeśli wolisz, możesz pójść pieszo. Wejścia do apartamentów można znaleźć tuż przy tym kolistym korytarzu.  
- Przejdę się - powiedział Kaufman, na co wagonik zamilkł.

Korytarz był pozbawiony wszelkich ozdób, jeśli nie liczyć gry światła na ścianach. Drzwi otwierające się bezpośrednio na niego były ponumerowane kolejno i równie mdłe jak otoczenie. Najwyraźniej mieszkańcy Luna City nie tracili energii na dekorowanie przestrzeni publicznych.

Idącego Kaufmana minął wagonik wiozący starszą kobietę. Dwoje spacerowiczów kiwnęło mu przyjaźnie głową, nie przerywając rozmowy. Po kwadransie Kaufman znalazł się w pobliżu mieszkania Marbet. Po niecałych dalszych pięciu minutach stał już naprzeciwko jej drzwi.

Otworzyła mu, zanim zdążył wdusić przycisk komunikatora - wypatrywała go od dłuższej

chwili. - Witaj, Lyle! - Witaj, Marbet! - odparł, zastanawiając się, czy naprawdę minął ponad rok, i wyrzucając sobie, że pozwolił, aby było to więcej niż dwanaście miesięcy. Chociaż w gruncie rzeczy nie miał większego wyboru...

Marbet wydała mu się równie niezmieniona jak ogród - ani trochę starsza, z takimi samymi błyszczącymi kasztanowymi lokami i zielonymi kocimi oczami, tak zdumiewająco pełnymi życia. Miała na sobie długą tunikę z jakiegoś eleganckiego materiału barwy kości słoniowej, który zdawał się ją opływać. Na jej szyi pysznił się gruby złoty naszyjnik. - Wchodź! Czego się napijesz? Czegoś z bąbelkami? A może wina? Mam niezłe wino z

Chile...

– Pewnie było niebotycznie drogie. Poproszę czegoś z bąbelkami. Wyglądasz cudownie,

Marbet. – Dziękuję. Ty wydajesz się trochę zmęczony... – Tak też się czuję.

Niemal zapomniał, jak to jest w jej towarzystwie. Teraz znów ogarnęła go mieszanina swobody i napięcia przetykanych niepokojem, co też ta kobieta zdoła z niego wyczytać tym razem – z jego min, gestów, głosu... Czy urządziła to mieszkanie, aby maksymalnie zmniejszyć niepokój gości? Wszędzie leżały duże miękkie poduchy, meble były obite tkaniną w jaskrawy kwiecisty wzór, a całości dopełniało subtelne światło i muzyka w tle. W takim pomieszczeniu można się było odprężyć. Kaufmanowi nagle zaczął przeszkadzać sztywny mundur galowy.

Zapytał: – Co porabiałaś?

Na pewno nie pokazywała się w niusogramach – sprawdził to, korzystając z bogatych zasobów Biblioteki Marsjańskiej. – Wykonałam parę robótek na Ziemi, głównie dla prywatnych zleceniodawców biznesowych, którzy potrzebowali pomocy w negocjacjach. Nic ciekawego, obawiam się. 2

Słyszałeś o Tomie? – O doktorze Capelo? Nie. A co? – Wrócił na Harvard, gdzie pracuje nad swoją teorią prawdonu. Każdy j ego artykuł coraz silniej kołysze fizycznym światkiem. Ale to musiałeś wiedzieć. Prawdziwy nius jest taki, że się żeni.

Kaufman nieomal się zakrztusił drinkiem. – Tom się żeni?! – Tak. Zdaje się, że poznał ją na jakiejś konferencji naukowej i wpadł jak okręt w czarną dziurę. W zeszłym tygodniu skontaktował się ze mną, by przekazać dobrą nowinę. Byłam nie mniej zaskoczona niż ty. – Sądziłem, że do końca życia będzie opłakiwał zmarłą żonę. – Ludzie są nieprzewidywalni, prawda? Częstki elementarne to pikuś w porównaniu z nami. Chociaż moim zdaniem w wypadku Toma odbyło się to trochę inaczej... On przeszedł coś w rodzaju egzorcyzmów na Świecie. Dzięki temu był w stanie wziąć odpowiedzialność za kogoś jeszcze poza córkami. Które... przynajmniej z tego, co mówił Tom... są zachwycone swoją przyszlą macochą. – Życzę mu jak najlepiej – rzekł Kaufman. Siedzieli w milczeniu, sącząc drinki i rozważając dziwy zakamarków ludzkiej duszy. Kaufman uzmysłowił sobie, że takie rozmyślania przychodzą mu teraz łatwiej niż kiedyś. Aczkolwiek żadne egzorcyzmy raczej nie miały z tym nic wspólnego. W końcu odezwał się pierwszy: – Artefakt okazał się wielkim sukcesem. Ukryty gdzieś w Układzie Słonecznym „broni kolebki ludzkości”, jak mówią w holowizji. – Sądzisz, że naprawdę jest ustawiony na trzynastkę? – Kto to może wiedzieć? Tom udowodnił, że nie da się tego wykryć, dopóki ktoś inny nie przywlecze tu drugiego artefaktu z zamiarem usmażenia nas. Do tego czasu to tylko kwestia wiary. Zupełnie jak w tym starym dowcipie o szarlatanie, który sprzedał podróżnikowi amulet przeciwko marsjańskim tygrysom

ludojadom. Podróżnik mówi: „Ale przecież na Marsie nie ma żadnych tygrysów!”... – ...na co szarlatan odpowiada: „A widzi pan? Amulet już działa!”. Lyle, to kawał z brodą do samej ziemi. – Ale idealnie pasuje w tej sytuacji. Co najwyżej można powiedzieć, że istnieje pewne prawdopodobieństwo, że artefakt chroni naszą gwiazdę. – Gwiazda prawdopodobieństwa... – Otóż to. – A ty? Co ty porabiałeś? – wróciła do poprzedniego tematu. – Wypisałem się z armii, Marbet. Od przyszłego tygodnia będę cywilem. Teraz wybieram się na Marsa, do dowództwa. – Wiem.

“ Jakim cudem? Skąd możesz wiedzieć, że jestem w drodze na Marsa?

Zaśmiała się. – Tego akurat nie wiedziałam. Ale zdawałam sobie sprawę, że zrezygnowałeś z dalszej służby. To widać po tym, jak nosisz obecnie mundur... Nie potrafię wyjaśnić tego słowami. – Wysłali mnie do systemu Ariela, na największe zadupie Galaktyki. Świat przy tamtej okolicy był pępkiem kosmosu. Teoretycznie dowodziłem tamtejszą bazą... – Czego nie znosiłeś – wpadła mu w słowo. – Czego nie znosiłem. No więc się wypisałem, odchodzę za porozumieniem stron, jak tylko złożę ostatni raport.

Odstawiła kieliszek na stolik upleciony ze źdźbeł jakiejś mocnej trawy – albo czegoś, co do złudzenia przypominało trawę. – Mars znajduje się między Luną a tunelem czasoprzestrzennym. Nadłożyłeś drogi jak na kogoś, komu się śpieszy, by zrzucić mundur... – Tak. Miałem nadzieję, że uda mi się przekonać cię, abyś poleciała ze mną... – Dokąd?

Zaczerpnął głęboko tchu. Stało się. Teraz już musiał jej powiedzieć. Chociaż znając Marbet, mógł przypuszczać, że sama się domyśliła. – Na Świat. W ramach prywatnej ekspedycji finansowanej z prywatnych funduszy. W celu odnalezienia Anny Sikorski i Dietera Grubera, o ile wciąż żyją, i sprowadzenia ich do domu. O ile będą chcieli wrócić. – W celu odnalezienia i sprowadzenia do domu Anny i Dietera? Na pewno tylko o to

chodzi? – Na pewno o to chodzi. – Lyle... – rzekła cicho. – To, co się stało, nie jest twoją winą. Jakikolwiek los spotkał Świat, nie jest twoją winą. Ty nie miałeś wyboru. – Wiem. Ale to i tak dziwne, prawda? Większość pierwotnych cywilizacji uległa zniszczeniu z powodu zawleczenia do nich nowoczesnych technologii: ognia, bomb, tego typu rzeczy. Tymczasem ja dokonałem zniszczenia, zabierając coś. – Lyle...

Nie chciał o tym dłużej rozmawiać. Przerwał jej więc: – Polecisz ze mną? Na Marsa, a potem znów na Świat? – Tak. Polecę z tobą.

Dopił drinka. Po dłuższej chwili zapytał: – Wiedziałaś, że cię o to poproszę? – Lyle, Wrażliwiec to nie jasnowidz. A zatem nie, nie wiedziałam. – To dobrze – powiedział, odstawił kieliszek i ujął ją za rękę.

Enla i Essa siedziały przed chatą na chłodzie wieczoru. Enla była rozgniewana. Kiedy stała się odpowiedzialna za Essę? I dlaczego? Ta dziewczyna potrafiła każdego doprowadzić do zwiędnięcia.<sup>241</sup>

– Ezzo, słyszałaś, co powiedziałam? Matka zabiera stąd Serlita z twojego powodu. On jest za... za młody na takie zabawy w łączenie się w pary, o czym doskonale wiesz. Nie przeszkodziło ci to jednak robić z nim różnych rzeczy... – Jemu się to podobało – rzekła nieporuszona Essa. – Bez wątpienia. Mimo to jest na to za młody... jeszcze nawet nie przeszedł ceremonii rozkwitnięcia. Dzielona rzeczywistość... – zaczęła i umilkła. Te słowa nadal czasem jej się wymykały. Nawet po takim czasie.

Essa nie przejmowała się gniewem Enli. – Patrz, Enlo, pokazują się gwiazdy! Są takie jasne, ponieważ Rai jest jedynym księżycem na niebie, a do tego widać tylko jego rąbek! Spójrz na tę najjaśniejszą tuż ponad palisadą! – Ezzo... – Któregoś dnia polecę do gwiazd. Wiem to. Pek Sikorski mówi, że tam są inne Światy, że widziała je wszystkie z dużej metalowej latającej łodzi. Ja też chcę je zobaczyć. – Nigdzie nie polecisz, jeśli nie będziesz się zachowywać jak należy! – Słyszysz? – przerwała jej dziewczyna. – Pek Raumul już zaczyna grać!

Dźwięki fujarki nadpływały znad łąki, obwieszczając początek tańców. Essa zerwała się na nogi i pobiegła w tamtą stronę. Enla się skrzywiła. Co za lekkoduch! Była jednak nazbyt zmęczona, by uganiać się za nią dzisiejszego wieczoru. Tej nocy Kalin pełnił straż (Gofldt Firtoe nadal stanowiło zagrożenie dla Gofkit Shamloe), a Enla ugotowała kolację zarówno dla swojej rodziny, jak i dla Anny, która dostała kwiatowy i w ramach pokuty musiała siedzieć zamknięta w chacie. Odkąd ustał handel ze stolicą – mieszkańcy Gofkit Shamloe nie mieli nic na sprzedaż – zabrakło antyhistaminy. Dieter udał się na wyprawę poza osadę i Anna usychała ze zmartwienia, co tylko nasilało objawy kwiatowy. Jakby tego było mało, dziecko kopało ją w brzuchu, a ból w krzyżu doskwierał coraz bardziej.

Mimo to Enla podniosła się ciężko na nogi i poczępała za Essą. Wieczór, choć chłodny, był bardzo przyjemny. Przystanąła, by odetchnąć słodko pachnącym powietrzem. Z wolna rozkwitł w jej wnętrzu kwiat o płatkach tak delikatnych i wonnych, i błogosławionych jak najcudniejsza allabeniriba. Enla czuła, jak kwiat pączkuje, rozwiera płatki i zakwita w pełni.

Szczęście.

Postała jeszcze chwilę, po czym podjęła wędrówkę ścieżką w głąb cienia rzucanego przez palisadę i z powrotem w blask rzucany przez pojawiające się na niebie gwiazdy oraz mały rosnący księżyc.